

**ROBERT
MALLECKI**

**NAJGORSZE
dopiero NADEJDZIE**



**CZW
ARTA
STR
ONA**

Prawda nie jest tym, czego można dowieść.
Antoine de Saint-Exupery, Ziemia, ojczyzna ludzi,
tłum. Maria Morstin-Górska, Instytut Wydawniczy PAX,
Warszawa 1998

Jestem sobie prawdą, fałszem i zagadką też (...),
Jestem i wyrokiem, nawet sędzią, nawet katem...
Kim jestem – jestem sobie, sł. Ryszard Riedel,
muzyka: Ryszard Riedel, Jerzy Styczyński

Mojej Kasi – za dziesięć lat szczęścia

PROLOG

Miałem krew na rękach, chociaż nigdy nikogo nie zabiłem.

Otarłem pot z czoła. Po chwili usłyszałem swój świszczący, krótki oddech, który mieszał się z charczeniem i pojękiwaniami nagiego człowieka leżącego u moich stóp. Wciąż próbował stąd uciec, ale brakowało mu siły, by przesunąć się choćby o centymetr. Podłogę i dwie ściany tworzące narożnik tej niewielkiej piwnicy wyłożono grubą, czarną folią. Szeleściła pod każdym moim krokiem i jego spazmatycznym ruchem.

Miałem krew na rękach.

Tak to bywa, kiedy grunt rozstępuje się pod nogami i widzisz, jak wszystko, co do tej pory miałeś, znika w nicości. Przebiegam myślą moje życie i widzę w nim wyraźnie jak znaki ostrzegawcze wszystkie te rozwidlenia dróg, na których poszedłem w złą stronę. Czasami przez przypadek, czasami świadomie. Ale kiedy myślę o niej...

Nie... Po prostu nie mogę...

Czuję, jak zaciska się gardło, łzy napływają do oczu. Jeśli myślicie, że się użalam, jesteście w błędzie. Po prostu podliczam straty i zastanawiam się, ile ciosów musiałbym zadać, by wyrównać wszystkie rachunki.

Nie zostało mu wiele czasu. Z ust na pomarszczoną folię sączyła się krew. Zbierała się w nieregularną plamę mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie leżały dwa ukruszone zęby, i niewiele dalej od podłużnej kałuży moczu, której kształt nadawały zagięcia materiału. Czerwonych śladów było więcej. Kropki, rozpryski, smugi, wszystkie połyskiwały w świetle jedynej lampy zawieszanej pod sufitem.

Wcześniej, kiedy mógł jeszcze mówić, błagał o litość, płakał i przepraszał. Bredził coś o złej drodze, błędach młodości i późniejszym nawróceniu. Wreszcie, kiedy argumenty odbijały się ode mnie jak od ściany, zaoferował pieniądze. Dużo pieniędzy. A to tylko bardziej mnie rozwścieczyło.

Smród moczu unosił się i mieszał z metalicznym zapachem krwi, wypełniał ponurą piwnicę.

– Wystarczy – usłyszałem spokojny głos zza swoich pleców.

Mój oddech jeszcze świszcział, a klatka piersiowa unosiła się szybko. Podniosłem ręce na znak, że skończyłem, i niespiesznie odwróciłem się do Aliena. Do tej pory w milczeniu przypatrywał się jatce dokonywanej w piwnicy domu stojącego na uboczu, daleko od przedmieść Torunia.

Nie wystarczy, pomyślałem, chociaż faktycznie nie miałem już ochoty dobijać leżącego. Nie wystarczy, bo zła, które ten facet wyrządził, w żaden sposób nie da się wymazać i zaszpachlować dobrem. Możesz udawać, że wygładziłeś ścianę, ale rysa zawsze w niej będzie. Ze mną było tak samo. Nosilem w sobie rysę, której nic nie mogło wypełnić. Mimo to pokiwałem głową na znak, że się zgadzam, i odszedłem w stronę drzwi. Dopiero kiedy złapałem klamkę, dostrzegłem zdartą do żywego skórę na kostkach obu dłoni. Zerknąłem na buty i układające się na nich wyraźne smugi

bordowej mazi. Podążyłem wzrokiem po śladach na foli do posiniaczonego ciała, opuchniętej twarzy. Widziałem jego cierpienie, ale nie miałem za grosz współczucia.

– No idź już – usłyszałem. – Resztą zajmę się sam.

Spojrzałem na Aliena. W blasku lampy, która wisiała tuż nad jego głową, wyglądał jak upiór. Oczy tonęły w cieniu szerokiego czoła, skóra miała nierzeczywisty żółty kolor, a wytatuowany na szyi ogon kosmicznego stwora z filmu Ridleya Scotta jakby ciaśniej się na niej zaciskał. Sięgnął po brązową butlę, na której drukowanymi literami napisano „KWAS”. Z powrotem przeniosłem wzrok na leżącego mężczyznę. Może mi się tylko zdawało, że podniósł opuchniętą powiekę i spojrzał w moją stronę, a jego usta ułożyły się w sylaby, których nie był w stanie wypowiedzieć.

– Bła-gam...

Tak to odczytałem i nawet poczułem ulgę. Nie, nie jestem zwyrodnialcem. Każdy z was po tym, co przeżyłem, zrobiłby dokładnie to samo, ale tylko niewielu ma odwagę się do tego przyznać.

Nacisnąłem klamkę i uchyliłem drzwi w chwili, gdy dotarł do mnie dźwięk odkręcanego korka.

Wyobrażam sobie, że wychodzę z piwnicy, idę wolno schodami w górę, w stronę światła wpadającego przez uchylone drzwi. Kiedy znajduję się przed nimi, słyszę potworny wrzask, taki prosto z trzewi, a potem jęk. W filmach – na pewno to znacie – w tej scenie kamera unosi się w górę, a echo krzyku, którego przecież nikt nie usłyszy, niesie się po spokojnej okolicy. Bo światła nie obchodzi ta jedna ludzka tragedia.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, jest noc, a listopadowy wiatr owiewa mi twarz i poranione dłonie. Patrzę na czarne chmury, które przewalają się nisko nad moją głową, i wiem, że do świtu jeszcze kilka godzin. Każdemu mojemu oddechowi towarzyszy kłęb gęstej pary. Na podwórzu panuje cisza, a może tylko ja nie słyszę szumu pobliskiego lasu, chociaż widzę kołyszące się korony brzoź i sosen.

Uruchamiam samochód, wrzucam bieg i zwalnim sprzęgło. Dopiero teraz wyławiam z otoczenia pierwsze dźwięki. Opony szurają na zmarzniętej, gruntowej drodze. Szeleści moja kurtka, kiedy kręcę kierownicą i mijam bramę. Głośno pociągam nosem.

Niespiesznym tempem dojeżdżam do szosy, wrzucam kierunkowskaz, który tyka miarowo. Przepuszczam dwa samochody, a następnie włączam się do ruchu. Silnik wchodzi na wyższe obroty. Po chwili znacznie przekraczam dozwoloną prędkość.

Świat wraca do normalności, ale ja jestem gdzieś daleko stąd.

Wiem, że nie ucieknę od tego. Jest przecież coś, co sprawia, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Jedna myśl, która wwierca się we mnie i ciąży, jakbym połknął kamień. Jedno pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

Czy jej krzyku też nikt nie słyszał?

WCZEŚNIEJ

ŚRODA

23 października 2013 roku

Skrzypienie zawiasów powinno być dla mnie przestroga.

Mimo to przekroczyłem próg. Rzuciłem nawet coś na powitanie, a ona ledwie skinęła głową, wpatrując się w ekran laptopa. Pomalowane na niebiesko paznokcie energicznie stuknęły w klawiaturę.

Wcześniej zobaczyłem swoje odbicie w szklanych drzwiach prowadzących do gabinetu

naczelnaj i związałem frotką długie włosy. Wygładziłem wymięty T-shirt, wytarłem czubki trampek o nogawki czarnych bojówek. Nie świeciły jak lakierki, ale wyglądały ciut lepiej.

W kieszeni zabrzczała komórka. Sięgnąłem po nią, ale nie odczytałem SMS-a, bo Majka właśnie skończyła pisać i wbiła we mnie chłodny wzrok.

– Nie spodoba ci się to, co usłyszysz. – Jej głos też miał ujemną temperaturę. Przydałby się polar. – Ale może najpierw byś się, kuźwa, wytłumaczył, co?

Usiadłem w wąskim fotelu ustawionym naprzeciwko jej biurka, na którym sterczał stos równo ułożonych gazet i leżał otwarty notes. Obok komputera stał firmowy kalendarzyk z pobazgranymi kartkami, a przed nim trzy aniołki – a jakże, dupami w moją stronę. Żebym nie zapomniał, jak bardzo właśnie byłem w dupie.

Przez chwilę milczeliśmy. W rękę obracałem telefon. Unikałem jej wzroku. Zerknąłem przez okno na ukryty w cieniu toruński Rynek Nowomiejski. Psa z kulawą nogą. Nawet październikowe słońce, które świeciło od rana, nie chciało tu zaglądać.

Potarłem oczy.

Do Torunia wróciłem dopiero nad ranem po długiej podróży z Berlina. Zasnąłem natychmiast, a kiedy zadzwonił budzik, bezwiednie wyłączyłem alarm. Zerwałem się kilka godzin później z pulsującym bólem głowy i piaskiem, którego nie dało się usunąć spod opadających ze zmęczenia powiek. Walczyłem z każdym mięśniem, żeby wstać, ubrać się i przyjść do roboty. Nie było łatwo i nie chodziło tylko o fizyczne zmęczenie. Po prostu po tym, co stało się w Berlinie, opuściły mnie wszystkie siły. Nie byłem wybrańcem losu. Od trzech lat budziłem się w pustym domu, w którym jedynie zawieszona na ścianach zdjęcia fauny i flory niedostępnych zakamarków świata boleśnie przypominały mi o tym, że kiedyś miałem cudowną żonę. To ona zrobiła te zdjęcia. Byłem z nią szczęśliwy. Teraz czułem się jak żywy trup.

– No, co jest? Nie masz mi nic do powiedzenia? – Naczelnaj odsunęła się od biurka i założyła nogę na nogę.

Ucisnąłem skronie, bo ból głowy narastał i stawał się nie do zniesienia. Obraz się rozmywał.

– No, ejże! – ponagliła.

Maja Dymowska. Nazywaliśmy ją Majką Dymajką. Świńska blondyna o prostych włosach z grzywką ściętą równo nad brwiami, bywała bezwzględna i zasadnicza jak Terminator. Wyzywająco ubrana, ryzykownie testowała granice wytrzymałości tkanin, które ciasno opinały jej wielki biust i brzuch. Z dumą prezentowała każdy znajdujący się tam wałek. Wraz z nadmiarem kilogramów pojawił się nadmiar libido, o którym w redakcji i na mieście krążyły legendy. A pięćdziesięciojednoletnie ciało Majki wciąż cieszyło się w VIP-owskich sferach niemal hurtowym wzięciem.

– Jeśli masz zamiar milczeć, to lepiej wyjdź. – Wskazała na przeszkłone drzwi z niebieskim napisem „Redaktorka Naczelnaj”. Redaktorka, litości!

– Łeb mnie boli, daj jakąś tabletkę – poprosiłem.

Sięgnęła do torebki i wycisnęła z opakowania podłużną pastylkę. Popiłem jej zimną herbatą. Naczelnaj skrzywiła się i odstawiła kubek na skraj biurka.

Ukradkiem zerknąłem na ekran telefonu.

„Masz 1 nową wiadomość”.

Świat za tymi drzwiami kusił nie mniej niż ta zapowiedź, która równie dobrze mogła być informacją z banku albo zakichaną reklamą. Ale w porównaniu do tej sytuacji wszystko wydawało się wielką przygodą, jakby na korytarzu czekał na mnie Indiana Jones.

Z rezygnacją schowałem komórkę.

– To był ostatni raz – powiedziałem głosem wypranym z emocji. Nie przekonałem nawet samego siebie. Jej oczywiście też nie, bo prychnęła i zanosła się sztucznym śmiechem, od którego zapulsowało mi w skroniach.

– Oj, Marcyczku. Marcyczku... – Pogroziła palcem. – Zawsze to mówisz. I zawsze dajesz ciała.

Nienawidzę, gdy tak się do mnie zwraca, ale jeśli tylko jej o tym powiem, wykorzysta to przy każdej okazji. I będzie uważała za dobry żart. Zabiję ją kiedyś, to pewne, a potem wypatroszę i

powieszę, jak Hannibal Lecter tego gliniarza z Florencji.

Przestała się uśmiechać, wstała i poprawiła białą jak śnieg koszulę. Przeszła przed biurko i przysiadła półdupkiem na jego rogu. Producent powinien otrzymać nagrodę, coś w rodzaju „Solidny mebel 2013 roku”. Już słyszałem te owacje.

Jej okryte czarną spódniczką masywne uda znajdowały się tuż naprzeciwko moich kolan. Na nogach miała wysokie czarne szpilki. Że też one to wytrzymały. Ze stali były, czy jak?

Jej brwi zbiegły się ze sobą. Oddzielała je tylko wąska linia pionowych zmarszczek nad nosem. Gdyby w tym pomieszczeniu znajdowały się głośniki, pewnie usłyszałbym nawoływanie do ewakuacji. Erupcja wulkanu zbliżała się nieuchronnie. Wolałbym, żeby tabletki zaczęły już działać.

– Kuźwa! Gazeta jest w proszku, robią ją studenci w przerwie między wykładami a kserowaniem książek. Strony śmierdzą amatorszczyzną i popłuczynami! – ryknął Wezuwiusz. – A ty, zamiast wrócić tu następnego dnia po urlopie, wysyłasz mi informację, że masz mnie w dupie!

– Że wrócę później – sprostowałem.

– Właśnie! Czyli że masz mnie i naszą gazetę w dupie! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Zresztą nie pierwszy raz odstawiasz taki numer.

Gdybyśmy kręcili film, w tej scenie zapadałbym się w fotelu.

– Majka, powiedziałem, że to się więcej nie powtórzy.

– Masz rację. To się więcej nie powtórzy, kuźwa! – Z powrotem usiadła za biurkiem.

W głowie zabrzmiał mi sygnał ostrzegawczy.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Bierz się do roboty. – Postukała palcem w złoty zegarek na pulchym nadgarstku. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale minęły dwie godziny od kolegium.

– Przestań pieprzyć, mów, o co chodzi. – W głowie nadal trwało bombardowanie.

Przymknąłem oczy.

Naczelną dmuchnęła w grzywkę, a potem zaczęła skubać niebieskie paznokcie, przyglądając się im z niezwykłą uwagą.

– Żarty się skończyły. Zabawa w szkolną gazetkę też – stwierdziła sucho. – Będą zwolnienia.

O kuźwa, przedrzeźniłem ją w myślach. Poczułem się pewniej, ale i tak cały ten majdan miałem gdzieś. Co mnie to obchodzi, psiakrew! Mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Zwolnieniami straszą nas od zawsze. Nie wiem, czy nie powinniśmy walnąć o tym tekstu na pierwszą stronę. Kogo chcą zwolnić, skoro tu już prawie nikogo nie ma? Przecież to się kwalifikuje pod mobbing. – Zdobyłem się nawet na uśmiech. Doprawdy ułańska fantazja.

– Mobbing-srobbing. – Zmarszczyła nos. – Nie widziałeś jeszcze wrześnieowych wyników sprzedaży. Lato było fatalne, ale prezes dał się przekonać, że to martwy okres i że wrócimy do gry właśnie we wrześniu, z odświeżonym layoutem i eventami. Bła, bła, bła. Nawet zwiększył nam budżet na promocję. Ale już wtedy się nie pitolił i ostrzegał.

– No dobrze, ale przecież Janka przeszła do „Nowości” i tej dziury jakoś nie załataliśmy, więc tu też ma oszczędności. Poza tym Agnieszka Mejer sprzedaje już reklamy dla Agencji Gra. To kolejny etat mniej.

– Mareczku, na jakim ty, kuźwa, świecie żyjesz? – Z niedowierzaniem pokręciła głową, nie przestając zajmować się paznokciami, które – dopiero teraz to zauważyłem – współgrały kolorystycznie z kamyczkami powieszonymi na szyi i podobnymi kolczykami. – Przecież ta foczka zawinęła się razem ze swoimi reklamodawcami. Więc zamiast oszczędności mamy megadziurę w przychodach ze sprzedaży reklam. Ten dział zresztą też przeżyje tsunami.

– No, a ta młoda...

Machnęła ręką.

– Ta młoda z trudem zbiera ogłoszenia drobne i reklamy wielkości pocztowego znaczka od handlarzy z Szerokiej, którzy i tak ledwie zipią. Na marginesie, czytelnikom powinniśmy dorzucać gratis lupę. A my potrzebujemy potężnego zastrzyku. Najsilniejszych, kuźwa, sterydów. – Trzasnęła otwartą dłońią w blat.

Kolejna bomba wybuchła w mojej głowie.

Sterydy to ona musiała zreć garściami w podstawówce.

– No to już nie wiem... – Wzruszyłem ramionami i zamknąłem oczy. Pod powiekami przesuwały mi się obrazy z Berlina. Zielona stacja przewieszona nad skrzyżowaniem, tłumy ludzi wysiadających na peronie, smutny wzrok Marleny Dietrich, która spoglądała na mnie z malowidła na wielkim filarze, a potem oczy tej kobiety, która wyszła z pociągu. Jej zaskoczenie przeradzające się w niepewność, a potem strach. Boże, wszystko na nie! Jak długo będę przeżywał takie rozczarowania? Chciałem wrócić do łóżka i już nigdy się nie obudzić. Zrugałem się w myślach za to, że przylazłem do roboty i musiałem wysłuchiwać jęków tej pindy.

– Ale prezes wie – zawiesiła głos.

Zmieniłem pozycję.

Ding! Dong! Dopiero teraz zrozumiałem, do czego zmierza. Zrobiło mi się duszno, na czole pojawiły się pierwsze krople potu.

– Przykro mi – dodała po chwili.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że... – jęknąłem.

– Chcę powiedzieć, że długo broniłam twojej kształtnej dupy. – Znowu dmuchnęła w grzywkę, a jej wzrok zjechał w okolice mojego rozporka.

Serce zabiło mi mocniej.

– Nic na to nie poradzę. – Majka wyjęła z szuflady jakieś wydruki. – Przepracujesz z nami październik i część listopada, potem weźmiesz zaległy urlop.

Słuchałem tego, co mówiła, ale miałem wrażenie, jakby zwracała się do kogoś innego. Kogoś, kto był w tym pokoju, ale ze strachu schował się w szafie lub pod biurkiem. Nawet nie wiem, czy się za nim nie rozejrzałem, bo przecież ta sprawa nie mogła dotyczyć mnie. Dłonie zrobiły się wilgotne, wytarłem je w bojówki.

– Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że jeszcze dwie osoby stracą etaty – odarła mnie ze złudzeń. – A jeśli nie zwiniemy sztandarów do końca roku, to od stycznia będziesz mógł z nami współpracować. Założysz firmę, będziesz wystawiał nam faktury – przerwała, podając mi wydruki i długopis. – Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Uśmiechnęła się. Cieszyła się albo z tego, że wreszcie pozbyła się mnie z redakcji, albo że jest tak wspaniałomyślna, bo nie da mi zdechnąć z głodu.

– Podpisz – ponagliła.

Spojrzałem na dokumenty.

– Co to jest?

– Najlepsza opcja. Rozwiązanie umowy za porozumieniem stron. Dzięki temu nie będziesz miał żadnych kwasów w papierach.

Zrobiło mi się słabo.

Marek Bener – zobaczyłem swoje imię i nazwisko wydrukowane w miejscu, w którym miałem postawić parafkę. Powinienem podrzeć te papiery w cholerę, rzucić skrawki na jej biurko i iść prosto do lekarza po zwolnienie. A zaraz potem do prawnika. W takiej sytuacji każdy normalny człowiek próbuje się ratować. Powinienem stąd spieprzać.

– Urząd Pracy daje kasę na założenie działalności. Mógłbyś złożyć tam papiery, dostaniesz trochę szmalu na komputer i...

Nie słuchałem jej. Walczyłem ze sobą. Lont skrzył się, iskry gnały w kierunku dynamitu. Lata pracy dla tego szmatławca, piątek, świątek i niedziela, dyżury weekendowe, zero życia osobistego. Wielu informatorów, którzy mi ufali i dzięki którym zapełniałem czołówki, podnosząc sprzedaż i jednocześnie ciśnienie urzędnikom, politykom i ich przydupasom. Wszystko to przestaje się liczyć, kiedy liczą się pieniądze. Szlag! A ja ich tak potrzebowałem! Poszukiwania sporo mnie kosztowały, wydawałem na nie prawie każdą zarobioną złotówkę. Zamiast remontować stary dom po dziadku albo wymienić samochód, odkładałem kasę na chwile takie jak ta sprzed kilku dni. Bo w tej kwestii żadnego sygnału nie mogłem bagatelizować.

Sięgnąłem po kartki i przedarłem je szybko, żeby ukryć drżenie rąk. A potem spojrzałem na Majkę. Nie zrobiło to na niej wrażenia, domyśliła się mojej reakcji. Zgarnęła skrawki i wyrzuciła do kosza.

Podszedłem do drzwi.

– Okej, jeśli chcesz sam złożyć wypowiedzenie, masz czas do jutra – oznajmiła, a ja szarpnąłem klamkę.

– Do jutra – powtórzyłem i wtedy stało się coś, czego mogłem się spodziewać.

– Marek? – Wyczułem nutę troski, jakby odezwała się do mnie inna osoba. Widocznie to był ten moment, w którym skarconego pieska można łaskawie podrapać za uchem. – A co z Agatą?

Zatrzymałem się w progu, zadrżała mi żuchwa. Musiałem zacisnąć zęby.

– Czy te informacje z Berlina, no wiesz, te nagrania z monitoringu na stacji...

Odwróciłem się do niej, ale nie wytrzymała mojego spojrzenia.

– Fałszywy alarm! – uciałem i trzasnąłem drzwiami z nadzieją, że wyskoczy z tych czarnych szpilek.

Redakcja „Gazety Miejskiej” mieściła się na pierwszym piętrze w niepozornej kamienicy przy Rynku Nowomiejskim, tuż u początku Browarnej. Pod nami był zakład fryzjerski i pracownia zegarmistrza, który zasłynął walką ze strażnikami miejskimi, policją i tutejszym sądem o parkowanie samochodu. Stawiał go przy przejściu dla pieszych w pobliżu dworca PKS. Na drzwiach do zakładu powiesił plakat z Układu zamkniętego z wizerunkiem Janusza Gajosa, a do internetu wrzucił kilkuminutowy filmik z monitoringu, na którym widać jak na dłoni wykroczenia innych kierowców. Ale policjanci podeszli tylko do niego. I tylko jego poczęstowali mandatem. Wcześniej, jak twierdził, zakładali na jego samochód blokady, ale w końcu, chcąc dobrać mu się do tyłka, zasadzili się po przeciwnej stronie ulicy na parking przy stacji paliw i supermarkecie. Zegarmistrz wiedział o tym, bo informację sprzedał mu kolega ze Straży Miejskiej, a mimo to zaparkował tam gdzie zawsze. Sprawa zakończyła się wyrokiem nakazowym. Pisałem o tym ponad rok temu.

Teraz miałem wrażenie, że ktoś powinien opisać niesprawiedliwość tego świata w stosunku do mnie.

Wybrałem numer i przyłożyłem telefon do ucha. Stałem przed witryną zegarmistrza i cały czas wpatrywałem się w oczy Gajosa ukryte za szklami okularów i jego rozpiętą pod szyją koszulę. Kiedy Rak odebrał, rzuciłem tylko hasło „Na schodach” i rozłączyłem się. Przemaszerowałem do pobliskiego warzywniaka po cztery piwa i zawróciłem w stronę teatru. W pobliżu Baja Pomorskiego znajdowały się betonowe schody prowadzące w dół do Stawu Komtura, gdzie urządzono boiska i zewnętrzną siłownię. Mimo słońca ranek był chłodny, a średniowieczne, grube mury chroniły przed wiatrem. Przysiadłem na zimnym stopniu i otworzyłem browara, oblewając się gęstą pianą. Wytarłem ręce w spodnie. Byłem w połowie, gdy pojawił się Rak. Wyciągnąłem w jego stronę butelkę, ale nie drgnął. Wzruszyłem tylko ramionami i pociągnąłem kolejny łyk.

– Poleciałeś? – spytał.

Pokiwałem tylko głową i raz jeszcze podałem mu piwo.

– No dobra, ale tylko jedno, bo mam dziś sporo jeżdżenia. – Zdjął kapsel i przetarł dłonią szyjkę. – Mnie też spuściła na drzewo. Zakładam firmę, od grudnia mam być na kontrakcie.

Wypił kilka łyków i skrzywił się.

– Będzie dobrze – rzucił.

Nie wiem, czy pocieszał siebie czy mnie.

Nie chciało mi się gadać. Z Radosławem Rakiem, fotoreporterem „Miejskiej”, znałem się od kilku dobrych lat, był sporo młodszy ode mnie, ale na szczęście rozumieliśmy się bez słów. Usiadł obok, stuknęliśmy się butelkami i bez słowa piliśmy. Czas leciał. Z każdym kolejnym łykiem czułem, że powoli przetrawiam koktajl gniewu, żalu i frustracji. Pieprzę Majkę i całą resztę. Coś się wymyśli.

Nagle Radek uśmiechnął się i podniósł rękę na powitanie.

– Hej! – krzyknął.

Spojrzałem w stronę, w którą patrzył. Na dole stała blondynka w pikowanej kurtce. Nawet nie dojrzałem, czy ładna. W każdym razie z daleka całkiem, całkiem. Zaczęła wspinać się po schodach.

– Twoja? – zagadnąłem po cichu.

Rak odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby.

– Myśl, chłopie. – Przyłożył palec do skroni. – To studentka, robi u nas staż. Jak dobrze pójdzie, wkrótce zajmie twoje miejsce.

Piwo przyjemnie przelewało się w żyłach. Wyplułem gumę do żucia i nasypałem do kubka kawę. Pokój socjalny był wąski jak stary tramwaj. Ledwie mieścił się tu niewielki regał, mała lodówka i dwa drewniane taborety ze stolikiem wielkości szachownicy. Z jedyne go okna rozciągał się monotony widok na splekaną elewację kamienicy po drugiej stronie Browarnej.

Czajnik pstryknął, woda przestała bulgotać. Nalałem do kubka tyle, że ledwie mogłem go podnieść. O wsypaniu cukru nie było mowy.

– Hej – usłyszałem niski głos studentki poznanej na schodach. Mogła mieć góra dwadzieścia kilka lat. Uroda króliczka Playboya, wysokie odsłonięte czoło i proste włosy sięgające ramion. Szczupła sylwetka. Ale mój wzrok najbardziej przyciągnęły bose, pięknie opalone, smukłe stopy i pomalowane na czerwono paznokcie. Umiała przyciągać uwagę. – Masz chwilkę?

Kiwnąłem głową, a ona weszła do wąskiego pomieszczenia.

– Wiesz, cieszę się, że mogę z tobą pracować. – Wsadziła dłonie w tylne kieszenie dżinsów.

Podniosłem brwi i uśmiechnąłem się. Chciałem nawet coś powiedzieć i wyprowadzić ją z błędu, ale zalała mnie falą słów.

– Od dawna czytam wszystkie twoje teksty, znam je doskonale. Masz strzelbę w dłoni, a nie pióro. – Uśmiechnęła się, w jej oczach pojawił się błysk. – I powiem ci, że na ostatnim semestrze przerabialiśmy twoje teksty. Ale dosłownie wszystkie, te reporterskie, wiesz. I nawet mój profesor, no ten Rychliwiecki od mediów, na pewno go znasz, mówił, że w regionie nie ma lepszego reportera. Znasz go, tak? Bo on dziwił się nawet, że nie pojechałeś szukać szczęścia do Warszawy. W sumie ja też się dziwię, przecież mogłeś zrobić karierę. To znaczy wciąż możesz pewnie, gdybyś chciał. To znaczy na pewno już zrobiłeś, ale tu lokalnie, ale tak wiesz, mógłbyś szerzej...

Słuchałem jej jednym uchem. Miała w sobie coś sympatycznego, spontanicznego i radosnego zarazem. Nagle wydała mi się do kogoś podobna. Kogoś, kogo musiałem znać. Nie dawało mi to spokoju. Te rysy twarzy.

– Przepraszam – przerwałem jej. – Przypomnij mi, jak się nazywasz, bo mam wrażenie, że...

Przedstawiła mi się na schodach, ale nie zapamiętałem. A może znałem ją z czasów, kiedy zaliczałem panienki jak kolejne piwa w weekendowym rejsie po toruńskich pubach?

– Myślisz, że się znamy? – Poprawiła włosy i znowu odsłoniła równe, lśniące zęby.

– No, tak jakby – wydusiłem i upiłem gorzkiej kawy. – Więc jak?

– Aldona Terlecka – wypowiedziała swoje nazwisko wyraźnie jak radiowy spiker, a potem wyciągnęła smukłą, wypięlegnowaną dłoń. – Teraz zapamiętasz?

Uścisnąłem ją powtórnie.

– Proszę, proszę. Córka króla stali? – Tym razem to ja się uśmiechnąłem, bo podobieństwo do jednego z najbogatszych torunian zrobiło się jakby wyraźniejsze.

Pokiwała głową.

– Już rozumiem. – Nie przestawałem się uśmiechać.

– Co takiego? – Po jej twarzy przemknął cień niepokoju.

– Nic, nic...

– Wiem, co myślisz – zaczęła. – Ale to nie tak. Nie biorę od niego pieniędzy.

– Taaa, jasne. Nawet się nie spostrzeżesz, jak ojciec kupi ci tego szmatławca i zajmiesz miejsce Majki. Przypomnę ci to wtedy, okej?

– Ojciec od dawna nie kupuje mi zabawek.

– Ho, ho – zaśmiałem się i zrobiłem duże oczy. Tak, zachowywałem się jak pajac.

– Nie wierzysz?

No, jakoś nie wierzyłem.

– Przecież mogłabym siedzieć u niego jako prezeska jednej z wielu jego spółek. I kasa lepsza, i kłopotów mniej. Ale mnie to nie bierze. – Aldona minęła się z Rakiem w przejściu, ale nie odeszła. – I jeszcze jedno. Ten tekst o moim ojcu też był niezły.

Dziewczyna zniknęła z mojego pola widzenia, ale dostrzegłem, że Rak odprowadza ją wzrokiem do samego biurka. Być może próbował ją nawet w drodze rozebrać. Bose stopy też zrobiły na nim wrażenie.

Przełknąłem ślinę.

– Ona tak zawsze?

– Co zawsze? – spytał.

– No, z tymi stopami.

– Aaa, o to chodzi... – Rak mrugnął okiem. – Czad, nie?

Tak, czad. W końcu na robieniu wrażenia Rak znał się tak samo dobrze. Dzisiaj na przykład nałożył żółte trampki, niebieskie džinsy z wywiniętymi nogawkami i fioletowy sweter z dekoltem typu serek. A na szyi miał coś, co nazwałbym chomątem – taki niby modny szalik.

– Ale już zdążyłeś ją do siebie zrazić – dodał.

– Bardzo śmieszne. Od kiedy tu jest?

– Od piątku.

– Czemu mi nie powiedziałeś? – warknąłem. – Przecież to córka Terleckiego!

– Myślałem, że po nazwisku sam załapiesz – zaśmiał się. – Ale grunt, że twój tekst jej się podobał. Zjechałeś gościa jak burą sukę, groził ci sądem, do redakcji wysłał stado prawników, a ona, proszę, jeszcze cię chwali.

– Twarda sztuka.

– Kto? Terlecki? – spytał Rak.

– Nie. Ona, idioto!

– Też racja.

– Ale dość gadania. Odstaw kawę, jedziemy do pożaru.

– Dokąd? – Pociągnąłem kolejny łyk.

– Z kim nie spytasz?

Oplułem się kawą i raz jeszcze zrobiłem duże oczy.

– Z nią? – wyszeptalem z niedowierzaniem. – Chyba cię pogięło.

– Decyzja Dymajki. – Rozłożył ręce. – Masz gładko wprowadzić koleżankę do zawodu. Tak się gapiłeś na jej gołe stopy, że chyba pójdzie ci to łatwo, co?

Ogromna październikowa chmura przypuszczała szturm na miasto. W miarę jak schodziła niżej, Toruniowi zwyczajnie brakowało tlenu. Miasto z minuty na minutę stawało się coraz bardziej szare, ponure i duszne.

Rak prowadził. W milczeniu minęliśmy rozkopane centrum, przebijaliśmy się przez sznur samochodów kierujących się na jedyny most przez Wisłę, a później gnaliśmy na zachód w stronę wylotówki na Bydgoszcz, jakbyśmy zamierzali brać udział w akcji gaśniczej.

– Rozejm, Terlecka – rzuciłem i przekrzywiłem głowę w stronę tylnego siedzenia. Nawet uśmiechnąłem się krzywo. – Ten temat jest twój, ja się tylko przyglądam.

Siedziała spięta, z torebką na kolanach. Klasyczny żółtodziób na pierwszej akcji. Wiedziałem, że będzie mnie potrzebowała. To miał być jej tekst, ja jechałem jedynie dla własnej rozrywki.

– Okej, rozejm – wydusiła z siebie. – Ale za karę musisz mi trochę pomóc. Podpowiedzieć, co mam tam robić. No wiesz, żeby zebrać dobry materiał. Bo ja pierwszy raz na taką akcję jadę, rozumiesz? Wcześniej już pisałam różne teksty do gazety studenckiej, ale o pożarze, takiego interwencyjnego, to jeszcze nigdy.

Rak spojrzął dyskretnie w moją stronę. Kątem oka widziałem, że się uśmiecha.

– Intuicja. Zaufaj jej – powiedziałem z powagą wykładowcy uniwersyteckiego.

Zacząła coś mówić, ale przyłożyłem palec do ust.

– Ciiiiii, żadnych słów. Tylko intuicja – wyszeptalem. – Słuchać, nie gadać. Pamiętaj o tym.

Przygryzła dolną wargę. Lekcja pierwsza zakończona.

Sam kiedyś zaczynałem podobnie. Też byłem przejęty i wystraszony. Ale widocznie jaki początek kariery, taki też koniec. Bo to chyba był mój zawodowy koniec. Intensywnie myślałem nad tym, co teraz zrobić. Miałem 37 lat, znałem się tylko na tej robocie i nie widziałem siebie w

innej roli. Tak, znałem tę śpiewkę wszystkich pseudo-ekspertów od rynku pracy, którzy przy każdej okazji klepali o potrzebie zmiany, przestawiania się na nowe zawodowe tory, bo takie czasy. Znałem i rzygałem nią. Zwykle sranie w banie.

À propos tego ostatniego, smród przywołał mnie do rzeczywistości. Mijaliśmy właśnie niebieskie zabudowania oczyszczalni ścieków po lewej, a po prawej wielki stadion żużlowy – Motoarenę – wybudowany za ponad sto milionów tylko po to, by każdego roku odbywały się na nim imprezy, których łączny czas ledwie przekraczał dobę. Tymczasem koszty utrzymania tej budowli, chociaż wyglądała, jakby zabrakło pieniędzy na elewację, sięgały miliona złotych rocznie. Intuicja podpowiadała mi, że ta buda nigdy na siebie nie zarobi. Ode mnie pieniędzy nie dostawała, bo od urodzenia mam alergię na żużel.

Spojrzałem dyskretnie na Radka. Milczał. Z radia dolatywały niemrawe brzdęki kapeli, której muzycy musieli cierpieć na niestrawność. Czy tylko grał luzaka, czy ci młodzi naprawdę inaczej myślą? Może faktycznie są bardziej przystosowani i biorą życie jak leci. Byle do przodu.

Chwilę później wóz podskoczył lekko na poprzecznych nierównościach – pamiętacie po ptasiej grypie. To właśnie w Toruniu, w 2006 roku, odkryto pierwszy przypadek tej choroby w Polsce. Świat oszałał, więc nasz kraj też. Do miasta przyjechali wszyscy najważniejsi, łącznie z premierem Marcinkiewiczem. Sztab kryzysowy nie spał, nie jadł, nie pił, tylko myślał. Nic dziwnego, że do walki z ptakami i ich chorobą podeszliśmy jak do dżumy. Kiedy jeden z łabędzi padł na tę chorobę wybito całe ich stado, które kręciło się w pobliżu Bulwaru Filadelfijskiego nad Wisłą. Potem najmądrzejszy z mądrych wymyślił, że trzeba chronić świat przed wirusem i zastosować specjalne śluzę dla pojazdów wyjeżdżających z miasta, bo to właśnie na oponach mogły znajdować się ptasie odchody i roznosić w ten sposób zarazę po całym kraju. Życiowa praktyka podpowiadała, że częściej obrane przez ptaki bywały karoserie niż opony, ale w chwilach zagrożenia dla ludzkości liczy się nie praktyka, tylko przepisy. W rzeczywistości śluzami nazywano dwie szmaty nasączone specyfikiem, który miał neutralizować roznoszenie choróbska. Ułożono je poprzecznie do drogi w wyciętych w asfalcie szczelinach. Ptasia grypa zniknęła, szczeliny niezupełnie.

Miasto od dawna ma szczęście do bezpłatnej promocji. I to na wielu polach. Sunęliśmy właśnie wprost na najszybciej budowany kościół w Polsce – dumę ojca dyrektora. Wielka kopuła w formie zamkniętej korony wystawała nad ścianą lasu. Można by pomyśleć, że szeroka arteria wybudowana została właśnie po to, by zmotoryzowanych grzeszników prowadzić jak po sznurku do świątyni. Na szczęście droga przed lasem uciekała w prawo. Wyjechaliśmy z miasta i po niespełna kilometrze dotarliśmy do skrzyżowania przy supermarkecie i Ośrodku Doradztwa Rolniczego. Skręciliśmy w lewo. Teren przy smętym, obitym żółtą blachą biurowcu wyglądał na opuszczony. Naprzeciwko niego, za kępą drzew, dumnie prezentowały się morelowe zabudowania odnowionego folwarku, w których od dawna zadomowiła się Caritas, organizując tam bursę szkolną i ośrodek szkoleń.

Toczyliśmy się wolno, droga lekko opadała w kierunku hotelu Daglezja. Dalej dostrzegłem stary dom, kostkę z lat siedemdziesiątych, a obok ogrodu strażackiego pick -upa, zieloną octavię i kilku mundurowych. Na gruntowej drodze obsypanej pożółkłymi liśćmi samochodem mocno zabujało. Minęliśmy już wjazd na hotelowy parking, a z drugiej strony – domki jednorodzinne. Zjechaliśmy jeszcze niżej, przejeżdżając obok wysokich drzew i sięgających do pasa ruin folwarcznego muru.

Radek zatrzymał wóz kilka centymetrów przed zderzakiem zielonej octavii należącej do toruńskich kryminalnych. Wyskoczył, zabrał plecak z aparatem i zniknął.

Przed nami rozpościerała się wielka wolna przestrzeń domknięta przez ledwie dostrzegalny w oddali wał przeciwpowodziowy. Byłby to piękny widok, gdyby nie ten dom.

Czarne jęzory sady lizały cementową elewację nad tonącymi w czerni oknami parteru i piętra. We framugach złowrogo sterczały ostre fragmenty szyb, ich resztki rozprysły się na betonowym chodniku wokół domu. Gdzieniedzie poodpadał tynk, odsłaniając czerwone cegły.

– Co teraz? – spytała Aldona, ale zignorowałem ją.

Miejsce pożaru ogrodzono policyjną taśmą. Po ganku, do którego prowadziło kilka stopni,

kręcili się ludzie w cywilnych ubraniach. Dwóch strażaków wpatrywało się w ścianę domu, stojąc po pas w chaszczach zaniedbanego ogrodu. Jeden z nich wypełniał papiery, drugi wyraźnie wskazywał coś palcem.

Zmieniłem zdanie i postanowiłem zabrać się do roboty, to było silniejsze ode mnie. Sięgnąłem po niewielki kołonotatnik, rozpisałem długopis, robiąc kilka mazów, a potem zapisałem na górze strony słowo „pożar” wraz z dzisiejszą datą i odwróciłem się do stażystki.

– Patrz i ucz się.

Ruszyliśmy w stronę spalonego domu, ona kilka metrów za mną. Październikowy wiatr zamiast babiego lata niósł ostry zapach spalenizny.

Nie rozpoznałem funkcjonariusza, który dostrzegł mnie i szedł teraz w moją stronę. Obaj zbliżaliśmy się do furtki. Kiedy tylko stanąłem przy uchylonej bramie, młody policjant z okularami na nosie, w typie szkolnego lizusa, pokazał ręką, żebym nie wchodził.

– Z gazety? – spytał i zerknął przez moje ramię na Aldonę.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– To do rzecznika – rzucił.

Uścisnąłem mu rękę i przeszedłem na „ty”.

– Jedziemy na tym samym wózku – zacząłem. – Ty nie możesz mi nic powiedzieć, a ja nie mogę cię zacytować. Ale na szczęście jest rzecznik. Zgadza się?

Potwierdził.

– I pewnie powinienem do niego zadzwonić.

Znowu potwierdził, ale przekręcił głowę jak pies, który coś wyczuł.

– I on wszystko mi powie, tak? – kontynuowałem.

– Tak.

– Ale żeby mógł mi cokolwiek powiedzieć, to najpierw ty musisz mu wszystko zrelacjonować, prawda?

– No tak.

Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer do rzecznika, a kiedy usłyszałem wolny sygnał, przekazałem słuchawkę policjantowi stojącemu przede mną.

– Zaczynamy. – Uśmiechnąłem się.

Zdębiał. Wziął do ręki aparat i meldował. A ja wszystko dokładnie spisywałem. Kiedy skończył, podziękowałem mu i poprosiłem, by pozdrowił swojego szefa, a mojego kolegę, Jacka Jankowskiego.

– Dobrze go znasz? – Podrapał się w ucho.

– Wystarczająco. – Wręczyłem mu swoją wizytówkę. – Gdybyś kiedyś czegoś potrzebował, chciał coś nagłośnić, to chętnie pomogę.

Zapewniłem, że nie będę go cytował w gazecie, i opowiedziałem kilka barwnych historyjek z Jackiem Jankowskim w roli głównej. Zasługiwał na to, bo dzięki niemu szybciej niż inni dziennikarze dowiedziałem się, że w budynku spłonął mężczyzna, a prawdopodobną przyczyną pożaru mogło być nieostrożne obchodzenie się z ogniem – cokolwiek miało to znaczyć. Nie umiał tego wyjaśnić, a ja nie drążyłem.

Aldona cały czas przysłuchiwała się rozmowie i robiła własne notatki.

Tak, prokurator już był. Tak, ciało przewieziono do szpitala miejskiego. Nie, nie wiadomo, kiedy będzie sekcja. O tym zdecyduje lekarz sądowy.

Potem dołączył do nas strażak, stanął obok z rękami w kieszeniach kurtki z odblaskami. Sam z siebie rzucił tylko półgębkiem, że ogień gasiło pięć jednostek. Tak, dalej prowadzone są działania. Oczywiście, biegły dokonał oględzin. Nie wiem, kiedy będą wyniki, bo to nie moja działka. Więcej wie rzecznik, pan zadzwoni, to się dowie.

Podziękowałem i pożegnałem obu. Poszedłem wzdłuż płotu do rogu działki. Stał tam blaszany garaż. Aldona szła za mną, pisała coś w notatniku. Przez uchylone skrzydło drzwi garażowych zauważyłem technika kryminalistyki, który w lateksowych rękawiczkach lustrował wnętrze.

Raz jeszcze spojrzałem na dom. Z tej perspektywy za tło służył szpaler drzew bogatych w

brązowe liście, który szczelnie odgradzał budynek od hotelu i siedziby Caritasu. Zastanowiło mnie, kto i kiedy wezwał pomoc, wróciłem więc do funkcjonariuszy, którzy stali jeszcze przy bramie, i zadałem im to pytanie.

– To trzeba z dyżurnym rozmawiać. Pod sto dwanaście – stwierdził strażak.

– Z Torunia? – Wolałem się upewnić.

– Nie, z Chełmży.

Przyjąłem do wiadomości. Rozejrzałem się za Radkiem, ale nie namierzyłem go. Może szukał dobrego ujęcia gdzieś za domem.

– Zostań w wozie, zimno jest – rzuciłem do dziewczyny, a ona posłusznie wykonała moje polecenie. Nigdy nie będzie dobrą dziennikarką.

Postanowiłem wykorzystać nieobecność kolegi i przeszedłem się do pobliskich domów. W pierwszym nie było nikogo. W bliźniaku natomiast drzwi otworzyła dziewczynka z czarną jak smoła kręconą czupryną i stwierdziła, że rodziców nie ma. Miałem zamiar podejść do drugiej furtki, ale wtedy zauważyłem, że w moją stronę zbliża się starsza kobieta z chustką na głowie i w czarnym płaszczu. Taszczyła dwie pękate reklamówki zakupów.

– Pan do kogo? – Zasapana podeszła do bramki i postawiła przy niej pakunki.

– Marek Bener, „Gazeta Miejska”. Chciałem się dowiedzieć czegoś o tym wypadku.

Kobieta wyprostowała się. Sięgnęła po klucze i uchyliła furtkę, ale nie ruszyła się z miejsca.

– To tragedia, panie. – Pokiwała głową. Jej twarz składała się głównie ze zmarszczek.

– Znała pani ofiarę?

– Nie znałam za dobrze. Od czasu do czasu się sobie ukłoniliśmy, gdy mijaliśmy się na drodze. On w samochodzie, ja piechotą. Lepiej znałam jego żonę.

– A kiedy to się stało?

– Obudziło mnie wycie syren. Było coś koło trzeciej w nocy.

– I co pani widziała?

– No, panie, ogień prawie do nieba. – Przetarła dłonią czoło. – Dom płonął jak pochodnia, gorąco było aż tutaj. Dalej nas nie wpuszczali.

– Nas?

– No bo z sąsiadami tu staliśmy, zeszło się też kilka osób z hotelu. – Zatoczyła ręką.

– A długo gasili ten pożar? – dopytałem, notując uzyskane informacje.

– Do rana, panie. Ogień buchał jak szalony, nie mogli sobie z tym poradzić. Kiedy ugasili pożar, wróciłam do domu, może pospałam godzinkę w fotelu, a kiedy robiłam wnuczce śniadanie, widziałam, jak jechał karawan. Przeżegnałam się. Cały czas myślałam, że dom stał pusty.

– Zaraz. To nikt tam nie mieszkał? – zdziwiłem się.

– Panie, oni remontowali ten dom, bo on go dostał w spadku po jakimś krewnym.

Zastanawiali się, czy nie zburzyć i nie wybudować nowego, ale może kredytu nie dostali, czy co, więc remont zaczęli. I on tu przyjeżdżał z żoną. Krzątali się, wynosili jakieś graty z piwnicy.

– A skąd pani to wie?

– No bo ja w tamtą stronę na spacerzy z psem chodzę, no więc jak ich widziałam, to zagadałam tak grzecznościowo przez płot, rozumie pan?

Pokiwałem głową.

– Tragedia, tragedia. – Otarła łzę z pomarszczonego policzka.

– A nazwisko? – spytałem.

– Gertruda Sendlak, z domu Jątrzyk.

Musiałem powstrzymać uśmiech.

– Pytałem o ofiarę.

– A tak, naturalnie. – Przyłożyła rękę do policzka i wbiła wzrok w ziemię.

– Pamięta pani? – spytałem po dłuższej chwili.

Najpierw wzruszyła ramionami.

– Ten jego krewny, no ten, który tu kiedyś mieszkał i zapisał mu dom, to był Zdzisław Mrozik – odparła. – Ale jak nazywał się ten młody, to nie wiem. To znaczy wiedziałam, ale nie pamiętam. Jakies takie krótkie nazwisko. Coś na „C”, chyba.

Podziękowałem jej i skierowałem się w stronę parkingu Daglezji. Z tej perspektywy widziałem dachy kilku samochodów stojących na parkingu. Odwróciłem się w stronę spalonego domu, ale przez niewielki sad na pierwszym planie, pełen niskopiennych drzewek, które częściowo zgubiły liście, i przez stare drzewa rosnące kawałek dalej niewiele mogłem dostrzec. Odwróciłem się więc i zerknąłem na hotel. Czy z okien pokoi wychodzących na tę stronę widok był lepszy? Miałem wątpliwości.

Ktoś wyszedł z budynku i rozmawiał przez telefon. Przypomniało mi to o nieodczytanym do tej pory SMS-ie. Sięgnąłem po swoją komórkę.

Skoczyło mi tętno. Przed oczami śmigaly obrazy z przeszłości. Tej, z której chciałem się wyzwolić raz na zawsze. Myślałem nawet, że mi się udało. Przynajmniej do chwili, gdy odczytałem tych kilka słów.

Muszę się z Tobą zobaczyć. Proszę. Nika

Stałem jak zamurowany. Minęło dziesięć lat, od kiedy ostatni raz widziałem Weronikę Holtz. Mieszkaliśmy w tym samym mieście, ale los był na tyle łaskawy, że nasze drogi się nie krzyżowały.

Aż do dziś.

Nie wiedziałem, czy po tym wszystkim, co się stało, miałem ochotę na odnawianie znajomości, a jednocześnie ciekawość nie dawała mi spokoju. Czego Nika może chcieć po tylu latach? Skąd ma mój numer i dlaczego nie zadzwoniła, tylko wysłała wiadomość? Mój świętej pamięci dziadek mówił, że jako dzieciak wszystko robiłem na „jebał pies”. Za szybko, bez pomyślunku. Miał rację, a co gorsza, teraz też mi to groziło. Schowałem więc telefon, żeby nie dać się porwać emocjom. Będzie chciała, to zadzwoni, albo napisze jeszcze raz.

Idąc do samochodu, nie mogłem jednak pozbyć się natrętnych myśli.

Czego ode mnie chcesz, Nika?

– Mam! Będą zajebiste! Pokażę ci w redakcji. – Radek był podniecony jak harcerz na nocnych podchodach. Wyprzedzaliśmy właśnie tira z brudną granatową plandeką. Aldona została w Przysieku, miała przepytac pozostałych sąsiadów albo zrobić sondę na jakikolwiek gówniany temat.

– Ale gdzie je dokładnie widziałeś? – spytałem, żeby zająć czymś myśli.

– Kiedy robiłem foty tej spalonej budzie, obejrzałem się za siebie i od razu byłem w szoku. Oczywiście musiałem tam pójść.

– Czyli gdzie?

– Pamiętasz te resztki muru? Takie ruinki, jak dojeżdżaliśmy?

Kiwnąłem głową. Patrzyłem przez przednią szybę na wielkie puste tereny rozciągające się po lewej stronie od Castoramy aż po Motoarenę. Kiedyś stał tam Polchem, po którym pozostała tylko część szarego, gdzieniegdzie pobazgranego muru. Mury mają lepiej, one wszystko przetrwają. Tak, wzruszyła mnie głębia tej myśli.

– No więc była tam taka droga w bok. Prowadziła do parku znajdującego się na zapleczu Caritasu. I tam znalazłem te cuda.

– Rozwalająca się szopa i jakiś mały schowek na ziemniaki. To są te twoje cuda?

– Poczekaj, aż zobaczysz je na ekranie. Znakomity plan do horroru – stwierdził z uśmiechem.

Ruch na drodze był coraz większy. Radek skręcił w stronę Bydgoskiego Przedmieścia, żeby uniknąć zakorkowanego centrum. Przejeżdżaliśmy wzdłuż granicy starego Parku Miejskiego z martwą Wisłą w dole i przerzuconym nad nią drewnianym mostkiem. Moje myśli znowu odleciały do Weroniki. Spędzaliśmy tu sporo godzin, które nasi znajomi odliczali na lekcjach w 5 LO. Właśnie na tym mostku pierwszy raz ją pocałowałem. Staliśmy wtuleni w siebie w pierwszych promieniach marcowego słońca. Odgarnąłem jej splątane przez wiatr długie włosy, a potem zbliżyłem twarz. Nasze zimne nosy zetknęły się. Zaśmialiśmy się, a potem oboje prawie równocześnie zamknęliśmy powieki. Pocałowałem ją. I byłem pewien, że od teraz świat należy do mnie.

Samochód terkotał na kocich łbach, wyrzucając mi z głowy tamte obrazy.

Wyjąłem telefon i raz jeszcze odczytałem wiadomość. A może to pomyłka? Zwykle,

śmieszna pomyłka ze zbieżnością imion? Mogłem zadzwonić do tej Niki, wyjaśnić wszystko, ale stchórzyłem.

Poprosiłem Radka, by ściszył radio. Wybrałem numer. Ale do teściowej. Odczekałem kilka sygnałów i rozłączyłem się. Dziwne. Zazwyczaj szybko odbierała.

– Słuchaj... – zaczął nieśmiało Rak, gdy wreszcie wjechaliśmy na gładki asfalt ulicy prowadzącej w dół do Urzędu Stanu Cywilnego, a w lewo na starówkę. – Czy zostałeś dłużej w Berlinie, bo... trafiłeś w końcu na jakiś ślad Agaty?

Nie mogłem się dziwić pytaniom znajomych, którzy wiedzieli, gdzie i po co jadę. A jednak bolało, kiedy je słyszałem. Właściwie bolała mnie własna niemoc i bezsilność. Zżerał mnie strach. Wracały ze zdwojoną mocą wszystkie koszmary i choć próbowałem je oswajać, lęk znów ciasno zaciskał się na żołądku.

– Jeśli nie chcesz o tym mówić, to nie mów. Spoko, luz. – Przejechaliśmy obok nowego pięciogwiazdkowego hotelu, który wdziękiem przypominał górę lodową ukrytą w gęstej mgle. Potem stanęliśmy pod mostem w krótkiej kolejce do skrzyżowania. Ze zjazdu płynęły ciurkiem auta. Przemieszczaliśmy się powoli.

– Nie wiem, co ci mam powiedzieć. – Nerwowo obracałem obrączkę.

Spojrzałem w prawo na czarne wody Wisły, które sunęły w przeciwnym kierunku niż gęste chmury.

– Wszystko się wyjaśni, stary. Kiedyś na pewno. – Powiedział to, jakby znał wszystkie tajemnice świata. I z mocnym przekonaniem, którego we mnie było coraz mniej.

W redakcji znowu bezskutecznie próbowałem dodzwonić się do teściowej. Zajrzałem do netu, przejrzałem zaległą pocztę. Spośród megabajtów śmieci i ofert zakupów grupowych, z których chyba nigdy nie skorzystałem, jedna informacja była warta rozważenia. Raymond zachęcał mnie do powiększenia penisa. Podobno w miesiąc zyskał aż trzy centymetry. Kto wie, na bezrobociu coś trzeba robić, a jeśli miałbym zostać żigolakiem, to za wszelką cenę powinienem zachować adres Raymonda.

Radek w skupieniu obrabiał zdjęcia na swoim komputerze, a ja napisałem kilka króciaków, które miały pozapychać różne miejsca na paskach jutrzejszego wydania, potem zaś zabrałem się za tekst o pożarze. Zadzwoniłem do dyżurnego policjanta w komendzie w Chełmży i dowiedziałem się, że informację otrzymali w nocy o godzinie 2:53 od pracownicy hotelu. Kiedy pierwszy wóz straży dotarł na miejsce, dom stał cały w ogniu. Potem pojawiły się kolejne. Gaszenie pożaru w sumie zajęło kilka godzin. Po zakończeniu akcji okazało się, że wewnątrz znajdowało się ciało mężczyzny, zapewne właściciela domu, lat trzydzieści siedem. O nazwisko nie pytałem, bo i tak niczego bym się nie dowiedział. Ochrona danych osobowych.

Skleciłem tytuł oraz główkę tekstu. W międzyczasie Radek pokazał mi zdjęcia, z których wybrałem dwa i dołączyłem do artykułu. Dorzuciłem jeszcze kilka informacji i przeczytałem całość. Niestety nie kleiła się. Stażystka, która tymczasem wróciła do redakcji, też niczego ciekawego do tej sprawy nie wniosła.

Wykręciłem numer do człowieka, który przez lata był przyjacielem moich rodziców. Kiedyś mówiłem do niego „wujku”, ale ładnych parę lat temu przeszliśmy na „ty”. Wymiana uprzejmości trwała krótko. Oczywiście nie obyło się bez pytania o Berlin i Agatę, z którego zρέcznie wybrnąłem, że to opowieść na dłuższe spotkanie. I pewnie tak było.

– To kiedy się widzimy? – spytał Ryszard Chojnicki, prezes spółdzielni mieszkaniowej na Rubinkowie, jednej z największych sypialni Torunia, a jednocześnie człowiek o ambicjach politycznych, które częściowo zrealizował, będąc prezydentem miasta do 2002 roku. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc podejrzewałem, że Chojnicki szykuje się do ponownego skoku na najwygodniejszy fotel w Pentagonie, jak nazywano tutejszy urząd miasta.

– Gdy tylko obrobię się z robotą. Może w przyszłym tygodniu – stwierdziłem.

– Nie żartuj. Musimy się spotkać, bo mam dla ciebie megabombę – powiedział konspiracyjnym tonem.

– No to dawaj.

– To nie jest rozmowa na telefon.

– Okej, odezwę się, ale najpierw musisz mi pomóc. – Podrapałem się końcówką długopisu po głowie.

– Wal śmiało. Do mnie jak do ojca – zaśmiał się.

Popatrzyłem na zdjęcie spalonego domu na ekranie, oblane moim tekstem. Dokładnie tak będzie to wyglądało w jutrzejszej gazecie.

– Znasz kogoś od sekcji zwłok w szpitalu miejskim?

– Po cholere ci to? Stało się coś?

– Muszę się czegoś dowiedzieć o ofierze nocnego pożaru w Przysieku.

Chojnicki odkaslnął. Po chwili odezwał się znowu.

– Właściwie to nie. Moje kontakty już dawno wygasły.

– Okej, trudno. W każdym razie dzięki.

– No, ale przecież znasz Raszeję, szefową prosektorium.

Znałem, ale szukałem kogoś innego. No cóż, doktor Raszeja jest, hmm, specyficzna.

Niepospolita. To chyba lepsze określenie.

– Znam, znam – westchnąłem. – Trzymaj się.

– Marek, poczekaj. Musimy się zobaczyć, mówię serio.

– Dziś nie dam już rady, dzwoniemy się jutro.

– Dobra, zadzwonię. To będzie bomba, uwierz mi.

Tak, bomba. Prędej przemoknięty kapiszon, jak mówił prezes PiS o przejściu Borusewicza do PO, pomyślałem. Wszystkie bomby Chojnickiego siłą rażenia mogły się równać wzdęciom muszki owocówki. Stary mitoman.

– A, i jeszcze jedno – odezwał się. – Czy Paulina kontaktowała się z tobą ostatnio? Wiesz może, co u niej słychać?

Zaskoczyło mnie to, ale zaprzeczyłem.

– No, bo za chwilę będę miał u siebie wolny etat, to pomyślałem, że może byłaby zainteresowana. W końcu kiedyś pracowała u mnie – dodał.

– Czemu mnie pytasz? Sam do niej zadzwoń.

– Będę musiał. To do jutra. – Chojnicki rozłączył się.

– Do jutra – powiedziałem już sam do siebie.

Dokończyłem materiał o pożarze, ale wciąż czegoś w nim brakowało. Zadzwoniłem nawet do gburowatego wójta gminy i zapytałem o sytuację rodziny, która straciła dom. Sąsiadka ofiary mówiła mi o tym, że chałupa była remontowana i nikt tam nie nocował, ale wolałem mieć pewność. Wójt potwierdził słowa staruszki. Dodał, że małżeństwo nie miało dzieci, ale mimo to zaproponował wdowie lokal zastępczy. Odmówiła, bo miała mieszkanie w Toruniu. Na prośbę o podanie nazwiska ofiary wyśmiał mnie i dodał, żebym zapoznał się z ustawą o ochronie danych osobowych.

Dopisałem jeszcze dwa krótsze teksty, które umieściłem obok siebie na dwóch łamach pod czołówką o tragedii w Przysieku. Jeden dotyczył planowanej zabawy dla mieszkańców w związku z oddaniem do użytku nowego mostu. Miasto zaplanowało wydać około sześciuset tysięcy złotych na imprezę, co od razu nie spodobało się politycznym przeciwnikom i przedstawicielom skłóconych z magistratem organizacji pozarządowych. Zadzwoniłem nawet do koleżanki, Joanny Wawrzyniec, prezeski fundacji Biała Plama, zajmującej się biednymi dziećmi ze starówki, która nie przebierała w słowach, krytykując miejski pomysł. Most – kosztowna zabawa – głodne dzieci. Taki kontrast bije w oczy. Zastanawiałem się nawet, czy nie umieścić tego na czołówce strony, ale ostatecznie dorobiłem tylko krótką zajawkę, którą Majka mogła wykorzystać na pierwszej stronie. Drugi tekst mówił o postępach prac na budowie nowej linii tramwajowej do miasteczka uniwersyteckiego.

Wydrukowałem gotową stronę i powiesiłem pod odpowiednim numerem na ścianie, która powoli zapełniała się kartkami przygotowanymi przez innych. Jutrzejsze wydanie było prawie gotowe. Brakowało stron ogłoszeniowych i sportu. Poczytałem pozostałe materiały, żeby zorientować się, co działo się w mieście, kiedy siedziałem w Berlinie. Niestety jutro z gazety będzie unosił się lekki smrodek przeterminowanych wieści. Zaczynałem rozumieć prezesa.

Kilka dodatkowych króciaków wysłałem mailem naczelnej z nadzieją, że gdzieś je

poupycha, i chciałem zabrać się do lektury zaległych gazet. Przeglądałem pobieżnie, rzucając okiem na ważniejsze teksty. Wiadomości sportowe zalewała żółć po ucieczce żużlowców Unibaksu z parku maszyn w Zielonej Górze tuż przed finałem ligi. Śmiała się z nas cała Polska, ale jaki sport, takie emocje. Z kolei „Newsweek” chciał wysłać w kosmos Antoniego Macierewicza, a w lokalnej prasie LOT żądał kilku baniek na obsługę przewozów z Bydgoszczy do Warszawy i straszyl wstrzymaniem kursów.

Przełożyłem kartkę. Zaskoczyło mnie zdjęcie prezesa Stanisława Rudnika, mojego pracodawcy. Odbierał z rąk prezydenta jakąś nagrodę. Nie lubili się, ale na fotografii uśmiechali się i ściskali sobie dłonie jak starzy przyjaciele. Zdjęcie było śmieszne, bo prezydent był od Rudnika ze dwa razy wyższy. Przeleciałem wzrokiem krótki tekst, co rusz wybuchając śmiechem. „Szlachetność to konkurencyjna przewaga”, „najważniejsze w biznesie są wartości”, „biznes to ludzie, bez nich nawet najwyższa góra pieniędzy to jedynie sterta papieru”. Filozof się znalazł. Dopisano także coś o jego działalności charytatywnej i wspieraniu budowy hospicjum dla dzieci w jego rodzinnym Włocławku.

Wyrzuciłem gazetę do śmieci.

Wyłączyłem komputer, zarzuciłem na ramię plecak i wziąłem z wieszaka czarną skórzaną kurtkę. Byłem już na zewnątrz, kiedy coś mnie tknęło. Skoro nikt nie chciał podać nazwiska ofiary, to może chodziło o jakiegoś VIP-a?

Nie mogłem tego tak zostawić. Przedzwoiłem z komórki do toruńskich strażaków, bo policjanci z Chełmży i tak nie zdradziliby personaliów. Przełączono mnie do znajomego, który pełnił akurat dyżur.

– Cześć, Marek, kopę lat. Co u ciebie? – spytał.

Wyrzuciłem z siebie kilka wesołych zdań, zupełnie jakbym nie stracił dziś roboty, tylko dostał podwyżkę. Wszyscy jesteśmy aktorami.

– Potrzebuję informacji o ofierze pożaru w Przysieku – dodałem już poważnie.

– Ale nie wiesz tego ode mnie, dobra?

– No jasne, zresztą gazeta na jutro już zamknięta.

– To po co ci jego nazwisko?

– Kiedy zbieram materiały, ważna jest każda informacja. Co nie znaczy, że wszystkie wykorzystam. No chyba że dotyczyła jakiejś lokalnej szychy, wtedy dałbym ciała, gdyby zabrakło tego w tekście.

– Dobra, zaraz sprawdzę, ale na żadną szychę nie licz. Nie rozłączaj się.

Szedłem Browarną w stronę Baja Pomorskiego. Odgłosy moich kroków i wycie wiatru były jedynymi, które docierały do mnie z tej części starówki. Samochód jak zawsze zostawiłem na Woli Zamkowej, więc musiałem zejść po betonowych schodach do Stawu Komtura i przejść obok boiska ze sztuczną trawą, którego granice wyznaczał wysoki średniowieczny mur, zabudowania hotelu oraz skąpiana w pomarańczowej poświacie ocalała wieża latryny zamku krzyżackiego. Mury były podświetlone w ten sam sposób, ale plac do piłki nożnej tonął w ciemnościach. Na środku leżały porzucone rowery, dwóch chłopców strzelało sobie na zmianę karne.

– Już mam – odezwał się strażak. – Masz coś do pisania?

– Jasne – skłamałem, mrużąc oczy od wiatru. – Dawaj.

– Facet nazywał się Holtz. Wojciech Holtz.

Usiadłem w moim fordzie eskorcie z przełomu wieków i nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. SMS-a nie wysłano do mnie przez pomyłkę. Weronika zrobiła to, bo jej mąż, a mój

dawny przyjaciel, zginął w pożarze.

Jeszcze raz przeczytałem wiadomość.

Muszę się z Tobą zobaczyć. Proszę. Nika

Wybrałem jej numer. Odczekałem kilka chwil, a potem usłyszałem, że abonent jest chwilowo niedostępny.

Uruchomiłem silnik i odjechałem z parkingu, czując wzrastające podenerwowanie. W skroniach znowu narastał ból. Wiedziałem, że jeśli nie dostanę się zaraz do domu i nie łyknę kolejnej dawki prochów, głowa mi eksploduje. Dłonie miałem zimne, dreszcz rozchodził się falą z głębi klatki piersiowej. Powiniennem jechać prosto do domu, ale czułem, że nie mogę pozwolić teściowej tak długo czekać. Dobijała się do mnie, gdy byłem w Berlinie. Teraz musiałem znaleźć w sobie siłę, żeby wszystko spokojnie jej opowiedzieć. Po niemal czterech latach, w których zawsze mogłem na nią liczyć, zasługiwała na to bardziej niż ktokolwiek inny. Chciałem ją uprzedzić, że będę za kilka minut, ale jej telefon również nie odpowiadał. A może szlag trafił jakieś przekaźniki?

Przez całą drogę zbierałem myśli, ale ból dawał mi się we znaki, więc kiedy stanąłem przed pozłótkłymi drzwiami mieszkania przy Żwirki i Wigury, właściwie miałem w głowie pustkę.

Zapukałem. Zauważyłem ruch w wizjerze, a po chwili szczęknęły zamki. Kiedy drzwi lekko się uchyliły, chciałem wejść, ale zatrzymały mnie smutne, błyszczące oczy teściowej.

– Zostaw mnie w spokoju – oznajmiła, pochlipując.

Zadrzałem.

– Mogę wejść?

Nie ruszyła się i nie odchyliła drzwi nawet na centymetr. Spuściła tylko głowę.

– Marek, odejdz. Daj mi spokój.

– Ale o co chodzi?

Zamknęła mi drzwi przed nosem. Po chwili usłyszałem zza nich herezję, po której ze złości zaczęła mi drżeć szczęka.

– Myślałam, że ją kochasz.

Zwariowała! Zapukałem cicho, bo wiedziałem, że stoi tuż za drzwiami.

– Mamo, co ty wygadujesz? O co ci chodzi? – mówiłem do framugi, nieomal dotykając ustami starej farby.

– Zostaw mnie. Idź. Wracaj sobie do domu. – Zapłakała.

– Nie chcesz usłyszeć o Berlinie? – Nie wierzę, że to powiedziałem. Brzmiało jak zapowiedź telenoweli. Widzu, nie odchodź, po reklamach czymś cię zaskoczymy.

Cisza.

– Mamo...

– Gdybyś ją odnalazł, byłaby z tobą – stwierdziła, a potem powiedziała coś jeszcze, lecz nie usłyszałem, bo odeszła w głąb mieszkania.

Zastukałem ponownie, ale wiedziałem, że to na nic. Miała rację. Gdybym odnalazł Agatę, wyrwałbym ją stamtąd i przywiózł pod te drzwi, nawet gdybym cały świat miał przeciwko sobie.

Czułem się winny. W takich chwilach jak ta chciałbym zamknąć oczy i odnaleźć spokój, którego od blisko trzech lat tak bardzo mi brakowało. Zwyczajnie się poddać, żeby chociaż raz przestać odczuwać ten podskórny lęk, który tkwił we mnie jak obce ciało. Lęk, który coraz częściej przejmował stery nad moim życiem. Byłem tym już cholernie zmęczony.

Do domu jechałem na pamięć. Wiatr gwizdał głośno, gdy zjeżdżałem z wiaduktu w Skłodowskiej-Curie. Parę kropel deszczu spadło na przednią szybę. Powiniennem zajechać na stację, bo wskaźnik paliwa odważnie przekroczył rezerwę, ale miałem to gdzieś. Z głośników sączyły się dźwięki z Autsajdera. Pogłośniłem, gdy zaczęła się klimatyczna partia klawiszy w Obłudzie. Jednak myliłem się, sądząc, że ta muza zagłuszy moje myśli.

Dojechałem do Wschodniej, przed terenem budowy nowego mostu skręciłem w Kalinową. Zostawiłem wóz przy chodniku, nie miałem siły wjeżdżać do garażu. Inni sąsiedzi też tak robili.

Pomyślałem, że jedynym lekiem na całe zło może być trening. Mógłbym przecież zejść do piwnicy, założyć rękawice i jak dawniej poobijać wiszący tam worek. Od wielu lat trenowałem boks. Czasami jeździłem jeszcze na treningi Pomorzanki, ale ostatnio ze względu na brak czasu

boksowałem w domu. Mogłem też przebrać się i przebiec parę kółek po osiedlu.

Ruszyłem do furtki. Odsunąłem zasuwkę, otworzyłem bramkę i zrobiłem kilka kroków w kierunku drzwi. Olśniło mnie, że nie odebrałem kluczy od teściowej, która opiekowała się domem podczas mojej nieobecności. Nie wiem, w jakim celu złapałem za klamkę. Chyba tylko po to, żebym przekonał się do pilnego powrotu na Żwirki i Wigury.

Nacisnąłem ją, ale drzwi ku mojemu zaskoczeniu ustąpiły.

Poczułem lekką woń spalenizny dobiegającej z dymiących kominów w sąsiednich domach. Sezon na spalanie śmieci rozpoczął się.

Odszukałem ręką włącznik i nacisnąłem, światło załało przedpokój. Klucze wisiały na wieszaku obok mojego polaru i jakiegoś płaszcza, chyba teściowej. Zamknąłem za sobą drzwi. Cisza.

– Halo? – rzuciłem do zalanego mrokiem pokoju i odczekałem chwilę, nasłuchując.

Odetchnąłem. Widocznie matka Agaty z tego wszystkiego zapomniała i kluczy, i płaszcza.

Zwariowany dzień. Zdjąłem kurtkę i wszedłem do salonu, gdzie przez okna wpadała poświata ulicznych lamp.

– Dobrze, że już jesteś – usłyszałem cichy kobiecy głos i podskoczyłem ze strachu.

3

Dziesięć lat temu byłem najszcześliwszym człowiekiem na Ziemi. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Ale jak to ze szczęściem bywa, nie cieszyłem się nim długo.

Byliśmy młodzi, szaleni i wolni. Lato 2002 roku spędzaliśmy nad morzem, podróżując wzdłuż wybrzeża i bawiąc się na koncertach, spragnieni dobrych, rockowych brzmień i swoich ciał. Rok później wszystko się między nami popsuło.

Między całą czwórką.

Zapaliłem światło i spojrzałem na Weronikę Holtz po raz pierwszy od dziesięciu lat. Siedziała z podkurczonymi nogami na sofie. Wyglądała jak krucha, porcelanowa figurka. Mokre i czarne od makijażu strużki na policzkach znaczyły drogę łez. Teraz zamiast burzy kasztanowych loków na głowie miała fachowo potargane, krótkie blond włosy. Zmieniła się. Ale wciąż była piękną kobietą. Pociągnęła nosem, a potem otarła chusteczką duże oczy Angeliny Jolie. Przechyliła lekko głowę i dopiero wtedy zauważyłem, że z jej kształtnych uszu zwisają srebrne obręcze.

Stałem, nie wiedząc w zasadzie, co zrobić lub powiedzieć.

– Przykro mi – wyrwało mi się, chociaż obawiałem się, że wcale tak nie było. A może inaczej: było mi przykro tylko ze względu na nią.

– Jasne. Przecież go nienawidziłeś – rzuciła z pogardą, domyślając się moich uczuć.

Powiniennem zaprzeczyć, ale wyczułaby fałsz, więc jaki to miało sens? Zamiast tego z arsenału głupich pytań wybrałem to z samego dna. Przynajmniej w tej sytuacji.

– Jak się tu dostałaś?

Nie odpowiedziała od razu. Uniosła brodę w kierunku telefonu leżącego na niskiej, szklanej ławie.

– Wysłałam SMS-a, ale nie odpowiedziałeś. Potem padła mi komórka, więc przyjechałam.

– Skąd miałaś mój numer?

Zignorowała to pytanie i kontynuowała opowieść.

– Wpuściła mnie starsza pani. Myślałam, że to twoja sąsiadka, albo sprzątaczką. – Weronika przykryła nogi kocem i objęła je rękoma. – Najpierw chciała do ciebie zadzwonić, uprzedzić, że masz gościa, ale powstrzymałam ją. Zaparzyła mi herbaty. Porozmawiałyśmy chwilę, powiedziałam jej, co się stało. Opowiedziałam też o nas, że kiedyś byliśmy blisko. Ale chyba źle zrobiłam, bo

nagle stała się szorstka i zimna. Chciała mnie wyprosić, a kiedy się nie dałam, wyleciała stąd i trzasnęła drzwiami.

– To matka Agaty.

Dlatego tak się zachowywała, kiedy ją odwiedziłem.

– Teraz już wiem. – Skierowała wzrok na ścianę.

Z fotografii patrzyła na nas Agata, za nią, w niewielkim oddaleniu siedział lew. Nie wiem, jak przeżyła to spotkanie, ale już nie takie jej zdjęcia widziałem. To zrobiła sobie na wyprawie na afrykańską sawannę, podczas wschodu albo zachodu słońca. Nigdy nie mogłem zapamiętać, choć powtarzała mi to tysiąc razy. Wisiały tu też okładki kolorowych czasopism z wizerunkiem Agaty.

– Są do siebie podobne – dodała Nika.

Ale tylko fizycznie, pomyślałem, bo charakter z pewnością odziedziczyła po zmarłym niedawno ojcu.

Poszedłem do kuchni zrobić kawę, a tak naprawdę chciałem zyskać na czasie. Nie co dzień zastajesz swoją byłą we własnym domu. Kiedy wróciłem, nie czułem się mądrzejszy. Postawiłem gorące kubki, a sam usiadłem w fotelu naprzeciwko Niki. Ból nie dawał za wygraną. Oparłem głowę na oparciu fotela i zamknąłem oczy.

– Jak to się stało? – spytałem.

– Nie wiem, nie mam pojęcia – rzuciła nerwowo. – Boże! To jakiś koszmar. Nie wiem.

– Spokojnie. – Otworzyłem oczy. – Pojechał tam remontować dom?

– Skąd wiesz? – zdziwiła się.

– Od sąsiadki z bliźniaka.

– Powiedział, że pojedzie i popracuje. Przebąkiwał, że nawet się tam prześpi, jeśli miałoby mu zejść dłużej.

– Często tam jeździł? – Pociągnąłem łyk mocnej, słodkiej kawy.

– Od kilku tygodni.

– Nocował?

– Nigdy. To był pierwszy raz.

I ostatni, chciałem dopowiedzieć, ale w porę ugryzłem się w język. Nie, nikomu nie życzyłem śmierci, ale Wojtek niszczył więzi w mojej rodzinie z siłą tornada.

Westchnąłem.

– Co teraz zrobisz? – spytałem.

– A co można zrobić w takiej chwili? – odbiła piłeczkę. – Jeszcze to do mnie nie dociera.

Nachyliłem się i wyciągnąłem rękę w stronę jej ud, chciałem ją pogłaskać, jakoś pocieszyć. Ale nie odważyłem się, dłoń zawisła w połowie drogi. Ostatecznie chwyciłem kubek.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytałem.

Ukryła twarz w dłoniach, by stłumić szloch.

Kolejny punkt dla mnie. W konkurencji głupich pytań nie miałem sobie równych. Nie chciałem bić własnych rekordów, bo to w końcu żadna frajda, więc postanowiłem milczeć.

Kiedy przestała płakać, długo wpatrywała się w jakiś punkt na ścianie. Oboje siedzieliśmy nieruchomo.

– Przepraszam – odezwałem się.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – Zestawiła stopy na podłogę i sięgnęła po kubek.

Faktycznie, chyba zbyt długo jej się przyglądałem. Trudno oderwać oczy od kogoś, w kim kochałeś się przez tyle lat.

– Zmieniłaś się – powiedziałem. Wydawała mi się piękniejsza niż kiedykolwiek, a zmiana fryzury tylko podkreśliła jej rysy.

– A ty wcale. Włosów nie ściąłeś, chociaż nie jesteś już nastolatkiem w skórzanych spodniach – stwierdziła w ten sam sposób, w jaki dziesięć lat temu robiła mi wyrzuty.

– Nie jestem też prezesem banku ani celnikiem – palnąłem. Rozmowa szła w głupią stronę. Trzeba było wytyczyć nowy azymut. – Pomogę ci. Na początek odwiozę cię do domu. – Wstałem, żeby nałożyć buty i kurtkę.

Weronika siedziała nieruchomo. Powiedziała coś, ale byłem już w przedpokoju i jej nie

słyszałem.

– Co mówiłaś? – spytałem, zaglądając do salonu.

– Nie wrócę do tego mieszkania, Marek. Nie chcę być sama. – Spojrzała gdzieś daleko za okno. – Zostaję u ciebie.

4

Miałem może dziesięć, może jedenaście lat. Znowu goniłem nieznaną mi dziewczynkę przed kamienicą, z której płatami odpadał tynk i odsłaniał cegły. Śmialiśmy się, jak to dzieciaki w szalonej zabawie. Był ciepły wiosenny poranek. Kiedy biegła przede mną, lekki wiatr rozwiewał jej złote włosy rytmicznie opadające na fioletową sukienkę w kwiaty. Miała białe skarpetki i sandały. Udawałem, że ją gonię, a ona piszczała z radości. W końcu uciekła na wewnętrzne podwórze i zniknęła mi z oczu. Spojrzałem w tamtą stronę. Miejsce tonęło w szarej mgle. Poszedłem za nią, wdychając zapach wilgoci. Jej śmiech zmienił się i odbijał teraz złowrogim echem od starych murów. Stawiałem krok za krokiem na nierównych i spękanych płytach chodnikowych, a potem wydeptanej trawie. Z lewej straszyla złamana ławka, a urwane z zawiasu drzwi zasłaniały pogrążoną w ciemnościach klatkę schodową. Kilka gołębi gruchało na parapecie, ktoś nie zdążył przerzucić górki węgla do piwnicy.

Coś ciągnęło mnie na koniec podwórka. Wiedziałem, że stoi tam pordzewiały trzepak, którego w tej mgle nie mogłem dostrzec. Zawsze bałem się iść w tamtą stronę. Z każdym krokiem wzmagał się we mnie lęk. Cicho wołałem ją, prosząc, żeby do mnie przyszła. Szedłem ostrożnie, stawiając stopy, jakby ziemia pode mną mogła się nagle rozstąpić.

Kształty z każdym krokiem stawały się wyraźniejsze. Mgła odsłaniała je łaskawie. Podniosłem głowę i spojrzałem na dziewczynkę. Solidny sznur obwiązany wokół rury trzepaka utrzymywał kołyszące się ciało i zniknął za opuszczoną bezwładnie głową. Była już dorosła, chociaż ubrana dokładnie tak samo. Sukienka falowała w delikatnym podmuchu wiatru, odsłaniając jej kolana. Nie widziałem jej twarzy, bo przysłaniały ją proste złote włosy, ale wiedziałem, że to ona.

Szlochałem bezgłośnie. Chociaż wiedziałem, że jest już za późno, szukałem pomocy. Wzrok wędrował po oknach budynku. Na drugim piętrze stara kobieta patrzyła w moją stronę, opierając łokcie na poduszce. Pogroziła mi wykręconym od artretyzmu kościstym palcem, po czym zniknęła, zaciągając firankę.

Zazwyczaj w tym momencie mój koszmar się kończył. Ale nie dziś. Tym razem okno na parterze płonęło żywym ogniem. Płomienie przesłaniały czyjąś sylwetkę. Postać zbliżała się do szyby, nie zważając na nic.

Dopiero teraz ją poznałem.

Za płonąca firanką stał Wojciech Holtz.

Krzyknąłem z całych sił.

– Marek!

Odwróciłem się w stronę, z której dobiegał głos Niki. Ponieważ w sypialni było ciemno, dostrzegałem tylko zarys postaci stojącej w drzwiach. Odgarnąłem włosy.

– Co się stało? – Usiadłem i zdjąłem koszulkę. Była mokra, jakbym bez wirowania wyjął ją z pralki.

– Boże! Płakałeś i krzyczałeś tak głośno, jakby ktoś kroił cię żywcem.

– Która godzina? – Zmieniłem temat, by wrócić do rzeczywistości.

– Nie wiem. Nie mogłam zasnąć, a potem usłyszałam twój krzyk.

Minąłem ją i zszedłem do kuchni, żeby napić się wody. Włączyłem światło. Zerknąłem na ulubiony zegar Agaty, zawieszony na pałąku i stylizowany na stary dworcowy czasomierz z

pożółkłym cyferblatem. Było krótko po trzeciej. Wypiłem kilka dużych łyków mineralnej, która straciła resztki gazu, po czym otarłem usta.

W drzwiach pojawiła się Nika.

– Wypijemy coś? – spytałem, łapiąc powietrze.

– Chętnie.

Usiadła na taborecie przy stole. Miała na sobie tylko mój biały T-shirt pożyczony jej do spania i skape majtki. Musiałem się pilnować, by nie patrzeć na jej biust i ciemne sutki oraz długie nogi.

Nastawiłem wodę, a torebki herbaty wrzuciłem do kubków. Ale potem spojrzałem na jej minę i odstawiłem je w cholerę. Sięgnąłem po whisky, a z lodówki wyjąłem resztę coli. Rozlałem do szklanek. Wypiliśmy. Nika założyła nogę na nogę i wysunęła w moją stronę puste szkło. Zrobiłem drugiego drinka. Przyłapała mnie na zbyt długim przyglądaniu się jej udom, ale chyba nie miała nic przeciwko temu. Odwróciłem głowę i upiłem łyk alkoholu.

Wieczorem pojechałem do mieszkania Weroniki i przywiozłem wszystko oprócz piżamy. Teraz zastanawiałem się, jak długo ma zamiar u mnie zostać i jak to wpłynie na moje relacje z teściową, emerytowaną pielęgniarką, która przychodziła tu, żeby posprzątać, przeprać ciuchy albo ugotować obiad. Traktowałem to jak niegroźną terapię, pozwalającą jej stanąć na nogi po śmierci męża. Szczególnie że przecież wcześniej straciła córkę. Dlatego nie miałem sumienia zabraniać jej tego wszystkiego. Niestety teraz sprawy się nieco skomplikowały. Kiedy dowie się, że Nika zamieszka u mnie przez kilka dni, wścieknie się jeszcze bardziej. Nie powinienem mieć do niej pretensji. Poza tym mojej żonie zawsze zależało na dobrych relacjach z rodzicami. Byłem więc więźniem nigdy niewypowiedzianej obietnicy.

– Opowiedz mi o Agacie. – Weronika miała dar odczytywania myśli.

To nie takie proste, pomyślałem. To nie odcinek serialu, który można streścić w pięć minut. A jednocześnie rozumiałem, o co pytała.

– Kochałem ją – stwierdziłem i natychmiast się poprawiłem: – To znaczy, wciąż ją Kocham.

– Kiedy to się stało?

– Trzy lata temu.

– Czas leci. Czytałam o tym w gazetach. Jakby to było wczoraj. – Zamyśliła się. – I od tamtej pory cisza?

– A widzisz ją gdzieś tutaj? – Rozejrzałem się ostentacyjnie po kuchni.

Nika wypila resztę drinka i zupełnie nie zwróciła uwagi na sarkazm. Kiedy kolejny raz dolałem whisky, nie protestowała. Dzięki temu miałem przyjemność przyglądania się jej nagim udom, które kiedyś mogłem całować.

– Odebrałem pełno różnych sygnałów. Ostatnio nawet kilka wydawało mi się wiarygodnych, ale koniec końców wszystkie okazują się fałszywe.

– Boże – westchnęła. – Jak możesz z tym żyć?

Milczałem. W pewnym sensie jej dramat był mniejszy. Wiem, to okrutne, ale na nią śmierć męża spadła jak uderzenie młotem. To nokaut, z którego, chcesz czy nie, zawsze się podniesiesz. Pytanie, ile czasu na to potrzebujesz. Kiedy tracisz kogoś bliskiego i grzebiesz go na cmentarzu, możesz mieć żal do całego świata, ale przynajmniej świat nie zamierza cię oszukiwać, nie żyjesz w niepewności. Śmierć bezlitośnie odziera ze złudzeń. Mój dramat polegał na tym, że ten młot trafiał mnie codziennie, odbierając resztki sił. Bo kiedy ktoś bliski znika bez wieści, nieustannie katujesz się setkami tych samych pytań. A każdego ranka zastanawiasz się, czy zamiast iść do pracy, zamiast udawać, że normalnie egzystujesz, nie powinieneś wciąż jej szukać. Tyle tylko, że ledwo się do tego zabierzesz, już za progiem kompletnie zdezorientowany nie wiesz, w którą stronę pójść. Pozostaje czekać, nie wiadomo zresztą na co. Na telefon od policji, że znaleziono zwłoki kobiety? Czy na informacje od internetowych świrów, którzy za kilkaset złotych obiecują zaprowadzić cię do burdelu, w którym ją widzieli? Tak, kolega ją brał za stówkę, wiem, co mówię, to na pewno twoja żona. Zresztą niezła z niej dupa, co nie?

A kiedy wreszcie znienawidzisz czekanie, próbujesz udawać, że żyjesz. Dzień po dniu zabijasz czas.

– Nie mogę – westchnąłem.

Za oknem wiatr wzmógł się i deszcz zaczął smagać szybę.

– Tęsknię za nią – powiedziałem cicho, a po chwili dodałem. – Za nimi obiema.

– Obiema?

Nika musiała nieuważnie czytać teksty o zaginięciu mojej żony.

– Agata była w szóstym miesiącu ciąży. – Spojrzałem na nią. – Pokój, w którym śpisz, miał być pokojem naszej córki.

CZWARTEK

24 października 2013 roku

1

Ranek był chłodny i mokry. Stalowe chmury przesuwają się wolniej niż wczoraj. Siedzieliśmy w samochodzie przed spalonym domem. Wcześniej zatankowałem wóz do oporu, bo bałem się, że w ogóle tu nie dojedziemy.

W kałuży w pobliżu schodów odbijała się część elewacji. Dziś okna były już zabite płytami. Ekspresowa robota.

Podkręciłem ogrzewanie i włączyłem dmuchawę na wyższy stopień. Jej monotony szum po nieprzespanej nocy miał właściwości usypiające, więc nie ruszyłem się z miejsca. Nie chciałem wywierać na Nikę żadnej presji, chociaż to ona prosiła, żeby tu przyjechać.

– Byłam tu wczoraj rano – oznajmiła i po chwili dodała: – Ale niewiele pamiętam.

Powstrzymałem się od ziewnięcia. Nie wiedziałem, czy miałem grać rolę jej wiernego przyjaciela czy cienia. Na razie wybrałem to drugie.

Po kilku chwilach chwyciła za klamkę. Zrobiłem to samo.

– Zostań – rzuciła stanowczą prośbę.

Kiedy otworzyła drzwi, chłód wdarł się do samochodu. Obserwowałem, jak na chwilę przystaje obok maski forda i zbiera siły. Jej sylwetka odcinała się na tle otwartej, płaskiej przestrzeni pól, która rozciągała się tuż za ogrodzeniem działki.

Nika ruszyła w stronę domu. Z furtki zerwała policyjną taśmę, która załopotowała teraz na wietrze. Zrobiła parę kroków, ale zawahała się przed schodami prowadzącymi do drzwi wejściowych. Skręciła w prawo, przeskoczyła błoto i szła dalej wzdłuż ściany, obserwowała dom. Na krótko zniknęła za budynkiem. Następnie pojawiła się z lewej strony, ale wciąż nie odrywała wzroku od elewacji. Raz zerknęła tylko w kierunku brązowego blaszaka w narożniku działki.

Już miałem wyłączyć silnik, ale nie zrobiłem tego, bo Weronika skierowała się w stronę samochodu. Poprawiłem się w fotelu, gotowy do odjazdu, ale ona znieruchomiała. Odwróciła się i nagle, jakby dom zaczął ją wciągać, wbiegła po schodach na ganek i zerwała policyjne plomby przy prowizorycznych drzwiach z dykty.

Wyskoczyłem z samochodu.

– Co ty robisz? – krzyknąłem, ale wiatr porwał moje słowa, a Nika zdążyła zniknąć w budynku.

Pobiegłem za nią. Poślizgnąłem się na mokrej ziemi, ale na szczęście nie straciłem równowagi.

– Nika! – krzyknąłem, dobiegając do drzwi. Zdziwiłem się, że nigdzie nie było kłódki. – Wychodź!

Już w progu uderzyła mnie woń spalenizny i mrok. Jedyne światło wpadało przez szczeliny między płytami. Wnętrze domu doszczętnie strawił ogień. Na ścianach i suficie pozostawił czarną matową powłokę. Po podłodze wałały się spalone rzeczy. Zrobiłem kilka kroków, zanim

zatrzymałem się w korytarzu naprzeciwko drzwi. Nika stała z opuszczoną głową w pomieszczeniu, które kiedyś było pokojem, i wpatrywała się w nieregularne miejsce na podłodze wyżarte przez żywioł.

Weronika była szczupła i niższa ode mnie o głowę, a przytłoczona tragedią wyglądała jak dziewczynka, której ktoś wyrwał z rąk wymarzony prezent. Było mi jej zwyczajnie żal.

Wszedłem do pokoju. Chciałem ją przytulić, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Znowu.

Schowałem nos w kołnierz kurtki, żeby przestał mnie drażnić ostry zapach sadzy niesiony przeciągiem. Z czarnej jak smoła meblościanki pospadały półki. Na środku pokoju stała resztką spalonej kanapy, pozostałości po dwóch fotelach i sporej ławie. Po podłodze przetoczyła się pusta puszka. Zatrzymała się na potłuczonych fragmentach butelki. Było cicho, nie licząc dykty w miejscu drzwi wejściowych, która stuknęła rytmicznie we framugę.

– Chodźmy stąd. Nie możemy tu zostać. – Nie wiedziałem, czemu mówię szeptem.

– Poczekaj. – Otarła mokre oczy i wyszła z pokoju. – Jeszcze chwilkę.

Słyszałem jej kroki na korytarzu, a po chwili na piętrze.

Podszedłem do okna, z którego sterczał ostry fragment szyby, a przez szczelinę w płytach umocowanych od zewnątrz wpadała wiązka światła. Widziałem stąd zabudowania Caritasu i hotelu. Moją uwagę zwróciła rozlatująca się drewniana buda kryta eternitem. Obraz takiej samej klęski i rozpaczki jak dom, w którym się znajdowałem. Pewnie to ten obiekt, o którym mówił Radek. W redakcji miał mi pokazać zdjęcia rudery, ale obaj o tym zapomnieliśmy.

Przy jednym z narożników szopy zaobserwowałem nieznaczny ruch. Ptak albo zając? A może tak mi się tylko zdawało. Zmrużyłem oczy, żeby lepiej się przyjrzeć. Coś się poruszyło.

Dopiero teraz go zauważyłem.

Mężczyzna. O ile dobrze widziałem, kuczał i patrzył przez lornetkę. Bez wątplenia obserwował dom Holtzów.

Schowałem się w głąb pokoju. Nie wiem, czy mógł mnie dostrzec.

– Nika! Wychodzimy! – rzuciłem ostro.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, okazało się, że czekała już przy samochodzie.

– Widziałaś go? – spytałem, podchodząc do drzwi kierowcy. Nie zareagowała. – Wsiadaj! – syknąłem, brutalnie przerywając jej zamyślenie.

– Kogo?

– Ktoś nas obserwował.

– O czym ty mówisz? – Wsiadła do samochodu.

Wrzuciłem bieg i zawróciłem. Miałem nadzieję, że jeszcze go tam zastanę. Toczyliśmy się wolno, bo nie chciałem wzbudzać żadnych podejrzeń. Przez drzewa i krzaki oddzielające działkę Holtzów od hotelu i Caritasu nie mogłem go dostrzec.

– Marek, o czym mówisz, do cholery? – Weronika zmarszczyła czoło.

– Gdy byłeś na górze, wyjrzałem przez okno. Ktoś schowany w tamtej rudery – wskazałem miejsce palcem – nas obserwował.

– Zwariowałeś?

Dojechaliśmy do drogi odbijającej w bok.

– Trzymaj się! – Skręciłem gwałtownie i dodałem gazu. Stary ford wystrzelił do przodu, podskakując na nierównościach.

Zbliżyliśmy się do wysokiej na cztery metry, rozlatującej się drewnianej szopy obitej falistymi połamanymi płytami, z których część dawno już poodpadała. Z trzech drewnianych bram pozostały tylko pojedyncze skrzydła. Pojechałem dalej i wtedy go zauważyłem.

– Tam! – Wskazałem palcem na faceta uciekającego przez park w stronę budynków Caritasu. Był za daleko, żeby puścić się za nim w pogoń. Wyszliśmy z samochodu. Podszedłem do budy i stanąłem w miejscu, w którym kuczał.

– I co na to powiesz? – Pokazałem Nice kilka niedopałków leżących blisko siebie. – Ciekawe, czemu spieprzał jak zając, gdy wyszliśmy z domu, co? – warknąłem, ale zrobiło mi się głupio. Skąd ona mogła to wiedzieć.

– Nie mam pojęcia. Może to złodziej?
Złodziej? A co miał ukraść? Kilo sadzy?
– Może. Drzwi nie były zabezpieczone kłódką – powiedziałem, ale nie wywarło to na niej żadnego wrażenia. – Powinniśmy zadzwonić na policję.
– Na policję? Po co? – Popatrzyła w stronę parku.
Zrobiłem to samo. Po uciekinierze nie było już śladu.
– Skoro to złodziej, trzeba lepiej zabezpieczyć dom.
Prychnęła, ale nic nie dodała. Nie chciałem się sprzeczać. Była na skraju załamania, nie powinienem jej dodatkowo denerwować. Chwyliłem za komórkę i po kilku sygnałach oczekiwania wyjaśniłem policjantowi, o co mi chodzi. Przełączył mnie do dochodzeniówki. Kolejnej osobie powtórzyłem to samo. Następnej też i dodałem, że brakuje kłódki i każdy może do tego domu wejść.
– Przecież są policyjne plomby, a poza tym dom był przez nas odpowiednio zabezpieczony
– stwierdził policjant prowadzący sprawę. Jakby to miało wszystko wyjaśniać. – Jeszcze dziś ma być przekazany właścicielowi. Przepraszam, właścicielce.
– O której godzinie?
– Nie wiem dokładnie. Być może już ktoś od nas dzwonił.
Podziękowałem za informację i rozłączyłem się.
– Masz przy sobie telefon? – spytałem.
Weronika zajrzała do niewielkiej czerwonej torebki i wyjęła smartfon.
– Nikt nie dzwonił.
– Pewnie wkrótce się odezwą.
Z tego miejsca dom Holtzów widać było jak na dłoni, a z lornetką ten gnojek mógł nawet sprawdzić kolor moich oczu.
– Chodź, odwiozę cię do domu.
Spojrzała na mnie niemal błagalnym wzrokiem.
– Do mojego domu. – Usadowiłem się za kierownicą i sięgnąłem do schowka. Kiedyś wrzuciłem tam sprężynowy scyzoryk, który dostałem na raucie toruńskiego koła łowieckiego. Odszukałem go, ale nie wyjąłem.
Może się przyda.

2

Po drodze zrobiłem zakupy, żeby Weronika miała co jeść, i pojechałem do redakcji. Radka nie było, wyjechał zrobić fotki z wypadku na obwodnicy Podgórze. Ledwie zdążyłem usiąść, a w drzwiach newsroomu (o tak, to brzmi dumnie) pokazała się Majka Dymajka i znacząco skinęła na mnie głową.

Niechętnie podniosłem cztery litery. Wziąłem ze sobą kilka wydrukowanych wcześniej kartek.

– Co tym razem? – spytałem, gdy zamknęła za nami szklane drzwi gabinetu.
– Siadaj, kuźwa. – Uśmiechnęła się szeroko. – Chojnicki.
Teraz byliśmy najlepszymi kumplami, a wczorajszy dzień jak wczorajsza gazeta – należał do historii. Może powinienem odświeżyć jej pamięć?
– Co Chojnicki? – Zająłem fotel przed jej biurkiem.
– Będziemy mieć bombę na wyłączność!
– Super, czyli będziemy teraz Tygodnikiem Techniki i Taktyki Wojskowej „Saper”, tak?
– Bardzo śmieszne! Chojnicki daje nam materiał na wyłączność. Musisz z nim pilnie

pogadać. Już to ustaliłam.

– Na razie tylko z nim.

– Z tobą robię to teraz. – Wyjęła spod biurka talerz z małymi pączkami. Dziś jej paznokcie lśniły czernią. – Spróbuj. Sama robiłam.

Zerknąłem na ciastka.

– Z Chojnickim rozmawiałem wczoraj. Mówił mi coś o bombie, ale sam miał do mnie zadzwonić.

– Teraz to ty do niego zadzwonisz. – Wpakowała pączka do ust, z chmura cukru pudru spadła na jej czarną koszulę. Strzepnęła go dłonią, ale tylko pogorszyła sprawę. Złapała za obfite piersi, podniosła je sobie pod nos i dmuchając w materiał, przez przypadek wypluła resztki niezjedzonego ciastka. – A zresztą, w dupie z tym.

Strząsnęła okruchy i chwyciła kolejnego pączka.

– Dowiem się czegoś więcej czy zostałem zaproszony na erotyczny performance z ciastkami? – spytałem.

Postukała się znacząco w głowę.

– No jedz! – zachęciła.

Sięgnąłem po pączka i ugryzłem połowę.

– Gdybyś dodała do ciasta kieliszek wódki, nie byłyby takie tłuste – stwierdziłem, oblizując wargi.

– Cukiernik się, kuźwa, znalazł.

Z grzeczności przełknąłem jeszcze jedno ciastko.

– No więc – zaczęła mówić, przeżuując pączka i znowu sypiąc okruchami. – Chojnicki wystartuje w wyborach.

Przeżuwałem, że zamiast huku będzie smrodek.

– Prezydenckich czy europejskich? – spytałem, chociaż nie miałem wątpliwości.

– Prezydenckich. Chce znów sterować Pentagonem. – Majka otrzepała ręce i schowała talerz pod biurko, mamrocząc coś o odchudzaniu.

– O, to prawdziwa bomba. A mówił ci, że próbował cztery lata temu i przegrał?

– Jesteś dziś bardzo zabawny, wiesz? – Otarła kąciki ust opuszką małego palca.

– Powiedz, że to nieprawda, proszę – skrzywiłem się.

– Marek, przestań się wygłupiać. Bomba wybuchnie z innej strony. Chojnicki ogłosi start w wyborach. Wspólnie omówicie, kiedy i gdzie...

– Chyba cię posrało! – przerwałem jej. – Nie jestem ani jego pijarowcem, ani rzecznikiem.

– Kuźwa, czy za każdym razem muszę ci przypominać, że Chojnicki i nasz prezes...

– A czy ja muszę ci przypominać, że nasz szanowny prezes, zresztą za twoim pośrednictwem, nie dalej jak wczoraj wylał mnie z roboty? – uniosłem się, bo tego było już za wiele. To był dobry moment na wręczenie wypowiedzenia.

Majkę zatkało. Przebiegła wzrokiem kartki, które rzuciłem jej na biurko, a potem wpakowała je do szuflady.

Odezwałem się dopiero po chwili. Wiedziałem, że z Chojnickim i tak się spotkam, bo był przyjacielem moich rodziców. Mimo to nie zamierzałem firmować swoją głębią jego kampanii.

– Pogadam z nim i napiszę tekst. Na nic więcej nie licz. Resztę klocków układajcie sobie sami. – Wstałem i włożyłem ręce w kieszenie bojówek.

– Nie bój nic, Marek! Już ja się o to postaram, żeby Chojnicki nie skręcił z naszej gazety politycznej tuby i nie dymał nas bez mydła.

– Skąd wiesz, jakie nasz prezes ma plany, co? Musi zależeć mu na Chojnickim.

– W dupie mam plany Rudnika.

Nie zabrzmiało to przekonująco.

– Wreszcie coś w tym grajdole zacznie się dziać. – Jej wzrok płonął. Patrzyła gdzieś przed siebie i perorowała z emfazą: – Ostatnio robimy tylko relacje ze wszystkich miejskich inwestycji. A to prezydent był na moście, a to z ministrem sportu wizytował halę na Bema. Rzygać się chce. No może jeszcze Unibax się spisał. Bo ucieczka z finału ligi podniosła nam nieco sprzedaż. Ale teraz

wreszcie zaczniemy rozrzucać mięso.

– Tak jest co cztery lata. Ale jeśli liczysz, że dzięki temu wzrośnie sprzedaż, możesz się mylić. Ja tego prowincjonalnego szamba mam serdecznie dość. I ludzie chyba też.

– Pieprzysz. Ruszenie gówna zawsze roznosi smród. A smród prowokuje.

Politolog, magister i redaktor naczelna w jednym Majka Dymajka wyłożyła właśnie głosę do teorii smrodu. Porywające! Marnuje się kobita w gazecie, w politykę powinna pójść.

– Powiedz wreszcie, co z tą bombą, bo muszę się zabrać za robotę – stwierdziłem zrezygnowany.

– Jest wniosek o odwołanie prezydenta.

– Co? – Zaskoczyła mnie. Może gdybym nie spędził tyle czasu w Berlinie, informacja dotarłaby do mnie wcześniej i mógłbym ją sprawdzić. – To pewne? Skąd wiesz?

– Wiem, i już.

Nagle coś mi zaświtało.

– Czekaj, czekaj. To robota Chojnickiego, tak? – Nachyliłem się i oparłem o blat biurka. – Przecież to śmierdzi na odległość, Majka. Jeśli wniosek wypłynie razem z informacją o jego starcie w wyborach, wszyscy będą wiedzieli, że to jego robota. Wystartuje do walki o fotel prezydenta ze spuszczoneymi gaciami. Kto mu to doradził?

Majka zmieszała się.

– A co ty tak nagle się martwisz o jego kampanię, co? – spytała. – Lepiej bierz się do roboty.

Pani politolog wcieliła się w Terminatora.

– Aha, i jeszcze jedno. Wczoraj zapomniałam ci o tym powiedzieć. Jakaś babka prosiła o twój numer telefonu.

Uśmiechnąłem się. Dobrze wiedziałem, o kogo chodzi.

– Już wiem, że go dostała – stwierdziłem.

– O Jezu! Dałam, bo myślałam, że może chodzi o Agatę. Ale skoro tak, to dobrze, od tej pory twój numer będzie zastrzeżony.

– Spoko, Majka. Luz.

– Czyli, co? Jednak chodziło o Agatę, tak?

Zamiast odpowiedzi skinąłem jej głową na pożegnanie, a ona wysunęła język i środkowy palec.

Można ją jeść łyżkami.

3

Parę minut po dwunastej kawiarnia Molus przy Długiej, kilka kilometrów od starówki, nie była szczególnie zatłoczona. Usiadłem przy ścianie z wielkimi oknami wychodzącymi na ulicę. Zamówiłem kawę, ale stanąwszy przy barze, dałem się skusić na sernik wiedeński posypany cukrem pudrem. Wiedziałem, że Chojnicki się spóźni, bo uprzedził mnie o tym telefonicznie w chwili, gdy parkowałem wóz. Wykorzystałem ten czas na rozmowę z Weroniką.

– Co robisz? – spytałem, gdy odezwała się w słuchawce.

– Próbuję się dostać do twojego komputera.

– Do laptopa?

– Nie, stacjonarnego. Tego klocka, co stoi w pokoju, w którym śpię.

– Jesteś bez szans, ten sprzęt nie działa. W szafie w sypialni jest laptop Agaty. Tylko bateria dawno w nim padła, więc musisz pracować na kablu.

– Nie będziesz miał nic przeciwko?

– Nie.

Pożałowałem tego. Przecież tam były wszystkie materiały osobiste Agaty. Tysiące zdjęć, zapiski z podróży, jej program pocztowy i wszystkie maile, a ja, jak dobry wujek, zgadzam się, żeby korzystała z niego moja była narzeczona. Chyba mnie pogięło.

– Na pewno? – Musiała wyczuć moje wahanie.

– Na pewno.

Zdziwiłem się tylko, że poprzedniego wieczoru, kiedy pojechałem do jej mieszkania, nie poprosiła mnie o przywiezienie swojego notebooka. Pogadaliśmy jeszcze chwilę o niczym i pożegnaliśmy się.

Zjadłem kawałek sernika i popiłem kawą, kiedy odezwał się mój telefon.

Teściowa.

– Cześć, mamó. – Ton mojego głosu był neutralny.

– Dzień dobry – powiedziała spokojnie. – Przepraszam za wczoraj.

Kamień z serca.

– Nic się nie stało – stwierdziłem.

– Stało się. Nie panuję nad sobą. Biorę leki, ale... – Rozkleiła się.

– Było minęło. Jak się dziś czujesz?

– Dobrze. To znaczy lepiej.

– Zapaliłaś świeczkę u taty?

– Chciałam iść, ale deszcz wciąż wisi w powietrzu. Pewnie pójde po obiedzie.

– Dobrze. – Nie wiedziałem, co powiedzieć. – Niedługo się zobaczymy.

– Tak, oczywiście. Mógłbyś podrzucić mi klucze do waszego domu.

Zawsze mówiła „waszego”. Wiele ją kosztowało, żeby tak jak ja ludzi się, że wciąż są jacyś „my”, że wciąż coś jest „nasze”. Zupełnie jakby Agata wyjechała zrobić kilka zdjęć i miała wrócić na obiad.

– No jasne, podrzucę, ale za kilka dni, dobrze?

Nie odpowiedziała. Długo trawiła to, co powiedziałem.

– Czy to znaczy, że ona z tobą mieszka? – Cisza po jej pytaniu ważyła chyba tonę.

– Nie – skłamałem. Powinienem powiedzieć jej prawdę. Bolałaby, ale byłaby lepsza niż wikłanie się w kłamstwa. Szczególnie że już nic mnie z Niką nie łączyło. – Nie mieszka u mnie, porozmawialiśmy chwilę i pojechała do siebie.

– Jeśli Agata wróci i ją tam zastanie...

Zerwałem się z krzesła, zahaczyłem o stolik, który przechylił się tak, że spadła z niego filiżanka. Z brzdękiem rozprysła się na drobne kawałki, które leżały teraz w wielkim kawowym kleksie na granitowej podłodze.

– Do jasnej cholery! Jakże wróci?! Czekam na nią trzy lata! Każdego dnia! A tobie się wydaje, że to właśnie dziś jest ten dzień, tak? – wydarłem się. – To strasznie się cieszę! Sądzisz, że wróci sama, czy przyprowadzi za rękę naszą córeczkę, co? Bo może zdążę skoczyć po kwiaty i jakąś lalkę dla małej!

Rozłączyła się bez słowa pożegnania.

Opadłem ciężko na krzesło. Byłem miernym budowniczym, za to najlepszym destruktozem. Chciało mi się wyc.

Kelnerka obrzuciła mnie wrogim spojrzeniem, po czym przysła z mopem i szufelką. Zgarnęła porcelanę i wytarła podłogę. Nieliczni goście wrócili do swoich rozmów. Ziemia dalej kręciła się wokół Słońca.

Czułem się rozbity. Tak, kocham Agatę. Tak, marzę, żeby wróciła. Tak, zrobiłem wszystko, by ją odnaleźć! I co? I nic. Trzy lata temu ślad po mojej ukochanej żonie i nienarodzonej córce zaginął. Jakby weszły w inny wymiar. Straciłem Agatę w najpiękniejszym dla młodego małżeństwa okresie wzajemnego nienasycecia.

Pamiętam ten moment, kiedy widziałem ją ostatni raz. Jej uśmiech i słowa, po których czule mnie pocałowała.

– Kocham cię. – Niebieskie oczy były pełne radości. Potem przyłożyła dłoń do swojego

zaokrąglonego brzucha i poprawiła się: – Kochamy cię! Obie!

Rysy jej twarzy złagodniały w okresie ciąży. Świetlistą cerę przykrywał lekki makijaż. Korektora używała wyłącznie do ukrywania niewielkiej, pionowej blizny na brodzie – pozostałości po wypadku z dzieciństwa. Gęste blond włosy zazwyczaj upinała wysoko w prostą kitkę, co doskonale podkreślało jej okrągłą głowę i smukłą szyję. Nigdy nie malowała ust, które tak bardzo kochałem całować. Były pełne, zawsze naturalnie czerwone i ciepłe.

Była dla mnie stworzona – jestem o tym święcie przekonany. Stanowiliśmy świetną parę, kochaliśmy się na zabój, ale w tej wielkiej miłosnej przestrzeni każde z nas miało miejsce i czas na swoją pasję. Dbaliśmy więc o każdą wolną chwilę spędzoną razem. Jednak gdy teraz na to patrzę, odnoszę wrażenie, że być może oboje podświadomie czuliśmy, iż zmierzamy ku katastrofie. Dlatego tak zachłannie syciliśmy się każdym naszym gestem, słowem i oddechem.

Było późne poniedziałkowe popołudnie 1 listopada 2010 roku. Szaruga. Agata wyjechała robić zdjęcia do albumu o polskich nekropoliach. Przy okazji miała również zrobić fotki dla znajomego fotoreportera, który wylądował w szpitalu, dosłownie pstryknąć kilka zdjęć i przesłać mu mailem. Oczywiście w takich sytuacjach podpisywał je swoim imieniem i nazwiskiem, kasę też brał dla siebie. Ale nigdy nie odmawiał pomocy Agacie, bezpłatnie udostępniając swoje fotografie. Ta współpraca często ratowała im tyłki. Tym razem chodziło o kwaterę zwłok NN na toruńskim cmentarzu komunalnym właśnie w trakcie Wszystkich Świętych.

Operatorzy miejskiego monitoringu dzień po zgłoszeniu zaginięcia sprawdzili nagrania z kamer. Zauważyli czerwoną ibizę jadącą Bema w stronę Szosy Chełmińskiej. Po kilku minutach auto mignęło w oku kamery w pobliżu centrum handlowego przy Legionów 216. Pewne było jedno. W stronę cmentarza Agata jechała sama. I był to ostatni ślad. W sobotę, pięć dni później, znaleziono jej samochód tuż za granicą miasta, przy drodze prowadzącej na Łubiankę. Stał w pobliżu jezdni na leśnym dukcie. Policję poinformował o tym grzybiarz, który dwa dni z rzędu mijał wóz zaparkowany dokładnie w tym samym miejscu. Zdziwiło go to, więc wykrcił 112.

Ibiza była zamknięta. Wewnątrz nie było nic, co mogłoby zwrócić uwagę techników policyjnych. Żadnych śladów krwi, walki. Kompletnie nic. Nie znaleziono żadnych obcych odcisków palców. Tak jakby Agata wysiadła z samochodu, zamknęła drzwi i rozplynęła się w powietrzu. Psy tropiące podjęły ślad, który urwał się przy asfalcie.

Policjanci brali pod uwagę różne wersje wydarzeń, samobójstwo też, dlatego przeszukano las. Przesłuchano wszystkich, łącznie z kolegą Agaty, zleceniodawcą zdjęć na komunalnym. Sam rozmawiałem chyba z każdym, kto mógłby cokolwiek wiedzieć, a jednak wszystkie wskazówki i drogi prowadziły na manowce. Ktoś nawet, do dziś nie wiem, w jakim celu, przywołał nazwisko seryjnego mordercy Leszka Pękalskiego, Wampira z Bytowa, który przyznawał się do zgwałcenia i zabójstwa trzech kobiet w Toruniu w latach 1984–85. Ale żadnego z nich mu nie udowodniono.

Ostatnią hipotezą był Szaman, czyli Olgierd Szamojski.

Profesora Szamojskiego poznałem na wykładach z filozofii zła, później chodziłem do niego na seminarium magisterskie. Po zakończeniu studiów kontakt się urwał. Zobaczyłem go dopiero na początku 2009 roku i to przez przypadek. Wracalem z nocnego rajdu po pubach. Śnieg leżał na ulicach, mróz trzymał od kilku dni. Zawiany wsiadłem do nocnego autobusu i zająłem miejsce z przodu, na tych podwójnych siedziskach, które są zwrócone ku sobie. Łeb latał mi na wszystkie strony, światła miasta rozplywały się w oszronionej szybie. Zdaje się, że podsypiałem. Po chwili kątem oka dostrzegłem, że ktoś usiadł naprzeciwko mnie i chyba klepnął mnie w kolano. Do dziś zastanawiam się, czy nie były to jedynie alkoholowe zwidy.

– Nie bój się, Marek, bo strach jest oczekiwaniem zła – powiedział z uśmiechem.

Niby nic mi nie groziło, nie, ale jednak miałem spocone dłonie. Pocierałem je ukradkiem i starałem się skupić wzrok na jego twarzy, co nie było łatwe, bo widziałem go podwójnie. Szaman wciąż był szczupły i wysportowany, może lekko przygarbiony. Łysina świeciła się tak samo jak na wykładach, czapkę trzymał w dłoniach. Studenci go kochali, potrafił prowadzić czterogodzinne wykłady bez chwili przerwy i nikt nawet do kibla nie wyszedł. Był ekspertem, pojawiał się w mediach zawsze wtedy, gdy gdzieś popełniono odrażającą zbrodnię, i opowiadał o złu w taki sposób i z taką lekkością, jakby czytał dzieciom bajki na dobranoc. A jednak zawsze było w nim

coś, co budziło mój niepokój. Kiedyś nazywałem to charyzmą, ale od dawna już wiedziałem, że chodzi o coś innego. Miał w sobie niespotykany rodzaj chłodu, czegoś nieodgadnionego.

Szaman odszedł z uczelni tuż po tym, gdy padło na niego pierwsze podejrzenie. Chodziło o zaginięcie dwóch studentek w maju i sierpniu 2008 roku. Nie interesowałem się tym tematem, po prostu czytałem gazety, które wpadły mi w ręce. Szamojski zaczął komentować sprawy tych zaginięć w mediach, być może przypuszczał, że policja odkryje wkrótce, że obie kobiety go odwiedzały. Kiedy został aresztowany, jeden z tabloidów wrzucił na pierwszą stronę zdjęcie Szamojskiego z tytułem: „Zabójca ciężarnych schwytany”. Wtedy dowiedziałem się, że podobno obie były w ciąży, a profesor mógł być uwikłany w handel noworodkami. Cała Polska przez kilka miesięcy żyła tą sprawą. Nikt jednak nie potrafił mu niczego udowodnić. Mimo to pod naciskiem mediów został tymczasowo aresztowany. Szamojskiemu przypisywano również porwanie przed laty córki biznesmena z branży budowlanej w Grudziądzu. Pisałem wtedy reportaż o porwaniach dla okupu. Nie dla „Gazety Miejskiej”, tylko pod pseudonimem, dla „Polityki”. Sześć lat przed zaginięciem Agaty znów doszło do zadziwiającego zdarzenia. Zaginęła dziennikarka grudziądzkich „Nowości”, Ola Walczak. Szaman nie mógł być w to zamieszany, miał twarde alibi. Dwunastego marca 2004 roku, kiedy ślad po reporterce zaginał, prowadził zajęcia o teorii zła na UMK. Wcześniejszy wieczór i noc spędził na jakimś miejskim raucie.

Autobus gnał po pustych ulicach, trzęsło jak cholera.

– Co u ciebie słysząc? – Szamojski nachylił się w moją stronę. Cały czas jego obraz dwoił się i troił.

Nie odezwałem się. Myślałem, że to tylko przywidzenie, chyba nawet głupio się uśmiechnąłem, potem zacząłem rzeć jak debil. Pasażerów było niewielu, ale miałem wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie. Jeszcze chwila i kierowca wypieprzy mnie z autobusu.

Przymknąłem oczy i uspokoiłem się.

– Nic mi nie powiesz? – spytał.

Wóz zwolnił i wjechał w zatoczkę.

– Szkoda, bo ja mam coś dla ciebie, Marek. – Dwóch Szamanów znowu się uśmiechnęło. Z charakterystycznym dźwiękiem, jakby skądś uchodziło powietrze, otworzyły się drzwi.

– Graviora manent, Marek. – Szaman wstał i wyszedł z pojazdu.

Mroźne powietrze wwiało do środka.

Przeszedł mnie dreszcz.

Może to jednak nie był pijacki sen?

Dwa tygodnie przed zaginięciem Agaty, a więc w połowie października 2010 roku, Szaman urwał się z policyjnego konwoju i zapadł pod ziemię. Na Toruń i okolice padł blady strach. Kobiety w ciąży bały się wychodzić z domu.

Jeszcze długo po tym spotkaniu w nocnym autobusie słyszałem ten cichy głos i te słowa. Od trzech lat brzmiały jak spełniona przepowiednia, przywołując na myśl słowa z Eneidy, poematu Wergiliusza. Graviora manent – tytuł mojej pracy doktorskiej z filozofii zła, której nigdy nie dokończyłem, wydruk wrzuciłem któreś nocy do rozpalonego w ogrodzie ogniska. Trzaskały suche gałęzie, strzelały fontanny iskier. Chwilę później wirowały na wietrze spalone płatki papieru, wyglądało to, jakby sypał gęsto czarny śnieg.

Graviora manent.

Najgorsze dopiero nadejdzie.

I nadeszło.

Agata zniknęła.

Kiedy naprzeciwko mnie szurnęło krzesło, obrazy z przeszłości odleciały. Usiadł na nim uśmiechnięty, pewny siebie facet, którego zdjęcie mogłoby zdobić magazyny mody dla starszych panów. Opalona na brąz skóra, mięsiste usta przykrywające równe białe zęby, wysokie czoło bez żadnej zmarszczki i pofarbowane na ciemny blond włosy zaczesane do tyłu. Bez zbędnego wysiłku sprawiał wrażenie, że w jego przypadku czas nie tylko nie biegnie naprzód, ale wręcz się cofa. Markowe oprawki okularów, spod których patrzyły na mnie jasnoniebieskie oczy, dodawały mu kilkunastu punktów do ilorazu inteligencji. Był wysoki i szczupły. Jego granatowy garnitur,

wyprasowana biała koszula i krawat w kolorze bordo mogły kosztować w sumie tyle, ile mój stary ford.

Chojnicki wyciągnął rękę na powitanie. Miał uścisk jak imadło. Rozpiął marynarkę i amerykańskim gestem przywołał kelnerkę. Zamówił dwie kawy.

– Polecam sernik – stwierdziłem, przeżuając ostatni kęs ciasta.

– Dbam o linię – odrzekł z uśmiechem, klepiąc się po płaskim brzuchu.

– Jak cię znam, to spalisz go w mig na siłowni. Bo chyba nie powiesz mi, że zrezygnowałeś z ćwiczeń?

Chojnicki strzepnął paproch z klapy marynarki.

– Też powinieneś spróbować.

Przemilczałem to, bo zawstydział mnie fakt, że starszy ode mnie o ponad dwadzieścia lat gość ma mięśnie jak z obrazka, a ja przy nim wyglądam jak obraz nędzy i rozpaczy. Skóra jak wór, którego jedynym zadaniem jest utrzymać kości i bebechy razem. Nie to, co kiedyś, gdy regularnie uprawiałem boks.

– Co masz dla mnie? – spytałem, kiedy z postawionych na stoliku przez kelnerkę filiżanek rozszedł się przyjemny aromat.

– Wracam.

– Słyszałem. – Wsypałem dwie łyżeczki cukru i zacząłem mieszać. – Jakie masz szanse?

– Gdybym nie miał, nie startowałbym. Proste. – Jego słowa ociekały pewnością.

– Masz już jakieś wyniki sondaży? – spytałem, a kiedy zaprzeczył, założyłem kosmyk włosów za ucho i dodałem: – To po co ci to?

Zmarszczył brwi, jakbym zadał mu pytanie o sens życia. Chojnicki zastanawiał się, jak od niego uciec.

– Sprawy w mieście idą w złą stronę. Zadłużenie sięga...

– Przestań pieprzyć jak na konferencji – przerwałem mu zniesmaczony. – Ja niczego nie nagrywam.

Patrzyliśmy na siebie.

– Byłem już na szczycie, pamiętasz?

– Pamiętam. I pamiętam, jak najpierw media nosiły cię na rękach, a potem obrywałęś baty. Tak skuteczne, że po czterech latach rządzenia z obolałym tyłkiem nie dotarłeś nawet do drugiej tury wyborów. Więc po jaką cholere znowu chcesz wchodzić w to bagno?

Chojnicki nachylił się.

– Nie popełnię już tych samych błędów. – Uśmiechnął się.

– Zawsze popełniamy te same błędy, tylko okoliczności się zmieniają.

– Nie, zobaczysz, teraz będzie inaczej.

Zaśmiałem się.

– Powiedz, że żartujesz, bo inaczej zrobią mi się zajady.

– Nie żartuję. Wszystko się zmieni – powiedział śmiertelnie poważnie, poprawiając mankiet koszuli. Błysnęła srebrna spinak. – Mam rok na przygotowania i telewizję spółdzielczą w rękę.

Mam własną gazetę osiedlową. Walę sporą kasę w inwestycje na osiedlu. Wiesz, by żyło się lepiej. – Mrugnął.

– Ale, na Boga, nie chodzi o ponowne wybory na prezesa spółdzielni na Rubinkowie! Chcesz posadzić dupsko na fotelu prezydenta miasta!

– To, o czym mówiłem, to tylko początek, który zapewni mi odpowiedni start.

O, naiwności! Ktoś powinien mnie uszczypnąć!

– Przypominasz sobie start zastępcy prezydenta w wyborach parlamentarnych? – sięgnąłem po przykład, który powinien przemówić mu do rozumu.

– Nie rozśmieszaj mnie – oburzył się.

– Nie mam zamiaru. Karakan co drugi dzień był w gazetach, ale i tak dostał pstryczka od mieszkańców w swój okrągły, czerwony nosek. Gdyby nie ciepły fotel i rodzinne układy, wyskoczyłby z bagienka na zieloną trawkę. Pomyśl o tym.

Chojnicki nieznacznie przygryzł dolną wargę. Ściągnął okulary i zaczął polerować szkła.

– Marek, o co ci właściwie chodzi? Przecież to moja sprawa. Chcę wrócić, i już. Z tobą albo bez ciebie. Jestem już dużym chłopcem i nie potrzebuję rad. Nie po to się z tobą spotkałem.

Właściwie miał rację. Nie wiem, po jaką cholere tak się zaciętrzewiłem. Powiniennem wrzucić na luz. W tej chwili moja komórka zawibrowała. Dzwonił Butrych, biznesmen od siedmiu boleści. Wiedziałem po co, więc skasowałem połączenie.

– Słyszałem, że chcesz odpalić bombę – stwierdziłem, nie zwracając uwagi na to, co przed chwilą powiedział Chojnicki.

– Nie wiem, czy jest sens o tym z tobą rozmawiać, skoro masz takie podejście. – Machnął ręką.

– Mam o tym napisać, więc nie masz wyjścia.

Pomilczeliśmy chwilę. Zasycał ekspres ciśnieniowy, para uśmiechających się do siebie studenciaków weszła do kawiarni. Chojnicki odprowadził wzrokiem dziewczynę o długich nogach w cielistych rajstopach i kusej mini.

– Będzie wniosek o odwołanie prezydenta – oznajmił, kiedy nasycił się widokiem.

– Słyszałem. Jakies szczegóły?

– Zadłużenie miasta, inwestycje w beton, brak wizji, pozorna współpraca z mieszkańcami i organizacjami pozarządowymi, chybione inwestycje tramwajowe. Wymieniać dalej?

Nie chciałem go dobijać, ale argumenty wyciągnął z pierwszego lepszego wydania którejkolwiek z toruńskich gazet. Danie byłoby nawet smaczne, gdyby nie leżało w lodówce od kilku dni.

– Gronkiewicz-Waltz w Warszawie wyszła zwycięsko z referendum i nadal siedzi w ratuszu. Wiem, że Toruń to nie Warszawa, ale na rok przed wyborami to raczej nie ma sensu. Czeka cię cholernie trudne zadanie. Ludziom nie chce się głosować w normalnych wyborach, a co dopiero brać udział w lokalnych referendach.

– Oficjalnie nie będę miał z tym nic wspólnego. – Podniósł ręce w obronnym geście.

– Mówimy o tym, co za kurtyną, a nie przed.

– W takim razie powiem ci, że moje ogłoszenie o starcie w wyborach da mi jedną zasadniczą przewagę. Media będą prosiły mnie o komentarze w wielu sprawach. W sprawie referendum też.

Zrozumiałem, do czego dąży. Że też wcześniej na to nie wpadłem. Cwany lis.

– I wtedy im powiesz, że nie popierasz tego pomysłu.

Zaskoczyłem go.

– Proszę, proszę. Bystrzacha – stwierdził z uznaniem i poprawił okulary. – Byłbym idiotą, gdybym publicznie go popierał. Ale da mi to szansę na wskazanie błędów popełnianych przez obecną ekipę.

Wyjąłem notes. Na czystej kartce zapisałem jego nazwisko. Przez chwilę notowałem co istotniejsze fragmenty naszej rozmowy. Miałem wypuścić tekst sondujący szansę Chojnickiego i społeczny odbiór jego ewentualnej kandydatury. Oczywiście żadnego oficjalnego potwierdzenia startu w wyborach, tylko domysły i informacje „z pewnego źródła” oraz słynne „nie potwierdzam i nie zaprzeczam”. Chodziło też o wskazanie środowisk popierających jego kandydaturę. Ot, zwykły tekst-spieg. A później miałbym się zabrać do rozgrywania politycznego pokera z referendum w tle, na co nie miałem najmniejszej ochoty.

Parę pomysłów wybiłem mu z głowy i już wstałem, kiedy Chojnicki przytrzymał mnie za rękę.

– Poczekaj jeszcze chwilę.

Opadłem z powrotem na krzesło.

– Nie powiedziałaś, co się stało w Berlinie.

– Nie ma o czym mówić. Przecież gdybym odnalazł Agatę, cała Polska już by o tym wiedziała. Ty też.

Pokiwał głową.

– No tak. Ale pytam o to, czy ślady i te zdjęcia monitoringu z berlińskiego metra udało ci się w jakikolwiek sposób zweryfikować?

Bezwiednie kręciłem obrączką na palcu.

– Nie chce mi się o tym gadać. Przynajmniej nie dziś.

Chojnicki pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym gładko przeszedł do innego tematu.

– Co u rodziców? Kiedy wracają? – Kiwnął na kelnerkę i poprosił o rachunek.

– Stypendium ojca kończy się w czerwcu. Jednak powoli i niby żartem już przebąkują, że może zostaną dłużej.

– Ameryka kusi, co? – Uśmiechnął się.

– Pewnie tak. Nie wiem.

– A Paulina? Widziałeś się z nią ostatnio? – spytał, pocierając nos.

Drugi raz poruszył ten temat.

– Już wczoraj pytałeś o moją siostrę.

– No tak, bo robota jest tu na miejscu, a ona tam w tym Londynie...

– Radzi sobie dziewczyna.

– Ale nadal nie macie ze sobą kontaktu? – nie dowierzał albo tylko udawał.

– Od kiedy rozstała się z Holtzem, nie umiemy znaleźć wspólnego języka. Rozmowa z nią przypomina kontakt z infolinią banku – stwierdziłem. – A swoją drogą wiesz, że Holtz zginął w pożarze?

– Wiem. To znaczy, gdzieś o tym czytałem – odpowiedział bez wahania. – Pamiętam, że go nienawidziłeś.

– Po tym, co zrobił Paulinie...

– Paulinie? Myślałem, że po tym, co zrobił tobie. Że odszedł z tą... no jak jej tam...

– Weroniką.

– O, właśnie!

– Dobra, Rychu, dość. Mam większe zmartwienia. – Pomyślałem, że czas zapytać o najważniejsze.

Potał policzki, wpatrywał się w stolik. Wiedział, do czego zmierzam.

– Chodzi o twoją robotę, tak? – uprzedził mnie.

– Nie mogłeś mi o tym powiedzieć wcześniej? – spytałem z wyczuwalnym żalem. –

Przecież wiesz, że potrzebuję kasy, że zbieram każdy grosz...

– To tylko zmiana sposobu zatrudnienia. Założysz firmę i lepiej na tym wyjdiesz.

Zobaczysz.

– To wcale nie jest takie pewne. Sporo zależy od Majki.

– Pieprzenie. Od jakiej tam Majki? – zachnął się. – To, że tłusty tyłek wypina Stachowi i innym VIP-om, nie oznacza jeszcze, że rozdaje karty. Przynajmniej nie w redakcji.

Żałuję, że wyobraźnia podsunęła mi tę scenę. Oddałbym wiele za eliksir zapomnienia.

– A poza tym, nie ukrywajmy. To nie potrwa długo, Marek.

– To znaczy?

– Gdy wygram wybory, będziesz miał ciekawszą, spokojniejszą i lepiej płatną robotę. – Uśmiechnął się, poprawiając ręką włosy. – W ratuszu potrzebny jest przeciąg, żeby parę miernot poszybowało razem ze swoim obecnym szefem. A potem my zasiądziemy do stołu. – Pełne usta wykrzywiły się w uśmiechu. – Tylko wykaż się odrobiną dobrej woli i zrób to, co do ciebie należy.

Uśmiechnąłem się w duchu do wizji obfitych wypłat za umiejętność utrzymywania odpowiedniej ciepłoty urzędniczego stołka, do lepszego samochodu, kasy na wakacje i cateringowego żarełka na wszelkich rautach. Do zabawy w politykę przypominającej kłótnie malców o wiaderko w piaskownicy. Do gładkich rozmów w towarzystwie przez duże „T” i pyskowania w stronę Bydgoszczy. Do udawania, że Toruń jest pępkiem świata i stroszenia piórek.

Tak, piękna wizja. Tylko nie wiem, czemu skręcało mi jelita. Może dlatego, że to świat, w którym bez względu na sztandary, wszystkim lepiły się ręce. W którym klepią cię przyjacielsko po plecach, choć w rzeczywistości woleliby kopnąć w dupę tak mocno, byś w locie zdążył zdechnąć z głodu.

Zaraz wyrzygam i kawę, i sernik.

– Drogi Ryszardzie – zacząłem. – Sam najlepiej wiem, co do mnie należy. I proszę, bądź tak

uprzejmy i nie składaj mi nigdy propozycji nie do odrzucenia. Chyba że masz zamiar doświadczyć tego wzniosłego uczucia, kiedy odpowiem ci grzecznie „spierdalaj”.

Wstałem i wyszedłem z lokalu. Krew pulsowała w żyłach, a kości czaszki zaczęły zbliżać się ku sobie, ściskając mózg.

Dotarłem do redakcji. Łyknąłem proszki, które popiłem napojem energetyzującym. Zgasiłem tę nową stażystkę, która widząc moją minę, zalała mnie potokiem słów i chciała otoczyć matczyną troską. Odwróciła się na pięcie, a potem chyba wyszła z redakcji.

Usiadłem przed monitorem i tkwiłem tak bez ruchu. Spotkanie z Chojnickim było bez sensu, zacząłem żałować, że się z nim zobaczyłem. Czułem się wyczerpany psychicznie i fizycznie. Ostatnio nie wiodło mi się najlepiej.

Omiotłem wzrokiem biurko zavalone gazetami i papierzyskami. W oczy rzuciła mi się kartka z nagryzmołoną przeze mnie nazwą hostelu w Berlinie. Pamiętam, że rezerwowałem go w popłochu.

Do stolicy Niemiec pojechałem na kilka dni, ale ostatecznie zostałem ponad tydzień. Policja odebrała sygnał od Dietera Steinmeiera, berlińczyka polskiego pochodzenia, który zarzekał się, że widział moją żonę. Byłem tam dosłownie następnego dnia. Spotkałem się z nim, łamaną polszczyzną opowiedział, gdzie i o jakich porach widuje Agatę. Pokazałem mu zdjęcie żony, a on potwierdził, że to właśnie ta kobieta co jakiś czas wsiada razem z nim do U-bahnu na stacji metra Eberwalderstrasse w pobliżu Kulturbrauerei, starego browaru mieszczącego się w rozrywkowej dzielnicy Berlina.

Było jeszcze widno, kiedy zaparkowałem w pobliżu stacji. Mieściła się na wiadukcie przerzuconym nad obszernym, ruchliwym skrzyżowaniem. Widziałem ją już z daleka. Unosiła się nad drogą, a jej konstrukcję pomalowano na ciemnozielono. Wspierała się na solidnych betonowych filarach. Podszedłem bliżej. Z jednego z nich, po drugiej stronie skrzyżowania, w pobliżu bistro, patrzyła na mnie Marlene Dietrich ubrana w czarny frak z cylindrem na głowie i cygaretką w ręce. Krótkie spodnie odsłaniały smukłe uda. Była żywcem wyjęta z przedwojennego Błękitnego anioła. Pamiętałem ten stary film, bo Agata go uwielbiała. Zresztą nie tylko ten, generalnie uwielbiała stare obrazy, zgromadziła całą ich kolekcję.

Smutny wzrok Marlene nie nastrojał optymistycznie, jakby Lola Lola, którą grała w tym filmie, nie miała dla mnie dobrych wieści. Mimo to wszedłem schodami na peron. Był osłonięty stalową konstrukcją i zadaszony, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Może poza wiatrem, który hulał tu swobodnie i ze zdwojoną siłą.

Usiadłem na stalowym krzeselku w pobliżu wąskiej i wysokiej budki strażniczej obłożonej zielonymi kafkami. Elektroniczne wyświetlacze zawieszane przy kolejowych torach pokazywały minuty do przyjazdu kolejnych pociągów. Czekałem na ten, który wracał z Alexanderplatz. Po jakimś czasie żółty skład zatrzymał się z piskiem. Wysypali się z niego podróżni. Nie dostrzegłem blondynki, która figurą i wzrostem byłaby choć trochę podobna do Agaty. Poczekałem jeszcze kilka godzin. Następnego dnia tak samo. Kolejnego też.

Późnymi wieczorami wracałem przybity do pobliskiego hostelu. Nocą walczyłem z nadzieją, a rano z drżącymi ze strachu nogami, które znów musiały mnie nieść na zielony peron. Tonąłem w lęku. Wyobrażałem sobie, jak rozmawiam z Agatą, pytam o naszą córeczkę. Wizualizowałem nasze spotkanie po trzech latach rozłąki, powtarzałem zdania, które miałem jej powiedzieć, kiedy rzucimy się sobie w objęcia. A jednocześnie wiedziałem, że rzeczywistość i tak podsunie mi inne słowa, skrępuje ruchy, wysuszy gardło. Drżałem nie z zimna, tylko z lęku właśnie o ten moment.

Najczęściej szwendałem się po peronie. Rzadziej przechodziłem na drugą stronę skrzyżowania, by pod tym samym wiaduktem, przy odgłosach przejeżdżającego nad głową pociągu pić kawę z Marlene Dietrich. Codziennie dzwoniłem do Steinmeiera, około pięćdziesięcioletniego pracownika muzeum. Rozmawiałem z nim chyba tylko po to, aby dać sobie nowy zastrzyk nadziei.

Dopiero w poniedziałek, kiedy żółty pociąg zatrzymał się pod dachem Eberwalderstrasse, a tłum wysiadających przeredził się, zobaczyłem ją. Była odwrócona do mnie plecami. W czarnych spodniach, jasnobieżowym płaszczu do połowy ud, z lekko rozwianymi blond włosami szła w stronę

wyjścia z peronu.

Popędziłem za nią. Krzyczałem jej imię. Wpadłem jakby w inny wymiar. Świat wokół przestał istnieć, a oczy zachodziły mi łzami. Dodatkowo gardło miałem ściśnięte tak, że z trudem przełykałem ślinę. Zbliżałem się do niej jak w jakimś cholernym śnie. Robiłem długie kroki, ale praktycznie nie ruszałem się z miejsca. Bałem się, że za chwilę zniknie mi gdzieś w tłumie na dole stacji i że właśnie zaprzepąściłem ostatnią w życiu szansę, żeby ją zobaczyć.

Kiedy wreszcie dobiegłem do niej, dotknąłem jej ramienia. Świat zatrzymał się jak stop-klatka na filmie, wiedziałem, że spotka mnie dziś cud. Wszystko dobrze się skończy i wrócimy z Agatą do domu, przytulę córkę.

Potrzebowałem tego cudu, bardziej niż tlenu.

Kobieta odwróciła się. Była uśmiechnięta, może tylko lekko zaskoczona. W miarę jak na mnie patrzyła, jej uśmiech gasł, a mi brakowało powietrza, stacja zaczęła się gwałtownie kurczyć. Wpatrywałem się w jej twarz, chcąc zobaczyć w niej moją Agatę. Ale jedno jej spojrzenie pozbawiło mnie nadziei. Nogi odmówiły posłuszeństwa, padłem na kolana.

Kobieta odeszła, raz po raz oglądając się za mną ze zdumieniem, a potem ze strachem. Przyspieszyła, a stukot szpilek na krótko wypełnił opustoszałą już stację.

Była podobna do Agaty, ale wiedziałem, że to nie była ona. Nawet gdyby żona przeszła operację plastyczną, zdradziłaby się w takiej sytuacji gestem lub spojrzeniem. Byłem tego pewien. Drogi powrotnej do Torunia w ogóle nie pamiętam.

4

Wszedłem do Majki, żeby powiedzieć jej, że tekst o Chojnickim zmontuję jutro. Kręciła nosem, ale zamknąłem szybko drzwi. Chyba wyczuła, że nie jestem w nastroju do negocjacji.

Wróciłem przed komputer i sprawdziłem pocztę. Od przyjaciółki mojej żony dostałem maila przypominającego o ich ślubie w najbliższą sobotę. Oczywiście kompletnie o tym zapomniałem. Odpisałem, że będę.

Wysłałem kilka innych wiadomości i ze zgrozą spojrzałem na zegarek. Zbliżała się dziewiętnasta. Późno, biorąc pod uwagę pustą stronę na ekranie mojego kompa. Przedzwoiłem na górę do działu reklamy i podpytałem, czy mają cokolwiek, co ją zapełni. Nekrologi, reklamę, ogłoszenie o przetargu, wziąłbym każde gówno, byle duże. Oczywiście nie mieli, więc znowu zawiodłem się na pozytywnym myśleniu.

Przejrzałem papiery i fakсы wysłane do redakcji. Zero newsów.

Przez głowę przemknęła mi nedorzeczna myśl, że to dobrze, że rezygnuję z tej roboty, bo wreszcie będę miał spokój. Tak, kurwa, potrzebna mi nirwana! Spokój buddyjskiego mnicha w oparach olejków eterycznych i blasku świec w klasztornej celi.

– Kiedy pisaliście coś o remontach dróg? – rzuciłem na skraju desperacji do pochylonych nad klawiaturami znajomych.

– Coś tam dłuhałem – odezwał się Krzysztof Smulski, grubszy, złotobrody student geografii. Przypominał mi profesora Bralczyka. Młodego Bralczyka. Chociaż nie miałem pojęcia, jak profesor wyglądał, gdy był magistrem.

– Szeroko czy tylko na osiedlach? – wolałem dopytać.

– No, tak bardziej ogólnie – odpowiedział, gładząc brodę.

Świetnie, bardzo mi pomógł.

– A na policję ktoś dzwonił? Wydarzyło się coś ciekawego?

Basia Rymarska od sądu i kryminałków – najdłuższe nogi w redakcji, w dodatku proste – podchwyciła temat.

– Dzwoniłam, ale nic się dziś specjalnego nie działo.

Wziąłem dwa głębokie oddechy, po czym zabrałem się do pisania tekstu o Chojnickim, potencjalnym kandydacie na prezydenta. Szlag trafił asertywność.

Z trudem utkałem swoją stronę, a dwie kolejne złożyłem między innymi z poprawionych tekstów Basi i Krzyśka. Wydrukowałem komplet, powiesiłem na ścianie. Mizeria. No cóż, nie każdym tekstem zdobywasz Pulitzera.

Zamierzałem wyjść, ale coś mi się przypomniało.

– Gdzie jest Radek? – Chciałem wreszcie obejrzeć zdjęcia rudery w Przysieku, o której rozmawialiśmy, wracając z miejsca pożaru.

– Poszedł robić zdjęcia na budowie sali na Jordankach – rzuciła Basia, nie odwracając się od monitora.

Znowu chciałem być chińskim mnichem.

Szedłem w stronę Rynku Staromiejskiego. Umówiłem się z Niką, że przyjedzie do centrum i zjemy gdzieś obiad, chociaż pora wskazywała raczej na kolację.

Z gęstych czarnych chmur znowu zaczął siąpić deszcz. Szedłem Szeroką, z każdym moim krokiem wieża ratusza wylaniała się zza kamienic. Kiedy byłem mały, babcia zatrzymywała się ze mną jakieś dziesięć metrów wcześniej. Szeptala mi kilka zdań do ucha. A potem trzymając się za ręce, biegliśmy co sił w nogach i patrzyliśmy przed siebie po to, by zobaczyć, jak ten wielki żaglowiec z czerwonej cegły, wypływa zza budynków, opuszczając port. Biegaliśmy tak po kilka razy. Cud, że to przeżyła.

I teraz też obserwowałem ratusz wypływający w rejs. Dziś wspomnienie potęgował mokry, błyszczący jak morze bruk.

Przystanąłem pod pomnikiem Kopernika i zerknąłem na zegar wieży ratuszowej. Było krótko po osiemnastej. Mimo chłodu i deszczu nie brakowało tu ludzi. Dwa rynki i jakby dwa światy. Kilkaset metrów stąd Rynek Nowomiejski świecił pustkami, jakby zakazano tam wstępu.

Odezwał się mój telefon.

– Cześć, mamó.

– No cześć! Czemu się nie odzywasz? Co u ciebie?

– Wszystko dobrze – skłamałem. – A u was?

Opowiedziała o pracy ojca w laboratorium i jej długich spacerach, o świetnej pogodzie i o tym, co sobie kupiła. Zapytała, czy chciałbym niebieską koszulę w paski. Dla świętego spokoju chciałem. W tej samej chwili zauważyłem Nikę. Podniosłem rękę, ale nie dostrzegła mnie.

– Dobra, muszę już kończyć, mamó – stwierdziłem.

– Chwileńka! – przerwała mi i powiedziała, że od kilku dni próbuje dodzwonić się do Pauliny, ale jej telefon milczy.

Nie, nie rozmawiałem z nią, mamó. Dobrze, zadzwonię. Oczywiście, obiecuję. Powiem jej nawet, że Chojnicki chce ją znowu zatrudnić. Tak, mówił o tym. Też się cieszę, mamó.

Nika przystanęła przy mnie. Była zgaszona. Po jej krótkich jasnych włosach spływał deszcz, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Myślni była gdzie indziej. A raczej z kim innym. Widziałem to w jej dużych oczach.

– Dobra, kończę już. Pozdrów tatę.

– Ale zadzwoń do niej. Obiecuj – poprosiła.

Obiecałem. Rozłączyłem się i przywitałem się z Niką. Poszliśmy przed siebie.

– Makaron czy pierogi? – spytałem, chcąc na chwilę dać jej zapomnieć o tragedii.

– Naleśniki. Ale i tak nie jestem głodna – oznajmiła beznamiętnie.

Poszliśmy do Manekina, tego przy poczcie głównej na rynku. Zajęliśmy jedyny wolny stół w samej witrynie i złożyliśmy zamówienie. Dwa razy to samo. Naleśnik -kebab z sosem warzywnym i czosnkowym. Zgłodniałem już po samej lekturze menu.

Weronikę coś gryzło. Nie patrzyła mi w oczy, siedziała ze spuszczoną głową, zrezygnowana i milcząca. Piękna. Uwielbiałem jej prosty nos, piwne oczy otoczone ciemną kreską rzęs i dołki w policzkach. Do tego pełne, pięknie zarysowane usta. Krótkie blond włosy dodawały jej seksapilu. Minęło dziesięć lat, które w niczym jej nie zaszkodziły.

– Nigdy mu nie uwierzyłeś, prawda?

Mogłem się spodziewać, że to pytanie padnie prędzej czy później.

– A ty uwierzyłaś mu od razu.

– On tego nie zrobił.

Pokiwałem głową.

– Wtedy też tak mówiłaś.

– Wiem, że tego nie zrobił – powiedziała stanowczo.

– Tamten wyjazd wszystko zmienił, Nika. Popełniłem błąd, nie powinienem zostawiać Pauliny samej w domu.

– Była dorosła.

– Na Boga! Miała dopiero siedemnaście lat! – podniosłem głos.

Święta Bożego Narodzenia w 2002 roku rodzice spędzali w Niemczech. Ojciec zdobył jedno z pierwszych kilkumiesięcznych stypendiów. Zostaliśmy z Pauliną sami w dawnym mieszkaniu Na Skarpie. Oczywiście większość czasu spędzałem z Niką i nie widziałem, że z Pauliną dzieje się coś złego. Skutecznie to przede mną ukrywała. Wpadliśmy z Niką na szalony pomysł wyjazdu do Zakopanego na sylwestra. Na trzy noce. Sami. Bez Pauliny i Wojtka, którzy zbliżyli się do siebie po wspólnych letnich wояżach wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Chcieliśmy w ten sposób uczcić nowy rok, ale i moją pracę, którą właśnie od stycznia zaczynałem w „Miejskiej”. Byłem już po rozmowie z prezesem wydawnictwa Stanisławem Rudnikiem i po podpisaniu umowy.

Związek siostry z moim przyjacielem był dziwny. Może ze względu na Paulinę, a może Wojtka. Byli o siebie zazdrośni, kłócili się. Zrywali i schodzili na nowo.

– Nigdy ci tego nie mówiłem, ale przed wyjazdem, gdy wychodziłem z domu, Paulina prosiła, błagała mnie, żebym został – powiedziałem, gdy talerze z parującymi daniami postawiono na stole. Żadne z nas nie chwyciło za widelec. – Chciałem ją uspokoić, powiedzieć, że wrócimy za dwa dni. Ale ona tylko płakała. Musieli pokłócić się z Wojtkiem, może nawet jej groził. A ja głupi olałem ją i wyszedłem z domu.

– On nic jej nie zrobił – wtrąciła się.

– Nic jej nie zrobił. Jasne – prychnąłem. – Przecież byłaś ze mną, gdy wróciliśmy do mojego domu.

Pamiętałem to jak dziś. W drzwiach klatki minęliśmy wściekłego Wojtka, który potracił nas i, rzucając przekleństwa, zniknął za blokiem. Drzwi do mieszkania otworzyła Paulina.

– Nigdy nie zapomnę jej wyglądu. Była cała w siniakach – syknąłem wściekły na to, co wtedy się wydarzyło. – Myślałem, że ją zgwałcił. Byłem głupi, że zostawiłem ją samą. Powinienem wtedy myśleć głową, nie rozporkiem.

Drgnęła. Te słowa musiały ją zranić.

– Wiesz, co mam na myśli – próbowałem się wytłumaczyć.

Nabiłem na widelec kawałek kurczaka ociekający czosnkowym sosem, ale odłożyłem go.

Nic bym teraz nie przełknął.

– Dlaczego z nim nie porozmawiałeś?

Westchnąłem.

Pytałem go o to tysiąc razy, ale zawsze milczał, a Paulina zamknęła się w pokoju.

Poszedłem więc do sąsiadki, takiej wizjer-baby, co to nawet zupę gotuje w przedpokoju, żeby mieć podgląd na klatkę, i ona nagadała mi tyle, że Wojtek niczego nie musiał już wyjaśniać. Słyszała krzyki, chciała wzywać policję, ale ze względu na naszego ojca, czcigodnego, jak to określała, profesorka UMK, tego nie zrobiła. Poza tym widziała, jak Wojtek wychodzi z mieszkania, trzaskając drzwiami. Zapukała do nas, ale Paulina nie chciała jej otworzyć, a gdy to wreszcie zrobiła, uchyliła drzwi, chowając się za nimi. Już wcześniej przepychali się i bili.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz ją uderzył? Twierdziła, że wpadła na koleżankę podczas treningu siatkówki.

– To był jeden jedyny raz – szepnęła Nika.

Krew się we mnie gotowała.

– Ciebie też tak prał? – spytałem, ale zamiast odpowiedzi dostałem od Niki w twarz.

Plasnęło tak, że obecni w knajpie spojrzeli w naszym kierunku. Skóra zapiekła.

Podniosłem widelec, który spadł razem z mięsem na podłogę.

– Pamiętasz, że Paulina próbowała się powiesić? Z trudem ją odratowaliśmy. Już nigdy nie była tą samą wesołą dziewczyną. Nigdy – dodałem. – Nie licząc rodziców, praktycznie ze wszystkimi zerwała kontakty i wyniosła się do Anglii.

Zbierał się we mnie jad. Pomyślałem, że trzeba go wylać do ostatniej kropli, bez względu na konsekwencje.

– Natomiast ty trzy miesiące później odeszłaś ode mnie bez słowa. A po kilku kolejnych tygodniach zobaczyłem ciebie i Wojtka razem. – Na wszelki wypadek odsunąłem się poza zasięg jej ramion.

– Odeszłam od ciebie, bo oszalałeś. Przestałam się w ogóle liczyć. Tego jednego dnia wszystko z ciebie wyparowało. Nosileś w sobie tylko złość. I za nic nie chciałeś z nim rozmawiać, nigdy nie prosiłeś go o żadne wyjaśnienia. Zachowałeś się jak uczeń z podstawówki. Uderzyłeś go!

– No tak, biedny Wojtuś...

– Zamknij się! – krzyknęła.

– Za to ty miałaś czas, żeby go odwiedzać i pocieszać. Zapewne tak skutecznie, że nawet wylądowaliście w łóżku.

Nika porwała torebkę i wybiegła z restauracji. Widziałem przez szybę, jak szybkim krokiem przemierza wybrukowany kocimi łbami rynek.

Moje serce wybijało rytm do szybkiego bluesowego numeru. Wprost cudownie. Piękną pomoc oferuję byłej narzeczonej, która wczoraj straciła męża. Przynajmniej teraz już wiem, co wpisać do CV, kiedy będę szukał nowej roboty. Wystarczy jeden wyraz.

Kutas.

5

Położyłem się na sofie, wrzuciłem płytę do odtwarzacza DVD. W domu było ciemno, blask bił od telewizora, w którym Humphrey Bogart jako detektyw Spade w Sokole maltańskim przyjmował gościa w swoim gabinecie. Miałem wszystkiego dość, odechciało mi się żyć. Myślałem o śmierci jak o czymś, co może przeciąć pasmo nic nie wartego, pustego życia. Jak wykres elektrokardiogramu na monitorze, który z wielu kresek biegnących raz w górę, raz w dół przechodzi nagle w długą poziomą linię. I w naturalny sposób odcina życie od śmierci. Ciach! I po wszystkim.

Powinienem zejść do salki ćwiczeń w piwnicy i wyłomotać bokserski worek. Może znowu nabrałbym ochoty na cokolwiek. Albo wciągnąć te śmieszne obcisłe gacie i pobiegać po osiedlu. Napędziłbym sobie trochę endorfin do krwiobiegu. Zamiast tego wróciłem myślami do mojej bokserskiej przygody. W amatorskim sporcie szedłem jak burza, wygrywając większość walk. Zmieniałem kategorie wiekowe i wagowe. Pisano o mnie w branżowej prasie, wychwalając mój lewy prosty, starą dobrą polską szkołę boksu. Ale zanim moja kariera zaczęła się na dobre, wdałem się w bójkę. Gruchnęła kość właśnie w lewej ręce, a wraz z nią marzenia o mistrzowskich pasach. Rękawice zawiesiłem na kołku i dziś boksowałem już tylko amatorsko. Ale zawsze gdy myślałem o tamtych czasach, to głuche chrupnięcie w łokciu na nowo rozbrzmiewało mi w głowie.

Wspomnienia spowodowały, że znowu odezwał się ból tuż za oczodołami. Nie miałem siły się podnieść ani sięgnąć po telefon, który przytłumiony grał smętną melodię w kieszeni kurtki. Boże, nawet dzwonki w telefonie brzmiały depresyjne.

Nie wiem, kiedy zasnąłem, ale znowu śniłem ten sam koszmar.

Jak zawsze goniliśmy się przed starą kamienicą. A potem na wewnętrznym podwórku

odnalazłem jej ciało wiszące na sznurze przywiązany do zardzewiałego trzepaka. Włosy opadały jej na twarz i falowały z wiatrem. Spuściłem wzrok. Spod sukienki, po wewnętrznej stronie ud i kolanie spływała wąska strużka krwi. Docierała do białej skarpetki, tworząc na niej szeroką plamę i barwiąc sandały, a potem zbierała się w grubą kroplę pod dużym palcem. I stamtąd skapywała głośno wprost do małej, ciemnobordowej kałuży. Za nią leciały kolejne. Byłem przerażony. Zakryłem dłonią wciąż otwarte usta.

Kap... kap... kap.

Uniosłem lekko powieki.

Ktoś pukał do drzwi. Sen mieszał się z jawą. Nasłuchiwałem.

Puk, puk, puk.

Podniosłem się z trudem i zaspany poszedłem do korytarza. Bez słowa wpuściłem Weronikę. Nie patrzyliśmy sobie w oczy, nie mieliśmy siły na rozmowę, więc zawlokłem się do sypialni na górze. Zasnąłem od razu. Nie wiem, która była godzina, gdy usłyszałem skrzywienie desek pod materacem. Chwilę później jej ciepłe, nagie piersi dotknęły moich pleców. Rękę wsunęła w moje bokserki. Z początku byłem pewien, że to erotyczny sen, i chciałem, żeby trwał jak najdłużej. Widziałem w nim rozpuszczone blond włosy mojej żony, które falowały wtedy, gdy mnie dosiadała. Kiedy była już blisko, pochylała się i opuszczała głowę. Jej ruchy były wtedy mocniejsze i głębsze, takie, jak lubiłem, a końcówki długich włosów łaskotały mnie w klatkę piersiową.

– Och – jęknąłem. – Agata...

Materac ponownie zatrzeszczał. Usłyszałem kroki i odgłos zamykanych drzwi. Wtedy obrazy odpłynęły.

Jezu, to była Nika!

Tętno powoli wracało mi do normy, odczekałem, aż minęła erekcja, i poszedłem do jej pokoju pełen wstydu i zażenowania. Nie pukałem. Leżała na boku plecami do mnie. Patrzyłem, jak promień światła z ulicznej latarni wpadał do ciemnego pokoju i kładł się dziwnym skosem na ukrytym pod kołdrą biodrze.

Nie odwróciła się do mnie.

– Nika... – zacząłem, ale nie wiedziałem, jak skończyć. Na szczęście wybawiła mnie z tej opresji.

– Zdradziłam go – szepnęła.

Położyłem się obok, jedną rękę wsunąłem pod jej szyję, a drugą położyłem na biodrze. Nie opierała się. Chłonałem cytrusowy zapach jej skóry.

– Wojtek założył w domu kamerę. – Na szczęście Nika nie wróciła do wydarzeń sprzed kilkunastu minut.

– Nie rozumiem.

– W domu. W tym, który spłonął. Nagrywał wszystko na ukrytą kamerę.

Długo trwało, zanim przetrwałem tę informację.

– Po co to robił?

– Chyba mi nie ufał. Może myślał, że kogoś mam.

– A masz? – Zacząłem bać się jej odpowiedzi.

– Nie – rzuciła szybko i zamilkła. Odezwała się dopiero po chwili. – Dom stał pusty przez kilka miesięcy. Myśleliśmy o tym, żeby go zburzyć. Ale kiedy nie dostaliśmy kredytu na budowę nowego, trzeba było coś z nim zrobić. Bywałam tam od czasu do czasu.

– Sama? Po co?

– Robiłam jakieś drobne porządki, kiedyś z koleżanką umówiliśmy się na wino i zostałyśmy na noc. Potem powtórzyłyśmy to dwa albo trzy razy, zaliczając wcześniej kino. Może myślał, że go zdradzam.

– Holtz był zawsze chorobliwie zazdrosny – stwierdziłem, jednak nie miałem zamiaru wywoływać żadnej wojny. – Ale czemu mi o tym mówisz?

– Ty zawsze mi ufałeś.

W jej słowach wybrzmiała nuta nostalgii. Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale miała rację. Uważałem, że w związku trzeba dać kredyt maksymalnego zaufania. Inaczej miłość nie ma sensu.

– Kiedy byłeś w pracy, zadzwonił do mnie policjant. Janowski, albo Jankowski. Jakoś tak.
– Jacek?
– Znasz go?
– Jeśli o niego chodzi, to tak. Podkomisarz Jankowski. Robiłem kilka materiałów, przy których bardzo mi pomógł. I co powiedział?
– No właśnie to, że w spalonym domu znaleziono kamerę.
– Hmm – mruknąłem.
– Co? – spytała jakby wyrwana ze snu.
– Kamera to jedno, pytanie, gdzie jest to, co nagrywał? Znaleźli jakieś płyty albo karty pamięci? Sprawdzili jego komputer?
– Nie wiem. – Zwinęła się w kłębek i naciągnęła kołdrę niemal na uszy.
– Nie spytałaś?
– Tak mnie to zszokowało, że nie pamiętam już, co potem powiedział. Ale jeśli coś znalazł, to powinien mi o tym chyba sam powiedzieć, nie?

Usiadłem, bo bliskość jej ciała nie pozwalała mi się skupić. Znowu długo milczeliśmy. Pod oknami przejechał samochód. Snop światła układał się w trapezy na suficie.

Weronika odezwała się pierwsza.

– Tylko raz go zdradziłam. Dawno temu... Ale nigdy się o tym nie dowiedział.

– To dobrze. Tak naprawdę nikt nie chce o tym wiedzieć – stwierdziłem.

– To było, kiedy...

– Nika, tak się składa, że ja też nie chcę wiedzieć – przerwałem jej i poszedłem się wysikać.

Wróciłem do siebie. Na poduszce pozostał lekki kwiatowy zapach jej perfum albo szamponu. A może tak mi się tylko wydawało. Resztek nocy nie spędziłem jednak sam. Do bladego świtu towarzyszyły mi wyrzuty sumienia. Miałem wielką ochotę na seks z Weroniką. Byłem głodny ciała kobiety, a jednocześnie tęskniłem za moją Agatą. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio przespałem się z jakąś babką, ani dokładnie z którą. Z trudem przypominałem sobie miejsca, w których się bzykałem. Były to najczęściej szybkie akcje, często po pijaku, w kiblach toruńskich pubów, czasami na parkingu w samochodzie. Pamiętałem, jak kiedyś nocą dwie studentki prawa zabawiały się ze mną w Katarzynie, która dawno temu przerzucała turystów na drugi brzeg Wisły, a dziś wystawiono ją na bulwarze, jak pomnik minionych lat.

Rok po zaginięciu Agaty i okresie totalnego celibatu zacząłem częściej ściągać spodnie. Ba, miałem wrażenie, że w tej dyscyplinie na głowę biłem nawet najbardziej kasowego gwiazdora porno. Nie był to powód do dumy, oczywiście. Bo w niewyobrażalny, wręcz fizyczny sposób, przygniatał mnie ciężar wyrzutów sumienia. A jeśli Agata i nasza córka żyją? Jeśli przez cały ten czas ona była w niebezpieczeństwie, a ja dymałem studentki? To chore, ale w takich chwilach, wolałem, żeby Agata nigdy się nie odnalazła. Po prostu nie wiedziałem, czy udźwignę ciężar wszystkich moich grzechów, gdy będę musiał spojrzeć jej prosto w twarz. Co jej wtedy powiem?

Pocieszałem się tylko, że jeśli ona żyje, być może codziennie musi robić to samo. Czyli upychać po kątach nieświadomości wszystkie swoje wyrzuty sumienia. O ile je w ogóle miała.

PIĄTEK

25 października 2013 roku

Obudziłem się z uczuciem piekących powiek.

Zajrzałem do pokoju, w którym spała Weronika, ale nie było jej tam. Na dole też. Nie wiem, ani kiedy, ani dokąd wyszła.

Zjadłem szybkie śniadanie i zrobiłem sobie dwie kanapki do pracy. Spóźniłem się na kolegium, bo zadzwoniła do mnie teściowa. Powiedziała, że jest w szpitalu.

– W coś ty się wpakował, co? – zapłakała.

Zatkało mnie.

– Pytam, w coś się wpakował?! Był u mnie niejaki Butrych. Mówi ci coś to nazwisko, co? – spytała, pociągając nosem.

Oczywiście, że mówiło.

– Czego chciał? – siliłem się na spokój.

– Prawie złamał mi rękę! – zapiszczała.

Prawie robi różnicę.

– Czego chciał?! – warknąłem.

– Powiedział, że ty już dobrze wiesz czego, i kazał, żebym ci przekazała, że więcej ostrzeżeń nie będzie. Coś ty najlepszego narobił, co?

– Nic nie narobiłem. Załatwię to. Już nie będzie cię nachodził. – Rozłączyłem się.

Dudniło mi serce.

Marian Butrych był bohaterem jednego z moich tekstów w weekendowym wydaniu „Miejskiej”. Oczywiście czarnym bohaterem, człowiekiem, który myślał, że na starych niedołączonych ludziach można zbić majątek. Dom spokojnej starości „Zielona Opoka” w Łubiance był jego kolejną inwestycją po rozbudowie w regionie sieci zakładów wulkanizacyjnych i komisach samochodowych, w których reanimowano wysłużone wozy z Niemiec. Butrych prowadził również korporacje taksówkarskie w Toruniu i Bydgoszczy, miał kilka pizzerii oraz dwa nocne kluby w Grudziądzu i Brodnicy pod wspólną, jakże intrygującą nazwą Czikita. Dom dla seniorów pasował do jego dotychczasowych interesów jak plebania do burdelu. Co prawda nowym dzieckiem Gumpoleksu – spółki matki wszystkich interesów Butrycha – zajmowały się jego żona i córka. Ale była to wyłącznie przykrywka. Wybudowany obiekt wraz z dużym ogrodem wśród starych drzew, ze stawem i fontanną zyskał uprawnienia wszelkich możliwych służb. Nikt jednak nie sądził, że po przyjęciu blisko pięćdziesięciu pensjonariuszy biznes będzie rozwijał się nie dzięki stałym opłatom wnoszonym przez rodziny czy potrącanym z rent lub emerytur domowników, jak ciepło określano pensjonariuszy w „Zielonej Opoce”, tylko ze sprzedaży ich mieszkań. Sprytne? Oczywiście Butrych wymyślił haczyk. Podpisując umowy na korzystnych warunkach i przy niedrogich miesięcznych opłatach, pensjonariusze zobowiązywali się do zrzeczenia się własnych mieszkań na rzecz „Zielonej Opoki”, o ile spędzą w ośrodku rok, a potem zadeklarują chęć pozostania w nim do końca życia. Mieszkania w starannie wybranej lokalizacji, w pobliżu Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, po lekkim odświeżeniu były wynajmowane studentom albo sprzedawane. Afera wybuchła kilka tygodni temu, gdy w ten sposób cztery lokale sprzedano, eksmitując z nich rodziny starszuchów, a kolejnych dziesięć wynajęto studentom.

Opisałem proceder i wtedy zaczęły się problemy. Butrych najpierw zaprosił mnie do Łubianki leżącej około dwudziestu kilometrów na północ od Torunia. Godzinę tłumaczył zasady naboru do domu opieki i roztaczał wizję budowy kolejnych tego typu obiektów w Polsce. Zaprowadził mnie nawet do studia nagrań, które powstało w „Zielonej Opoce” jako prezent dla córki śpiewającej w popowym zespole. Studio wyglądało pierwszorzędnie.

Po mojej publikacji, która nie obyła się bez awantury z Majką, co potwierdziło tylko moje obawy o koneksje Butrycha z moim wydawcą, sprawą zajęły się ogólnopolskie media, w tym większość programów interwencyjnych. Wokół „Zielonej Opoki” zrobił się smród. Butrych zaczął więc straszyć mnie prawnikami i sądem. Potem rzucał w słuchawkę przekleństwami, obrażał mnie do trzeciego pokolenia włącznie. Tymczasem szykował się przeciw niemu zbiorowy pozew. Butrych zagroził, że jeśli pismo trafi do sądu, policzy się ze mną. I teraz, jak zrozumiałem, nadszedł czas wypłaty.

Zadzwoniłem do Butrycha, ale nie odebrał. Wysłałem więc SMS-a, żeby się odpiardolił, a jak ma coś do mnie, niech nie zgrywa siłacza przed starszą kobietą, tylko spróbuje szczęścia ze mną.

Wparowałem do newsroomu. Zorientowałem się, że kolegium dobiegło końca, ale Majka i

tak znacząco spojrziała w moją stronę. Nie mogła sobie darować.

– Wróć do tematu pożaru w Przysieku – stwierdziłem bez namysłu, chociaż zdawałem sobie sprawę, że ani nie było do czego wracać, ani nie zamierzałem opisywać tego, co opowiedziała mi w nocy Weronika. Naczelną kręciła nosem, ale w końcu ją przekonałem tym, że napiszemy co nieco o zapobieganiu takim sytuacjom. A na starcie sezonu grzewczego miało to sens. Obiecałem też zrobić wywiad z jakimś strażakiem i przywołać trochę czarnych statystyk. Nie miałem wątpliwości, że zawodowo schodziłem na psy. Być może to efekt tego, że widziałem już metę. Jeszcze kilka dni, może tygodni i zabiorę stąd swoje manatki.

Naczelną zgodziła się, podsumowała dyspozycje, a potem kiwnęła na mnie palcem, jakbym był kelnerem. Przeszliśmy do jej gabinetu.

– O czym zapomniałeś? – spytała, jakby właśnie ukąsiła ją osa. Jej wahania nastrojów przypominały jazdę na rollercoasterze.

– Powinienem pochylić czoło przed wejściem do przybytku redaktorki?

– Nie błaznuj, kuźwa! – Dmuchnęła w swoją grzywkę, która podskoczyła i opadła w to samo miejsce. – Dyżur dziś masz! To ty powinieneś prowadzić kolegium.

Kompletnie o tym zapomniałem, ale i tak byłem przekonany, że jej złość opiera się na innych fundamentach. Chciałem coś powiedzieć, ale uniosła obie ręce.

– Nie chcę słuchać żadnych wymówek. Zrobisz ten numer, bo mam dziś wizytę lekarską – oznajmiła.

– Majka, zamienimy się...

– Trala lala, trala lala. – Zatkała sobie uszy i darła się jak głupia.

Zależało mi na wolnym popołudniu. Chciałem zwyczajnie pobyć z Weroniką. Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu być z nią przez chwilę. Zwyczajnie się o nią martwiłem.

– Wezmę za ciebie najbliższy weekend – obiecałem.

Przestała śpiewać, żeby się potargować. Zawsze tak robiła.

– Dwa weekendy – rzuciła, przekładając papierzyska na biurku.

– Nie przesadzaj! To łącznie z moim, wypadającym za tydzień, będą w sumie trzy. I to pod rząd!

– Trala lala... – Znowu zatkała uszy.

Kuźwa! Zwariował babsztyl jeden.

– Dobra, niech ci będzie – stwierdziłem zrezygnowany.

Uśmiechnęła się tryumfalnie.

Wychodząc z jej gabinetu, natknąłem się na Radka. Tym razem na szyi przewiązał sobie żółty szalik. Albo chustę.

– Aldona mówiła, że mnie wczoraj szukałeś – powiedział.

– Aldona?

– No, ta stażystka, córka Terleckiego. – Pokazał na jej puste biurko.

– Aaaa, racja. A właśnie, gdzie ona jest? – Mogłaby mi się przydać do napisania kilku tekstów.

– Na uczelni, ma tydzień przerwy w stażu. Magisterki broni.

– Cholera, niedobrze – przygryzłem wargę.

– Ale mów, co chciałeś.

– Chodziło mi o te zdjęcia.

– Z pożaru? – zdziwił się. – Przecież dostałeś.

– Nie. Te, o których rozmawialiśmy później.

– Rudera i schron?

– No właśnie. Masz je jeszcze? – spytałem, kiedy zasiedliśmy przed swoimi komputerami.

– Poczekaj, zaraz znajdę. – Chwycił myszkę. – A co ci tak na nich zależy? Ostatnio nie chciałeś ich oglądać.

– Muszę coś sprawdzić. – Przypomniało mi się, że ktoś obserwował nas, gdy byliśmy z Niką w spalonym domu. Może Rak przypadkowo uwiecznił go na fotografii.

Radek wertował twarde dyski w poszukiwaniu odpowiedniego folderu. W tym samym czasie

spojrzałem na ekran mojego telefonu. Miałem jedno nieodebrane połączenie od technika sekcyjnego w szpitalu na Batorego. Opisałem kiedyś bezpodstawny plan eksmisji jego matki z lokalu socjalnego. Koledzy z „Pomorskiej” i „Nowości” pociągnęli temat. Zrobiła się medialna zawierucha, ale mieszkanie udało się uratować. Oddzwoniłem do niego.

– Mam coś dla ciebie, szef – zaskrzeczał w słuchawce jego głos. Nie wiem, czemu mnie tak nazywał.

– Co takiego?

– Dziś robimy sekcję tego gościa, co się spalił. Zrobiłem parę obrazków. Wysłać?

– Obejdzie się, nie skorzystam. Nie tym razem – odpowiedziałem, ale on ciągnął dalej.

Zdarzało się, że w ramach wdzięczności podrzucał mi jakieś foty z prosektorium. Żaden nielegal ani nic nieprzyzwoitego. Po prostu coś, co lepiej niż fotki z zagranicznych portali obrazowało temat śmierci lub ludzkich dramatów, medycznych błędów. Czasami były to tylko narzędzia sekcyjne albo stopa trupa z zawieszoną na paluchu kartką, czasami lodówka na zwłoki. Trzeba przyznać, że miał gość rękę do dobrych ujęć. Podpisywałem je w gazecie swoim nazwiskiem, ale za każde wręczałem dobry banknot.

Nie słuchałem go, bo Radek wskazał na swój monitor. Przysłoniłem słuchawkę ręką i poprosiłem go szeptem, żeby powiększył fotkę. Rudera wypełniła cały ekran.

– No więc pomyślałem, że takie zdjęcie chciałbyś jednak mieć, szef – zaskrzeczał technik.

– Jakie zdjęcie? – Chrząknąłem, bo nie dotarło do mnie, co wcześniej mówił.

– No tej łapy spalonej.

– Nie, dzięki. Muszę kończyć – stwierdziłem na odczepnego i rozłączyłem się.

Widok na ekranie przyciągał jak magnes. Radek przełączał kolejne fotki.

– Kiedy je robiłeś, kręcił się ktoś w pobliżu? – spytałem.

– W tej szopie? Nie. A czemu pytasz?

– Ostatnio kiedy tam byłem, ktoś nas obserwował.

– Nas?

– Mnie i żonę ofiary.

– Uuu, stary! Poczekaj chociaż, niech jej mąż trochę ostygnie – zaśmiał się.

Nie miałem ochoty na głupie żarty.

– Stop! – Coś przyciągnęło moją uwagę. – Możesz powiększyć ten fragment? –

Wpatrywałem się w zdjęcie rudery. W tle znajdował się położony równolegle długi, szary budynek z betonowych płyt. Radek zaznaczył fragment, kliknął myszką i uzyskał przybliżenie. Było niezbyt wyraźne, ale nie miałem żadnej wątpliwości.

– Nie widziałeś tego faceta? – Wskazałem palcem zarys postaci wychylającej się zza węgła.

– Nie, dopiero teraz. Ale zaraz, zaraz... Co to za budynek? – spytał właściwie sam siebie i wrócił do folderu ze zdjęciami oznaczonego odpowiednią datą. Odszukał inne, na którym większa część obiektu z popękаныmi szybami znajdowała się w kadrze. Znowu powiększył. Nad drewnianą zaniedbaną bramą wisiała niebieska tabliczka. – Wodociągi – stwierdził. – Może to ich pracownik?

– To czemu się chował?

Poprosiłem, żeby zgrał mi gdzieś te zdjęcia, chciałem im się jeszcze przyjrzeć. Coś mi podpowiadało, że to ten sam gość, który obserwował nas, gdy byliśmy w spalonym domu. Ale pewności nie miałem. Wolałem jednak powiedzieć o tym Weronice. A może po prostu chciałem znowu usłyszeć jej głos.

Zadzwoiłem, ale nie odbierała telefonu. Pomyślałem, że odezwie się wkrótce, więc odłożyłem aparat i zabrałem się za teksty. Chciałem szybko mieć je z głowy. Umówiłem się na spotkanie ze strażakiem. Powinienem zrobić mu zdjęcie do gazety i pogadać chwilę o sposobach zabezpieczania się przed pożarami.

Przyjął mnie w małym gabinecie na terenie jednostki Państwowej Straży Pożarnej przy Legionów. Żółty budynek z czerwonymi poziomymi pasami i takiego samego koloru wysokimi bramami dla pojazdów gaśniczych. Tutaj też znajdowało się centrum zarządzania kryzysowego i stanowiska monitoringu. Po zaginięciu Agaty znałem te pomieszczenia jak własny dom.

– Kawy? – spytał tubalnym głosem czterdziestokilkuletni zupełnie łysy i dwumetrowy facet.

Miał lekko rozpięty czerwony polar z wyhaftowanym logo jednostki na lewej piersi i niebieskie dzinsy, z których dobry krawiec mógłby uszyć dla mnie dwie pary spodni, a jakby się postarał, to zostałyby na kamizelkę. Kiedy szedł do czajnika, po podłodze szurały czarne kroksy wielkości płetw. – Sam też chętnie się napiję.

Wypytałem go o porady związane z zabezpieczeniem przed czadem, a potem dopytałem o przyczynę pożaru domu Holtza – Dla nas od początku wszystko było jasne. – Podciągnął rękawy polaru, odsłaniając gęsto porośnięte, wręcz czarne przedramiona. Jak był mały, musiał wpaść do wanny pełnej testosteronu. – Wygląda na to, że facet palił peta i zemdłał. Ale pech chciał, że upadając, rozlał rozcieńczalnik do farb. Ogień wybuchł natychmiast. Poza tym to był stary dom, ze starymi parkietami i boazerią. Wszystko to pokryte warstwą starych lakierów, które przy głośnym pierdnięciu potrafią się zająć, a co tu mówić o materiale łatwopalnym. W dodatku wszędzie pootwierane były okna, więc cug jak w kominie. Chałupa stanęła w płomieniach jak zapalka. No i skończyło się grillowaniem gościa dosłownie z każdej strony. – Zamyślił się przez chwilę i pokręcił głową, wpatrując w jakiś punkt za oknem. Wesołość wyparowała. – Chyba pierwszy raz widziałem tak spalone ciało.

– To pan tam był? – zdziwiłem się.

– No tak się złożyło. Ale raport robił już nasz biegły prewentysta.

– I wnioski się pokrywają?

– W sprawie przyczyn?

– Tak.

– Nie wiem, nie czytałem, ale wie pan, my nie jesteśmy cudotwórcami. Po prostu obserwujemy miejsce pożaru po ustaniu akcji gaśniczej i wyciągamy wnioski. To tak jak w pana zawodzie. Jeśli ktoś na konferencji powie A, to nie napisze pan, że B, prawda?

Nie było to takie proste, ale nie zamierzałem tego objaśniać.

– Zawsze myślałem, że mówienie o przyczynach pożarów to trochę jak wrózenie z fusów – stwierdziłem.

– Litości! Czy ja wyglądam na szamana? – Od jego niskiego śmiechu prawie zatrzęsły się szyby.

Nie odwzajemniłem uśmiechu, bo ilekroć słyszałem słowo „szaman”, krew przestawała mi krążyć. Pseudonim człowieka, który mógł mieć coś wspólnego z zaginięciem Agaty, po prostu mnie paraliżował.

– Wiem, że ludzie tak myślą. Dlatego tak często dochodzi do podpaleń. Bo jeden z drugim, głąby jedne, myśli, że jeśli coś podpali, to zatrze wszystkie ślady. Że wszystko pójdzie z dymem. A tu kuku! Niespodzianka. – Strażak potarł nos. – Nauka się rozwinęła. Technicy policyjni i nasi spece z każdego pożaru wynoszą worek informacji. Gdzie tam worek! Wór. Bez względu na to, co się pali i jak długo. Czy wie pan, że benzyna, albo generalnie substancje ropopochodne, tak często używane do podpaleń, zawsze zostawiają po sobie ślad? W domu, w glebie, gdziekolwiek. Ba! Ślady cieczy palnych mogą się utrzymywać w pogorzelisku miesiącami. A z czego to wynika?

Nie miałem pojęcia, chemię pamiętałem jedynie z planu lekcji.

– Bo tak naprawdę spalają się jej opary. Proste, nie?

– No dobrze, a polewanie wodą czy pianą nie utrudnia późniejszych oględzin?

– Tak zwane przyspieszacze pożaru zawsze zostawiają ślad na spalonych przedmiotach, mimo akcji gaśniczej. Dam przykład. Drewno. – Napił się kawy. – Otóż ciecz palna wylana na drewno głęboko wnika w jego strukturę. Kiedy je podpalimy, a potem ugasimy wodą, to okaże się, że właśnie ta woda szczelnie pokryje jego zewnętrzną warstwę i w ten sposób znakomicie zabezpieczy przed wyparowaniem cieczy palną znajdującą się wewnątrz. Zresztą powiem panu szczerze. Pożar można czytać jak książkę.

Na wszelki wypadek zapisałem też numer jego komórki. Podpytał, kiedy ma wysłać rodzinę do kiosków, po czym podziękowałem i pożegnaliśmy się.

Zatrzymałem się na zewnętrznych, wysokich schodach komendy i odwróciwszy się od porywistego wiatru, zadzwoniłem do Weroniki. Znowu nie odebrała. Już miałem schować telefon, ale coś mi się przypomniało. W liście kontaktów odszukałem numer Pauliny.

„Abonent jest czasowo niedostępny” – usłyszałem sztuczny damski głos i rozłączyłem się, ale nie schowałem telefonu. Zerknąłem na ostatni SMS, który otrzymałem od siostry.

Uważaj na siebie.

Chodziłem wtedy nerwowo po peronie stacji metra w Berlinie. Ten przejaw troski o mnie był rzadko spotykany. Szczerze mówiąc, wątpiłem, bym to ja był jego adresatem. Może trafił do mnie przez pomyłkę.

Spojrzałem w jednolicie szare niebo. Deszcz zbierał siły przed drugim natarciem.

Co się z nami stało, Młoda? Dlaczego jeden człowiek tak skutecznie nas skłócił?

Zabrałem te pytania do samochodu. Wiatr o mało nie wyrwał mi drzwi. Kiedy wsiadłem i zdołałem je zatrzasnąć, nagle zrobiło się cicho. Przymknąłem oczy, spuściłem głowę. Zbliżał się kolejny przypływ zwątpienia, rezygnacji i smutku.

Przypomniała mi się opowieść francuskiego pilota z Ziemi, ojczyzny ludzi Saint-Exupery’ego, który zimą, podczas samotnego lotu i szalejącej burzy śnieżnej, rozbił się w Andach. Wszyscy myśleli, że zginął, ale odnalazł się po siedmiu dniach katorżniczego marszu. „Jedynym ratunkiem jest zrobienie jednego kroku. I jeszcze jednego. Stawia się ciągle na nowo ten sam krok...”[1]

Wiem, nie walczyłem o życie jak wspomniany Gilloumett. Ale też musiałem zrobić ten sam krok. A potem jeszcze jeden, chociaż czułem się wykończony.

Uruchomiłem silnik i skręcając w ulicę Legionów, włączyłem się do ruchu. Dalej sunąłem już na pamięć. Ocknąłem się dopiero w centrum. Powiniennem skręcić w prawo na starówkę, ale w ostatniej chwili, przy dźwięku klaksonu jadącego za mną volvo, pojechałem w przeciwnym kierunku. Chciałem zobaczyć się z Weroniką. Skoro nie odbierała telefonów, musiał być jakiś powód. Po wertepach przy budowie nowego mostu dotarłem na Kalinową i zaparkowałem pod domem, omijając stojącego dwie działki wcześniej mercedesa. Kątem oka zauważyłem, że poruszyła się firanka w kuchni. To dobrze, pomyślałem. Wróciła.

Wysiadłem z samochodu. Wiatr rozwiął mi włosy. Podbiegłem do furtki, a potem po kilku krokach przekroczyłem próg domu.

– Weronika? – rzuciłem.

Cisza. Może znowu płakała?

Uchyliłem drzwi do salonu i zamarłem.

– Wyszła. – Teściowa stała w progu kuchni z płaszczem przewieszonym przez zabandażowaną rękę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– To nie jest tak, jak myślisz – próbowałem się tłumaczyć.

– Ja nic nie myślę! – syknęła. – Okłamałeś mnie. Bezczelnie mnie okłamałeś!

– Mamo, przecież...

– Myślałam, że kochasz Agatę. A ty z pierwszą lepszą... Jak mogłeś! – krzyknęła i z całej siły rzuciła kluczami, które z brzękiem podskoczyły na podłodze.

Potrąciła mnie i zniknęła za drzwiami.

[1] Antoine de Saint-Exupery, Ziemia, ojczyzna ludzi, tłum. Maria Morstin-Górska, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1998.

Podniosłem klucze, które wcześniej dałem Nice, żeby czuła się swobodnie. Widocznie teściowa od początku mi nie wierzyła i przyjechała mnie nakryć. Pech chciał, że akurat trafiła na moment, w którym Nika wróciła do domu.

Nie wiedziałem, gdzie jej teraz szukać. Zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę niewiele o niej wiedziałem. Mogła wrócić do swojego mieszkania. Telefonu nadal nie odbierała.

Zamknąłem dom, a klucze położyłem pod wycieraczką. Poinformowałem ją o tym w SMS-ie i odjechałem. Po drodze minąłem teściową, która szybkim krokiem szła w stronę Wschodniej. Nie zatrzymałem się. Nie było po co. I tak by nie wsiadła. Musieliśmy dać sobie trochę czasu.

Całą drogę do siedziby „Gazety Miejskiej” myślałem o tym, co powinienem teraz zrobić, jednak wciąż brakowało mi pomysłów.

W redakcji jak co dzień telefony były rozgrzane do czerwoności. Z dziennikarzami uczeponymi słuchawek przypominała bardziej call-center niż prawdziwy newsroom. Jakby gazeta zamiast przekazywać informacje, musiała je sprzedawać. Wiem, że tak było, ale coś się we mnie buntowało. Wystarczy już, że sama gazeta była produktem skrojonym na miarę jak szampon do włosów, sformatowaną na wszelkie możliwe sposoby. Planowaną odgórnie z co najmniej tygodniowym wyprzedzeniem, co powodowało, że była sztuczna, traciła swą świeżość, jeszcze zanim znalazła się w kiosku.

Zacząłem wprowadzać teksty na stronę. Wywiad ze strażakiem właściwie pisałem z głowy, rzadko zerkając do notatek. Wrzuciłem go na czołówkę, a dół zostawiłem sobie na zbiorczy tekst o najgroźniejszych pożarach ostatnich lat w naszym regionie. Chciałem dopisać jeszcze akapit o domu Holtzów, ale powstrzymałem się.

Wśród sterty wrzuconych do szuflady wizytówek odnalazłem kolorową karteczkę, na której zapisałem numer do Jacka Jankowskiego. Zastanawiałem się, czy do niego zadzwonić. Tak naprawdę nie wiedziałem, o co konkretnie go zapytać. Czy wprost o nagranie z kamery?

Wahałem się, kiedy w drzwiach stanął Chojnicki. Skinął głową i podszedł do mnie.

– Ledwie wystajesz znad tych papierów. – Popatrzył na moje biurko.

Faktycznie leżało tu trochę posortowanej makulatury, ale dobrze się z tym czułem.

Nie odpowiedziałem na jego uwagę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Zjemy coś? – spytał.

Zerknąłem na zegarek. Miałem jeszcze sporo czasu na dokończenie strony. A poza tym zrobiłem się głodny, więc zdjąłem kurtkę z oparcia krzesła.

W Gospodzie pod Modrym Fartuchem, mieszczącej się w narożnej kamienicy Rynku Nowomiejskiego, Chojnicki wybrał pstrąga w migdałach, a ja karkówkę w sosie grzybowym. Kiedy zjedliśmy, poprosiliśmy o kawę.

– Dzięki za tekst. – Ryszard przeczesał dłonią nienaganną fryzurę. – Narobił trochę szumu, w pozytywnym sensie. Na Facebooku też.

– Cieszę się. W końcu o to wam chodziło.

– Nam?

– Tobie i Rudnikowi – odpowiedziałem.

– Nie lubisz go, co?

– Nie lubię ludzi, którzy umieją zatrudniać z gracją, a zwalniają jak ostatnie chamy, wysługując się mało atrakcyjnymi kochankami. Ani takich, którzy pieprzą o etyce w biznesie, a mają o niej takie pojęcie, jak ja o krykiecie. Pech polega na tym, że Rudnik umiejętnie łączy w sobie obie cechy.

– Twoje odejście nie jest jeszcze przesądzone – stwierdził.

– Czyżby pan prezes nie dostał jeszcze poczty wewnętrznej? – zakpiłem. – Złożyłem już wypowiedzenie.

– Spokojnie, Marek. – Chojnicki wolno mieszał kawę. – Stanisław chce się z tobą zobaczyć, pogadać. Namówiłem go.

– I wysłał emisariusza?

– Czy naprawdę wszystko musisz komplikować? – Skrzywił się. – Honor był potrzebny w czasie wojny. Teraz mamy pokój i liczą się inne wartości.

– Piękny eufemizm na układy. Sam to wymyśliłeś?

Uśmiechnął się.

– W poprzedniej kampanii brakowało mi wsparcia mediów. Nic nie poradzę, że świat jest

tak skonstruowany, że wygrywają ci, których gęby wyskakują z wszelkich lokalnych szmatławców...

– No, wreszcie zdjąłeś gorset kandydata na prezydenta – przerwałem mu.

– ...bez względu na to, co mają do powiedzenia. Dlatego tym razem nie popełnię takiego błędu.

– Nie zapominaj, że wtedy walczyłeś o reelekcję, a teraz startujesz jako opozycjonista.

Ryszard pokiwał głową.

– Uznajmy, że nie było twojego zwolnienia i wczorajszej rozmowy.

– I co wtedy? – spytałem, przeczuwając dalszy ciąg.

– Nic. Po prostu pomożemy sobie, ty nam, ja tobie. Nic, tylko zwykła pomoc.

– Dlaczego tak ci na mnie zależy? Przecież redakcja jest pełna młodych gniewnych. Ba! Nie dalej jak kilka dni temu Rudnik przyjął na staż córkę Terleckiego!

– Króla stali?

– Tego samego. Masz więc w kim wybierać.

Zaśmiał się, odsłaniając białe zęby.

– W tej gównażerii? Proszę cię. – Nie przestawał się uśmiechać. – Oni nic nie rozumieją, Marek. Szczerze wątpię, by rozumieli chociaż to, co sami piszą. Potrzebuję kogoś, kto zęby zjadł na tym mieście, kto wie, z czego składa się budżet i jakie kompetencje ma rada miasta. Potrzebuję ludzi, którzy samodzielnie myślą.

– Znajdziesz ich w każdej toruńskiej gazecie.

Chojnicki sięgnął po wykałaczkę, ale nie wsunął jej do ust.

– Znam się tyle lat z twoimi rodzicami, z tobą. Jeśli komukolwiek miałbym pomagać, to przecież wam. To jasne.

– Rozumiem. Tylko najpierw na tę pomoc musimy zasłużyć – odrzekłem z udawanym uśmiechem.

Moje słowa jakby zgasiły w nim dobry humor. Zobaczyłem, że siedzi przy mnie niezłe wyglądający, ale jednak starszy pan, zmęczony już samą myślą o starcie w wyścigu.

– To moja ostatni szansa, Marek. To jak wsiąść do ostatniego pociągu, który odjeżdża ze stacji. Albo się na niego załapię i będę miał jeszcze jakieś cele w życiu, jakąś motywację, albo pora odwieść życie na kołek. I poddać się.

Zaskoczył mnie.

– Jesteś chory? – spytałem.

– Czeka mnie chemia i naświetlania, a potem operacja.

Chojnicki zawsze był człowiekiem pełnym energii, rzutkim. Potrzebował paliwa do tego, żeby funkcjonować na wysokich obrotach, ale nigdy nie latał nisko. Często grał o wysoką stawkę. Był silny psychicznie, a to przy nowotworach ma ogromne znaczenie.

– Rokowania są niby dobre, ale ile w tym prawdy? Bóg raczy wiedzieć – dodał.

Zaczynałem go rozumieć. Nie był sentymentalny, nie wyglądał na załamane. Byłem przekonany, że przyjął tę diagnozę ze spokojem i rozważą, wyznaczając sobie jedynie kolejny cel, z którym musi się zmierzyć, by wyjść z tej walki zwycięsko. Szlag mnie tylko trafia, że próbował brać mnie na litość.

Poprosił kelnerkę o rachunek. Wyjąłem portfel, ale zbył mnie machnięciem ręki. Zapłacił i wstał od stołu.

– Do zobaczenia – rzekł ze smutkiem.

Jedzenie było wyśmienite, ale do redakcji wróciłem z niesmakiem. Rozmowa z Chojnickim zaraziła mnie wirusem pretensji i bliżej nieokreślonego żalu do samego siebie. Zacząłem nawet zastanawiać się, jak mu pomóc, a jednocześnie nie utyłać się w politycznym szambie po łokcie. Obiecałem sobie, że coś wymyślę.

W skrzynce odbiorczej miałem kilka nowych wiadomości. W tym jedna od technika sekcyjnego. Mówił mi, że nie chcę żadnych zdjęć, ale widocznie on wiedział lepiej. Bardzo to lubię.

Na ekranie pojawiła się pierwsza z trzech fotografii. Kolejne właściwie przedstawiały ten

sam obraz, ale z różnych perspektyw. Wywołał mdłości.

Czarna zwęglona dłoń, której palce sterczały w górę, jakby zaciskały się na niewidzialnej piłce. Wyglądała jak makabryczna rzeźba. Na pierwszym planie znajdowały się odsłonięte spękane mięśnie, matowe szare kości, a tło celowo było nieostre. Wśród tej czerni, zapewne od światła lampy błyskowej, połyskiwało złoto. Obrączka. Tylko częściowo była pokryta sadzą. A może technik specjalnie nieco ją zeszkrobał?

Ręka Holtza.

Zamknąłem program i zadzwoniłem do Weroniki. Nie odebrała. Być może jej spotkanie z teściową nie należało do przyjemnych, ale wątpię, by mogło zniechęcić ją do kontaktów ze mną.

Wyszedłem z redakcji. Telefon zadzwonił, gdy wsiadałem do forda.

– No nareszcie – rzuciłem radośnie, odbierając połączenie od Weroniki.

– Dzwoniłeś.

– Wszystko okej?

Szybki miarowy oddech. Gdzieś się spieszyła.

– Wrócisz?

– Nie. Przeze mnie ranisz innych ludzi.

– Nie robię niczego złego. Dobrze o tym wiesz.

Wyjechałem ze starego miasta. Warszawska gładko przechodziła w dwupasmową Szosę Lubicką. Najkrótsza droga do domu.

– Gdzie jesteś? – spytałem. – Może podjadę po ciebie?

– Nie. Muszę kończyć.

– Nika, proszę. – Chciałem być stanowczy, a wyszło, jakbym jęknął.

Znowu westchnęła.

– Dobrze, zobaczymy się wieczorem. Chciałabym... Muszę ci coś wyjaśnić. – Cisza. – Poczekaj...

Słyszałem tylko jej kroki, jakiś szelest.

– Już okej. Miałam wrażenie, jakby ktoś za mną szedł – stwierdziła.

– Co?

– Nie, nic. Już dobrze. Wydawało mi się. – Znowu krótki, płytki oddech. – Marek?

W jej głosie było coś, co kazało mi się skupić.

– Jestem.

– Pamiętasz o tamtym lecie?

– Pamiętam, ale co to ma do rzeczy... – Wiedziałem, że mówiła o Łebie.

– Kiedy to było, co?

Nie rozumiałem jej. Chciałem zapytać, o co chodzi.

– Kiedy, Marek? – nalegała.

– W 2002 roku.

– Zapamiętaj to. – Rozłączyła się.

Zaskoczyła mnie. Kto miałby ją podsłuchiwać? O co jej chodziło i co miała mi wyjaśnić? I co z tym wszystkim wspólnego miał nasz wyjazd nad morze? Weronika i ja, Wojtek i moja siostra. I beztraska kąpiel w szczęściu. Nie miałem innego wyjścia, jak czekać do wieczora na wyjaśnienia.

Zmieniłem płytę w odtwarzaczu. Dżem w nim pozostał, ale miałem ochotę na ich ostatni longplay. Odtworzyłem drugi numer – Partyzant. Już pierwsze takty miały spory ładunek dobrej energii. Utwór pozytywnie mnie nastrojał.

Gdy dotarłem pod dom, wyłączyłem silnik i wyjąłem płytę. Zajrzałem do skrzynki na listy. Była pusta. W domu nastawiłem sprzęt, podgłośniłem i zszedłem do piwnicy. Zapaliłem światło w salce treningowej, którą przygotował mój dziadek. Jarzeniówka zamrugwała i zabzyczała, a potem oblała zimnym światłem znajdujące się pod ścianą hantle, ławeczkę ze sztangą do ćwiczeń oraz czarny worek, którego jasne spękania ciągnęły się jak żyły nieregularnymi liniami z góry na dół. Dawno stracił już odpowiednią formę, ale nie umiałem się go pozbyć. Był moim wieloletnim sparingpartnerem. Puchary na półkach i medale zawieszane na ścianach odbijały światło. To nic, że miały już ponad dwadzieścia lat i część z nich zaśnieżyła, wciąż jednak przypominały mi moje

najlepsze sportowe lata.

Potrenowałem trochę i zziębnięty wróciłem na górę. Wykąpałem się, wciąż zmęczony poszedłem do kuchni. Zrobiłem sobie makaron i poląłem go sosem z paczki. Włączyłem płytę Dżemu, który zawsze przyjemnie mnie kołysał i podładowywał akumulatory. I znacznie lepiej brzmiał, gdy wprawiał podłogę w lekkie drżenie.

Usiadłem na sofie w salonie. Dopiero teraz zacząłem odczuwać prawdziwe zmęczenie. Na ławie stał otwarty laptop Agaty, na którym pracowała Nika. Był uśpiony. Przesunąłem palcem po touchpadzie, sprzęt zazgrzytał, matryca podświetliła się. Uruchomiłem przeglądarkę i wpisałem dwa słowa. Wojciech Holtz. Zamiast byłego przyjaciela z kilku fotografii ustawionych w linii spoglądała na mnie jakaś blondynka. Paulina Holtz, podobno aktorka. Nie znałem jej i nie sądziłem, by byli spokrewnieni. Większość wyników zawierających odnośniki do tekstów dotyczyło właśnie jej. Przełączyłem na opcję wyświetlania grafiki. To samo. Przewijałem wyniki, aż w końcu odnalazłem to, czego szukałem.

To dziwne uczucie, gdy patrzysz na nieżyjącego już faceta, który kiedyś był dla ciebie kimś ważnym. Wojtek miał wąskie szparki zamiast oczu, wysokie czoło z niewielkimi zakolami i lekko posiwiałe krótkie włosy. To, co odróżniało go od innych, to zapadnięte policzki i brak zarostu. Niebieska koszula była rozpięta pod szyją, ręce skrzyżowane na klatce piersiowej. Na palcu miał obrączkę. Kliknąłem na fotkę, przeniosło mnie na stronę jakiegoś czasopisma branżowego dla firm ochroniarskich do przeprowadzonego z nim wywiadu. W treści nie znalazłem jednak niczego ciekawego.

Patrzyłem na to zdjęcie i coś mi w nim nie grało, ale nie bardzo wiedziałem co.

Zjadłem obiad, ściszyłem muzykę i zamknąłem oczy. Wyciągnąłem się na sofie. Chciałem chwilę odpocząć. Złapałem nawet za jakąś powieść, jednak nie mogłem się skupić. Kilka razy czytałem ten sam fragment, wreszcie spauzowałem. Wetknąłem zakładkę i odłożyłem książkę na miejsce.

Myślałem o nich. Myślałem o tym, co się stało. Myślałem też o Agacie i o mojej córeczce, której nigdy nie widziałem. Jeśli obie żyją, to zastanawiałem się, jak Agata dała jej na imię.

W wyobraźni przytulałem małą, szedłem z nią na spacer, trzymając w dłoni jej ciepłą, drobną rączkę, sadzałem ją wysoko na moich ramionach, albo podrzucałem i widziałem jej roześmianą buzię. Była tak podobna do matki.

Nie protestowałem, kiedy sen zdobywał nade mną coraz większą przewagę.

Marzyłem, żeby o niej śnić.

3

Zerwałem się jak oparzony. Nie pamiętałem, co mi się śniło, ale musiałem przespać ładnych parę godzin, bo było już ciemno. Dżem dawno przestał grać. Świeciły się tylko niebieskie diody miniwieży.

– Weronika? – Liczyłem na to, że wróciła. – Nika!

Cisza. Zapaliłem światło na schodach i poszedłem na piętro. Otworzyłem drzwi do pokoju, który miałem wyremontować dla naszej córki. Niki tam nie było. Zadzwoiłem do niej, ale pewnie rozładował się jej telefon, bo usłyszałem ten sam lakoniczny komunikat. Minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Powinna już dawno tu dotrzeć. Wyszedłem z domu i odchyliłem stopą wycieraczkę. Pusto. Kluczy, które dla niej zostawiłem, nie było. Musiała tu wpaść.

Nie mogłem dłużej czekać. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do jej mieszkania. Dzwoniłem bez skutku. Wpatrywałem się w drzwi. Potem ruszyłem prosto do Przysieka. Gdy wjechałem zbyt szybko na drogę gruntową prowadzącą do spalonego domu, światła moich

reflektorów raz skakały po czarnym niebie, a raz nurkowały w wyżłobionych dziurach traktu. Omiotły też lekko elewację domu Holtza. Zdawało mi się, że jakaś postać mignęła przy drzwiach.

Zostawiłem włączony silnik i reflektory.

– Nika, jesteś tam? – krzyknąłem, popychając skrzypiącą furtkę. Drzwi z dykty, tak jak poprzednio, stukwały cicho we framugę. Następnym razem kupię kłódkę i zamknę tę budę, pomyślałem, gdy wiatr zawył, przesuając chmury.

Ktoś był w środku.

Wszedłem po stopniach na ganek i przekroczyłem próg domu. Zastanawiałem się, czy wrócić do samochodu po latarkę, ale zrezygnowałem. Uruchomiłem telefon i teraz za snop światła robiło podświetlenie ekranu. Gdzieś w tle usłyszałem szuranie butów.

– Nika? – powtórzyłem, uważnie stawiając stopy, by nie skrócić kostki na walających się po podłodze rzeczach.

Odór wdzierał się w nozdrza. Zrobiłem kilka kroków w stronę pokoju, w którym niedawno staliśmy.

Światło w telefonie zgasło.

Na podłodze zamajaczył zarys postaci. Jakby ktoś kuczał ze zwieszoną głową dokładnie w tym miejscu, w którym Holtz zasłabł i zginął w ogniu.

– Nika... – szepnąłem, nie chcąc przerywać jej modlitw. – Martwiłem się.

Nie ruszyła się.

Zrobiłem krok do przodu.

– Chodź, pojedziemy do domu. – Zrobiłem następny krok i wyciągnąłem w jej kierunku rękę. Być może powinienem ją przytulić. Kto wie, czy właśnie nie tego oczekiwała. Zbliżyłem się.

Postać zerwała się gwałtownie na równe nogi i nagle coś ciężkiego trafiło mnie prosto w łeb. Zachwiałem się, wreszcie upadłem na kolana i podparłem rękoma, a spalony dom wirował jak łańcuchowa karuzela.

– Graviora manent – usłyszałem męski głos.

Drugi cios rzucił mnie na szorstką podłogę.

4

Światło pojawiało się i gasło rytmicznie, jak mocno rozbujana żarówka z trajektorią tuż nad nosem.

– Halo? Słyszysz mnie pan? – Mężczyzna klepał mnie po policzku.

Przysłoniłem rękoma twarz, żeby bronić się przed atakującym blaskiem.

– Dobrze się pan czuje?

Pomógł mi wstać i przytrzymał, gdy się zachwiałem. Ból pulsował w skroniach. Otarłem ręką twarz i poczułem krew. Spływała z rozbitego łuku brwiowego. Nie wiedziałem, gdzie jestem i co się stało.

– To źle wygląda, trzeba zadzwonić po karetkę – stwierdził, kierując strumień z latarki wprost w moje oczy.

Znowu musiałem zasłonić się ręką.

– Gdzie jestem? – spytałem. – I niech pan to wyłączy, do cholery!

Nie wyłączył, ale oświetlił podłogę. Nawet dobrze, przynajmniej coś było widać.

– W spalonym domu, w Przysieku – odpowiedział.

Racja, szukałem Weroniki, przyjechałem tu i chciałem ją zabrać do domu.

– Jak pan się tu znalazł? – spytałem, wycierając ręce w kurtkę.

– Mieszkam obok. Wróciłem z pracy i zauważyłem otwarty samochód z włączonymi

światłami. Silnik pracował, wydawało mi się to dziwne, więc przyszedłem.

– Dawno temu?

– Przed chwilą.

Skierowałem się do wyjścia. Nie wiedziałem, jak długo tu przeleżałem.

– A widział pan kogoś, kto stąd wychodził?

– Nie, nikogo – zaprzeczył, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz. – Lepiej zadzwońmy na pogotowie.

Dotarłem do furtki.

– Nie ma mowy! – zaprzeczyłem ruchem ręki i zacząłem pakować się do wozu.

– Ale człowieku, masz rozbitą głowę! – krzyknął.

Usiadłem za kierownicą.

– To tylko draśnięcie. – Próbowałem się uśmiechnąć.

Mężczyzna wyrwał kluczyki ze stacyjki, zanim zdążyłem zareagować. Silnik zgasł.

– W takim razie dzwonię po policję. – Odszedł szybkim krokiem w stronę pobliskich domów.

Debil, normalnie debil!

– Zaraz! – krzyknąłem, ale nie zatrzymał się. Jakby był głuchy. – Wracaj pan!

Nic, zero reakcji. Ruszyłem za nim.

– Stój, do jasnej cholery! – Znowu otarłem z twarzy strużkę krwi.

Złapałem go dopiero przed bliźniakiem, tym samym, przed którym kilka dni temu rozmawiałem o pożarze ze starszą kobietą.

– Oddaj kluczyki – zażądałem, kiedy otworzył drzwi do domu.

Wszedł, ale zostawił je otwarte. Podążyłem za nim. Stałem na dużych brązowych kafkach w korytarzu. Było tu ciepło. Zamknąłem za sobą drzwi, ale nie ruszyłem się z miejsca. Mały pies zaszczekał, kręcąc się po swoim legowisku.

– Jezus Maria! Henryk, kto to jest? – Brunetka z długimi włosami stanęła jak wryta w drzwiach pokoju i zatkała usta ręką. Mogła mieć około czterdziestu lat. Za nią majaczył salon z kominkiem i szerokimi, skórzanymi fotelami.

– Niech pan wejdzie. – Henryk zignorował kobietę i wskazał ręką na lewo.

Znaleźliśmy się w kuchni, urządzonej w stylu rustykalnym.

– Proszę się nie martwić, jestem dziennikarzem. Zostałem napadnięty – odezwałem się uspokajająco do kobiety. Dopiero teraz zobaczyłem swoje czarne dłonie i brudne ciuchy. Jakbym właśnie skończył czyścić komin elektrociepłowni.

– Napadnięty? Gdzie? – spytała ze strachem w oczach.

Kiwnąłem głową w kierunku spalonego domu.

– A co pan tam robił?

– Daj spokój, Beata. Nie teraz. – Mężczyzna wysunął krzesło spod stołu i poprosił, żebym usiadł.

Z zamrażalnika wyjął worek z kostkami lodu, owinął go małym ręcznikiem i podał mi. Przyłożyłem go do rany. Mężczyzna zaczął grzebać w pudełku, który postawił na blacie stołu. Kiedy dostatecznie mnie zmroziło, odłożyłem okład.

Dopiero teraz dostrzegłem za Beatą dziewczynkę w różowych rajstopach i bluzce z kociakiem. Przypatrywała się mi, z twarzyczki obsypanej piegami odgarniała proste, rude włosy. Kobieta wzięła ją na ręce i pocałowała w czoło. Wyszła z kuchni, szepcząc coś małej do ucha.

– Będzie bolało – uprzedził mnie Henryk.

Kiedy przejechał wacikiem po napuchniętej, otwierającej się ranie, zacisnąłem zęby. Szczypało jak cholera. Poleciała świeża krew, którą tamowałem kilkoma papierowymi listkami kuchennego ręcznika. Potem oczyścił miejsce wokół rany i przykleił duży plaster.

– Jestem dentystą, nie chirurgiem, ale na jakiś czas powinno pomóc – oznajmił, wkładając z powrotem rzeczy do apteczki.

– Dzięki.

– Proszę jechać prosto do lekarza. Cholera wie, co po takim uderzeniu mogło się stać. –

Wyjął kluczyki do forda z kieszeni spodni.

Miał spore zakola, okrągłą jak piłka twarz i przyprószone siwizną, przeredzone już włosy. Spory brzuch wiszący nad paskiem brązowych sztruksowych spodni otulał zielony sweter z golfem. Gość wydawał się dużo starszy od własnej żony. O ile Beata była jego żoną.

– Niech pan skorzysta z łazienki. Jest przy wyjściu – powiedział.

Poszedłem tam bez słowa, a kiedy zobaczyłem się w lustrze, jęknąłem. Twarz znaczyły czarne smugi i strużki zaschniętej krwi na lewym policzku. Spuchnięty łuk brwiowy deformował czoło i uniemożliwiał pełne otwarcie oka. Włosy przypominały zużyty mop. Gdyby nie szeroki biały plaster, z marszu mógłbym zagrać w horrorze o krwiożerczych kominiarzach.

Obmyłem dłonie i twarz, wytarłem się papierem toaletowym, żeby nie pobrudzić ich białych ręczników. Spuściłem wodę w sedesie i wyszedłem z łazienki.

– Przecież możesz mu powiedzieć, to dziennikarz – usłyszałem zniecierpliwiony głos kobiety.

– Beata, proszę cię. Co ty tam mogłaś widzieć? – zachnął się dentysta. – Ciemno jest.

– No jasne. Ciemno. – Skrzyżowała ręce na piersi.

Dziecko przytuliło się do Beaty i nie spuszczało wzroku z Reksia. Mężczyzna czekał na progu salonu, wpatrując się w bajkę wyświetlaną na telewizorze wielkości trzydrzwiowej szafy. Kiedy usłyszał kroki, odwrócił się i zmusił do uśmiechu.

– Wszystko w porządku?

– Dziękuję. – Uściśnąłem mu dłoń i skierowałem się do wyjścia. Już w drzwiach postanowiłem go jeszcze o coś spytać. – Czy ostatnio wokół tego domu działo się coś dziwnego?

– Nie licząc pożaru, chyba nie.

– Nie widział pan tam kręcących się ludzi? Samochodów?

– Ciemno jest – odrzekł bez zastanowienia i spojrzał na żonę, która nawet nie drgnęła.

Wyszperałem z portfela moją wizytówkę.

– Pisałem tekst do „Gazety Miejskiej” o tym pożarze. Zginął tam mój dawny przyjaciel. – Dziwne, że to słowo przeszło mi przez gardło. – Gdyby cokolwiek pan sobie przypomniął, będę wdzięczny.

Skinałem głową i wyszedłem.

Samochód był wyiębiony, zacząłem się trząść.

Ktoś spuścił mi łomot i na dodatek powoływał się na Szamana, przypominając jego słowa. Wciąż brzmiały mi w uszach.

Nic z tego nie rozumiałem. Tak jak nie rozumiałem, gdzie jest teraz Weronika. Obmacałem kurtkę i spodnie w obawie, że zostałem okradziony z dokumentów i telefonu. Na szczęście nic nie zginęło.

Zawróciłem i zahamowałem przy skrzyżowaniu z szosą.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nie wiedziałem, co to wszystko może znaczyć. Jeśli to była faktycznie informacja od Szamana, to dlaczego dostałem w łeb akurat w domu Holtza?

A może to właśnie Szaman wyprawił go na tamten świat? Drażniły mnie te myśli, nie mogłem się ich pozbyć.

Włączyłem kierunkowskaz, a potem wcisnąłem gaz do dechy. Opony zapiszczały, zarzuciło tyłem na mokrym asfalcie.

Kiedy tylko znalazłem się w domu, zadzwoniłem do Niki. Sygnał był wolny. Wreszcie. Doliczyłem do dziesiątego. Niestety nie odebrała. Nie włączyła się też poczta głosowa. Opłukałem najpierw ręce, potem twarz, sprawdziłem ranę pod plastrem. Na świeży, podłużny strup przykleiłem nowy opatrunek. Potem wszedłem na górę, do pokoju, w którym Nika spędziła dwie noce, i wyrzuciłem z torby wszystkie jej rzeczy. Nie było tego dużo, tylko ciuchy i kosmetyki.

O co tu chodzi? Jaki jest związek pomiędzy Szamanem i Wojtkiem, a być może jeszcze Weroniką? Nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Żeby się nie zdręczać, znowu wybrałem się do jej mieszkania. Długo pukałem do drzwi. Ze względu na późną porę starałem się być cicho.

– Nie ma jej tam – usłyszałem męski głos.

Odwróciłem się. Zaszuszonego mężczyzna w przydużym szarawym podkoszulku i dresowych

spodniach uchylił drzwi. Przyglądał mi się badawczo.

- Skąd pan wie?
- Widziałem, jak wychodziła.
- Dawno?

Spojrzał w głąb swego mieszkania, pewnie w poszukiwaniu zegara.

- No, będzie już dobrych parę godzin.

Podszedłem bliżej. Na drzwiach wisiała tabliczka. H. i J. Ziętarscy.

- Na pewno nikogo tu nie ma? – wolałem się upewnić.
- No przecież mówię! – obruszył się.
- A rozmawiała z panem albo innymi sąsiadami? Widział pan, dokąd poszła?
- A czy ja detektyw, żeby ją śledzić?

Nie, skąd. Pewnie doznaje iluminacji, drapiąc się w tydkę.

Zszedłem po schodach. Mieszkanie Holtzów mieściło się na pierwszym piętrze bloku przy Łyskowskiego, w pobliżu Szkoły Podstawowej nr 4, do której chodziłem. Dziś wszystko wyglądało tu inaczej. Drzewa, które pamiętałem jako cienkie paliczki, teraz miały potężne pnie i rozłożyste korony.

Stałem na wietrze, wodząc wzrokiem po sypialni Torunia, i zastanawiałem się, co robić. W oczu rzucił mi się napis „Apator to kurwy” nabazgrany na obrazku rekina z otwartą paszczą. Znajdował się na tyłach, nomen omen, pawilonu rybnego. Autorem tekstu był zapewne wielbiciel klubu piłkarskiego Elana. Nie wiem, co bardziej straszło przechodniów: drapieżnik czy sam napis. Apator przecież już dawno nie sponsorował toruńskich żużlowców, ale nienawiść jak widać rzucała się niektórym na mózgi. Kibolom żużlowym też, bo dopisali innym kolorem nowe hasło. „Elana to pedały”.

W kieszeni kurtki rozbrzmiała przytłumiona bluesowa melodia. Wyjąłem telefon. Zmusiłem się do odebrania połączenia od naczelnej.

- Jedź pilnie na Gagarina, do wieżowca naprzeciwko rektoratu – zaczęła bez żadnych uprzejmości. Dyszała i sapała. Wolałem nie wyobrażać sobie dlaczego.
- Przypomnieć ci nasze ustalenia? – zapytałem.
- Co?
- Miałem mieć wolny wieczór. Wyślij kogoś innego.
- Człowieku, Agnieszka Miedzińska wypadła ze swojego mieszkania na dziewiątym piętrze!

Nie mogłem przełknąć śliny.

- Co?! Skąd o tym wiesz?
- Moja matka mieszka w bloku obok. Jedź tam, może zdążysz się czegoś dowiedzieć. Może ktoś jej w tym pomoże. I rób z tego czołówkę na poniedziałek.

Niebieskie światło policyjnego koguta odbijało się w oknach mieszkań na parterze. Miejsce zdarzenia osłonięto niebieskim parawanem z napisem „POLICJA OGLEDZINY”, który z trudem opierał się podmuchom wiatru. Tłum obserwował kręcących się na niewielkiej przestrzeni techników kryminalnych. Od czasu do czasu błysnął flesz. Część osób z tego i pobliskich bloków wychylała się z okien z aparatami fotograficznymi i komórkami. Wyglądało to tak, jakby na trawie pod balkonami rozwinięto czerwony dywan dla gwiazd filmowych. Miałem ochotę wypchnąć ich z tych okien, a gapiów rozstrzelać. Tyle że wtedy na ich miejscu byłyby tu wszystkie telewizje świata. I jeszcze więcej głupków z telefonami w rękach.

Wiatr szarpał czarny worek, do którego włożono ciało mojej znajomej, ale też najlepszej przyjaciółki mojej siostry. Agnieszka Miedzińska, szefowa Fundacji Miasto dla Mieszkańców. I choć nosiła nazwisko podobno najlepszego obecnie toruńskiego żuźłowca, nie była z nim spokrewniona, choć była równie waleczna. Ostro przeciwstawiała się urzędasom z ratusza. Dbała o to, by mieszkańcy Torunia mogli decydować o swoim mieście i przestrzeni, w której żyją. Była chętnie wpuszczana na łamy lokalnej prasy, bo waliła prosto z mostu. Pasowała do niej burza rudych włosów. Nie miała w zwyczaju dobierać grzecznych słówek, mizdrzyć się do władzy. Jeśli zadawała ciosy, to celne i bolesne, które skutecznie tępiły pióro podstarzałego rzecznika prasowego prezydenta miasta.

Była przy tym wielkim fachowcem od spraw związanych z organizacjami pozarządowymi. Prowadziła szkolenia dla osób tworzących nowe stowarzyszenia i fundacje, wydawała poradniki, które rekomendowało Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Pozyskiwała duże granty na swoją działalność, między innymi z Fundacji Batorego. Realizowała też wiele projektów we współpracy z policją, dotyczących przemocy domowej i gwałtów. Dorobiła się ksywki „Klaser”, bo lubiła fotografować się z albumem, do którego wklejała wszystkie pozwy sądowe obrażonych na nią urzędników. Klaser okazał się skuteczną bronią i sprawy zaczęły spadać z wokandy.

Podpytałem kilka osób o mieszkanie Miedzińskiej i o to, co się tu wydarzyło, a potem cofnąłem się do samochodu i zatrzasnąłem drzwi. Przez boczną szybę zobaczyłem Radka z aparatem w ręce. Zamknąłem oczy i zastanawiałem się, jak przetrwać ten współczesny taniec śmierci, tak często usprawiedliwiany przez media wolnością słowa i konstytucyjnym prawem do informacji.

Minęło sporo czasu, zanim odjechał karawan, a jeszcze więcej, nim zniknął radiowóz. Na placu przed klatką została jedynie garstka domorosłych speców w dresach z komórkami w wielkich łapskach. Spece od social media na dziełni. Wysiadłem z samochodu. Było już późno, ale po takich wydarzeniach nikt nie kładzie się od razu do łóżka.

Wjechałem windą na dziewiąte piętro, gdzie powietrze zgęstniało od ostrego zapachu farby olejnej. Rozejrzałem się. Miedzińska zajmowała środkowe mieszkanie, to, gdzie do framugi przyklejono policyjną plombę.

Nacisnąłem dzwonek do mieszkania tuż przy windzie. Drzwi błyszcząły świeżą, szarą powłoką. Wokół nich wisiały gdzieniegdzie fragmenty żółtej taśmy maskującej. Przedstawiłem się emerytowi w podkoszulku bez rękawów i wyjąłem kołonoratnik. Skrzywił się na widok mojej twarzy, ale stanął na wycieracze i zamknął za sobą drzwi. Mówił cicho, jakby nie chciał budzić złych duchów.

– Nie sposób było jej nie lubić. Była bezpośrednia i konkretna, ale też niezwykle sympatyczna.

– Co tu się właściwie stało?

– Trudno powiedzieć. Ludzie mówią, że ktoś ją wypchnął. Policjanci podpytywali mnie, więc powiedziałem, co widziałem.

– A co pan widział?

Drzwi za nim uchyliły się na centymetr.

– Janusz! Z kim rozmawiasz?! – syknęła kobieta.

– Cicho bądź. Z redaktorem z gazety. Kładź się już! – odpowiedział, odwracając się do niej.

– Zwariowałaś! Nic nie mów! – warknęła. – Wracaj natychmiast!

Mężczyzna złapał za klamkę i pociągnął drzwi mocno do siebie.

– Te baby na starość całkiem głupieją – zawstydził się. – Przepraszam. O co pan pytał?

Powtórzyłem.

– A tak. Po południu malowałem nasze drzwi. – Odwrócił się i czule dotknął gładkiej emalii. – Wtedy przyjechała windą taka kapitalna babka. Była niezwykle wykształcona. –

Zarysował w powietrzu kobiece kształty. – Z marszu mogłaby biologii uczyć.

Nie przywidziało mi się, mrugnął do mnie okiem.

– I co było dalej? – zachęciłem go, żeby się nie zapędził w zachwytach.

– Zapukała do drzwi Agnieszki. – Skinął na mnie, żebym się pochylił. Zbliżyłem głowę.

Spodziewałem się dławiącego zapachu starego człowieka, który unosi się w każdym domu pomocy społecznej, ale mile mnie zaskoczyła klasyczna woda kolońska. Może emeryci golą się przed pójściem spać? – Ale wydawało mi się, że Agnieszka wcale nie chce jej wpuścić – szepnął mi do ucha.

– Dlaczego? – Wyprostowałem się.

– No nie wiem, takie miałem przeczucie. Długo rozmawiały w drzwiach. Nie, żeby się kłóciły. Raczej po prostu... Chyba się nie znały. Ale głupio było mi tak siedzieć, więc wszedłem do mieszkania i resztę widziałem przez wizjer. Agnieszki nie, tylko tę blondyneczkę. Zrobiła nawet krok do przodu, jakby chciała wejść do mieszkania, ale tamta ją powstrzymała.

Drzwi za nim znowu się uchylily.

– Janusz! Do domu!

Tym razem mężczyzna się nie odezwał, tylko jeszcze mocniej niż poprzednio zatrzasnął drzwi.

– A idź ty, stara i głupia – szepnął do futryny, a potem odwrócił się do mnie. – I do tego na szczęście głucha – zarechotał.

– I co było dalej?

– No, jeszcze chwilę pogadały, a potem jednak do niej weszła. To znaczy, Agnieszka ją wpuściła.

– Zauważył pan coś jeszcze?

– Nie – stwierdził, wzruszając ramionami. – Tak! Ona wyciągnęła coś z torebki.

– Kto?

– No ta blondyneczka, taka figo-fago.

Naprawdę poruszał biodrami.

– Co jej pokazała?

– Dysk.

– Dysk? – Przestałem notować. – Jaki dysk?

– No, taki okrągły. To znaczy, w opakowaniu.

Nadal nie rozumiałem.

– No, do komputera taki.

– Aha, płytę CD. Tak?

– O właśnie, płytę.

– A co było potem?

– Nie wiem, bo stara się obudziła i prosiła o ziółka. – Kiwnął kciukiem w stronę mieszkania i znowu mrugnął. – Na zatwardzenie.

Parsknąłem śmiechem. Już chciałem się pożegnać, ale coś mnie olśniło. Nieświadomie przygryzłem długopis.

– Blondyneczka?

– No, taka fajna babka, mówię panu. – Uśmiechnął się.

Długie włosy z grzywką tuż nad brwiami, dopowiedziałem sobie. Czyli jednak Majka już tu była. To, że znała Agnieszkę, było pewne. Każdy dziennikarz ją znał. Zastanawiałem się tylko, co chciała uzyskać, wciągając mnie w tę sprawę.

Pożegnałem się i zjechałem windą na parter. Wychodziłem już z klatki schodowej, ale coś mi się przypomniało, więc wróciłem na piętro. Ponownie zadzwoniłem dzwonkiem.

– A Agnieszka? – spytałem, kiedy emeryt znowu stanął na wycieracze. – Mieszkała sama?

– Miała chłopaka – skrzywił się. – Włosy grube jak cuma okrętowa, malowidła na rękach, fuj.

Piotrek. Uśmiechnąłem się w duchu i jednocześnie zmartwiałem, kiedy wyobraziłem sobie, co będzie czuł, gdy dowie się o tej tragedii. Zresztą może już o wszystkim wiedział.

– Ale nie mieszkał z nią. Wpadał od czasu do czasu – dodał mężczyzna.

– A sąsiedzi obok? Byli w mieszkaniu, kiedy to się wydarzyło?

Spojrzałem na windę, która z łoskotem ruszyła w dół.

– Sprawdźmy. Chodź pan. – Minał mnie i bezszelestnie podszedł do drzwi naprzeciwko.

Ruszyłem za nim, zerkając na mieszkanie Agnieszki.

Zapukał, a zaraz potem wymienił uprzejmości z około pięćdziesięcioletnią niską kobietą z okularami w czerwonych oprawkach na nosie. Przywitałem się skinieniem głowy.

– No to ja uciekam, bo... sam pan rozumie – zwrócił się do mnie, wymownie spoglądając w kierunku swojego mieszkania, i zniknął.

– Przepraszam za porę – odezwałem się do niej.

– Nie szkodzi, pewnie długo jeszcze nie zaśniemy. Proszę wybaczyć, ale nie zaproszę pana do mieszkania. – Oparła się o framugę i przyglądała mojej pokiereszowanej twarzy. W ręce trzymała chyba Zanim znowu zabiję Mariusza Czubaja.

– Dobra lektura? – zagadnąłem, ale trafiłem na kamień.

– Znakomita. Ale czy chce pan rozmawiać ze mną o fikcji czy o rzeczywistości?

Wyjąłem notes i długopis.

– Była pani w domu, kiedy to się stało?

Rudy seter pojawił się przy jej nogach. Usiadł grzecznie i smutno na mnie spojrział.

– Tak.

– Słyszała pani coś niepokojącego?

– Przedtem czy potem?

– Przedtem.

– Podniesione głosy.

– Krzyki?

Pies ziewnął, pokazując długi język i kły.

– Nie. Podniesione głosy. – Traktowała mnie z wyraźną wyższością i rezerwą.

– Zrozumiała pani coś?

– Pyta pan, czy podsłuchiwałam? – Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie. Pytam, czy...

– Nic nie słyszałam – przerwała mi.

– Czy to się stało tuż przed tym, jak sąsiadka wypadła z okna?

– Nie. Głosy ustały dużo wcześniej.

– Czy ta kobieta, która była u sąsiadki...

– Ja nie powiedziałam, że była tam kobieta – znowu mi przerwała.

– Mężczyzna? – Narastało we mnie rozdrażnienie.

Seter sapnął, jakby ta rozmowa nudziła go bardziej niż jego właścicielkę. Położył się i oparł pysk na przednich łapach.

– Nie mam zdolności rozpoznawania głosów przez ściany – zadrwiła.

– Ale pani zdaniem to mógł być mężczyzna?

– To mógł być nawet pan albo kobieta. Po prostu nie wiem.

Ta rozmowa odebrała mi siły. Pożegnałem się i nacisnąłem guzik przywołujący windę.

Wciąż nie wiedziałem, co dzieje się z Weroniką. Pojechałem do jej mieszkania, ale znów wróciłem stamtąd z niczym.

Przecież nie mogła zniknąć.

SOBOTA

26 października 2013 roku

pomogły jak umarłemu kadzidło, a powieki ciążyły. Zaczęłam żałować, że zaoferowałam Dymajce zamianę wczorajszego popołudnia na weekendowy dyżur i przygotowanie poniedziałkowego numeru „Miejskiej”. Jesteś głupi, Bener.

Sine chmury wciąż wisały nad miastem. Na ich tle wyraźnie odcinały się czerwone cegły wieży kościoła Świętego Jakuba. Przeszedłem obok odnowionej, dumnej, ale jakby zapomnianej świątyni i skręciłem w stronę redakcji. Rynek Nowomiejski jeszcze spał. Choć złośliwi powiedzieliby, że po dawnych latach świetności i tłumów szlifujących ten bruk tak naprawdę nigdy się nie obudził.

Wyłączyłem alarm i wszedłem do pustych pomieszczeń redakcji. Lubilem to miejsce, szczególnie gdy byłem tu sam. Już zacząłem się martwić, że wkrótce będzie mi go brakowało.

W komputerze miałem nieodebraną wiadomość od technika sekcyjnego. Nie asystował przy sekcji Holtza i niewiele się dowiedział. Przekazał natomiast informację, że doktor Raszeja będzie w sobotę w pracy, więc mogę odwiedzić prosektorium. Odwiedzić prosektorium. Dobrze sobie. Odwiedzić to można cicię w dniu imienin. Mimo wszystko odłożyłem to na później.

W kolejnej wiadomości znajomi przypominali mi o swoim dzisiejszym ślubie. Nie chciało mi się, ale i tak wiedziałem, że pójdę.

Zrobiłem kawę i zabijałem czas przygotowaniami do poniedziałkowego wydania. Zaczęłam od makiet. W programie komputerowym oczyściłem zeszlotygodniowe strony ze zdjęć i tekstów. Pozmieniałem daty, przejrzałem listę reklam i zaległych tekstów, które nie zmieściły się do wydania magazynowego i dzisiejszego. Posegregowałem wszystko w folderach odpowiadających numerom stron. Nie szło mi to najlepiej, bo w głowie cały czas miałem Weronikę. Wydzwaniałem do niej, ale wciąż otrzymywałem tę samą automatyczną odpowiedź operatora.

Była dorosła. Mogła robić, co chciała. Nie musiała mi się z niczego tłumaczyć. A może zwyczajnie potrzebowała czasu dla siebie. Przecież żałoba wymaga skupienia. Niby tak, ale coś podpowiadało mi, że to nie w stylu Niki. Gdyby chciała w ten sposób przeżywać śmierć Wojtka, nie pojawiłaby się w moim domu. Poza tym kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, obiecała przyjechać. Nie wykręcała się, nie szukała wymówek. A teraz milczała.

Może została porwana?

Zdrętwiałem.

Wstałem od biurka i podszedłem do okna. Potrzebowałem światła, jasności umysłu.

Gdy pojawiliśmy się z Radkiem przy spalonym domu, ktoś musiał nas obserwować. Potem, kiedy byłem tam razem z Niką, zobaczyłem ubranego na czarno człowieka. A ostatnio ktoś, całkiem prawdopodobnie, że to ta sama osoba, ogłuszył mnie. Czego szukał w spalonym domu? Czy czał się na Weronikę i ją też unieszkodliwił, tylko że nie zdążył już wynieść, bo ja się pojawiłem?

Kochałem stare filmy kryminalne i powieści, szczególnie polskich autorów. Mogłem więc przypuszczać, że to ich lektura zaszczerpiła we mnie wirusa teorii spiskowych i sensacyjnych splotów akcji. Bener, życie to nie fabuła, pomyślałem. Może wystarczyło popukać się w czoło mocniej niż zwykle, by pozbyć się głupot z głowy?

Rozglądałem się po pustawym rynku. W pewnej chwili wzdłuż kręgosłupa przeszedł mi prąd.

Zauważyłem go.

Mężczyzna siedział na ławce w pobliżu zboru i gapił się w telefon. Przy nogach leżał czarny plecak. Dałbym sobie głowę uciąć, że to ten sam gość, którego ostatnio widziałem z okna domu Holtzów. W pewnym momencie podniósł wzrok i spojrzał w okno redakcji. Dzieliła nas spora odległość, ale nie miałem wątpliwości, że znowu na siebie patrzyliśmy. Wytrzymałem to. On pierwszy odwrócił głowę, zerknął na telefon, po czym wstał, zasalutował mi i ruszył w stronę Prostej, będącej przedłużeniem tej pierzei rynku. Wydawał się niezbyt wysoki, ale bary miał jak gracz amerykańskiego futbolu. Pan Paker.

Rzuciłem się schodami w dół i wypadłem z kamienicy, omal nie potracając staruszki z dwiema pełnymi reklamówkami. Mężczyzna szedł spokojnie przed siebie. Widziałem jego szerokie plecy. Gołębie z głośnym trzepotem skrzydeł poderwały się do lotu. Gnałem co sił, jednak lata sprawności miałem za sobą. Zbliżałem się do niego, ale kiedy dzieliło nas może piętnaście, może

dziesięć kroków, Paker zerknął od niechcenia za siebie. Kiedy mnie zauważył, natychmiast ruszył z kopyta. Ominął kobiecinę sprzedającą tulipany i nagle skręcił w prawo, w stronę Królowej Jadwigi. Próbowałem przeskoczyć wiadra z kwiatami, ale zawadziłem nogą o jedno z nich i wyłożyłem się jak długi. Chlusnęła woda, a kwiaty rozsypały się na bruku. Sprzedawczyni wydarła się na mnie, rzucała wyzwiskami. Krew dudniła w uszach. Podniosłem się. Skóra na dłoniach była zdarta, rany szczypały jak cholera. Paker zbiegł z chodnika na asfalt i przyspieszył. Wiedziałem już, że mi ucieknie, a mimo to biegłem dalej. Z trudem łapałem powietrze, czułem się, jakbym tonął, w dodatku w nogach, zamiast elastycznych mięśni, ciążyły betonowe bloczki. Mężczyzna zniknął za rogiem kamienicy po lewej. Dokuśtykałem tam, ledwie dysząc. Oparłem ręce na kolanach. Paker truchtem przebiegł między ludźmi czekającymi na przystanku tramwajowym i skręcił w Jęczmienną.

Serce biło mi mocno i głośno. Zrobiłem kilka głębokich wdechów.

Graviora manent.

Najgorsze dopiero nadejdzie.

Nie wiem, skąd brało się we mnie przekonanie, że to właśnie Paker wyszeptał mi do ucha te słowa w domu Holtzów, jeszcze zanim straciłem przytomność.

Wróciłem do kwiaciarki i pomogłem jej pozbierać kwiaty. Dała się udobruchać dopiero, kiedy postawiliśmy wiadro z powrotem na ławce, a ja wyjąłem sto złotych. Kupiłem od niej wszystkie rozrzucone tulipany, które spięła recepturką. Pomyślałem, że przydadzą mi się na ślubie znajomych. Zabrałem wiązanekę i wróciłem do redakcji.

Kim był ten pieprzony gość? I dlaczego zaczął mnie śledzić? Zresztą sam nie wiem: mnie, Weronikę czy nas oboje?

Żarty się skończyły. Nie było sensu odkładać dłużej tej rozmowy. Na biurku wciąż jeszcze leżała karteczka z nabazgranym numerem telefonu. Kiedy płuca wróciły do normalnej pracy, połączyłem się z Jackiem Jankowskim, znajomym policjantem. Opowiedziałem mu o wszystkim.

– Dlaczego uważasz, że została porwana? – spytał, przerywając mój wywód.

Stałem w oknie, nie spuszczać oka z Rynku Nowomiejskiego. Zastanawiałem się, czy Paker znowu się pojawi.

– Umówiłem się z nią, miała przyjechać, a teraz nie odbiera telefonu.

– Daj jej czas. Jest dorosła.

Mówił dokładnie to, co sam sobie powtarzałem, ale czego nie byłem już pewien przez Pakera.

– Spokojnie, daj jej czas – powtórzył niezrozumiale, bo coś przegryzał. Chyba jabłko.

– Jacek! Facet podgląda dom Holtzów. Był tam za pierwszym razem, kiedy wpadliśmy tam z Weroniką. Był też później...

– Jesteście razem, coś was łączy? – przerwał mi.

Zignorowałem jego pytanie, ale zagotował mi krew we wszystkich naczyniach. Nie zdołałem go przekonać do mojej teorii, więc się rozłączyłem. Byłem poirytowany. Na zewnątrz mężczyzna w niebieskiej czapce z daszkiem robił zdjęcia wózkowi na szynach, instalacji, która przypominała o nakręceniu w Toruniu filmu Prawo i pięść. Miałem ochotę przyłożyć pięścią stróżowi prawa.

Zbliżała się jedenasta. Zamknąłem redakcję i poszedłem na parking.

Z daleka zauważyłem, że z samochodem jest coś nie tak. Jakby się skureczył. Kiedy podszedłem bliżej, nie miałem już żadnych wątpliwości, że Paker przygotował niespodziankę. Z pociętych opon fordą sterczały druty. Na przedniej szybie za wycieraczką tkwiła kartka, którą szarpał wiatr. Sięgnąłem po nią. Na odwrocie znajdowały się dwa słowa.

Graviora manent.

Tulipany wyglądały tak kiepsko jak ja. A w porównaniu z bukietami leżącymi na ławkach kościoła Świętego Józefa, przypominającymi małe dzieła sztuki, były po prostu koszarne.

Usiadłem w ostatniej ławce za facetem w szarym płaszczu, który postanowił chyba pożegnać się z wodą kolońską i wylał resztkę flakonika na szyję i kołnierz. Powietrze zgęstniało, zrobiło mi się duszno.

Spóźniłem się, ale najważniejsza część uroczystości była przede mną. Przypomniał mi się ślub z Agatą. Staliśmy tam, gdzie teraz Mikołaj z Basią, najlepszą przyjaciółką Agaty. Bezwiednie pokręciłem obrączką na palcu, jakbym miał zaczarowany pierścień Arabeli z czechosłowackiego serialu. Ale podziałało. Widziałem uśmiech Agaty i oczy przesłonięte białą woalką zwisającą z malutkiego białego kapelusika wpiętego we włosy. Trzymaliśmy się za dłonie, które ksiądz przewiązał białą stułą. Powtarzaliśmy za nim słowa przysięgi, patrząc na siebie i chłonąc każdą wypowiedzaną sylabę.

Moje wspomnienia zbiegły się z rzeczywistością. Wojtek nałożył Basi obrączkę. Chwilę później ona wzięła z tacki złoty krążek, uniosła do ust, złożyła na nim pocałunek i bez trudu nasunęła na serdeczny palec prawej ręki. Uśmiechali się do siebie. Ja też, ale chyba bardziej do własnych wspomnień.

Znowu pokręciłem obrączką.

Nagle jakby strzelił we mnie piorun.

Zerwałem się z ławki, robiąc hałas na cały kościół. Kilkoro osób odwróciło się w moją stronę, nowożeńcy też. Pomachałem im bukietem tulipanów i wybiegłem z kościoła. Kwiaty wcisnąłem chłopakowi przed świątynią. Miał na sobie zbyt duży garnitur, więc liczyłem na to, że przyszedł na ślub.

– Daj to młodej parze – krzyknąłem i ruszyłem w prawo ulicą Świętego Józefa.

– Od kogo? – spytał kompletnie zaskoczony.

– Od Agaty i Marka!

Musiałem złapać jakąś taksówkę i natychmiast dotrzeć do redakcji. Na szczęście w pobliżu stał beżowy mercedes w barwach nieznanego mi korporacji.

Po wejściu do newsroomu natychmiast uruchomiłem komputer i odszukałem jeden z ostatnich maili. Kliknąłem załącznik. Jak na złość komputer wolno go otwierał. Stukałem nerwowo palcami w blat. Wreszcie na ekranie pojawiła się spalona dłoń.

Zminimalizowałem program i włączyłem przeglądarkę. Odnalazłem zdjęcie Holtza, to, na które trafiłem przeglądając internet, i porównałem je z fotką od technika sekcyjnego. Otworzyłem usta. Nie wierzyłem w to, co widziałem.

To mogło nic nie znaczyć. Ba, to mógł być nawet zwykły przypadek. Błahostka, drobiazg. To mogło być po prostu lustrzane odbicie, źle wywołane zdjęcie. Problem polegał jednak na tym, że mój umysł nie chciał przyjąć takiego wyjaśnienia. A już na pewno nie chciał zadowolić się najprostszym z nich.

Jak to się stało, że Wojtek Holtz za życia nosił obrączkę na palcu lewej ręki, a kiedy zginął, miał ją na prawej? Bo niewątpliwie to właśnie z palca kompletnie zwęglonej prawej dłoni połyskiwało złoto.

Nic nie rozumiałem. Myśli rozpełzły się w różne strony, a ja nie umiałem ich okiełznać, uporządkować i po kolei rozważyć każdą z nich.

Wsiadłem do taksówki i pojechałem do mieszkania Weroniki z nikłą nadzieją, że ją tam zastanę. Zastukałem lekko w drzwi. Nic. Już miałem odejść, gdy nawiedziła mnie niedorzeczna myśl.

Chwyć za klamkę.

Nie, przecież tak nie można, skrzywiłem się.

Zszedłem na półpiętro i ponownie usłyszałem wewnętrzny głos.

Chwyć za klamkę.

Walczyłem ze sobą. Przecież nie byłem złodziejem, nie zamierzałem niczego ukraść, musiałem tylko sprawdzić, gdzie jest Weronika. Czy nie stało jej się nic złego, czy żyje.

Chwyć za tę cholerną klamkę, durniu!

Wróciłem pod drzwi mieszkania Holtzów. Ustąpiły bezszelestnie. Rozejrzałem się po klatce schodowej, jakbym szukał czyjejkolwiek akceptacji, po czym wszedłem do środka.

Kiedy przyjechałem tu po rzeczy Weroniki, od razu urzekł mnie porządek. Odkurzone dywany, błyszczące meble, czyste okna i firany. Przyjemny, świeży zapach pozwalał się odprężyć. Dziś też tak tu było. Zajrzałem do każdego z trzech pokoi. Urządzone zostały w podobnym stylu, ze szwedzkimi meblami i tkaninami. Sporo bibelotów, fotografii na ścianach oraz mniejszych i większych obrazów, a właściwie fotosów. Widać tu było kobiecą rękę. Zerknąłem do kuchni i łazienki. Żadnego śladu Weroniki. Właściwie wszystko wyglądało dokładnie tak, jak ostatnim razem.

Nie wiedziałem, czego mam szukać. Mimo to zajrzałem do kilku szafek, zabudowanej wnęki, a potem przejrzałem zawartość szuflad w sypialni. Zachowywałem się niczym detektyw z filmu klasy B i miałem takie same jak on sukcesy. Zmęczyło mnie to, więc usiadłem w fotelu i oparłem głowę na zagłówku. Przymknąłem oczy i siedziałem tak przez jakiś czas.

Zastanawiałem się, co miałbym tu znaleźć? Kartkę od Weroniki z informacją, gdzie jest i co robi? Przecież to żałosne. Zbierałem się do wyjścia, kiedy mój wzrok padł na zdjęcie Holtza. Stał w mundurze obok przystojnego mężczyzny w cywilu i jakiegoś irackiego oficjela z wąsami. Zdjęcie zrobiono w 2007 roku, w gabinecie gubernatora prowincji Kirkuk. Z podpisu dowiedziałem się, że Holtz stoi obok Abdula Rahmana Mustafy oraz architekta krajobrazu, Jarosława Małeckiego, który zaprojektował tam wielki park dla mieszkańców.

Zza drzwi dochodziły stłumione głosy.

Nic mnie tak w tym zdjęciu nie interesowało jak dłonie Holtza. Pech chciał, że lewą schował do kieszeni. Drugą trzymał przerzuconą za plecy marynarkę. Na serdecznym palcu nie zauważyłem obrączki. Punkt dla mnie, ale czy to cokolwiek wyjaśnia?

Rozmowa na klatce stawała się coraz głośniejsza. Zamarłem. Spojrzałem na drzwi wejściowe. Klamka opadała jak w zwolnionym tempie. Podskoczyłem do okna i uchyliłem je. Wiem, słaba zmyłka, ale lepsza niż żadna.

Położyłem się na plecach i wsunąłem pod łóżko. Równie dobrze mogłem wślizgnąć się pod dywan. To był głupi pomysł, ale w takich chwilach nie myśli się logicznie.

– Panie władzo, wchodził tu, widziałem – usłyszałem zachrypnięty głos. Mogłem w ciemno obstawiać sąsiada Niki.

– Niech pan zostanie na korytarzu – upomniał go policjant.

– Dobrze. Tylko sprawdźcie wszystkie zakamarki – stęknął.

– Dzień dobry, policja! – odezwał się basowy głos. – Jest tu kto?

Usłyszałem kroki. Sporo kroków. Pewnie policjantów było dwóch. Zalał mnie zimny pot. Przypomniałem sobie, że nie wyciszyłem telefonu komórkowego. Szybko wymacałem go w kieszeni i zrobiłem, co trzeba.

Przez szczelinę między łóżkiem a podłogą widziałem wejście do sypialni. Gdyby ktoś przekroczył próg, dostrzegłbym to.

Dopiero teraz coś przykuło moją uwagę. Do jednej z desek utrzymującej materac był przytwierdzony mały, płaski pakunek owinięty białym papierem. Miałem go po prawej stronie, na wyciągnięcie ręki. Wyczułem, że znajduje się w nim coś twardego.

– I jak, Janek, masz coś? – Głos dochodził z korytarza.

Próbowałem oderwać papier, ale nie dawałem rady. Szeroka, brązowa taśma trzymała mocno. Nie mogłem hałasować.

Zerknąłem na drzwi i zauważyłem czarne buty. Zatrzymały się na progu.

– No masz coś? – Policjant wszedł do sypialni.

– Sprawdźcie dokładnie – odezwał się sąsiad. Każdemu jego słowu towarzyszył lekki pogłos. Musiał stać na klatce schodowej.

– Niech pan nie wchodzi do mieszkania! Czy to jasne? – W głosie policjanta brzmiała

irytacja.

– Nikogo tu nie ma, Zbychu – odkrzyknął z głębi mieszkania Janek.

– Ty! A tu jest okno otwarte! – rzucił Zbychu.

Znowu usłyszałem kroki i miałem wrażenie, że po każdym z nich podskakuję razem z podłogą. Po chwili buty pojawiły się z lewej strony. Policjant stanął przy oknie. Tymczasem druga para czarnych traperów zatrzymała się w pobliżu drzwi.

– Ja pierdziele. Chyba nie wyskoczył? – spytał Janek.

– Nie, nie sądzę. Pewnie ten pijaczek sobie coś ubzdurał – stwierdził cicho Zbychu. –

Pierwsze piętro, niby niewysoko, ale ja bym się nie odważył, a ty? – zaśmiał się.

Druga para butów ruszyła w stronę okna. Teraz stali przy nim obaj.

– I co, nigdzie go nie ma? – Znowu usłyszałem zachrypnięty głos sąsiada. Tym razem bardzo wyraźnie. Nic dziwnego. Bose stopy w niebieskich gumowych klapkach stały na progu sypialni. – Może jest w szafie albo pod łóżkiem.

Zlituję się nad światem i zabiję go, pomyślałem.

– Do jasnej cholery, co mówiłem o wchodzeniu do mieszkania? – ryknął policjant i ruszył w jego stronę. Drugi funkcjonariusz zrobił to samo. Zniknęli w korytarzu.

– Pan pokaże dowód osobisty. – Głosy oddalały się. Może wyszli z mieszkania?

Po chwili jednak jeden z policjantów wrócił.

– Spisz go, a ja się jeszcze rozejrzę – rzucił do kolegi.

Buty zniknęły z mojego pola widzenia.

Musiałem porzucić myśl o oderwaniu paczuski. Wóz albo przewóz. Wysunąłem się spod łóżka i wstałem. Ucieczka przez drzwi nie wchodziła w rachubę. Wlazłem na parapet. Jedną nogę przełożyłem na wąską blachę tuż za ramą okna i zamarłem. Pożółkła trawa pode mną wydawała się odległa jak ziemia z okien samolotu.

Powinienem skoczyć, ale strach mnie sparaliżował. Znowu usłyszałem głosy mundurowych. Były wyraźniejsze, podziały na mnie jak zastrzyk adrenaliny.

Rusz dupę, Bener, krzychałem w duchu.

– Dobra, Zbychu, darujmy sobie tego podglądacza. Może od łożenia piwka ma przywidzenia. Zróbmy notatkę i wezwijmy tu kogoś do zabezpieczenia mieszkania – stwierdził.

Skacz!

Ostatni raz zerknąłem na drzwi. To był błąd. Pojawił się w nich misiowaty policjant.

Spojrzeliśmy na siebie. Zdążyłem tylko dostrzec jego oczy.

Potem poleciałem w dół.

Lądowanie musiało być twarde.

Upadłem na wilgotną trawę i przekoziółkowałem po niej. Gdy świat przestał wreszcie wirować, usłyszałem krzyk.

– Stój! Policja!

Drzewa i krzewy rosnące z tej strony bloku dawały mi osłonę. Policjanci będą musieli obieć blok, więc miałem szansę się gdzieś schować.

Lewa kostka bolała przy każdym stąpieniu. Na szczęście znałem ten teren jak własną kieszeń, bo w szkole często bawiliśmy się tu w podchody. W sumie nie zrobiłem niczego złego, ale wejście do obcego mieszkania to nie wizyta u fryzjera. Mogłem oczywiście powiedzieć, że szukam znajomej, ale chowanie się pod łóżkiem trudno racjonalnie wyjaśnić.

Pobiegłem w stronę budek handlowych znajdujących się obok Kwadratu, jak nazywaliśmy podłużny, piętrowy budynek z wewnętrznymi dziedzińcami, dawniej obity blachą trapezową, pozostałość po PRL-owskiej namiastce galerii handlowej. Walczyłem z bólem i z własnym przerażeniem. Obawiałem się, że policjanci są gdzieś blisko, ale wolałem się nie oglądać. Chciałem dotrzeć do końca budynku, a potem skrócić w prawo i dokuśtykać do przystanku autobusowego obok kiosku. Kiedyś zatrzymywały się tu różne linie autobusowe. Miałem nadzieję, że teraz też tak jest. Wreszcie oparłem się o ściankę wiaty. Oddychałem jak po maratonie. Zza zakrętu wyłonił się biały autobus. Odruchowo spojrzałem w prawo. Zdawało mi się, że między ludźmi zbliżającymi się do przystanku zauważyłem granatowy mundur. Wcisnąłem się w róg wiaty, chociaż powinienem

uciekać. Jak na złość autobus zatrzymał się na skrzyżowaniu i przepuścił niebieskiego vana. Znowu się wychyliłem. Policjant szedł w moją stronę i obrzucał spojrzeniem parking przed Kwadratem, gadał coś do krótkofalówki. Zatrzymał się. Dzieliło nas nie więcej jak pięćdziesiąt metrów.

Zerknąłem w stronę autobusu, który przejechał skrzyżowanie, ale dziwnie się poruszał. Był przechylony na lewy bok. Dopiero teraz dostrzegłem napis na wyświetlaczu – „Awaria”. Zakląłem.

Policjant ruszył w stronę przystanku.

Pot spływał mi po plecach. Byłem tak zdesperowany, że zastanawiałem się, czy nie pomachać mu białą chusteczką. Jeszcze kilka kroków i znowu spojrzemy sobie w oczy.

Pochyliłem się i wyslizgnąłem z wiaty. Łudziłem się, że emeryt, który właśnie podszedł do kiosku, mnie zasłoni. Zrobiłem kilka kroków i już chciałem stanąć przy ścianie sklepiku, kiedy po drugiej stronie, na parkingu oddzielającym Kwadrat od ulicy, przy której się znajdowałem, zobaczyłem drugiego policjanta.

Przy odrobinie szczęścia mogłem pozostać niezauważony. Stałem między dwoma niewielkimi pawilonami. W jednym mieściła się kwiaciarnia, w drugim sklepik. Wybrałem kwiaciarnię, w której pulchna brunetka dobierała szerokie liście do bukietu z żółtych drobnych kwiatków dla chłopaka w kurtce Unibaxu. Przeszłował z nogi na nogę. Być może zamiast w kwiaciarni powinien już stać przy pisuarze.

Policjanci mogli tu zajrzeć w każdej chwili. Udawałem, że oglądam znajdujące się w kilku wiadrach róże. W rzeczywistości zerkałem na plac przed kwiaciarnią i autobusową zatokę. Jeden z funkcjonariuszy minął przystanek. Gdybym teraz wyszedł, udałoby mi się. Zrobiłem dwa kroki w stronę drzwi, kiedy kątem oka zauważyłem drugiego z mundurowych. Cofnąłem się w głąb pomieszczenia.

Wstrzymałem oddech. Może poszli dalej? Nie mogłem tu zostać, a jednocześnie bałem się wyjść.

Rzuciłem do chłopaka żartem.

– Te kwiaty to chyba nie dla Kryjoma, co?

– Jemu to bym, kurwa, kopa sprzedał, a nie kwiaty. Menedżer od siedmiu boleści.

Nie lubiłem speedwaya, ale wiedziałem, że kiedyś ten sport uratuje mi tyłek. Sławomir Kryjom oddał walkowerem mecz o złoto w Zielonej Górze. Ale za sznurki w tej sprawie zapewne pociągał kto inny.

Zapytałem chłopaka o to, czy był wtedy na stadionie.

– No ba! A ty gdzie siedziałeś? – Odebrał bukiet z rąk kwiaciarki, a ta wydała mu resztę.

– No jak gdzie? Przy samej bandzie, bo się spóźniłem – skłamałem. Przecież w ogóle mnie tam nie było. Ale to był dobry strzał. Przynajmniej mogłem go zagadać. Prawdziwi kibice, tacy jak on, wołają środek sektora. Banda jest dla idiotów, a korona dla mięczaków. Nie mógł mnie więc ani widzieć, ani tym bardziej zapamiętać.

Szybko zdjąłem skórzaną kurtkę, zwinąłem ją w kłębek i ruszyłem za nim na przystanek. Ponarzekaliśmy jeszcze chwilę na ucieczkę naszych żuźłowców z parku maszyn. Gadałem jak nakręcony, pamiętając wypowiedzi zawodników, działaczy i kibiców. Wyglądało, jakbyśmy znali się od lat.

Stanęliśmy w pobliżu przeszklonej wiaty. Podtrzymałem rozmowę, a mój towarzysz przestępował z nogi na nogę. Podjechał autobus. Przybiliśmy piątkę, po czym zostawiłem chłopaka z pełnym pęcherzem na przystanku. Wskoczyłem do środka, usiadłem w fotelu za kierowcą i skuliłem się. Byłem przekonany, że w tej pozycji jestem niewidzialny.

Kiedy mijaliśmy blok Niki, stały tam dwa radiowozy, wokół kręciło się kilkoro funkcjonariuszy.

Cierpiący na lęk przed pajakami nie powinni się zbliżać do doktor Raszei. Była wysoka jak Małgorzata Dydek, ale przeraźliwie chuda. Linia jej pleców przypominała zeskok narciarski na mamuciej skoczni. Z chudego tułowia wychodziły patykowate nogi i ręce. A jakby tego było mało, miała długi nos, na którym opierały się lennonki. Tak, istny hit mody. Brakowało tylko tatuaży, kwiatów we włosach i dzwonów. Namiastką skręta był nieodłączny papieros w poźółkłych od tytoniu palcach.

Kiedy zapukałem do otwartych drzwi jej gabinetu, oderwała wzrok od mikroskopu i spojrzała na mnie z szelmowskim uśmiechem zza obłoku dymu. Papieros tkwił w ustach.

– O spalonkę ci chodzi? – spytała.

– Dokładnie.

Raszeja wymieniła preparat i spojrzała przez okular, a potem poprawiła ostrość.

– Dla szmatławca lokalnego czy ogólnopolskiego? – dopytała, nie odrywając oka od mikroskopu.

– Prywatnie.

– Prywatnie? – Podniosła głowę, po czym gestem zamknęła sobie usta, jakby miała w nich zamek błyskawiczny, a następnie strzepnęła popiół do wypolerowanej czarnej czaszki, która służyła za popielniczkę.

– Tylko garść informacji – poprosiłem.

– Nie mogę. Lepiej powiedz, co ci się stało? – Lustrowała mój rozbity łuk brwiowy, ale zbyłem ją okrągłymi słówkami i wróciłem do ofiary pożaru. – Wiesz, Marek, że to jest pod nadzorem prokuratora?

– Wiem, ale ja naprawdę nie szukam materiału na reportaż.

– To o co ci chodzi, he?

– Wojciech Holtz był moim kolegą.

Odłożyła okulary i pomasaowała skronie.

– Pytaj.

– Przyczyna zgonu?

Lekarka odjechała z fotelem od mikroskopu, oparła się wygodnie i wyrzuciła nogi przed siebie. Dzieliły nas pewnie ze trzy metry, a miałem wrażenie, jakby jej buty dotykały moich.

– Przecież wiesz, że zginął w pożarze. – Zaciągnęła się papierosem.

– Słyszałem, że najpierw stracił przytomność.

– Jeśli pytasz o to, czy żył, kiedy wybuchł pożar, to tak, żył.

– Jak to można zweryfikować?

– Podczas sekcji.

Doprawdy? Myślałem, że zamiast kroić trupy, zaglądają w czarodziejską kulę.

– W najprostszy sposób po obecności sadzy na ściankach krtani i tchawicy, właściwie aż po same oskrzela. Są jeszcze inne metody. Na przykład oznaczenie stężenia hemoglobiny tlenkowej we krwi ofiary. Ale to nie wszystko. Warto też sprawdzić krew pod kątem zawartości cyjanoków. Szczególnie jeśli pożar miał miejsce w pomieszczeniu.

– Dlaczego? – spytałem, chociaż i tak nie sądziłem, bym cokolwiek z tego zrozumiał.

– W trakcie pożaru oprócz tlenku węgla uwalnia się cyjanowodór. Najczęściej z plastików, ale też ze starych lakierowanych mebli i innych materiałów. On także zostawia ślad we krwi. Próbkę poszły do laboratorium. Czekamy na wyniki. Oczywiście jak zawsze w takich wypadkach zamówiliśmy pełną toksykologię.

– Czy to oznacza, że przyczyną śmierci jest zatrucie?

– Poczekajmy na wyniki krwi. Ale tak będzie, jeśli wszystko odbyło się bez udziału osób trzecich.

– A odbyło się?

Doktor Rejsza wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co na miejscu zdarzenia odkryła policja. Ale ja żadnych ran ciętych nie stwierdziłam, o uduszeniu też nie ma mowy. Mundurowi biorą pod uwagę dwie wersje. – Zamyśliła się. – A może i więcej, kto ich tam wie. Ale niech to zostanie między nami. Pierwsza zakłada omdlenie. Mężczyzna pali papierosa, nagle upada na podłogę, uderza o coś głową, rozlewa rozcieńczalnik. Papieros wpada w tę kałużę i dom staje w płomieniach.

– Omdlenie? – zdziwiłem się.

Rozłożyła ręce.

– Tak, zwyczajne omdlenie. W wyniku silnego stresu na przykład, albo spadku ciśnienia krwi, arytmii, nawet intensywnego zapachu chemikaliów. Powodów może być wiele i może się to

zdarzyć każdemu. Przyczyny natomiast zazwyczaj są kardiogenne albo neurogenne.

– A u niego?

– Kardiogennych nie stwierdziłam. O neurogennych wypowiem się po otrzymaniu wyników krwi.

– A druga wersja?

– Wiąże się z ustaleniem pochodzenia uszkodzenia mózgu. – Wskazała miejsce na głowie tuż nad uchem. – W trakcie sekcji, jak wiesz, obowiązkowo otwiera się czaszkę.

Na samą myśl o tym poczułem się nieswojo.

– Wyjmujemy mózg – kontynuowała, choć wolałbym, żeby darowała sobie szczegóły i nie prowokowała mojej wyobraźni – a potem oceniamy jego stan. W tym wypadku, chociaż pożar w oczywisty sposób zmienił wygląd organu, mamy do czynienia z jego stłuczeniem, krwiakiem nadtworówkowym. Można to poznać po obrzęku i deformacji tkanki mózgowej na skutek rozerwania naczyń krwionośnych. Generalnie rozróżniamy trzy typy krwiaków, ale... – Uśmiechnęła się na widok mojej miny. – Widzę, że nie powinnam brnąć dalej.

– Będę wdzięczny.

– W takim razie pytanie brzmi: od czego powstał uraz mózgu? Co mogło go spowodować?

Zgasła papierosa i podeszła do planszy z przekrojem czaszki. Sięgnęła po nową fajkę i przeciągnęła nią przez rysunek, markując kreskę od czoła, nad uchem aż do najdalszego punktu z tyłu głowy.

– To tak zwana linia kapeluszu. Przyjmijmy, że właśnie do tej linii nasadzisz na głowę kapelusz. Poniał?

Przytaknąłem.

– Wszystkie urazy mózgu poniżej tej linii mogą powstać na skutek kontaktu głowy z podłożem, a więc właśnie na przykład przy utracie świadomości. Z kolei urazy powyżej tej linii można śmiało kwalifikować jako powstałe z innych przyczyn. Bo trudno mdlejąc, uderzyć się w czubek głowy.

– Czyli raczej uderzenie?

– Raczej uderzenie – powtórzyła za mną. – Ale nie każdy uraz oznacza pęknięcie czaszki.

Przynajmniej nie musi.

– A u niego?

– Pęknięcia czaszki nie ma, ale uraz mózgu jest. Niestety jego pochodzenia wcale nie jestem pewna. W miejscu, gdzie mężczyzna upadł, stała ława. Miejsce odnalezienia zwłok, jak i pozycja ciała, mogą wskazywać na to, że w chwili omdlenia uderzył w nią głową. Rana liniowa, z którą mamy do czynienia w tym konkretnym przypadku, może to potwierdzać.

Może, może, może... Wszystko może. Więc może to Holtz?

– Jak widzisz, sprawa nie jest taka prosta. – Wskazała papierosem w moją stronę. – Twój uraz też nie wygląda najlepiej.

Zignorowałem jej uwagę.

– Jak on wyglądał? – próbowałem dociec.

– Marek, on nie wyglądał. To były zwłoki doszczętnie spalone. Doszczętnie, rozumiesz?

Podrapałem się po zaroście i odciągnąłem przyczepiające się do niego włosy. Serce zabiło mi mocniej. Pora na właściwe pytanie.

– To skąd wiadomo, że to on?

Zaciągnęła się. Słupki popiołu wygiął się ku dołowi.

– Dobre pytanie. Nie mamy stuprocentowej pewności, ponieważ nie otrzymaliśmy jeszcze jego karty dentystycznej. Może w poniedziałek. Z kolei za dwa tygodnie powinniśmy mieć wynik badania DNA, a dokładniej analizę porównawczą pobranych wycinków ciała ofiary z innymi śladami biologicznymi w jego mieszkaniu, włosami, szczoteczką do zębów. Jednym słowem, to jeszcze przed nami. Na razie jednak trudno przypuszczać, by to był ktoś inny.

– A rana postrzałowa?

– Nie.

– Żadnych ran postrzałowych?

– Tego jestem pewna. Żadnych.

Zadudniło mi serce. Nie trzymają tu Holtza! Pamiętałem treść wywiadu znalezionego w sieci, w którym opowiadał o przypadkowym postrzale w Iraku i dochodzeniu do zdrowia.

Raszeja podeszła z powrotem do fotela i zgasiła papierosa w czarnej popielniczce.

– W takiej sytuacji musiało się oczywiście obyć bez okazania ciała najbliższym. Za to jego żona bez problemu rozpoznała obrączkę ze śladami graweru. Ponadto dokładnie opowiedziała, w co był ubrany mąż w dniu śmierci.

– Przecież się zwęglił, to skąd wiadomo...

– Ślady, Marku – przerwała mi, przeciągając sobie papierosa pod nosem i delektując się jego zapachem. – Są ślady, które nigdy nie giną.

Odwróciła się do mikroskopu i zanuciła jakąś piosenkę. Coś o tym, że ona tu jest i dla kogoś tańczy. Idiotyizm.

Audycja zakończona.

Zadzwonił telefon.

3

W słuchawce usłyszałem dentystę, tego samego, który pomógł mi opatrzyć rozbity łuk brwiowy. Najpierw jego wypowiedzi urywały się, jakby tracił zasięg, ale w końcu dotarł do mnie wyraźny głos.

– Moja żona mi tu marudzi od pana wizyty. Chciała, żebym koniecznie coś panu powiedział, więc dzwonię. Ale jakby co, to nie wie pan tego od nas, dobrze? – zastrzegł.

– Tak?

– Chodzi o to, że upiera się, że...

Usłyszałem jakieś trzaski, kilka niewyraźnych słów, jakby krótką wymianę zdań. Po chwili odezwała się kobieta.

– Beata Strybrat, dzień dobry. Po prostu chciałam powiedzieć, że tego dnia, kiedy był pan u nas, dwukrotnie przejechał naszą drogą samochód. To znaczy w stronę spalonego domu.

– Zatrzymał się tam?

– Nie wiem, nie pamiętam. Możliwe, ale ręki nie dam sobie uciąć. Rozsiewałam nawóz pod tujami i wtedy przesunęła się tuż za płotem. Było jeszcze jasno. Nie zatrzymała się u sąsiadów ani przy domu obok. Na pewno nie. A potem, kiedy już byłam w kuchni, widziałam, jak wracała. Wie pan, tu rzadko można zauważyć jakiś ruch, jesteśmy praktycznie na końcu drogi, nie licząc tego spalonego domu, więc cokolwiek za oknem zawsze zwraca uwagę. Takie wiejskie nawyki – zaśmiała się.

– Limuzyna?

– Słucham?

– Mówiła pani o tym samochodzie w rodzaju żeńskim, że to ona. Jakaś limuzyna, czy może furgonetka?

– A nie, nie... To była taksówka.

– Taksówka?

– Niech pan zaczeka. – Kobieta wypowiedziała imię męża. Znowu wymienili kilka zdań, z których niewiele do mnie dotarło, po czym odezwała się ponownie. – Baleron.

– Słucham? – Usłyszałem jakby drobną sprzeczkę, a po niej kolejne szmery.

– Ehh... kobiety i samochody – odezwał się dentysta. – To był mercedes baleron. Wie pan, najbardziej popularny wśród taksówkarzy. Kojarzy pan?

– A z której korporacji?

– Niech pan poczeka – zamilkł. – Nie wiem, żona nie pamięta.

Teraz kojarzyłem aż za dobrze. Podobny stał niedawno w pobliżu mojego domu. A dziś odjechałem nim spod kościoła Świętego Józefa. Kierowca mruk miał na szyi tatuaż przypominający ogon kosmity z Obcego.

O co w tym wszystkim chodzi?

Kiedy wchodziłem do redakcji, zadzwonił Jacek Jankowski.

– Gdzie jesteś? – spytał szybko.

– W redakcji, a co się stało?

– Zaraz u ciebie będę.

To miało mi wystarczyć za odpowiedź. Upchnąłem kilka zaległości na stronie, przerzuciłem parę newsów z portali internetowych.

Po chwili zadzwonił domofon.

– To ja! – usłyszałem głos Jacka w słuchawce.

Wpuściłem go na górę.

Przywitaliśmy się. Jak zawsze żuł gumę. Skrzywił się, widząc mój napuchnięty łuk brwiowy, ale machnąłem ręką, bo nie chciałem o tym rozmawiać. Wskazałem fotel ustawiony w kącie, gdzie zazwyczaj przyjmowaliśmy gości. Dokuśtykałem tam, przeklinając ból w kostce. Jacek był starszy ode mnie o kilka lat. Znaliśmy się, ale nie byliśmy kumplami. Nie spędzaliśmy razem wolnych wieczorów w barach. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz go widziałem, ale miałem wrażenie, jakby posiwiiał jeszcze bardziej. Gęste włosy jak zawsze miał przystrzyżone na jeża, nosił dżinsy i czarną koszulę. Skórzaną pilotkę z futrzanym kołnierzem położył na wolnym fotelu. W oczy rzucił mi się jego sygnet – łeb orła.

– Gdzie ona jest?

– Kto?

– Marek, nie pajacuj!

Prychnąłem nerwowo.

– Myślałem, że to wy zajmujecie się zawodowo zaginięciami – stwierdziłem.

– Dość. Żarty na bok. – Pochylił się.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie ona jest. Szukam jej już trzy lata do cholery!

– Zaraz, sekunda. – Splótł dłonie. – Nie rozmawiamy o Agacie.

Zdębiałem.

– Chodzi ci o Nikę?

– Mieszkała u ciebie, tak?

– Czeka, czeka. O co chodzi? Przecież niedawno to ja ciebie prosiłem o pomoc w jej odnalezieniu.

– Nie utrudniaj, tylko mów, gdzie ona jest.

Zaśmiałem się nerwowo.

– Czy ty słyszysz sam siebie? Skąd mam to wiedzieć? Szukałem jej wszędzie, w spalonej chałupie, w jej mieszkaniu. Mieliśmy się spotkać u mnie, ale nie dotarła.

– Byłeś tam?

– Gdzie? – Byłem na skraju irytacji.

– W jej mieszkaniu.

Wzrok uciekł mi na wykładzinę. Mowa ciała zdradza wszystko, więc zrezygnowałem z kłamstwa.

– Byłem.

– Przynajmniej już wiem, dlaczego tak kuśtykasz. Co tam robiłeś?

– Szukałem jej?

– W szafie?

– Ściśle mówiąc, pod łóżkiem.

Uśmiechnął się. Ja też.

– Po jaką cholere tam wlałeś?

– Żeby nikt mnie nie zobaczył.

– Nie wal w chuja, Marek! – Nie poznał się na żarcie. – Po jaką cholere włazłeś do mieszkania?
– Powiedziałem ci o zaginięciu Niki, ale kazałeś mi dać sobie spokój. Było tak? Pokiwał głową, wciąż żując gumę.
– No więc znasz odpowiedź na pytanie. Skoro mnie olałeś, chciałem sam wszystko sprawdzić.
– Ale nie musiałeś wchodzić do obcego mieszkania!
– Wcześniej dostałem od niej klucze, żeby przewieźć rzeczy.
– I to cię usprawiedliwia, tak? Traktujesz jak zaproszenie do wspólnego życia? Jak karnet na basen czy siłownię?
Popatrzyłem na niego z rezygnacją. Odechciało mi się gadać.
– Dlaczego o tym rozmawiamy? Stało się coś? – spytałem.
– Obawiam się, że tak.
Milczeliśmy.
– Powiesz, czy mam uklęknąć i pocałować łebek orła? – zdenerwowałem się.
Spojrzał na mnie z zażenowaniem.
– Weronika Holtz może być zamieszana w morderstwo.

4

– W morderstwo? – Nie wierzyłem własnym uszom. – Co ty pieprzysz, jakie morderstwo?!
Moje pytanie wisiało w powietrzu przez dłuższą chwilę. Zaczynało mi brakować tlenu.
– No mów, do cholery! Zabiła męża czy co?
Spojrzał na mnie jak na kosmitę.
– Jest podejrzana o zabójstwo Agnieszki Miedzińskiej. Ale nigdy ci tego nie powiedziałem. Blondyneczka figo-fago.
– Porównaliśmy odfitki palców, które zostawiła u Miedzińskiej na szklance, z tymi w jej mieszkaniu – kontynuował policjant.
Musiałem zrobić głupią minę.
– Tylko nie pytaj, dlaczego to zrobiliśmy. – Popatrzył na mnie wymownie. – Bo ktoś tam wtargnął.
– No i co z tego?
– Poza tym zgadza się rysopis podany przez jednego z sąsiadów. – Jankowski olał moje pytanie. – Była tam. I prawdopodobnie jako ostatnia odwiedziła Miedzińską.
– To niedorzeczne. – Przetarłem twarz dłonią. – Po co by to zrobiła?
– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać. – Jankowski wstał, wyciągnął do mnie rękę. – Jeśli spotkasz się z Weroniką Holtz, nie kombinuj, tylko dzwoń do mnie. Im szybciej, tym lepiej.
– Jak to oficjalnie będzie wyglądało? Morderstwo czy nieszczęśliwy wypadek?
– Zbieramy dowody. Zadzwon jutro do rzecznika. I koniecznie do mnie, jeśli Weronika Holtz wróci. Jasne?
Miałem w głowie chaos. Prędzej uwierzyłbym, że to Weronikę spotkało coś złego, niż że ona sama mogłaby komukolwiek zrobić krzywdę. Próbowałem przypomnieć sobie nasze rozmowy w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która mogłaby naprowadzić mnie na jakiś rozsądny trop. Czego Weronika szukała u Miedzińskiej? Z czym tam poszła? Czułem, że odpowiedź na to pytanie mam na końcu języka. Pstrykałem palcami, żeby ją przywołać, ale bluesowy riff z głośnika telefonu sprawił, że odpowiedź rozwiała się jak dym na wietrze. Klnąc na czym świat stoi, dotknąłem zielonej słuchawki. Dzwonił Radek.

– Zdjęcia z samobója masz w linku. Wybierz coś z tych robionych z okna klatki schodowej, wydaje mi się, że są niezłe – stwierdził.

Niezłe? A co to, fotoreportaż z wyborów miss, do cholery?

Podszedłem do komputera i odebrałem pocztę. Kliknąłem w link do Dropboxa.

Przejrzałem zawartość galerii. Zdjęcia z wysokości oddawały tragizm sytuacji. Ciało społeczniczki było przykryte workiem, oświetlonym policyjnymi reflektorami, ale mimo to nie zdecydowałem się na to ujęcie. Nie będziemy mieć trupa na okładce poniedziałkowego numeru. Nie jesteśmy tabloidem, przynajmniej jeszcze nie. Poszukałem czegoś, co pokazywałoby inną stronę tego dramatu. Wstępnie wybrałem trzy fotki i poprzymierzałem je, umieszczając po kolei na wirtualnej makiecie. Postawiłem na klęczącego w pobliżu zasłoniętych parawanem zwłok technika kryminalistyki. Od ciemnego tła odcinały się jego białe rękawiczki znajdujące się w centralnym punkcie zdjęcia. Na drugim planie, w szpalerze gapiów, ktoś złapał się za głowę, a ktoś inny trzymał telefon skierowany w stronę parawanu.

Pomyślałem, że powinienem skontaktować się z Piotrkim, chłopakiem Miedzińskiej. Poszukałem jego numeru w swoich notatkach i wizytówkach. Pamiętam, że zapisałem go na jakiejś kartce, którą dostałem latem od Agnieszki, a która dotyczyła ostrzeżenia przed pigułkami gwałtu. Napisałem o tym projekcie ze dwa albo trzy teksty. Kiedy wreszcie odnalazłem tę ulotkę, zadzwoniła moja komórka.

Zanim odebrałem, rozłożyłem ulotkę na blacie. Przedstawiała drink przy opuszczonym stole, a w tle światła dyskoteki i tłumy tańczących. Hasło głosiło: „Nie zostawiaj mnie”. Niżej zauważyłem adres strony internetowej i numer telefonu zaufania.

– Halo, Marek?

Nie, John Wayne. Chojnicki brzmiał dziwnie sucho.

– O co chodzi? – spytałem.

– Rozmawiałem ze Staszkiem. Chcielibyśmy się z tobą spotkać.

Chojnicki nalegał, żeby spotkanie odbyło się u Rudnika, ale nie miałem na to najmniejszej ochoty. Wywalił mnie z roboty. Nie będę uderzał w pielgrzymkę do jego świątobliwości. Ostatecznie stanęło na tym, że zobaczymy się w nowym domu Rycha w podtoruńskiej Łubiance. Nie bardzo pasowało mi dzisiejsze spotkanie, ale miałem jednak nadzieję, że może uda mi się coś wskórać w sprawie mojego etatu. Nie mogłem tego bagatelizować, bo przecież bez pieniędzy nie miałbym szans na dalsze poszukiwania Agaty.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, wybrałem numer do Piotrka. Odezwał się cichym, smutnym głosem. Przekazałem kondolencje. Wracał pociągiem z Warszawy, głos drżał mu nieco. Nie powinienem mu dziś zawracać głowy, a przynajmniej nie tą sprawą.

– Czy Agnieszka widywała się ostatnio z Weroniką Holtz? – spytałem po krótkim wspomnieniu społeczniczki i naszych wspólnych, zawodowych, ale nie tylko, kontaktów.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Nie, pewien nie jestem, ale gdyby wcześniej się odwiedzały, coś bym o tym wiedział. A czemu pytasz?

Obie dziewczyny się znały. Agnieszka była najlepszą przyjaciółką mojej siostry i często nas odwiedzała, kiedy byłem z Niką.

– Poczekaj! Ty chyba nie zamierzasz o tym pisać, co? – zapytał. – Marek, proszę cię.

Spojrzałem na ekran komputera. Na pierwszej stronie poniedziałkowego wydania „Miejskiej” wisiało już zdjęcie z miejsca samobójstwa lub morderstwa i nałożona na to fotografia uśmiechniętej rudowłosej prezeski umieszczona w lewym dolnym rogu. Wyciągnąłem ją z redakcyjnego archiwum. Całość rozciągnąłem na szerokość trzech łamów. Brakowało tylko tytułu i tekstu, do którego nie wiedziałem, jak się zabrać. Teraz wszystko zależało od tego, jak sprawę oficjalnie zakwalifikuje policja. Jeśli postawi na morderstwo, w poniedziałek wszystkie media wrzucą to na jedynekę. Jeżeli ja tego nie zrobię, mogę już całkiem zapomnieć o etacie.

– Oczywiście, że nie – skłamałem i usłyszałem, jak z ulgą wypuścił powietrze.

– Dzięki. Doceniam.

Właściwie mogłem się już rozłączyć. Byłem przekonany, że w poniedziałek mocno się na mnie zawiedzie.

– Holtz, Holtz. – Piotr wrócił myślami do początku naszej rozmowy. – W sumie pamiętam to nazwisko, ale kojarzę je z jakimś facetem.

Zacisnąłem dłoń na słuchawce.

– Wojciech – powiedziałem.

– Chyba tak – stwierdził, przeciągając ostatni wyraz. – Tak. Teraz już sobie przypominam.

– Robili coś razem w fundacji?

– Nie, spotykali się ostatnio popołudniami. Jakies prywatne tematy.

– Prywatne? – zagadnąłem.

– Tak mi się wydaje.

– Nie pytałeś?

– Nie. To jej sprawy.

– A gdzie się spotykali?

– U niej.

– Byłeś przy tym?

– No nie. To były krótkie spotkania – kontynuował. – Ale Agnieszka była po nich jakaś taka podminowana. Ta Weronika Holtz to jego żona?

– Tak. A kiedy widzieli się ostatni raz?

– Hmm. Nie wiem... w środę?

– Niemożliwe.

Zapadło milczenie.

– Tak, w środę... Albo nie... Czekaj, to było w poniedziałek. Tak, w poniedziałek.

I znowu zrobiło się cicho.

– Słuchaj, a ten Holtz? – Piotr odezwał się pierwszy. – Może on coś wie, może mógłby coś więcej powiedzieć policji, co? Jak myślisz? – zaczął się nakręcać. – Masz do niego jakiś kontakt?

– Piotr, słuchaj...

– Ale Marek, to może być ważne!

– On nie żyje. Zginął w pożarze, w nocy z wtorku na środę.

Kiedy włączałem w domu światło, miałem nadzieję, że taka sama jasność rozbłyśnie w mojej głowie. Dotknąłem plastra. Łuk brwiowy nadal bolał, więc łyknąłem ostatnie proszki. Puste opakowanie wywaliłem do kosza.

Z głośników sączył się Detox. Basowe struny Bena Otręby nakręcały ten numer, nadawały mu charakteru. Rysiek z przejęciem śpiewał o wyroku odczytywanym ze szklanych oczu lekarza. Wiele bym dał, żebym w tym całym galimatiasie faktów też mógł coś odczytać.

Położyłem się na sofie. Odrzuciłem myśli o tym, czy to Holtz zginął w pożarze, czy nie. A jeśli informacja o postrzale, którą zawarł w wywiadzie, była tylko na pokaz? Może był ledwie draśnięty odłamkiem? Może chodziło o zdarty naskórek? Obrączka na innym palcu ostatecznie też nie stanowiła żadnego dowodu. W tej sprawie trzeba było czekać na wyniki badań DNA, toksykologię i wreszcie na kartę dentystyczną. Zastanawiałem się teraz tylko nad tym, co łączyło go z Agnieszka, co robił u niej dzień przed pożarem w Przysieku. I co u Miedzińskiej robiła Nika?

Sięgnąłem po wodę mineralną i pociągnąłem kilka łyków. Za wszelką cenę próbowałem wrócić myślami do redakcji, do tego momentu, kiedy mózg niemal fizycznie drążyła jakaś nieznośna myśl. Coś, co miało związek z Weroniką i jej pobytem u Miedzińskiej. Coś, o czym pewnie mówił mi jej sąsiad.

Wyciągnąłem z torby notes. Przejrzałem zapiski. Przypominałem sobie wszystkie jego gesty towarzyszące wypowiedziom, a i tak nie znalazłem tego, co wciąż siedziało z tyłu głowy.

Poirytowany podszedłem do zestawu audio i wyjąłem płytę. Przejrzałem kilka pudełek. Richie Sambora, Joe Bonamassa, Numero uno Tadeusza Nalepy nagrany wspólnie z Dżemem. Otworzyłem to pierwsze. Próbowałem wyjąć krążek, ale siedział w opakowaniu jak przyklejony. Prędzej bym ją złamał. Szlag! Co za gówno! Rzuciłem pudełkiem o ścianę Trzasnęło.

Po odgłosie już wiedziałem, że plastik pękł. Płyta wypadła na podłogę.

Spojrzałem na połyskujący krążek.

No przecież!

Właśnie o tym mówił sąsiad Miedzińskiej! Że blondynka pokazała Agnieszce płytę CD i to był jej bilet wstępu do mieszkania na dziewiątym piętrze.

Poszedłem na górę do pokoju zajmowanego przez Nikę. Jej rzeczy wciąż leżały rozrzucone na dywanie. Przejrzałem je pospiesznie, a potem jeszcze raz z uwagą. Żadnej płyty wśród nich nie było. Sprawdziłem dokładnie torbę, pod usztywnianym dnem też. Nic. Wróciłem myślami do domu Holtzów i pakunku pod łóżkiem. Zbiegłem na dół i złapałem to, co zostało z pudełka Bonamassy. Zważyłem w ręce, rozmiarem mogła przypominać owiniętą w papier i przyklejoną taśmą paczuszkę.

Powrót do mieszkania Niki nie wchodził w grę. O czym rozmawiali policjanci, kiedy stałem na parapecie? O właściwym zabezpieczeniu mieszkania. A ponadto musiałbym minąć społeczny patrol w niebieskich laczkach. Nie miałem więc najmniejszych szans, żeby się tam dostać. Przygryzłem wargę. Myślami krążyłem wokół tego pakunku i na niczym innym nie mogłem się skupić. Nie wiem, skąd przypomniały mi się szkolne czasy, kiedy ukryta gdzieś ściągą odbierała rozum w trakcie pisania klasówki. Albo udało ci się w nią zerknąć, albo oddawałeś pustą kartkę. Tak samo było teraz ze mną. W głowie miałem tę samą pustkę. Myśl o tym, co zawiera płyta CD, którą Weronika zaniósła do Miedzińskiej, wypierała wszystkie inne.

Dzięki Bogu zadzwonił telefon.

Spojrzałem na wyświetlacz. Sister. Szczerze mówiąc, nie mogłem w to uwierzyć, dopóki nie usłyszałem jej głosu.

– Co tam? – zaczęła, jakbyśmy widzieli się wczoraj. – Dzwoniłeś do mnie.

– Hej. Dzwoniłem, bo długo się nie odzywałaś.

– Ty też się nie odzywałaś. Coś pilnego? – Jak zwykle rozmowę ze mną uważała za stratę czasu.

– Rodzice się martwią.

– Aha. To dlatego dzwoniłeś?

– Nie, nie dlatego – odpowiedziałem spokojnie, mimo że byłem spięty. Ona chyba też. – Po prostu dawno cię nie słyszałem. Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Spoko, może być.

– Gdzie jesteś?

– A gdzie mam być?

– Nie wiem, pytam tylko.

– W Londku jestem, przecież wiesz.

– W Londku – powtórzyłem jak echo. – Na pewno wszystko okej?

– Spoko.

Powinienem powiedzieć jej o Miedzińskiej i Holtzu. Pulsowało to we mnie. W końcu ona była jej przyjaciółką, a on...

– A u ciebie? – spytała.

– U mnie?

– Mama mówiła, że byłeś w Berlinie.

– Byłem.

– I? – wyczekiwała, ale nie wierzyłem, że naprawdę interesowała się poszukiwaniami Agaty. Nawet nie wymieniła jej imienia. Może tak jak reszta rodziny zwyczajnie spisała ją już na straty. Gdyby było inaczej, zadzwoniłaby do mnie wcześniej.

– I nic – odpowiedziałem z westchnieniem, po którym w słuchawce zrobiło się cicho.

– No dobra, muszę kończyć, czekam na telefon – usłyszałem.

– Poczekaj, Paula, jeszcze chwila.

– Co?

Zbierałem się w sobie. Nie wiedziałem, jak zareaguje na wiadomość, którą chciałem jej przekazać.

– Wojciech Holtz... – Wybrałem chyba złą kolejność.

- Nie chcę tego słuchać – przerwała mi, nim zdążyłem wymówić jego nazwisko.
- ...nie żyje.
- I co mi jeszcze powiesz, co? – przyjęła to spokojnie.
- Nie żyje też Agnieszka Miedzińska.

Cisza.

- O Boże... Jak to? – zmieniła ton.
- Nie wiem – skłamałem. – To znaczy, nie wiadomo, czy nie wypadła z okna...
- Jezu... – jęknęła i natychmiast się rozłączyła.

Próbowałem oddzwonić, ale po kilku sygnałach zrozumiałem, że nie odbierze. Poza tym moja komórka oznajmiła właśnie krótkim sygnałem, że kończy się bateria.

Przez całe dziesięć lat udawało mi się unikać nazwiska Holtza oraz wyblakłych wspomnień o wydarzeniach, które jak brzytwa przecięły łączące mnie z siostrą więzi. Niestety w ostatnich dniach to przekłete nazwisko odmieniałem przez wszystkie przypadki. Teraz dodatkowo obciążałem tym Paulinę, którą dawno temu zostawiłem samą w domu i pozwoliłem na to, by Holtz ją skrzywdził. I fachowo postawiłem kropkę nad „i”, przekazując jej informację o śmierci przyjaciółki.

Tak, wiem. Siostra kocha mnie nad życie.

5

Tuż przed tym, jak droga z Torunia skręcała łagodnie w lewo na Łubiankę, pod sosnowym lasem majaczyły nowoczesne zabudowania z ciemnego klinkieru. Wysoki, lity płot z kutą bramą oraz potężny, dwukondygnacyjny dom. Nawet parapety, na wzór starych domostw, były zrobione z cegły klinkierowej ułożonej prostopadle do elewacji. Kremowe, szerokie fugi nadawały budowli uroku i co ważniejsze – lekkości. Dom wywarłby na mnie jeszcze większe wrażenie, gdyby nie dwie betoniarki, hałda żwiru i w połowie ułożona droga z bruku – tak, nie myliłem się – klinkierowego. Kominek we wnętrzach pewnie też był klinkierowy. Światło na parterze rzucało lekką poświatę na stojące opodal dwa samochody. Czarny lśniący SUV spod znaku Mercedesa należał do Chojnickiego, potężnym brązowym audi Q7 jeździł przez Rudnik.

Musiałem się przewietrzyć, więc kiedy zadzwonił Chojnicki i podał godzinę spotkania, bez wahania wsiałem do mojego forda, w którym znajomi z punktu wulkanizacji na Bulwarze Filadelfijskim, zdążyli założyć nowe opony. Przy potężnych, nowoczesnych pojazdach wyglądał jak zdalnie sterowana zabawka.

Czego tu szukałem? O czym właściwie chciałem rozmawiać z tymi tuzami, którzy moje miesięczne zarobki przepuszczali przez rurę wydechową swoich asfaltowych terenówek?

Jedno było pewne. Nie zamierzałem się płaszczyć. W sumie byłem przecież zwolnionym, ale jeszcze świadczącym pracę dziennikarzem „Miejskiej” wydawanej przez spółkę Rudnika. Ruch należał więc do niego, nie do mnie. Za wszelką cenę nie mogłem dać po sobie poznać, że potrzebuję jego zasranych pieniędzy po to, bym nadal mógł szukać Agaty.

Drzwi uchyliły się. Chojnicki w jednej ręce trzymał pękata szklankę z whisky. Uśmiechał się zawodowo i nawet na placu budowy był w nienagannym stroju: dopasowanej do szczupłej figury szafirowej marynarce i dżinsowych spodniach. Duże usta, jakby złożone z małych baloników, uśmiechały się do mnie. Trochę sztucznie, przynajmniej tak mi się zdawało. Zmarkotniał jednak, gdy zobaczył moją obitą twarz. Wykręciłem się od odpowiedzi i natychmiast spytałem, kiedy się tu wprowadzi.

– Prace wykończeniowe na finiszu. Został już tylko ten hol. – Wskazał ręką na wnętrze, które w niejednym mieszkaniu byłoby nad wyraz gustownym salonem. Jasna, marmurowa podłoga

przykryta była folią budowlaną przyprószoną siwym pyłem. Głośno szeleściła pod butami. Ściany, duże i puste, raziły śnieżną bielą. Chojnicki szedł przodem, otworzył drzwi do dalszej części domu, a kiedy przeszedłem próg, zamknął je, przebąkując coś o nanoszeniu syfu do salonu.

Minęliśmy oczekujący na meble i pozostałe sprzęty pokój dzienny wielkości boiska do koszykówki i skręciliśmy w lewo. Chojnicki odsunął kolejne drzwi i znaleźliśmy się w kuchni. Błyszczące blaty mebli wyglądały jak z niemieckiego katalogu. Przy wyspie znajdującej się w centralnym punkcie pomieszczenia i pod okapem wielkości dachu ogrodowej altany siedział mały grubasek. Gdybym włączył wywiew, wciągnęłoby go do komina, pomyślałem.

Białe, równo przystrzyżone broda i wąsy oraz popielate włosy mocno kontrastowały z czerwoną okrągłą twarzą. Rudnik podniósł się z trudem z wysokiego barowego krzesła. Wyciągnął w moją stronę wilgotną i miękką dłoń. Poczułem, jakbym ścisnął dopiero co wyrobione drożdżowe ciasto. Kamienna twarz mojego szefa nie była zdolna do uśmiechu. Udawał, że nie widzi rozbitego łuku brwiowego.

– Panie redaktorze – sapnął.

Żart albo zaczepka.

Niepostrzeżenie wytarłem dłoń w bojówki.

– Jasia Wędrowniczka? – Chojnicki po drugiej stronie wyspy sięgnął po butelkę whisky.

Rudnik wdrapał się z powrotem na krzesło, poprawił szarą marynarkę i upił łyk ze swojej szklanki. Zagrzechotały kostki lodu.

– Przyjechałem samochodem. – Zabrzmiało to chyba zbyt dumnie i nie wiedziałem, czy nie parskną śmiechem.

– Może chociaż piwo?

– Niech będzie.

Ryszard stanął przy lodówce wielkości bramy garażowej i wyjął guinnessa.

– Siadaj, proszę – wskazał mi krzesło, a potem sprawnie przelał piwo do pokala.

– Kiedy parapetówka? – Starałem zachowywać się normalnie i niespecjalnie zwracać uwagę na mojego pracodawcę. Było to chyba pierwsze nasze nieformalne spotkanie.

Pociągnąłem łyk dobrze schłodzonego czarnego trunku, a następnie oblizałem usta z gęstej piany.

Gospodarz omiółł pomieszczenie wzrokiem.

– Dół, jak widzisz, w zasadzie jest gotowy, nie licząc mebli. Natomiast na górze trzeba jeszcze niewielkich poprawek. Jak dobrze pójdzie, za tydzień lub dwa powinienem się wprowadzać.

Ryszard miał żonę i synów bliźniaków. Znałem ich dobrze, chociaż ostatnio rzadko się spotykaliśmy, bo Franek i Antek studiowali informatykę we Frankfurcie nad Menem. Dom był jednak tak duży, że spokojnie mogłoby tu zamieszkać kilka rodzin. Biorąc pod uwagę fakt, że synowie zostaną w Niemczech, Chojnicki chyba się zapędził przy budowie tego olbrzyma. A może leczył jakieś kompleksy?

– Panie redaktorze – zaczął Rudnik. – Poprosiłem Rysia o spotkanie z panem, żeby raz jeszcze wszystko sobie wyjaśnić.

Raz jeszcze? A kiedy był ten pierwszy, chciałem zapytać, ale przecież obiecałem dać mu szansę.

– I? – spytałem, podnosząc pokal.

– Możemy bez ogródek? – skrzywił się, jakby połknął robala.

Zgodziłem się.

– No więc, jak pan doskonale wie, idą wybory. – Spojrzał na Chojnickiego, który wreszcie usiadł obok niego, poprawiając sobie granatowy krawat w delikatne beżowe wzory. – I wie pan już, że Rysiu zamierza zamienić fotel prezesa spółdzielni mieszkaniowej na fotel prezydenta tego miasta.

– Torunia – sprostował Chojnicki i uśmiechnął się. – Bo obecnie jesteśmy na wsi.

– A ja – Rudnik zupełnie nie zwrócił uwagi na żart kolegi – zamierzam mu w tym nieco pomóc. Tak się składa, że Rysiu chciałby móc też liczyć na pana, panie redaktorze. Z tego, co wiem, już to omówiliście. – Spojrzał najpierw w moją stronę, a potem na Chojnickiego.

Mylił się, ale nie zamierzałem go na razie wyprowadzać z błędu. Byłem ciekaw, dlaczego Rudnik zamierza zrobić kampanię Ryszardowi i co za to dostanie.

– Wobec tego... – zawahał się, jakby kolejne słowa nie chciały mu przejść przez gardło. – Nasza gazeta powinna nienachalnie, ale jednak wspierać jego starania w tej walce.

– Co pan będzie z tego miał? – wypaliłem, nie mogąc się powstrzymać.

Rudnik znowu zrobił dziwną minę. Chojnicki zwięził usta.

– Wyjaśnijmy sobie coś – odezwał się mój pracodawca szorstko. – To nie pana interes.

– Myli się pan, panie prezesie. To właśnie jest mój interes, bo od wielu lat moje nazwisko firmuje teksty w tej gazecie. I nie chcę być kojarzony ze szmatławcem, który sprzedaje jedyne słuszne poglądy jedyne go słusznego kandydata. W ten sposób ostatecznie skaże pan „Miejską” na śmietnik. A z tego, co wiem, nasza sprzedaż już niebezpiecznie pikuje. Ale może o to właśnie panu chodzi? Może ten biznes po prostu panu nie leży i nadszedł najlepszy moment na to, żeby się go pozbyć?

To tyle, jeśli chodzi o danie szansy.

Rudnik popatrzył na Chojnickiego i poczerwieniał jeszcze bardziej. Potem bezradnie pokręcił głową.

– Panowie, spokojnie. – Ryszard położył ręce na blacie wyspy, jakby ta zamierzała wzbicić się w powietrze. – Bez kłótni, proszę. Nie po to się spotykamy, żeby robić sobie przykrości.

Rudnik odsunął pustą szklankę od siebie i znowu zrobił minę, jakby przegryzł żywego chrabaszczka.

– Panie redaktorze, sprawa jest prosta. – Rozłożył ręce. – Rysiu prosił mnie, bym dał panu szansę, z której, jak widzę, nie zamierza pan skorzystać. W takim razie nie sądzę, byśmy mieli jeszcze jakieś wspólne tematy do przedyskutowania.

Ostentacyjnie wyjął z kieszeni kluczyk do swojego czołgu na kołach. Nie ruszyłem się z miejsca. Nie on mnie zapraszał, nie on będzie wskazywał mi drzwi. Spokojnie sięgnąłem po mojego guinnessa.

– Panowie, proszę! – Ryszard uzupełnił whisky w szklance Rudnika. – Sprawa jest złożonej natury. – Wstał i złączył dłonie w piramidkę, jakby zamierzał prowadzić wykład. – Myślę, że wszyscy jesteśmy w stanie się dogadać.

– Pomówimy o tym później, Rysiu. – Szef wydawnictwa był nieustępliwy.

– Zrobimy inaczej. – Chojnicki położył dłoń na jego ramieniu. – Mam pewien pomysł.

Wolno upił dwa łyki. Nie wiem, kto go uczył zasad budowania napięcia, ale na pewno dobrze opanował tę sztukę.

– Kiedy ruszymy z kampanią, Marek nie zostawi na mnie suchej nitki.

Wydawało mi się, że Rudnik zamarł na ułamek sekundy. Popatrzył na Chojnickiego jak na dziwne zjawisko w przyrodzie.

– Będzie największym i najgorętszym krytykiem wszystkich moich poczynań – kontynuował Ryszard, po czym zwrócił się bezpośrednio do mnie: – Będziesz najlepszą strzelbą, czy tam pistoletem „Miejskiej”, jak wy to nazywacie.

Nie kupowałem tego. To znaczy, nie do końca.

– Zamierzasz grać ofiarę? – spytałem, domyślając się, o co mu chodzi.

Rudnik wciąż patrzył na mnie spode łba, jego twarz zrobiła się fioletowa, a Chojnicki nadal uśmiechał się tajemniczo.

– O czym mówicie? Co to da? – Mój szef odezwał się półgębkiem, patrząc nerwowo to na mnie, to na Chojnickiego.

Domyślałem się, że Ryszardowi chodziło o realizowanie strategii, w której zagra rolę ofiary. W oczach wyborców chciał uchodzić za skrzywdzonego, któremu należy się rekompensata w postaci ich głosów. Wiedział, co robi, bo „Miejska” była tylko jednym z wielu mediów w Toruniu, więc specjalnie ta krytyka mu nie zagrozi. W tym wszystkim jednak nie brał pod uwagę przegranej walki o ten stołek sprzed czterech lat. A może nie? A może to także było częścią strategii? Tak czy siak, wiedziałem, że każdy tekst i tak będzie musiał być przeze mnie podrasowany. Jednak z pewnych względów ta opcja bardziej mi odpowiadała niż lizanie go każdym wersem po tyłku.

Przez chwilę wydawało mi się nawet, że z lekkim uśmiechem zaakceptował ją również Rudnik.

Kiedy Chojnicki skończył swój wywód, Rudnik pokręcił jednak przecząco głową i uniósł palec wskazujący.

– Ryzykowne, Rysiu, bardzo ryzykowne. Omówimy to jeszcze na osobności.

Chojnickiemu zebrało się na głębsze wyjaśnienia, a ja milcząco potakiwałem, chociaż nie słuchałem już, o czym mówią. W tym momencie myślałem wyłącznie o sobie. Uznałem, że jeśli Rudnik klepnie pomysł, zyskam kilka miesięcy pracy w firmie. Do wyborów pozostał ponad rok. Nawet jeśli Chojnicki swój start ogłosi wkrótce, to prawdziwe emocje zaczną się dopiero kilka miesięcy później. Będę miał sporo czasu na znalezienie nowej roboty, bez pośpiechu i strachu o każdy dzień bez grosza przy duszy.

Mój szef znowu zerknął na mnie niechętnie, ale lekkim skinieniem zaaprobował sklecone naprędce rozwiązanie.

Mistrz entuzjazmu.

– Panowie. – Chojnicki podniósł szklankę, a my poszliśmy w jego ślady. – Za wybory Anno Domini 2014.

Mój toast smakował cierpko, ale nie doszukiwałem się w tym żadnej politycznej przepowiedni.

6

Zaparkowałem pod redakcją. Była już noc, ale nie chciało mi się spać.

Dźwięk stacjonarnego telefonu o tej porze kompletnie mnie zaskoczył. Podniosłem słuchawkę i odruchowo się przedstawiłem, ale nikt się nie odezwał.

Dziwne.

Postanowiłem pogrzebać trochę w sieci, bo o ile wyjaśniła się kwestia mojego zatrudnienia, o tyle nadal nie wiedziałem, co stało się z Weroniką, co łączyło ją i jej męża z Miedzińską. Wreszcie dlaczego ktoś mnie śledził. A może faktycznie za wszystkim stał Butrych? Może Paker to rzeczywiście jego człowiek? Musiałem się spotkać z Butrychem i pogadać, a przy okazji strzelić go w pysk za teściową. Ale skoro sam się nie odzywał, mogło to jeszcze poczekać.

Wpisałem w wyszukiwarkę nazwę fundacji prowadzonej przez Miedzińską. Kliknąłem w pierwszy link. Przejrzałem listę darczyńców, która nie wzbudziła moich podejrzeń. Videco, Snake's Tongue Tattoo, TorDruk.pl, RudeS, Tor-trans i parę innych. Kilka nazw mignęło mi gdzieś w pamięci, ale generalnie nie kojarzyłem tych firm.

Przejrzałem stronę raz jeszcze. Nic, żadnego punktu zaczepienia. Poczytałem o realizowanych projektach. Wśród konsultacji społecznych i pomysłów na integrację mieszkańców konkretnych ulic lub osiedli dość osobliwie wyglądał Punkt Wsparcia Ofiar Przemocy Seksualnej. Nie był to zwykły telefon zaufania, ale coś na kształt biura, z własnym adresem i godzinami przyjęć, dyżurami prawników oraz psychologów.

Punkt odstawał od reszty propozycji fundacji. Ale z tego, co pamiętałem z rozmów z prezesami różnych organizacji pozarządowych, jeśli chce się utrzymać na rynku, trzeba realizować wiele projektów, zapewniając sobie finansowanie z różnych źródeł. Doczytałem, że punkt wsparcia działa od chwili powołania fundacji do życia.

Przetarłem oczy. Ziewnąłem, studiując linki do instytucji i firm, z którymi współpracowała Miedzińska. Kicha.

Poradnictwo dla ofiar przemocy nie dawało mi spokoju. Uwierało. Nie bardzo wpisywało się w tematykę pozostałych przedsięwzięć organizacji. Zastanowiło mnie to już wcześniej, kiedy Miedzińska robiła akcję „Nie zostawiaj mnie”. Wróciłem do opisu celów fundacji. Punkt

poświęcony przemocy seksualnej zdecydowanie odstawał od reszty. Zerknąłem do sprawozdań finansowych z ubiegłych lat. Równie dobrze mogłem czytać Koran w oryginale. Zrezygnowany kliknąłem w statut fundacji. Przeleciałem wzrokiem pierwsze wersy i natrafiłem na nazwiska założycieli. Nagle poczułem w ustach gorzki smak. Oba znałem doskonale. Pierwsze należało oczywiście do Miedzińskiej. Ale drugie sprawiło, że puls mi przyspieszył.

Drugim fundatorem był Ryszard Chojnicki, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej na Rubinkowie.

7

Porywisty wiatr nie ustawał, kiedy szedłem w stronę parkingu. Gęste czarne chmury przetaczały się nad pustym Rynkiem Nowomiejskim i Browarną. Rytmiczne odgłosy moich kroków odbijały się od fasad tutejszych kamienic, a mój cień w upiornie pomarańczowym świetle latarni na zmianę wydłużał się i skracał.

Dwa nazwiska uparcie kotłowały się w mojej głowie. Ryszard nigdy nie wspominał o współpracy z Miedzińską, ona też się tym nie chwaliła. Być może udział Chojnickiego w fundacji był nic nieznaczący, może po prostu jednorazowo wsparł Miedzińską przy założeniu organizacji, a potem, w natłoku zajęć, nie zaprzętał sobie tym głowy. Może. A może nie. Musiałem z nim o tym jutro porozmawiać.

Podszedłem do samochodu. Tym razem zaparkowałem przy Bajku Pomorskim. Wszystkie trzy pobliskie latarnie nie świeciły się. Wybili żarówki, czy co? A może to tylko miejskie zaciskanie pasa na czas spłaty długów. Tani urząd. Tanie miasto. Czarna dupa.

Wsiadłem do wychłodzonego auta. Przekręciłem kluczyk. Silnik zakręcił raz i drugi, ale nie zaskoczył. Westchnąłem. Odczekałem chwilę i spróbowałem ponownie. Obiecałem sobie, że wymienię wreszcie ten stary akumulator.

Od strony Piernikarskiej oślepił mnie snop światła. Idiota chyba włączył długie. Zamknąłem oczy, czekając, aż przejedzie. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ktoś otworzył drzwi i dosłownie wyrwał mnie z auta. Szyja utkwiała między stalowym bicipsem a przedramieniem napastnika. Coś z całej siły uderzyło mnie w nerkę. Ból natychmiast rozlał się po całym ciele. Zawylem. Rozpaczliwie próbowałem się uwolnić, chociaż miałem świadomość, że im więcej ruchów wykonam, tym szybciej zabraknie mi tlenu. Mimo to uderzałem na oślep rękoma i wierzęłam nogami. Kątem oka dojrzałem, że gość w kapturze próbuje chwycić mnie za nogi. Kopnąłem go. Odskoczył i schował twarz w dłonie. Drugi skutecznie chronił się przed ciosami. W końcu, kiedy myślałem, że stracę przytomność, uścisk na chwilę zelżał. Napastnik wrzucił mnie do furgonetki, która zatrzymała się obok nas. Próbowałem wstać, ale nie zdążyłem. Ktoś ciężki przygniół mi plecy i docisnął do podłogi. Bolały mnie żebra, brakowało tchu. Byłem w beznadziejnej sytuacji, a mimo to robiłem wszystko, co zrobiłby każdy na moim miejscu – próbowałem się wyrwać. Dwa szybkie ciosy znowu trafiły mnie w nerkę. Myślałem, że oczy wyjdą mi na wierzch. Płuca rozpaczliwie potrzebowały powietrza. Nie miałem już siły się bronić.

Drugi z mężczyzn wsiadł do wozu i zatrzasnął drzwi. Kopnął mnie z całych sił tak, że zobaczyłem odległe konstelacje gwiazd. Wydawało mi się, że lecę w ich stronę.

– Spokój! – warknął ktoś.

Chwila wytchnienia.

– Skurwiel chyba złamał mi nos.

– Zamknij się. Spierdalamy stąd!

Jęknąłem.

Samochód ruszył. Kierowca jechał wolno, łagodnie wchodził w zakręty. Serce łomotało mi

jak szalone. Na głowę założyli mi jutowy wór, który śmierdzał kwaśno wilgocią i ziemią. Ręce miałem związane na plecach tak mocno, że sznur wpijał się w nadgarstki.

Dopiero teraz we wnętrzu furgonetki rozbłysło nikłe światelko. Może latarka. Poruszyłem się nerwowo. Ktoś docisnął mój bark do podłogi, niemal wyłamując go ze stawu. Po chwili tuż przy uchu poczułem czyjś oddech. A potem usłyszałem słowa, które mnie sparaliżowały.

– Graviora manent.

8

– Wróciłeś do nas, łajzo? – dotarło do mnie jak przez ścianę.

Ocknąłem się w dużej, drewnianej szopie. Wiatr hulał tu swobodnie przez szpary w deskach, konstrukcja trzeszczała. W głowie rytmicznie uwijały się kafary.

Przede mną stał Paker, trzymał w ręku wiadro. Mogłem się domyślić. A więc Szaman spełnił groźbę. Najgorsze znowu nadeszło. Najpierw Agata, teraz ja. Przeszedł mnie dreszcz. Nie wiedziałem, czego ode mnie chciał ten były profesor filozofii, ale przestałem mieć złudzenia, że będzie to spotkanie towarzyskie. Za chwilę spojrzył mi w oczy chłodnym wzrokiem, a jego usta rozciągnęły się w tryumfalnym uśmiechu. Na razie jednak patrzyłem na uśmiech Pakera. Chwycił za drugie wiadro stojące obok i chlusnął we mnie lodowatą zawartością.

Spiąłem wszystkie mięśnie. W jednej sekundzie moje ciało pokryło się gęsią skórą. Rozejrzałem się.

Żółte światło, jedyne w tym przybytku, padało z góry. Byłem przywiązany do krzesła, dłonie spoczywały na udach. Stara, betonowa podłoga była nierówna, jak ziemia widziana z lotu ptaka. Jej spękania przypominały wyschnięte koryta rzek. Do części z nich wciąż spływała woda zgromadzona w kałuży, w której tkwiłem po kostki.

Podniosłem głowę. Strąki mokrych włosów przysłaniały mi widok.

Paker odstawił wiadro, a potem oparł się o metalową szafkę z narzędziami, krzyżując umięśnione ramiona. Nieco dalej, ukryty w cieniu, stał drugi z mężczyzn. Trzymał coś w rękach.

Patrzyłem na Pakera, który przeniósł wzrok gdzieś za mnie. Wtedy zrozumiałem, że ktoś tam stoi. Czyjaś dłoń wylądowała miękko na moim ramieniu. Nie zamierzałem się odwracać. Bałem się spojrzeć Szamanowi w oczy. Czego ten gnój chciał?

– Gdzie ona jest, Bener? – Grobowy głos przerwał ciszę.

Znałem go. Paniczny lęk ustąpił, uśmiechnąłem się. Nawet spróbowałem się odezwać, ale z gardła wydobył się niezrozumiały bełkot. Dopiero po chwili odzyskałem głos.

– To wy też jej szukacie? – zdobyłem się na żart, ale nie wywołałem nawet lekkiego uśmiechu na kamiennej twarzy Pakera.

Mężczyzna z tyłu poklepał mnie, a następnie zrobił dwa kroki. Na wysokości wzroku miałem teraz węzeł ze sznurka granatowych dresów, które ledwie naciągnął na potężne brzuszysko. Z trudem kucnął i oparł wielkie dłonie na moich kolanach. Dobrze pamiętałem jego kwadratową, pobrużdżoną twarz z szeroką szczęką. Odstające uszy i gęste siwiejące włosy przystrzyżone na jeża ukrywały się pod kapturem szarej bluzy. Ale teraz w tej twarzy prząsnętego biznesmena „made in Poland” dostrzegłem coś więcej niż tylko spryt i cwaniactwo.

– Gdzie ona jest, Bener? – sapnął Marian Butrych.

Potrząsnąłem głową. Kropelki wody spadły niczym drobny deszcz w kałużę. Kafary wciąż pracowały pod czaszką, ale jakby ciszej.

– O co ci chodzi? – spytałem.

Butrych wstał. Miał zawiedzioną minę. Stęknął z wysiłku i skinął na trzeciego mężczyznę. Ten wyszedł w końcu z cienia, ale nie podobało mi się to, co trzymał w rękach. Grubas ustąpił mu

miejsca. Rozumieli się bez słów. Ja też wystarczająco dużo zrozumiałem.

Mężczyzna był szczupły, dżinsy marszczyły się nadmiarem materiału na jego chudych nogach. Zapadnięte policzki i spiczasta broda upodabniały go do szczura. Oddychał przez usta, bo jego długi nos był siny i spuchnięty. Pamiątka po moim kopniaku, za który zaraz będzie miał okazję się odwdziżyć. Wytrzeszczone, osadzone blisko siebie oczy rzucały nerwowe spojrzenia. Mężczyzna rozwinął gruby czarny przewód, którego zwój trzymał w dłoniach. Z jednej strony był zakończony normalną wtyczką. Drugą wieńczyły dwie pozbawione opłotu końcówki. Połyskiwały nagą miedzią i wyglądały jak język węża. Wrzucił je w kałużę tuż obok moich przemoczonych adidasów. Zbliżył się do niewielkiego urządzenia zamkniętego w czerwonej klatce z małymi kółkami. Schylił się, włączył przycisk, szarpnął energicznie za linkę. Spalinowy silnik ostro zazgrzytał, ale zaskoczył. Po chwili pracował równomiernie i nieznośnie głośno.

Szczur przysunął wtyczkę bliżej gniazda w urządzeniu, a ja starałem się odsunąć stopę od gołego kabla. Krzesło drgnęło nieznacznie. Na więcej nie było mnie stać, bo podudzia miałem przyklejone zbrojoną taśmą. Nie miałem żadnych szans. Pozostało mi tylko jedno. Napiąłem wszystkie mięśnie, przygotowując się na solidną porcję bólu.

– Pytam ostatni raz. – Butrych próbował przekrzyczeć hałas. – Gdzie ona jest?!

Strach odebrał mi mowę. Kurczowo zacisnąłem szczęki, przygotowany na najgorsze. Zamarłem. Po kilku długich sekundach, kiedy nic się nie wydarzyło, wypuściłem powietrze.

– Zwariowa... – Chciałem wrzasnąć, ale nie dokończyłem. Ciało przeszył pierwszy, krótki strzał prądu. Rzuciło mną, poleciałem na plecy. Zdążyłem tylko schować głowę w ramiona, żebym nie uderzył nią o beton. Serce waliło jak młotem, wyrzut adrenaliny stłumił ból. Dopiero po chwili poczułem, że całe plecy mam zanurzone w lodowatej kałuży.

Nie wiem, kiedy wyłączyli silnik generatora. Gdyby nie moje pojękiwania, w szopie panowałaby idealna cisza.

– Mamy sporo czasu, Bener, i pełny bak – usłyszałem głos Mariana Butrycha. – Możemy bawić się w ciuciubabkę, ale zastanów się. Kto więcej wytrzyma. Ja czy ty? – Butrych sapnął. – Gdzie ona jest, długopis?

Oślepiła mnie wisząca lampa.

– Nie mam, kurwa, pojęcia! Chciałem po nią jechać, ale obiecała, że sama przyjedzie.

Butrych zaśmiał się głośno. Dołączyli do niego pozostali.

– My się chyba nie rozumiemy, długopis – oznajmił wesoło. – Nie pytam o tę głupią pindę. Byłem oszołomiony.

– Z nią już sobie poradziliśmy. Swoją drogą niezła z niej suczka – dodał z obleśnym uśmiechem. Stanął nade mną, zasłaniając żarówkę wielką głową. – No, coś taki zdziwiony?

Próbowałem na niego spojrzeć, ale widziałem tylko czarną plamę.

– Pytam, gdzie jest kasa, skurwielu! – ryknął Butrych. – Kasa i teczka!

9

– Jaka kasa? Co ty pieprzysz? – wyjąkałem.

Plusk wody, jakby Butrych wyszedł z kałuży. A potem znowu cisza, która zwiastowała problemy.

Otworzyłem oczy.

– Dobrze, udawaj twardziela! Zobaczymy, na ile starczy ci sił. – Butrych splunął do wody, po czym odwrócił się do Szczura. – No, Patyk, skoro pan redaktor nie chce z nami gadać, to może generator z nim pogada?

Kolejny strzał. I po nim następny. Sekunda za sekundą. Potem nie miałem już siły liczyć.

Traciłem świadomość. A kiedy się wybudzałem, każdy mięsień boleśnie pulsował. Kolejny skurcz spiął moje ciało jak stalowa obręcz. Trzymał długo, ale na szczęście mijał. Powoli i etapami. Odleciałem.

Czułem się, jakbym wypływał z ciemnej głębin. Gwałtownie młóciłem wodę rękoma. Niewiele to dało. Wokół mnie tysiące pęcherzyków powietrza gnały do lustra wody, zostawiając mnie daleko w tyle. Machałem nogami, by jak najszybciej wydostać się na powierzchnię. Coś niebezpiecznie ścisnęło mi płuca. Poczułem igły wbijające się w ciało.

Znowu zrobiło mi się przerażająco zimno.

Otworzyłem oczy.

Byłem sam w pustej i ciemnej drewnitni. Po prostu dali mi wytchnąć przed drugim aktem, którego nie przeżyję. Impulsy z generatora były krótkie, Szczur robił dłuższe przerwy między kolejnymi uderzeniami prądu. Zabijali mnie fachowo, na raty.

Wiatr zagwizdał. Uchylone skrzydło drzwi poruszyło się nieznacznie. Jakby tym gestem zachęcało mnie do wyjścia. Lampa nade mną była zgaszona. Ostre podmuchy wiatru kąsały mroźnym powietrzem, tym bardziej dotkliwym, że miałem przemoczone ciuchy. Rozejrzałem się wokół.

Nikogo.

Ciemno, pusto i cicho. Dotarło do mnie, że znowu siedziałem na krześle ustawionym pośrodku kałuży. Odgarnąłem włosy i dopiero wtedy zorientowałem się, że ręce nie były związane. Ale też nie były w pełni sprawne. Przykurczone mięśnie nie chciały współpracować, dłonie cały czas były zaciśnięte i sztywne.

W kałuży pod nogami leżały przecięte sznury. Wyglądały jak zastygłe węgorze.

Nie bardzo rozumiałem, co się stało. Poruszyłem się. Nie byłem już przytwierdzony do oparcia, choć nogi nadal miałem skrupowane.

Szarpnąłem jedną, mając nadzieję, że taśma puści. Niestety nadal mocno trzymała. Próbowałem rozerwać ją rękoma, ale byłem zbyt nieporadny. Wtedy dostrzegłem w kałuży tuż koło buta podłużny przedmiot. Nie mogłem uwierzyć. W pierwszej chwili sądziłem, że to przywidzenie. Schyliłem się i wyciągnąłem rękę najdalej, jak umiałem. Zgrabiałe palce zanurkowały w lodowatej wodzie. Opuszki długo muskały szorstki beton, ale po chwili trafiłem na rękojeść noża. Udało mi się go przysunąć i złapać.

Niezdarnie nacinałem grube zwoje taśmy wokół kostki. Napierałem ostrzem jak szalenic, który siedzi na bombie z odpalonym lontem. Byłem wyczerpany, ale świadomość, że mogę się stąd wyrwać, dodawała mi sił.

Nagle zastygłem.

Światło. Przez szpary w deskach po prawej zobaczyłem żółtą poświatę. Ktoś otworzył drzwi w pobliskim budynku.

– Patyk, chodź! Szef wzywa – usłyszałem męski głos. Nie należał do Butrycha. – Patyk? Słyszysz?

Nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Bałem się, że odgłos krojonej, zmoczonej taśmy będzie tak samo głośny jak nadlatujący helikopter. A mimo to powinienem ciąć dalej. Przyłożyłem nóż. Tym razem poruszałem nim delikatniej, co chwila spoglądając przez deski w stronę budynku. Poświata zniknęła. Usłyszałem miarowe chrzączenie gysu, które niosło się od strony zabudowań. Kroki. Byłem pewien, że ktoś tu idzie. Docisnąłem ostrze jeszcze mocniej. Wyswobodziłem nogę, która podskoczyła w kałuży. Plusk był głośny, jakbym uruchomił fontannę.

– Patyk, kurwa, jesteś tam? – Głos był wyraźniejszy, kroki przyspieszyły.

Nie miałem najmniejszych szans, żeby w tak krótkim czasie się uwolnić. Paraliżował mnie strach, a jednocześnie ciąłem zaciekle, nie zważając, czy przypadkiem się nie zranię.

Znowu światło. Błyskało i znikało. Latarka. Przez ułamek sekundy oślepił mnie jej promień. Ale mężczyzna nie mógł mnie stamtąd widzieć. Marne pocieszenie, skoro za chwilę stanie w drzwiach.

Jeszcze trochę i więzy puszcza. Dosłownie kilka ruchów nożem. Taśma już strzępiła się w miejscu nacięcia. Próbowałem rozedrzeć ją palcami, ale dłonie cały czas miałem zgrabiałe. Nic z

tego. Trzymała mocno.

Kroki były głośniejsze, ziemia dudniła. Łup, łup łup. Żołnierz Butrycha biegł. Światło wdierało się przez uchyloną bramę i omiatało nieregularnymi owalami podłogę drewni.

Musiało się udać. Ręka mi omdlewała, a mimo to cały czas rytmicznie nacinałem tę pieprzoną taśmę. Nagle nóż wpadł w kałużę. Wychyliłem się, żeby po niego sięgnąć, ale nie mogłem go znaleźć.

Brama zaskrzypiała.

To koniec. Snop światła z latarki mnie oślepił. Odruchowo zasłoniłem oczy ręką.

– Co jest... – Mężczyzna zatrzymał się w progu. – Ja pierdolę!

Ruszył w moją stronę, wciąż świecąc mi w oczy.

Straciłem swoją szansę. W takiej chwili mogłem myśleć tylko o jednym. Za chwilę moje życie się skończy. Zakopię mnie gdzieś głęboko w lesie. Czy tak samo było z moją żoną?

Najpierw usłyszałem stłumiony jęk i krótką szamotaninę. Światło gwałtownie zatańczyło, po czym latarka ze zgrzytem uderzyła o podłogę i oświetlała teraz ścianę po mojej lewej. Tam, gdzie na grubej belce wisiał Szczur. Głowa pochylona, gruba pętla na szyi, nogi unosiły się tuż na ziemi. Może dwa, może cztery centymetry, nie więcej.

Nie docierało do mnie to, co się stało.

Szamotanina ustała. Jeden z mężczyzn leżał na podłodze. Nie ruszał się. Drugi stanął w drzwiach. Rzucił coś w moją stronę. I zniknął. Widziałem, jak po chwili pochylona postać przemknęła wzdłuż drewni i zginęła w ciemnościach.

Był tu cały czas. To on musiał mnie uwolnić. Ale dlaczego całkowicie nie rozciął więzów?

Odnalazłem nóż i dokończyłem robotę. Kiedy wstałem, zakreśliło mi się w głowie. Mięśnie zeszywniały, więc szedłem jak na szczydłach, prawie nie zginając nóg w kolanach. Butem potrafiłem niewielki przedmiot. Pewnie ten, który przed chwilą podrzucił w moim kierunku nieznajomy. Schyliłem się i podniosłem.

Klucze z charakterystycznym brelokiem z logo Mercedesa.

Nie wiedziałem, kto mi pomagał, ale nie mogłem zmarnować tej okazji.

Leżący na betonie mężczyzna nie był Pakerem. Miał owalną twarz i świecący łysy łeb, widziałem go pierwszy raz. Klatka piersiowa opadała i unosiła się. Był ogłuszony. Ostrożnie stawiałem stopy, przechodząc nad jego ciałem. Bałem się, że nagle chwyci mnie za kostkę. Minałem go i wystawiłem głowę przez bramę.

W budynku po prawej, znajdującym się na lekkim wzniesieniu, świeciło się światło. Przed nim stały trzy pojazdy, a wśród nich dostawczy mercedes vito. Prawdopodobnie ten sam wóz, którym mnie tu przywieziono.

Wróciłem do szopy po jakąś szmatę. Kiedy wreszcie znalazłem śmierdzący smarem materiał, przedarłem go na dwa kawałki, a potem zanurzyłem w kałuży. Woda ściekała mi po dłoniach.

Wyszedłem z szopy.

Nie wiem, czy mi się zdawało, czy nie, ale ogłuszony chyba jęknął. A może to tylko wiatr.

Ruchy, Bener, ruchy!

Obejrzałem się w stronę lasu, z którego wylaniała się polna droga, dochodząca do potężnej bramy wyjazdowej zbudowanej z drewnianych bali zwieńczonych dachem. Tuż za nią przechodziła w żwirowaną alejkę, poprzetykaną chwastami i pnącą się w górę wprost do zabudowań. Droga dzieliła przestrzeń na dwa niemal równe pola. Porastały je posadzone w równych odstępach niewielkie drzewka.

Jedyna droga ucieczki.

Nie mogłem tu dłużej zostać. Za chwilę i tak zorientują się, że brakuje im kolejnego człowieka. Przyjdą tu. A jeśli dowiedzą się, co się stało, poruszą niebo i ziemię, by mnie dorwać.

Samochody stały przodem do domu, co ułatwiło mi zadanie i pozwoliło nie zwracać niczyjej uwagi. Ze szmat uformowałem wałki i wsunąłem je głęboko do rur wydechowych osobówek. Weszły gładko i szczelnie je zatkały. Ruszyłem do mercedesa. Modliłem się, żeby wóz był otwarty. W przeciwnym razie piknięcie zamka centralnego mogło zwrócić czyjąś uwagę. Nacisnąłem

klamkę i drzwi ustąpiły. Wsunąłem się za kierownicę, włożyłem kluczyk do stacyjki. Jedną ręką trzymałem wciąż otwarte drzwi, których z obawy przed hałasem nie chciałem zatrzasnąć. Zapiąłem pas, a potem nacisnąłem sprzęgło i wrzuciłem luz. Liczyłem, że mercedes stoczy się ze wzniesienia, ale ten ani drgnął. Odszukałem dźwignię hamulca ręcznego i opuściłem ją ze zgrzytem. Wozem szarpnęło do tyłu. Powoli zjeżdżałem po nierównościach, toczyłem się w kierunku bramy. Nie chciałem wjechać na alejkę, żeby opony nie grzechotały na kamieniach, ale równocześnie musiałem uważać, żeby nie zbliżyć się do zasadzonych w pobliżu młodych drzew.

Kiedy samochód zrównał się z szopą, coś nim szarpnęło. W drzwiach od strony pasażera zobaczyłem łysego. Wskoczył do kabiny i próbował mnie uderzyć, ale skręciłem na zwirowany trakt i zarzuciło nas. Auto skręciło gwałtownie w prawo. Uratował mnie zapięty pas. Gdyby nie to, wyleciałbym przez otwarte z mojej strony drzwi. Łysy chciał złapać równowagę, ale samochód z łoskotem wpadł w kolejną dziurę. Mężczyzna walczył z grawitacją. Sunęliśmy wprost na młode drzewa. Natychmiast skręciłem kierownicę. Siła odśrodkowa sprawiła, że łysy wypadł z wozu, krzycząc.

Niestety zmierzałem już wprost w plantację drzew.

Gałęzie młodych świerków z głośnym zgrzytem szorowały karoserię. Wdepnąłem z całej siły hamulec, ale przy wyłączonym silniku dało to niewielki skutek. Zahaczyłem o coś podwoziem. Huknęło, a potem dźwięk długo rezonował w pustej przestrzeni ładunkowej.

Wóz się zatrzymał. Przez boczną szybę widziałem, jak łysy próbuje podnieść się z ziemi. Brakowało mu sił. W domu na wzgórzu uchyliły się drzwi. Światło z pomieszczeń przecięło ciemność. Najpierw jakaś postać znieruchomiła w progu, a potem rzuciła się w moją stronę. Usłyszałem pokrzykiwania. Z domu wybiegł następny mężczyzna i dopadł do osobówki.

Uruchomiłem silnik, kontrolki rozbłysły kolorami na desce rozdzielczej, wrzuciłem bieg i strzeliłem ze sprzęgła. Silnik zawył, ale wóz ledwie drgnął. Koła buksowały w wilgotnej ziemi. Musiałem zawiesić się na złamanym młodym pniu. Rozpaczliwie wrzuciłem wsteczny i tym razem lekko naciskając gaz, złapałem przyczepność. Dostawczak ruszył. Przesunąłem dźwignię zmiany biegów na luz i pozwoliłem mu się stoczyć, po czym ponownie rozhuštałem go, cofając. I jeszcze raz.

Mężczyzna, który zbiegał ze wzgórza, mijał już leżącego. Był blisko.

Natychmiast przełożyłem bieg i ponownie ruszyłem. Tym razem szarpnęło mocno. Wóz przetoczył się na drogę. Wbiłem pedał gazu do podłogi i z całej siły skręciłem kierownicą w lewo. Mężczyzna dobiegał właśnie do bocznych drzwi. Nie zdążył ich złapać. Musiał odskoczyć od pojazdu, upadł i przeturlał się po szorstkiej nawierzchni. Spod kół jak z procy wylatywały kamienie i uderzały o podwozie. Gnałem przed siebie. Nie wiem, ile miałem na liczniku, ale minąłem bramę z prędkością karetki na sygnale. Miałem wrażenie, że od pędu powietrza cała ta drewniana konstrukcja rozpadnie się jak domek z kart.

Zerknąłem w boczne lusterka. Żaden ze stojących na wzgórzu samochodów nie ruszył z miejsca. Szmaty zdały egzamin.

Serce waliło mi jak młotem.

Uciekłem, ale strach zabrałem ze sobą.

Zaparkowałem furgonetkę dwie przecznice od domu. Nim wszedłem do środka, przez dłuższą chwilę obserwowałem okna, próbując dostrzec w nich jakikolwiek ruch. Musiałem być ostrożny.

W pokojach panował chaos, jakby przeszło przez nie tornado. Na górze to samo. Szukali tu

pewnie kasy, o której mówił Butrych. Kasy i jakiejś teczki, które były w posiadaniu Weroniki. Wiedzieli, że zamieszkała u mnie. Gdy nie znaleźli niczego przy niej, przeszukali mój dom.

Zastanawiałem się, jakich pieniędzy szuka Butrych i co jest w teczce. Kto pomógł mi wydostać się z tej przeklętej szopy? Pytań miałem sporo, odpowiedzi jak na lekarstwo.

Opuszczając szkółkę leśną, starałem się zapamiętać drogę. Na samą myśl, że będę musiał tam wrócić, ogarniała mnie panika, ale nie było innej opcji. Trzeba przecież uwolnić Weronikę. Nie wiedziałem tylko, jak to zrobić. Niewykluczone, że ten, kto mi pomógł, pomógł również jej, ale nie mogłem polegać na kimś, o kim nie miałem żadnego pojęcia.

Nagle z przerażeniem pomyślałem, że moja ucieczka to gwóźdź do trumny Weroniki. Teraz będą się nad nią podwójnie znęcać. Nie miałem co prawda żadnej pewności, że Nika jeszcze żyje, ale nie mogłem tracić nadziei.

Przebrałem się i zacząłem opracowywać plan działania. Co powinienem stąd zabrać? Komputer Agaty, na którym pracowała Weronika. Trzeba mu się lepiej przyjrzeć. Poza tym rzeczy Weroniki. Może jednak coś w nich było?

Poszedłem na górę. Zawartość jej torby sam wybebeszyłem, więc nadal wszystko walało się po podłodze. Wróciłem na parter, ale zatrzymałem się na ostatnim stopniu schodów. Zza okien dochodził szmer opon i równomierna praca silnika. Zerknąłem na jezdnię. Samochód wolno minął mój dom. Szum rozplynął się w nocnej ciszy.

Poczułem ulgę. Nie byłbym teraz zdolny do żadnego wysiłku, a tym bardziej do ucieczki.

Wrzuciłem laptopa do torby Niki i wyszedłem wprost w zimną noc. Nie byłem tu bezpieczny. Musiałem znaleźć sobie inne miejsce. Powinienem kogoś poprosić o wsparcie.

Tak, to był dobry pomysł. Wiedziałem, że nie odmówi mi pomocy.

Zamknąłem za sobą furtkę i ruszyłem w prawo w kierunku ulicy, przy której zaparkowałem furgonetkę. Dwieście metrów przede mną zatrzymał się samochód. Czerwone światło rozbłysło i rozlało się wąską stróżką po wilgotnym asfalcie. Z auta wysiadło dwóch mężczyzn. Atletyczną posturę jednego z nich dobrze znałem. To był Paker. Na szczęście obaj wciąż stali do mnie plecami.

Uchyliłem furtkę i cofnąłem się do ogrodu. To cud, że mnie nie dostrzegli. Przebiegłem na tył domu i przeskoczyłem przez płot na podwórko sąsiada. Pokonałem kolejne dwa ogrodzenia i zdyszany zatrzymałem się na chodniku przy drodze prostopadłej do mojej ulicy. Przerzuciłem torbę przez ramię, przebiegłem do Jałowcowej, co rusz oglądając się za siebie, a następnie skręciłem w prawo. Dopadłem do furgonetki i zapuściłem silnik. Obawiałem się, że słyhać go było pod Bydgoszczą.

Wolno doturlałem się do Lubickiej. Nie spuszczałem z oczu bocznych lusterek. Dopiero gdy wyjechałem na szeroką jezdnię, przyspieszyłem i odetchnąłem.

Jeszcze raz mi się udało.

11

Zapukałem krótko. Może za cicho, ale nie chciałem wywoływać sensacji w całym bloku. Była noc. Wcześniej przyłożyłem ucho do drzwi i miałem wrażenie, jakby we wnętrzu mieszkania grał telewizor. Liczyłem na to, że jeszcze nie zasnął.

Zastukałem głośniej. Echo rozniosło się po klatce.

– Kto tam? – spytał przytłumiony głos.

Miałem nadzieję, że nie będę musiał się odzywać, bo i tak spojrzę w wizjer. Usłyszałem cichy szmer, wreszcie drzwi się uchyliły. W progu stała postać, za którą dostrzegłem papierosową mgłę.

– O kurwa. – Radosław Rak zrobił wielkie oczy. Papieros niemal wypadł mu z ust. – Co ci

się stało?

– Mogę? – Wskazałem głową wewnątrz.

– Jasne, wchodź.

Rak cofnął się w głąb mieszkania. Miał zmęczone, matowe oczy i twarz bez wyrazu. Był ubrany w biały, wymięty T-shirt i mieniające się wszystkimi kolorami tęczy bokserki. Zamknął drzwi i bezszelestnie, bo bosy, wszedł do pokoju. Podążyłem za nim. Był sam, to dobry znak.

Zsunąłem z ramienia torbę i opadłem na fotel. Pierwszy raz od wielu godzin poczułem się bezpieczny. Bezpieczny, a jednocześnie zupełnie bezsilny. Irytował mnie smród nikotyny, ale z drugiej strony wszystko tutaj było takie normalne. W telewizji leciały piłkarskie powtórki, głos spikera wchodził na wyższe obroty, sterta brudnych naczyń w zlewie beztrudno pięła się do góry, pościel zapraszała do snu. Żółte światło z niskiej lampki stojącej na stoliku obok sofy kołysało i gwarantowało błogi spokój. Tymczasem ja tkwiłem po uszy w rzeczywistości rodem z horroru.

– Porwali mnie, porwali Weronikę – odezwałem się. – Nie wiem, co z nią zrobili ani o co w tym chodzi. – Bezradnie rozłożyłem ręce i poczułem, jak łzy napływają mi do oczu.

Przełknąłem ślinę. Pomogło.

– Otwórz okno, bo oczy mi łzawią od dymu – poprosiłem.

Rak zdusił peta w popielniczce i uchylił drzwi na balkon.

Powinienem ochłonać i ratować Nikę. Westchnąłem, wycierając nos rękawem.

Radek zapalił drugiego papierosa, po czym dmuchnął gęstym siwym dymem w stronę sufitu.

– Zrobię kawę – usłyszałem i Rak zniknął w kuchni.

Czas zabrać się do uporządkowania wszystkiego, czego dowiedziałem się do tej pory, i odszukania niewidocznych nici łączących wydarzenia ostatnich dni. Nie miałem nikogo oprócz Raka, z kim mogłem podzielić się tymi wiadomościami. Może patrząc na to z boku, Radek łatwiej dostrzeże to, co było tuż przed moim nosem, a czego sam nie widziałem.

Wyciągnąłem z torby laptopa, położyłem go na ławie i podpiąłem zasilacz. Komputer mruknął cicho, a potem zaszumił.

Radek postawił parujący kubek przede mną. Już sam aromat kawy dodał mi sił.

– Jeszcze raz spokojnie opowiedz mi, co się stało. Ale od początku, okej? – Usiadł na łóżku i podkurczył nogi.

Wpatrywałem się w ekran laptopa i moje zdjęcie na pulpicie, które zrobiła Agata. Moja twarz sprzed kilku lat nie przypominała obecnej facjaty obitej jak bokserski worek. Przez chwilę milczałem po to, by nie wciskać Rakowi chaotycznej, emocjonalnej gadki przetykanej ciągłymi dygresjami, labiryntem roztrzęsionych myśli, niepewności i kruchością domysłów.

Wreszcie opowiedziałem mu wszystko.

– I co teraz zamierzasz? – spytał, kiedy skończyłem. – Dzwoniłeś na policję?

Oparłem łokcie na kolanach.

– Muszę odnaleźć Nikę. – Zignorowałem pytanie, bo przecież Jankowski nie kwapił się z pomocą. – Jestem pewien, że przetrzymują ją tam, gdzie mnie. Poza tym muszę dowiedzieć się, co stało się z kasą, której szuka Butrych, inaczej nigdy się od nas nie odczepi.

– I z dokumentami – dodał Rak.

Spojrzał na komputer. Przesunął go bliżej siebie. Sięgnął nad ekranem laptopa po paczkę papierosów i zapalił kolejnego. Postukał w klawiaturę.

– Wrzucam hasło do WiFi, żebyś mógł korzystać z internetu – wyjaśnił. Zaciągnął się i zeszytniał. – Weronika Holtz jest żoną tego gościa, co spłonął w pożarze.

Potwierdziłem.

– A oglądałeś zdjęcia tej rudery i schronu, które wrzuciłem na dropboxa?

Moja mina wystarczyła mu za odpowiedź.

– Sam prosiłeś! Przecież wysłałem ci link! Mówiłem, że kiedy pojechaliliśmy do Przysieka, poszedłem kawałek dalej i odnalazłem dwie fajne lokacje. – Mówił o miejscach jak o jakichś przestrzeniach w grze komputerowej.

– No i? – spytałem.

– Jedna to była ta zielona rozpadająca się szopa. Ale trochę dalej, na terenie Caritasu znalazłem coś jakby schron, niewielki, może trzy na cztery metry. Kiedy obrabiałem fotki, zobaczyłem na nich coś dziwnego. Dlatego tak mi zależało, żebyś rzucił na nie okiem.

– Co takiego?

– Poczekaj. Masz tu dropboxa? – Wskazał na laptop.

Zaprzeczyłem.

Rak odwrócił się do monitora.

– Zaloguję się do mojego dropboxa i przejrzymy te fotki razem.

Oparłem plecy na miękkiej poduszce.

– Zaraz... – Raka wyraźnie coś zdziwiło.

– Co?

– Faktycznie nie masz dropboxa. Ale historia przeglądarki pokazuje, że ktoś odwiedzał tę witrynę w czwartek. – Spojrzał na mnie, a po chwili odwrócił w moją stronę komputer. – Ta-dam!

Na ekranie pojawiła się biała strona z ikoną pudełka oraz prośbą o login i hasło.

– Ale to nie ja – stwierdziłem, jakbym bronił się przed oskarżeniem o najgorsze przestępstwa.

Rak przysunął do siebie laptop, kliknął kilka razy.

– Poczekaj... – powiedział, nie odwracając głowy od monitora. – Zacznijmy od twojego loginu.

Zerknąłem mu przez ramię. Wybrał literkę „M”, a system podpowiedział mi mój adres: marekbener@gmail.com.

Nika! To przecież ona potrzebowała komputera. Zaschło mi w gardle. Rak dalej cicho stuknął w klawisze.

– A hasło? – spytał. – Dawaj, rzuć coś!

Dobre sobie. Skąd miałem to wiedzieć?

– Wpisz marben76 – zaryzykowałem.

Niestety, Sezam był głuchy i nie zamierzał otwierać bram.

– Dobra, nieważne, zresetujemy hasło. – Rak machnął ręką.

– A tak można?

– Można. Podesłał link do zmiany hasła na twoją skrzynkę. – Spojrzał na mnie. – Ale chyba już hasło do swojej poczty pamiętasz, co?

– Obawiam się, że nie. Zakładałem ją kilka lat temu. Znowu będziemy musieli... popróbować – odparłem.

– Ta, jasne... To tylko trochę kombinacji. Jak przelewanie morza łyżeczką. – Rak stęknął i zniechęcony sięgnął po papierosa.

Kiedy wypuścił dym, naprawdę zaszczypały mnie oczy. Powoli zaczynałem odczuwać zmęczenie.

Morze!

Nagle coś zaświtało mi w głowie. Ostatnia rozmowa z Niką przez telefon. Powiedziała coś, co mnie zaskoczyło. Ale co to było? Odtwarzałem w pamięci jej głos. Prosiła, żebym o czymś pamiętał.

Morze, morze, morze...

Rak dziwnie na mnie patrzył. Dym z jego papierosa unosił się wąską nitką. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w porę uniosłem rękę. Nie teraz. Czuję, że jestem blisko.

No, Nika, mów do mnie!

Chciała, żebym pamiętał lato. To, które wtedy spędzaliśmy we czwórkę. Gorący piasek, plaża pełna ludzi. Duże ręczniki i tęczy parawan, który wykrajał nam niewielki fragment raj. Pamiętam jednostajny szum morza i kręgi zataczone przez mewy na jasnym niebie. Widziałem to teraz dokładniej niż wtedy. Wówczas skupiałem się na własnym szczęściu.

Ostatnia rozmowa z Weroniką wydała mi się dziwna. Ale właśnie dotarłem do sedna. Przez telefon przekazała mi hasło.

– Mam! – krzyknąłem. – Wpisz „2002Łeba”.

Rak nachylił się do laptopa. Potem jego promienny uśmiech zgasł. Pokręcił głową.

– To odwrotnie. „Łeba2002”. – Zacząłem tracić pewność siebie.

Tym razem też pudło.

Czyżbym coś pokręcił? Przeleciałem raz jeszcze wszystkie obrazy tego lata.

Nagle Rak strzelił palcami.

– Wiem! Bez polskich znaków! – Wklepał hasło raz jeszcze.

Wreszcie Sezam przestał wydziwiać.

Rak przesunął się, robiąc dla mnie miejsce. Przysiadłem obok.

– Poczekaj... – Znowu kilka kliknięć. Na ekranie wyświetliła się lista plików. – To filmy – dodał. – Włączyć?

Kiwnąłem głową.

Rak kliknął na kolorową ikonkę, pierwszą z listy. Biała strzałka zamieniła się w obracające się kółko. Wiekowy komputer wkładał sporo wysiłku w uruchomienie aplikacji do odtwarzania filmów. W końcu ekran zrobił się czarny. Sekundy mijały, ale nic się nie działo. Mimo to nie odrywałem od niego wzroku.

Krótki dźwięk oznajmił, że plik jest uszkodzony.

Radek dwukrotnie ponowił próbę, ale z takim samym efektem. Kliknął na kolejne pliki. To samo. Zacząłem się denerwować, chciałem mu wyrwać ten komputer i grzmotnąć nim o ziemię. Przy ostatnim pliku komputer jakby dłużej myślał. Wreszcie ekran wypełnił ziarnisty, czarno-biały obraz bez fonii.

Mieliśmy przed oczami skąpo umeblowany pokój. Parę krzeseł i stół. Wewnątrz znajdowały się dwie osoby. Nie. Trzy. Jedna z nich była w prawym dolnym rogu ekranu. Siedziała tyłem, widać było jedynie tył głowy, krótko przystrzyżone włosy. Być może to kobieta. Po lewej, na taborecie za stołem siedziała Agnieszka Miedzińska. Gestykulowała intensywnie. Na wprost kamery znajdował się Wojciech Holtz. Stał z rękami w kieszeniach, oparty o ścianę. Przez te wszystkie lata nie zmienił się ani trochę. Nawet nie przytył.

– Znasz ich? – spytał Rak.

– Nie wiem, kto siedzi tutaj. – Wskazałem palcem na osobę, znajdującą się tyłem do kamery.

– Dziewczyna?

– Też mi się tak wydaje.

Niewiele działo się na tym filmie. Miedzińska skończyła swoją kwestię. Spuściła głowę, schowała ją w ramiona, a dłonie oparła o narożniki taboretu. Pokręciła przecząco, jakby się z kimś nie zgadzała. Pałeczkę przejął Holtz. Raz po raz spoglądał to na nią, to na tę drugą kobietę. Czasami wzrok uciekał mu w bok, poza kadr. Tylko jedną rękę wyjął z kieszeni, gestykulował rzadziej.

Miedzińska w tym czasie nie ruszyła się z miejsca. Holtz zrobił krok do przodu, patrzył na nią, ale wyraźnie wskazywał dłonią w przeciwną stronę.

Kłócili się. Ale o co?

Potem Holtz wskazał na osobę w prawym dolnym rogu ekranu, która do tej pory chyba się nie odezwała. Wreszcie kobieta wstała, choć wciąż była odwrócona tyłem. Holtz przestał mówić i wpatrywał się w nią. Tak samo jak Miedzińska. Tymczasem kobieta pochyliła się w ich stronę i uniosła prawą rękę, jakby także coś pokazywała. Miałem wrażenie, że rozpoznaję jej sylwetkę. Gdyby tylko się odwróciła, gdybym mógł zobaczyć chociaż jej profil.

Niestety film się urwał.

Obejrzałem nagranie jeszcze raz, ale nic nowego nie zwróciło mojej uwagi. Nie dostrzegłem żadnego gestu ani znaku, które cokolwiek by zdradziły lub podpowiedziały. Nic.

Dlaczego nie było dźwięku? Czy ktoś specjalnie go wykasował, czy też kamera była ustawiona wyłącznie na nagrywanie obrazu?

Pewne było jedno. Weronika chciała, żebym to zobaczył. Podała mi hasło. Film musiał być kluczem do zagadki. Byłem tego pewien. Nie wiedziałem tylko, co w nim jest takiego ważnego. Co Nika zamierzała mi pokazać? Na co miałem zwrócić uwagę?

Wstałem i zrobiłem parę kroków, żeby rozprostować nogi. Od niechcienia zerknąłem na zawartość półek w pokoju. Oprócz książek wałały się na nich gadżety do aparatu, stare pudełka po obiektywach i mnóstwo wydrukowanych zdjęć.

Zaraz!

Przecież to jasne! Kamera!

Omal nie klepnąłem się w czoło.

Wtedy w nocy Nika opowiedziała o tym, jak policjanci odnaleźli w spalonym domu kamerę. Twierdziła, że Wojtek podejrzewał ją o zdradę. To mogła być jego robota.

Ale po co to zrobił? Dlaczego chciał zarejestrować to, co wyglądało na zwykłą rozmowę? I w dodatku pozbawioną dźwięku? Wreszcie dlaczego zdaniem Niki te dwie minuty z niewielkim okładem miały mi coś powiedzieć? Próbowałem odpowiedzieć na choć jedno pytanie, ale w głowie miałem pustkę.

– ...widziałem krew. Chyba. I tak sobie teraz myślę, że to jednak może być ważne. – Radek spojrzał na mnie jak na kosmitę. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Wskazywał na laptop, który znowu stał odwrócony w moją stronę. Nie bardzo wiedziałem, co chciał mi pokazać. Ekran wypełniała fotografia sterty różnych rzeczy w niewielkim i niskim pomieszczeniu. Ściany zdobiło graffiti. Trudne do rozczytania napisy nic mi nie mówiły.

– Co to jest? – spytałem jakby wybudzony z głębokiego snu i zły, że mi przerwał.

– Mówiłem. Zdjęcia z tego schronu.

– Daj mi spokój! Nie teraz – warknąłem.

– Nie rozumiesz? Chociaż spójrz!

Usiadłem przed komputerem. Dopiero teraz pojaśniało mi w głowie. Schron i zielona szopa. Budynki, które znajdowały się w pobliżu spalonego domu Holtzów.

– Widzisz? – Biała strzałka na ekranie przesunęła się nieznacznie po podłodze oglądanego wnętrza. Przyjrzałem się jej uważniej. Pełno liści, szmat i pogniecionych papierów. Tuż nad miejscem, w którym strzałka znieruchomiała, zauważyłem czerwoną smugę.

– Czemu mi tego wcześniej nie pokazałeś? – Zmarszczyłem brwi.

– Przed chwilą mówiłem ci, że krew dojrzałem dopiero przy obrabianiu tych fotek, na dużym powiększeniu, a potem wysłałem ci link – oburzył się. – A ty to złałeś.

Prawda.

– Ale co to znaczy? – spytałem bardziej sam siebie niż kolegę. A może to wcale nie była krew?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Chociaż pomyślałem sobie, że może ktoś, kto podpalił dom Holtza, zranił się, a potem schował właśnie w tym bunkrze.

Podszedłem do okna. Spojrzałem w dół na parking przed blokiem. Radek stanął przy mnie. Pokazałem mu palcem.

Audi.

Dwóch krzepkich mężczyzn przy samochodzie. Jeden lustrował blok, drugi sięgał po coś do bagażnika. Wyjął kij bejsbolowy i schował go pod kurtką. Zasunął zamek. Chwilę później zatrzasnął kufer.

Włosy stanęły mi dęba.

Byli tu. Paker i kolejny pomagier Butrycha.

Podeszli do dostawczaka, którym przyjechałem. Spróbowali otworzyć drzwi. Bezskutecznie. Obeszli wóz dookoła. Błysnęło światło latarki, zajrzeli do środka, rzucili okiem pod podwozie. W końcu Paker wyprostował się i z kieszeni kurtki wyjął telefon.

Mój kręgosłup zamienił się w lodowaty pręt.

Paker skierował się w stronę klatki schodowej. Jego kumpel został na dole, ukryty za furgonetką.

– Spadamy! – syknąłem.

Zatrzasnąłem laptop i wrzuciłem go do torby.

– Skąd wiedzieli, że jesteś u mnie?

Nie miałem pojęcia.

Rak ubierał się w pośpiechu. Chwytał kluczyki do samochodu i komórkę. Uchylił drzwi. Zlustrował klatkę, po czym kiwnął ręką. Wyszliśmy. Jedyne światło padało przez wąską szybkę w drzwiach windy. Nie ruszyła się z miejsca, odkąd nią przyjechałem.

Rak zamknął drzwi i wskazał ręką na schody w górę. Kiedy stanąłem na pierwszym stopniu, nocną ciszę zakłóciły szmery. Dochodziły z dołu i niosły się echem po klatce. Rak złapał mnie za rękę i przytrzymał. Znieruchomieliśmy. Winda obudziła się z głuchym stuknięciem, a potem zjechała na parter. Patrzyłem, jak słupek światła na ścianie skracał się, aż zupełnie znikł. Zapadł mrok, rozświetlany jedynie słabą poświatą wpadającą z okien na półpiętrach.

Nasłuchiwaaliśmy.

Metaliczny brzdęk.

Winda dotarła do celu. Dudnienie kroków, otwieranie drzwi. Po chwili dźwig z łoskotem zaczął wciągać kabinę na wyższe kondygnacje. Rak wychylił się przez poręcz, sprawdzając, czy kumpel Pakera nie porzucił swego posterunku przy furgonetce i nie wspina się po schodach. Nic. Nie mieliśmy innej drogi ucieczki. Musieliśmy zaryzykować.

Rak szedł pierwszy, ja za nim. Nerwy miałem napięte jak postronki.

Na drugim piętrze minęliśmy się z windą. Przejechała z przeciągłym jękiem naprężonych lin i stukotem stalowych kół odważnika. Zbiegaliśmy, korzystając z hałasu zagłuszającego nasze kroki. Dopiero kiedy byliśmy już na pierwszym piętrze, usłyszałem dobiegający z góry trzask otwieranych drzwi.

Jeszcze tylko jedna kondygnacja. Dosłownie parę schodów, które znowu musieliśmy pokonać bezszelestnie.

Stopień za stopniem. Krew dudniła mi w skroniach.

Na półpiętrze wyjrzałem na parking pełen samochodów, ale nie zauważyłem drugiego z bandziorów. Być może nadal ukrywał się za dostawczakiem, jakieś sto metrów od bloku.

Nagle klatkę schodową zalała jasność. Sparaliżowało mnie. To pewnie Paker włączył światło. Jego kumpel przy samochodzie mógł mnie teraz zobaczyć bez trudu, jeśli tylko gapił się w okna.

Rak stał już na parterze i syknął groźnie.

Zeskoczyłem na dół, nie zważając na hałas. Torba z laptopem uderzyła w poręcz. Echo rozeszło się po całej klatce. Nie wiem, po jaką cholerę spojrzałem w górę. Paker wychylił się niemal w tym samym momencie. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

Paker zniknął, ale usłyszałem dudnienie jego kroków, głośnie jak lawina.

Rak stanął przy drzwiach wyjściowych z bloku i wskazał mi otwarte wejście do piwnicy, z którego ziała ciemność. Rzuciłem się do środka. Radek trzasnął drzwiami wejściowymi z całych sił. Metal uderzył o metal, zatrzęsły się szyby. Huk obudziłby głuchego. Natychmiast wskoczył za mną do piwnicy. Delikatnie zamknął drzwi i przekręcił zamek.

Nie widziałem nawet czubka swojego nosa.

Odgłosy kroków Pakera brzmiały coraz bliżej.

Schodziłem po omacku, trzymając się szorstkich ścian i wdychając stęchliznę wymieszaną z gryzącym smrodem kociego moczu. Stanąłem na dole i nie wiedziałem, co robić.

Błysnęło światło. Rak trzymał komórkę, z której padał wąski snop światła, który oświetlił jego twarz. Stał przede mną trup. Głęboko osadzone oczy pozostały w cieniu, zamiast nich widziałem duże czarne plamy, policzki były nienaturalnie, intensywnie żółte.

Wstrzymaliśmy oddech. Wreszcie usłyszeliśmy zgrzyt otwieranych drzwi i lżejsze trzaśnięcie. Paker wypadł na zewnątrz, ale szybko zorientuje się, że to był bluff.

Rak wskazał na lewo. Poszedłem za nim. Wtedy coś miękkiego otarło się o moją łydkę, przyprowadzając mnie o stan przedzawałowy. Mimo to szedłem dalej. Wreszcie to coś przebiegło mi między nogami i miauknęło.

O mały włos nie upadłem.

Otarłem pot z czoła i dogoniłem Raka. Skręcił w prawo i przystanął przy niewielkim uchylonym oknie. Siedziały tam dwa inne wychudzone i poranione koty. Gdy je przepędzał, pokazały nam swoje małe kły. Rak otworzył okno szerzej, wpuszczając do zatęchłej piwnicy świeże

powietrze. Potem wystawił głowę, podciągnął się i zwinnie przeszedł na drugą stronę. Zrobiłem to samo, ale z przykrością stwierdziłem, że nie dostałbym żadnych punktów za styl i grację.

Stanąłem na trawie i rozejrzałem się za Rakiem. Rozpłynął się.

– Tutaj! – usłyszałem jego szept. Dochodził gdzieś z boku. Dostrzegłem jego twarz pomiędzy metalowymi prętami. Siedział na najniższym balkonie dwa rzędy dalej. – Szybko, wskakuj!

Rany boskie! Dobiegłem tam, wdrapałem się na balkon i przełożyłem nogi przez balustradę. Nie zauważyłem ceramicznej donicy, którą potrąciłem butem. Na szczęście Rak w porę ją złapał i obyło się bez hałasu. Z bijącym sercem usiadłem obok niego. Oparłem się o betonową płytę balkonu, która dobrze nas maskowała i odcinała od podwórka. Przetarłem dłonią po mokrym czole. Obawiałem się, że moje głośne sapanie nas zdradzi.

Rak spoglądał co rusz w lewo i prawo. Czekał. Po chwili szturchnął mnie i wskazał palcem postać, która wyłoniła się zza budynku. Snop światła z latarki przeczesywał trawnik. Nie widziałem dobrze, bo od narożnika wieżowca dzieliły nas dwa inne balkony. Za nim elastycznym krokiem podążał drugi z bandziorów. Zmieniłem pozycję, żeby móc ich obserwować. Szli przed siebie, tak jakby chcieli obejść budynek.

Zacząłem szczekać zębami.

Okno. Zostawiłem otwarte okno w piwnicy. Pokazałem je Rakowi. Przyłożył tylko palec do ust. Już za późno. Mogliśmy tu tylko siedzieć i czekać na cud.

Wysunąłem głowę nad balustradę, żeby spojrzeć na bandziorów.

– Widziałeś ich? – spytał niski głos. Paker.

Cisza.

– Nigdzie? Nic? – dopytywał. – No przecież się, kurwa, nie rozpłynęli!

Spojrzałem w bok. Światło latarki głaskało pożółkłą trawę. Potem zatańczyło na elewacji pobliskiego wieżowca. Po chwili pobiegło w przeciwnym kierunku i załamało się na balkonie tuż obok. Schowałem się. Drżałem na całym ciele. Chwyciłem donicę. Była zimna i ciężka. Musiałem mieć w dłoni jakąś broń, cokolwiek, co dałoby mi chociaż iluzoryczną przewagę.

Rak błagalnie pokręcił głową. Był tak blady, że jego twarz niemal świeciła w ciemnościach. Uspokoilem go gestem, ale donicy nie odłożyłem.

Światło przesunęło się tuż obok nas i zatrzymało się na otwartym oknie piwnicy.

– Widzisz? – znowu odezwał się ten sam głos.

Nie słyszałem ich kroków, ale byłem pewien, że są coraz bliżej. Nagle mężczyźni zatrzymali się kilka metrów od nas. Krew odpłynęła mi z twarzy. Nie mogłem się ruszyć. Bałem się, że zaraz złapie mnie skurcz. Rak też zastygł. Siedzieliśmy tak, modląc się o to, by sekundy zechciały płynąć szybciej.

– Tam! – syknął Paker.

Pobiegli w lewo i zniknęli za ścianą wieżowca.

Wypuściłem powietrze z płuc. Odczekaliśmy w milczeniu kilkanaście minut. W końcu wstałem i przeszedłem przez barierkę. Zeskoczyłem zgrabiały z zimna i strachu na wilgotną ziemię, która konsystencją przypominała plastelinę, a mimo to lądowanie znowu było bolesne.

– Idziesz? – Odwróciłem się do Raka.

Wciąż wyglądał jak człowiek, który zobaczył ducha. Podniósł się powoli.

– W co ty się wpięprzył, Marek, co? – powiedział przez zaciśnięte szczęki.

Nie miałem siły odpowiedzieć.

Jeszcze raz się udało. Ale szczęście mogło przestać nam dopisywać. Tym bardziej że kolejną partię zamierzałem rozegrać w jaskini lwa.

– Musimy iść – rzuciłem i ruszyłem w stronę parkingu.

Siedzieliśmy na stacji paliw między regałami pełnymi piwa, napojów gazowanych i chipsów a stojakami obwieszonymi zgranymi filmami i składankami muzycznymi. Niby w promocji, a ceny jak z ekskluzywnego butiku.

Rak wbił wzrok w podłogę.

Zmiałem w kulkę torebkę po drugim hot-dogu i pociągnąłem długi łyk słodkiej kawy. To irracjonalne, ale na stacji poczuliśmy się bezpieczniej.

– Co teraz? – spytał fotoreporter.

– Musimy ją uwolnić.

– Jak? Czym? Gołymi rękoma? – Rak oparł łokcie o blat stołu i splótł dłonie. – A może jest coś, o czym nie wiem? Schowałeś czołg w zaroślach? Zadzwońeś po Stallone’a i Schwarzeneggera?

Do sklepu weszło dwóch rosyjskich policjantów. Zamówili kawę.

– Chciałem, ale mieli zajęte terminy. Kręcą coś razem. No, ale wiesz... nie w tym sensie... – próbowałem żartem ratować sytuację, chociaż zdawałem sobie sprawę z powagi chwili. A przede wszystkim z braku jakiegokolwiek planu. – Coś wymyślimy.

No jasne, w końcu jestem specem od improwizacji.

Rak pociągnął długi łyk z plastikowego kubka.

– Co wymyślimy? Napadniemy na sklep z bronią? A może przejdziemy się na poligon i poszukamy niewybuchów? – parsknął.

– W torbie mam kilka fantów z mercedesa. Łyżka do opon, łom, lina, coś tam jeszcze.

– Świetnie. MacGyver zrobiłby z tego lekki czołg z przyczepką, ale rozumiem, że on też z nami nie pojedzie.

Westchnąłem. Nie mogłem mieć żalu. Nie był w to zamieszany.

– Radek, rozumiem, co chcesz mi powiedzieć – stwierdziłem spokojnie. – Zadzwoń na policję i wróć do domu. Ale zanim to zrobisz, proszę cię tylko o jedno. Pożycz mi skodę.

Bez samochodu mogłem jedynie pomarzyć o odnalezieniu Weroniki. Mercedesa nie mogłem zabrać. Cholera wie, czy ludzie Butrycha nie wsadzili mu nadajnika GPS, albo czy już nie odjechali nim spod bloku.

Rak długo nie odpowiadał. Zacząłem bujać się na krześle.

– Nie ma mowy – stwierdził.

Super, to koniec. Przecież nie pojedę tam tramwajem ani taksówką. Miałem ochotę zabrać leżące na stole kluczyki i uciec. Rak zacisnął usta.

– Pojadę tam z tobą. To, że trochę trzęsę gaciami, nie oznacza, że mam zamiar dać ciała – wybełkotał. – Najwyżej zaczekam w samochodzie.

Zaśmialiśmy się głośno, od serca. Rozładowanie napięcia przychodzi w najmniej oczekiwanych momentach.

Dopiłem kawę. Wstałem i poszedłem w stronę regału z artykułami motoryzacyjnymi. Zdjąłem z wieszaka latarki, rękawice i kilka innych gadżetów, które mogły nam się przydać. W drodze do kasy zabrałem baterie.

Zapłaciłem kartą, poupychałem zakupy w kieszeniach bojówek i wyszliśmy na wściekle siekący deszcz. Wilgotny asfalt błyszczał białymi światłami latarni, do złudzenia przypominając letnie, rozgwieżdżone niebo. Jakbyśmy pod sobą mieli kosmos.

Skuleni dobiegliśmy do auta. Rak włożył kluczyk do stacyjki.

– Dokąd? – Przetarł mokre czoło rękawem bluzy.

– Zamek Bierzgowski – oznajmiłem i zapiąłem pasy.

Żarty się skończyły, pomyślałem, kiedy opony wdarły się w kałużę, rozbryzgując wodę na boki. Deszcz dudnił ciężko o dach i spływał po szybie.

Zostawiliśmy fabię ukrytą na leśnym dukcie i szliśmy wzdłuż ogrodzenia po grząskim gruncie. Minąłem bramę z bali i natychmiast zaschło mi w gardle.

Na wzniesieniu rysowała się czarna bryła domu, szopy po prawej i pozostałych budynków po lewej. Nigdzie nie było żywej duszy. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Kiwnąłem na Raka, żeby szedł za mną.

Deszcz ciał z ukosa i spływał wzdłuż podjazdu szemrzącym strumykiem.

Nie byłem samobójcą, nie mogłem wejść tak bezceremonialnie i od frontu. Wybrałem ścieżkę na skraju szkółki leśnej. Przynajmniej mogliśmy liczyć na jakąś osłonę. Przeszliśmy przez drewniany płot, w rozmokłym podłożu zostawiając głębokie odciski butów. W powietrzu unosił się przyjemny, słodki zapach młodego lasu i ciężka woń wilgotnej ziemi.

Było koło czwartej w nocy.

Zastanawiały mnie czarne okna domu i brak samochodów przed wejściem. Czy to możliwe, że nikogo tu nie było? Czyżby wszyscy ruszyli w pogoń?

Dotarliśmy do szopy.

Wyteżądałem słuch. Zakradłem się wzdłuż ściany aż do wejścia. Zajrzałem tam i wypuściłem na chwilę wiązkę światła z latarki. W miejscu, w którym jeszcze niedawno wilem się rażony prądem, było pusto. Ciało Szczura zniknęło. Rak spojrział na mnie pytającymi oczami. Ostrzegawczo położyłem palec na ustach i skinąłem głową w kierunku zabudowań znajdujących się po przeciwnej stronie żwirowanego podjazdu. Schyliwszy się, podbiegliśmy tam i przywarliśmy do ściany, wyteżając słuch. GROM to przy nas harcerskie podchody.

Uchyliłem drewniane drzwi.

Warsztat. Stary ciągnik i kilka maszyn do uprawy drzew. W pewnej chwili coś błysnęło. Zamarłem. Z powrotem skierowałem tam latarkę. Znowu to samo. Dwa nieruchome świecące punkty. Kot przeciągnął się i wskoczył na kartony przykryte starym kocem. Udeptał miejsce i położył się.

Rak sprawdził drugie drzwi. Przywołał mnie gestem, a kiedy znalazłem się przy nim, zerknąłem w głąb drugiej części budynku. Na betonowej posadzce na końcu krótkiego korytarza połyskiwały jeszcze mokre i świeże ślady butów. Wyżej, na ścianach majaczyły dziwne plamy i odchodzące od nich ciemne smugi. Znaki tonęły w ciemności po prawej. Ich kolor sprawił, że znowu zaczynałem odczuwać przeraźliwy lęk. Właściwie wbrew sobie zrobiłem krok do przodu.

Kościste palce Raka owinęły się z siłą stali wokół mojego ramienia.

– Nie wchodź tam! – syknął.

– Poczekaj – próbowałem go uspokoić. – Sprawdzę i zaraz wracam.

Dotarłem do narożnika i wychyliłem się, oświetlając przestrzeń przed sobą. Stoły, dziwne urządzenia i kolejne maszyny. Mokre ślady butów zniknęły, krew też. Stąpałem powoli. Obszedłem pomieszczenie, zajrzałem w różne zakątki. Bez powodzenia.

– Halo? – spytałem ściszym głosem.

Szmer dobiegł mnie zza pleców. Odwróciłem się gwałtownie i wstrzymałem oddech.

Rak stanął w wejściu do korytarza, oświetlając sobie nogi.

– I co? – spytał szeptem.

Przez głośne bicie serca ledwie go usłyszałem.

– Pusto.

– Wychodzimy?

Potwierdziłem.

– Może to ten sam facet, który cię uratował? – spytał, kiedy znowu staliśmy w deszczu.

– Możliwe.

- Mówiłeś, że był w tamtej szopie.
- Bo był.
- A wyszedł przed tobą?
- Inaczej bym go zatrzymał.
- Jest ranny? – dopytywał.
- Nie mam pojęcia, było ciemno. – Wzruszyłem ramionami.
- To może jemu też udało się zwiać i przeczekać?

Może, ale miałem wątpliwości.

- Ślady butów są świeże, a kiedy stąd uciekałem, jeszcze nie padało.
- Przecież się nie rozplynał.
- Kto to wie.

Coś tu się nie zgadzało. Kryjówka w warsztacie to nie był dobry pomysł, ale w stresie ludzie robią różne rzeczy. A może przeczekał gdzieś indziej, a tu tylko opatrzył rany. Wtedy to miałyby sens. Albo...

Albo ten ktoś też kogoś szukał, tak jak my.

- Dom – rzuciłem, przechodząc obok Raka. – Trzeba sprawdzić dom.

Pobiegłem po miękkiej trawie w stronę nowego budynku, przypominającego dworek szlachecki. Szerokie drzwi ukryte były w sporej wnęce, do której prowadziły trzy stopnie. Z przodu dach podtrzymywały dwie kolumny. Jego połać była przecięta symetrycznie po obu stronach łagodnymi łukami, pod którymi znajdowały się półokrągłe okna z zasuniętymi roletami.

Przypominały zamknięte powieki.

Drzwi ani drgnęły. Zerknąłem do wewnątrz przez podłużny świetlik, który szybko zaparował od mojego oddechu. Niewiele dostrzegłem. Trudno, spróbujemy drugim wejściem. Tym samym, z którego wyszedł jeden z bandziorów Butrycha, gdy próbowałem uwolnić się z więzów.

- Co teraz? – Głos Radka przebił się przez szum deszczu.

Przez chwilę miałem wrażenie, że odetchnąby, gdybym dał sygnał do odwrotu. Zamiast tego wzruszyłem ramionami i zszedłem po schodkach.

- Jest jeszcze druga opcja. Chodź.

Boczne drzwi ustąpiły bez problemów. Uchyliły się z nieznacznym skrzypieniem, odsłaniając pomieszczenie zaadaptowane na potrzeby pracowników szkoły.

Po prawej zauważyłem rząd pozamykanych stalowych szafek. Naprzeciwko, pod pasem jasnych płytek, wisiały trzy zlewy, a przy nich brudne ręczniki. Szmaty na podłodze wyglądały jak zastygłe szczury. Rzędy kaloszy i wysokich trepów w nieładzie ustawiono po lewej. Jakby pracownicy zrzucali je w popłochu. Nad nimi, na prowizorycznych hakach wisiały zielone, brudne od ziemi sztormiaki i ogrodniczki. Śmierdziało stęchlizną i potem. Pośrodku stał stół z ośmioma krzesłami. Część z nich było mocno zniszczonych, ustawionych byle jak. Na blacie pomiędzy brudnymi talerzami i szklankami wykwiwały brązowe plamy. Z tłustych papierów wychylały się nadgryzione kanapki, którymi raczyła się duża włochata mucha. Poderwała się do lotu, bzyząc niemiłośiennie.

- Widzisz? – Rak szturchnął mnie łokciem.

Podążyłem wzrokiem za światłem jego latarki. Niewielkie bordowe plamki na ścianach w niemal regularnych odstępach znaczyły drogę do kolejnych drzwi znajdujących się w głębi pomieszczenia. Wyschnięte błoto zachrząściło pod nogami, kiedy szliśmy w ich stronę. Obdarta z emalii gałka nawet nie drgnęła. Klucz musiał tkwić po drugiej stronie.

Przekląłem pod nosem. Nie miałem pomysłu, co dalej.

Przeszliśmy na tył domu. Okna i taras wychodziły na uprawy, opadające w dół zbocza aż po czarną ścianę lasu. Nagle w jednym z okien na parterze zauważyłem ruch. Albo to tylko przywidzenie.

Spojrzałem na Raka i dałem mu znak. Przywarliśmy do ściany domu, a potem zbliżyłem twarz do okna. Nie dostrzegłem nikogo. Fałszywy alarm.

Dopiero teraz dojrzałem na końcu budynku błyszczące klinkierem wejście do piwnicy i uchylone, nisko osadzone drzwi. Skuleni dotarliśmy do nich, depcząc zasuszone rabaty. Zeszliśmy

uwagę po śliskich stopniach. Drzwi były otwarte. Z miejsca, w którym znajdował się zamek, sterczały świeże drzazgi.

Wsunąłem głowę do pomieszczenia i nasłuchiwałem. Krew pulsująca w głowie i szum deszczu skutecznie przeszkadzały w wyłapaniu jakiegokolwiek dźwięku. Musiałem odnaleźć i uratować Nikę, dowiedzieć się, czego ludzie Butrycha od nas chcą. Nie mogłem czekać, aż ten wariat zaplanuje finał, w którym przyjdzie mi biernie odgrywać rolę ofiary.

Cały czas oświetlałem drogę latarką. Przeciskałem się przez wąskie pomieszczenie na drobne narzędzia, którym musiał opiekować się pedant. Wiertarki, wiertła, klucze, młotki i inne sprzęty, których nawet nie umiałem nazwać, wisiały na swoich miejscach gotowe do użytku. Zadbano o każdy centymetr powierzchni na ścianach. Musiałem tylko uważać, żeby czegoś nie stracić. Rak też był ostrożny. Złapał sporej wielkości płaski klucz i zważył go w rękach.

Przez kolejne drzwi z wyrwanym zamkiem weszliśmy do pomieszczenia przypominającego salę kominkową. Lakierowane drewno na ścianach odbijało światło. Na środku stały dębowe ławy i takie same stoły. W centralnym miejscu po przeciwnej stronie znajdował się wykładany jasnym marmurem kominek. W pokoju znajdowały się dwa inne wyjścia, oba prowadziły do wąskich korytarzy.

Radek szedł za mną.

– Patrz – szepnąłem, wskazując na ubrudzoną od błota podłogę. Ślady prowadziły przez korytarz do schodów. – Zaczekaj tu. Razem narobimy za dużo hałasu.

Rak przywarł plecami do ściany. Oddech miał płytki, wzrok rozbiegany. Jego kłykcie zrobiły się zupełnie białe, dziwiłem się, że klucz nie puścił soków. Zostawiłem Radka na dole i zacząłem wspinać się po kręconych schodach, modląc się, żeby nie skrzypiały. Tym razem Bóg mnie wysłuchał. Wreszcie znalazłem się w ciemnym i pustym holu niedaleko drzwi wejściowych. Nad głową miałem masywne, szerokie schody, które prowadziły na piętro. Po prawej, między drzwiami do innych pomieszczeń, stały podłużne kartony, płyty STG, po podłodze wałały się narzędzia. Dom czekał na wykończenie wewnątrz.

Zdawało mi się, albo naprawdę usłyszałem jakiś cichy, ale jednostajny szum, jakby ktoś pogłaśniał źle nastawione radio. Stałem kilka metrów od drzwi wejściowych. Szmer narastał. I dopiero wtedy to zobaczyłem. Sufit w holu rozbłysnął żółtym światłem, które wdzierało się przez szyby. Dосkoczyłem do okna.

Wóz podskakiwał na nierównej drodze, żwir chrząścił pod oponami. Potężne halogeny wydobywały z czarnej nocy rześisty deszcz.

W holu zrobiło się jasno jak w dzień.

Trzeba stąd spieprzać.

Odwróciłem się i nagle serce przestało mi bić.

– Nie ruszaj się – usłyszałem stanowczy męski głos.

Na szczycie marmurowych schodów stał duch. Celował do mnie z broni. Mimo że klatka schodowa tonęła w mroku, widziałem go wyraźnie. W skroniach mi dudniło. Nie miałem żadnych wątpliwości, a mimo to zadałem najgłupsze z pytań.

– To ty? – Głos mi zadrżał.

Za drzwiami szum silnika ustał i nagle znowu zrobiło się ciemno.

Trzaśnięcie drzwiczek, a po nich przytłumione głosy wydające krótkie żołnierskie polecenia.

Duch szeroko otworzył oczy, nie ukrywając zaskoczenia. Dla niego chyba też byłem marą z przeszłości.

Opuścił broń.

Odwróciłem się przerażony w stronę drzwi wejściowych, jakbym zamierzał je otworzyć i czynić honory domu. Na szczęście strach przyszpilił mnie do podłogi.

Ciężkie kroki na zewnątrz. Dwie albo trzy osoby. Byli tuż, tuż.

– Holtz! Musimy wiać. Oni już tu są! – syknąłem.

Ponownie zerknąłem na schody, ale zjawą rozplynęła się w ciemnościach.

W głowie myśli urządziły sobie wyścigi.

Na dole czekał przerażony Rak, gdzieś na górze ukrył się Holtz. Miałem nie więcej niż kilka sekund. Najpierw rzuciłem się do schodów prowadzących do piwnicy.

– Rak! Idą od frontu. Jedź prosto do domu i spróbuj odzyskać filmy z laptopa.

– A ty?

– Ktoś mnie podwiezie. Spotkamy się u ciebie.

– Na pewno?

– Tak! Spierdalaj!

Zanim dobiegłem do schodów prowadzących na piętro, usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Długimi susami pokonywałem po kilka stopni na raz. Byłem w połowie drogi na górę, gdy drzwi uchyliły się, i na ostatnim stopniu, kiedy światło lampy rozlało się po holu. W ostatniej chwili ukryłem się w zasłoniętym mrokiem korytarzu na piętrze.

– Co tu tak brudno, kurwa? – rzucił ktoś. – Sprzątnij tu, boss zaraz będzie!

Seria kroków, otwieranie i zamykanie drzwi, a później niezrozumiała wymiana zdań. I chwila ciszy.

– Nie pierdol, tylko bierz za miotłę i sprzątaj! Na dole też – zabrzmiało wyraźnie, bo mężczyzna znowu stanął w holu.

Miałem nadzieję, że Rak dawno już uciekł tylnym wyjściem. Wierzyłem w jego zdrowy rozsądek.

Rozejrzałem się po piętrze. Czworo drzwi. Cztery miejsca, w których mógł ukryć się Holtz. Na palcach dotarłem do pierwszego pokoju, najbliższego schodów. Zajrzałem w głąb.

– Co ty tu robisz? – dobiegł mnie szept.

Odwrociłem się. Wojciech Holtz opuścił broń i oparł się o ścianę. Lewą dłoń miał obwiązaną szmatą. Krwawił.

Nie widziałem go dziesięć lat, ale niewiele się zmienił. Tylko linia włosów dyskretnie uciekała znad czoła.

– Żyjesz. – Powiedziałem to chyba tylko po to, by samego siebie przekonać, że nie gadam z trupem.

– Wolałbyś, żeby było inaczej, co? – niemal prychnął.

– Wolałbym wiedzieć, o co tu chodzi! – Odgarnąłem włosy za uszy. I wtedy zrozumiałem, że Holtz był tu już wcześniej.

– Mają Weronikę. – Poprawił opatrunek na rękę.

– Wiem. Inaczej bym tu nie wrócił.

– Wrócił?

– Nie udawaj! To, że uratowałeś mi życie w tej zaszrannej szopie, niczego między nami nie zmienia – zacząłem podnosić głos. Jeśli zamierzałem uciec stąd niezauważony, powinienem być ostrożniejszy.

To pewne, że wtedy mi pomógł. Sądząc po ranie na dłoni, nieźle przy tym oberwał.

Holtz zrobił krok do przodu i złapał za klamkę.

– Co ty wyprawiasz? – Chwyciłem go za bark.

– Sprawdziłem wszystko. Nie ma jej tu. – Strząsnął moją rękę i zniknął za progiem.

Oblał mnie zimny pot.

– Stój, do cholery! – syknąłem i wypadłem na korytarz.

Pusto.

Spojrzałem w stronę schodów.

Holtz z pochyloną głową schodził stopień za stopniem. Zanurzał się w świetle parteru. Najpierw oblało jego nogi, później sięgnęło paska spodni. Wreszcie błysnęło na lśniącej czarnej lufie pistoletu, który trzymał wycelowany w dół.

Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Chciałem zapaść się pod ziemię, przerwać ten cholerny koszmar i obudzić się z totalną amnezją w swoim ciepłym łóżku.

Wtedy usłyszałem głucho szarpnięcie drzwi dochodzące z dołu.

Holtz zamarł.

Po chwili huk wystrzału sprawił, że upadłem na podłogę.

15

Krzyk.

Ktoś przeraźliwie zawył, jakby grzebano mu we wnętrznościach.

Holtz rzucił się w dół po schodach.

– Co ty odpierdalasz? – krzyknąłem, gdy znalazł się w holu. – Stój!

Pobiegłem za nim, ale w połowie schodów osłupiałem. Na podłodze leżał mężczyzna.

Czerwona plama na jego koszulce powiększała się szybko. Ciało przeszywały drgawki, a obcasy jego ciężkich buciorów zaczęły stukać o podłogę. Dągał charczał i dławił się krwią.

Holtz dopadł drzwi frontowych i zniknął za nimi. Przez chwilę poczułem wilgotny powiew wiatru i słyszałem głośny szum deszczu.

Nie mogłem oderwać wzroku od krwi i konającego człowieka.

Rumor po lewej. Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie.

Stanął w nich zarośnięty mięśniak.

– Kurwa! – Przeskoczył trupa i rzucił się w moją stronę. W jego żenicach płonął ogień.

Dwie wielkie dłonie porwały mnie w górę i z łatwością rzuciły w stronę zejścia do piwnicy. Z hukiem uderzyłem o podłogę. Nie zdążyłem zaasekurować upadku, więc przeszył mnie rwący ból w barku. Zatrzymałem się dopiero na ścianie. Miałem tylko nadzieję, że nie złamałem obojczyka.

Napastnik stanął przy mnie i wymierzył kopniaka w żebra. Jęknąłem.

– Wstawaj! – ryknął.

Zamarkowawszy próbę podniesienia się na nogi, z całej siły kopnąłem mięśniaka, celując w kolano. Krzyknął. Odrzuciło go, ale nie upadł. Wykorzystałem ten moment i ześlizgnąłem się w dół po okrągłych wyfroterowanych drewnianych stopniach. Zdążyłem tylko zerknąć na mężczyznę, który wycelował we mnie pistolet. Nad głową świsnęła mi kula i z głośnym stukiem wbiła się w boazerię, z której trysnęła fontanna drzazg. Skuliłem się i pokuśtykałem prosto do tonącej w ciemnościach sali z kominkiem. Dudnienie kroków, które usłyszałem za sobą, zmroziło mi krew. Dotarłem do składu narzędzi i przymknąłem za sobą drzwi. Nie wiedziałem, które z urządzeń mogłoby mi się przydać, ale niezdecydowanie sprawiło, że straciłem cenne sekundy na ucieczkę. Chwyciłem długi śrubokręt i wypadłem na zewnątrz w chwili, gdy mężczyzna pojawił się w pomieszczeniu. Kolejna kula minęła mnie o centymetry.

Postawiłem stopę na mokrych klinkierowych schodach, ale poślizgnąłem się i upadłem. Nie czułem bólu, tylko z trudem łapałem powietrze. Dyszałem głośno. Już nie miałem szans. Nawet nie próbowałem się ruszyć. Czekałem na dalszy rozwój wypadków. Wreszcie drzwi skrzypnęły, a otwór lufy pojawił się tuż przede mną. Zamarłem w oczekiwaniu na huk wystrzału.

– Jeszcze jeden głupi ruch i nie żyjesz – wycedził mięśniak przez zęby. – Rzuć to!

Śrubokręt zabrzęczał na kaflach. Deszcz spływał po mnie, jakbym stał pod prysznicem.

– Gdzie masz broń? – kontynuował.

Chciałem zaprzeczyć, że to nie ja zabiłem tego dągała, jednak wolałem milczeć. Zwalanie

winy na Holtza nic by nie dało. Mięśniak przecież go nawet nie widział.

– I tak wszystko z ciebie wyciągnę – warknął. – Ruchy!

Podniosłem się. Odczułem nagle wszystkie skutki poprzedniego uderzenia i wywrotki na schodach. Grymas bólu wykrzywił mi twarz.

– Ruchy! – Mężczyzna pchnął mnie na schody.

Obeszliśmy dom, z trudem wyciągając nogi z klejącego błota. Zatrzymałem się dopiero na wysokości otwartych drzwi frontowych. Ukradkiem zerknąłem w stronę holu. Dostrzegłem nieruchome ciało drągała. Zdawał się patrzeć na mnie z wyrzutem. Tak, w jakimś stopniu, byłem winny tej śmierci. Mogłem przecież zatrzymać Holtza.

– Właż! – Mięśniak stuknął mnie lufą w plecy. – Drugie drzwi po lewej!

Ponownie znalazłem się w holu na parterze, kiedy przez szum deszczu przedarł się pomruk silnika. Obejrzeliśmy się jednocześnie. Pojazd skręcił w drewnianą bramownicę i oslepił nas światłami.

Mięśniak zasłonił oczy przed blaskiem. Teraz albo nigdy. Musiałem wykorzystać tę chwilę. Uderzyłem prawym hakiem. Mężczyzna próbował zasłonić się ręką, ale oberwał, jęknął i osunął się przy ścianie. Coś brzęknęło. Zaatakowałem ponownie, ale on zdążył zrobić unik. Poderwał się i rzucił w stronę drzwi. Dopiero teraz dojrzałem, że leży tam pistolet, który po pierwszym ciosie wypadł mu z ręki. Rzuciłem się na niego, poleciliśmy na podłogę. Kątem oka dostrzegłem, że wóz jest już blisko. Tym razem nie ucieknę Butrychowi. Mimo to usiadłem na mięśniaku i okładałem jego zarośnięty łeb gołymi pięściami, waliłem jak opętany. Na początku próbował się bronić, ale kiedy zrozumiał, że nie ma szans, zmienił taktykę. Zamierzał przetrwać, osłaniając głowę rękoma. Czekał na nadejście pomocy. A ja z każdym uderzeniem traciłem siły. W końcu dałem spokój, gość wyglądał na solidnie ogłuszonego.

Samochód zatrzymał się pod domem, światła nie zgasiły. Silnik pomrukiwał, czarna postać swobodnym krokiem wchodziła po schodach.

Nie miałem już siły ani na zadanie choćby jednego ciosu, ani tym bardziej na ucieczkę. Ręce miałem jak z ołowiu, niezdolne do najmniejszego nawet wysiłku. Pulsujący ból przeszywał moje obdarte do krwi kłykcie. Sapiąc, osunąłem się na ziemię.

Nie zależało mi już na niczym. Jeśli miałem umrzeć, to ten moment był idealny. Śmierć byłaby wybawieniem.

Spojrzałem na przybysza stojącego w progu, ale cieknący z czoła pot rozmazywał mi obraz. Zauważyłem tylko, że podnosi pistolet i celuje. Czas się zatrzymał.

Żadne obrazy z dzieciństwa nie przewijały mi się przed oczami. Nie modliłem się, a może zwyczajnie tego nie pamiętam. Nie widziałem też nikogo z bliskich zmarłych, chcącego radośnie powitać mnie w zaświatach. Jedyna rzecz, jakiej wówczas doświadczałem, to brak czucia własnego ciała. Pełne zubożenie. Tak to zapamiętałem.

I wtedy padł strzał.

Nie bolało, ale znowu słyszałem krzyk. Z początku nie wiedziałem, czy dobiega z mojego gardła. Poderwałem się do klęku i zobaczyłem, jak mężczyzna, którego kilka sekund temu udało mi się solidnie obić, zwija się z bólu na podłodze w holu i trzyma za kolano. Krew kapiała na podłogę.

– Gdzie ona jest? – spytał mężczyzna z bronią.

Rozpoznałem ten głos, a mimo to przetarłem oczy.

– Nie będę liczył do trzech i nie przestrzelę ci drugiego kolana, rozumiesz? – Holtz mówił ze spokojem zawodowego mordercy. – Nie będziesz miał drugiej szansy.

Celował w jego głowę.

– Gdzie jest Weronika? – spytał.

Nie wydobyłem z siebie żadnego dźwięku. Podniosłem jedynie rękę, ale ani jeden, ani drugi nawet nie spojrzeli w moją stronę. Nie zwrócili na mnie uwagi. Być może byłem już trupem.

– Wojtek, przestań! – odzyskałem wreszcie mowę i próbowałem wstać.

Błagałem, żeby się opamiętał. W tym samym czasie ranny pokręcił przecząco głową i splunął.

– No to bye! – stwierdził Holtz, ale ostatnie słowo zagłuszył huk wystrzału.

Głowa mięśniaka odskoczyła, ciało klapnęło o podłogę.

– Pakuj się do wozu – rzucił Holtz szorstko w moją stronę i wyszedł z domu.

Zabijał ludzi jak kaczki. A jednocześnie wrócił tu, by drugi raz mi pomóc. Dobiegłem i złapałem za klamkę samochodu. Nim usiadłem w fotelu pasażera, zazgrzytał wsteczny bieg, a terenówką szarpnęło. O mało nie wyrwało drzwi z mojej strony. Chwyciłem je i zamknąłem z całej siły. Podskoczyliśmy na nierównościach. Wciąż nie mogłem uwierzyć w to, co zrobił Holtz.

Boże, to jakiś pieprzony koszmarnik!

Holtz włączył długie światła. W milczeniu minęliśmy bramę i pognaliśmy dalej. Kiedy wypadliśmy na asfalt, wozem przestało trząść. Sunął teraz gładko jak po stole. Silnik szumiał, wycieraczki szurały, kierowaliśmy się w stronę Torunia szybciej, niż było to potrzebne.

– Wyluzuj! – powiedziałem, mocniej zaciskając dłoń na uchwycie w drzwiach. Holtz nie zamierzał mnie słuchać. Motor wspinał się na wyższe obroty.

Przy ścianie lasu, na zakręcie w prawo, dojrzałem tył kompletnie rozbitego samochodu. Nie mogło być pomyłki, rozpoznałem go od razu. Ścisnęło mnie w żołądku.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem.

Chciałem, żeby to było jedynie przywidzenie. Holtz zwolnił i zjechał z jezdni na błotniste pobocze.

– Za minutę odjeżdżam. Z tobą lub bez – rzucił.

Przebiegłem przez drogę. Dwie głębokie wyżłobione w ziemi bruzdy prowadziły od jezdni do miejsca wypadku. Zerwana z sosen kora leżała w mokrej trawie, a okaleczone pnie odcinały się w ciemności. Bezkształtna masa blachy i plastiku, która niedawno była skodą, znajdowała się kilka metrów dalej, owinięta ciasno wokół grubego drzewa.

Co rusz nadeptywałem na rozrzucone wokół plastikowe fragmenty i połamane elementy wyposażenia. Pod podeszwami wyczuwałem odłamki szkła, a nozdrza drażnił smród benzyny wymieszany ze słodkim zapachem spalin i gorącego oleju.

Na miękkich nogach dotarłem do wraku. Coś jednostajnie w nim brzęczało. Maszyna jeszcze się nie poddała, biały dym unosił się spod maski.

Spojrzałem do wnętrza przez drzwi pasażera. Ciało leżało na wygiętej kierownicy. W pierwszej chwili wydawało mi się, że na twarzy ma czerwoną maskę, zupełnie jakby wybierał się na bal w Halloween. Ale to nie była maska. Krew zalała też jego ciuchy.

Starałem się wyszarpnąć pocięte drzwi, ale wrak nie zamierzał ustąpić. Traciłem rozum. Ze wściekłości i bezsilności darłem się i kopałem w wygięte blachy, aż zabrakło mi tchu.

Rak nie żył.

Zrobiłem krok do tyłu i przytrzymałem się białego pnia brzozy. Wtedy ktoś gwałtownie rozhuścił ziemię. Rozstawiłem szeroko nogi, ale to nic nie dało. Świat bujał się dalej. Żołądek podjechał mi do gardła.

Nachyliłem się i chlusnąłem w krzaki breją z kawy i niestrawionych resztek hot-dogów.

NIEDZIELA

27 października 2013 roku

– Nie kupuję tego – rzuciłem.

Holtz prychnął, widocznie miał to gdzieś.

Na zewnątrz wciąż było ciemno, a my od godziny siedzieliśmy w samochodzie na trzecim poziomie zupełnie pustego parkingu przy galerii Toruń Plaza. Parkingi przy takich przybytkach są na noc zamykane, ale Holtz przywitał się z wiekowym ochroniarzem, wręczył mu banknot i przejechał po opuszczonym łańcuchu. Musiał tu często bywać o tej porze.

Byłem już zmęczony rozmową, bo niewiele z niej wynikało. W ustach miałem kwaśny posmak wymiocin. Zrobiło mi się duszno, więc uchyliłem drzwi. Powitało mnie zimne powietrze i szum auta przejeżdżającego gdzieś w oddali.

Wcześniej, gdy tylko odjechaliśmy z miejsca wypadku, wezwałem anonimowo karetkę. Na myśl o Raku bolało mnie serce. Nie wierzyłem w to, co się wydarzyło, nie umiałem tego zaakceptować. Próbowałem zadzwonić się na policję w Toruniu i Chełmży, pod którą podlegał powiat toruński, ale dyżurni nabrali wody w usta. W szpitalu to samo. Ostatecznie nie wiedziałem nawet, czy Radek żyje.

Ostatnie dni wywróciły moje życie do góry nogami, a miniona noc była gotowym scenariuszem na thriller. Żałowałem tylko, że zamiast epizodycznej gram w nim pierwszoplanową rolę.

Powrót z Berlina i kolejne bezowocne poszukiwania Agaty sypały sól w otwarte rany. Na nowo odżył we mnie podskórny lęk. Ale jak się okazało, był to dopiero początek zła, które osaczało mnie zewsząd i pochłaniało. Wszystko, co do tej pory wydawało się prawdą, było kłamstwem, a co mogło być kłamstwem, okazywało się prawdą. Wciąż wiele puzzli nie pasowało do układanki, ale sporo ułożyłem już prawidłowo. Pozostało dopasować ostatnie elementy.

Po pierwsze, Szaman. Byłem pewien, że ktoś zakpił sobie i ze mnie, i z niego. Gdyby to on zamierzał mnie dorwać, zrobiłby to w ten sam sposób, w jaki najprawdopodobniej dopadł Agatę. Odbyłoby się to z zegarmistrzowską precyzją i bez świadków, a słuch o mnie zaginąłby na lata. Jak mogłem uwierzyć, że kartki z napisem „Gravira manent” to jego robota? Szaman nie zapowiadał działań. On po prostu działał.

Chodziło więc o jakieś pieniądze i dokumenty, które były w rękach Holtza.

W to wszystko zamieszana była również Miedzińska. Policja podejrzewała, że załatwiła ją Nika. Była u niej tuż przed tym, kiedy Miedzińska rzuciła się z okna. Oczywiście mogło chodzić o zdradę. Może Holtz był zakochany w Agnieszce? Nika dowiedziała się o tym i postanowiła się zemścić. Może miała więcej nagranych filmików? Układało się to w jakąś całość, potwierdzało moje przypuszczenia.

A jeśli rzekoma śmierć Holtza i wszystko, co stało się potem, było jednak ukartowane przez małżonków po to, by wciągnąć mnie w brutalną grę i wystawić jak kaczkę do odstrzału? Od pożaru Wojtek skutecznie się ukrywał, Weronika przyjechała do mnie po latach jak gdyby nigdy nic po to, żebym przygarnął ją i ochronił. Bohater się znalazł. Dałem się jej zmanipulować, a co gorsza, chyba skutecznie rozkochiwała mnie w sobie na nowo. Chociaż nie wiedziałem, czy czułem coś do tej Niki, która właśnie zaginęła, czy też do tej dziewczyny, która dawno temu rzuciła mnie dla Holtza.

A może jednak Nika nie miała o niczym pojęcia i była tak samo ofiarą, jak ja? W końcu pozostawiła mi film, na którym było coś, co powinno dać mi do myślenia. Może to w nim była ukryta prawda. Skłaniałem się do tej drugiej wersji, ale opowieść Holtza mi w tym nie pomogła. Wciąż pobrzmiwała mi w głowie.

– Ten pożar to był wypadek. – Wojtek zawiesił głos.

Po tym, z jaką łatwością ten były żołnierz zabijał ludzi Butrycha, powinienem w to wątpić. Smutek brzmiał fałszywie, ale nie zamierzałem mu przerywać.

– Kurier Butrycha przyszedł do mnie po pieniądze. Mówiłem ci, pożyczyłem kasę od Mariana. Dawno temu potrzebowałem dziesięciu kawałków. Marian wyciągnął zwitek, nie pytał o nic. Mówił: oddasz, gdy będziesz miał. Dopiero miesiąc temu zaczął mnie przyciskać. Zrobiło się

nerwowo. Prosiłem o kilka dni zwłoki. O dziwo, nie chciał odsetek, więc kamień spadł mi z serca. Pomyślałem, że dostanę kredyt na remont tego domu. To była jedyna szansa na szybkie spłacenie Butrycha. Bank jednak mnie olał.

– To skąd miałeś pieniądze? – przerwałem mu.

– Nie miałem.

– Jak to?

– W międzyczasie trafiłem na żyłę złota. Nagrałem mu niezły interes. To pokrywało mój dług i jeszcze miałem co nieco zarobić.

– Chyba żartujesz. Co to za interes?

– Poczekaj, po kolei. – Westchnął. Minęła chwila, nim się odezwał. – Lakierowałem podłogi w starym domu. Butrych wysłał swojego kuriera. Zdziwiło mnie to, bo zawsze sam dbał o wszystko. A teraz wystawił z kasą jakiegoś fagasa. Śmierdziało na odległość. Ale nic to. Wystraszyłem się, bo nagle gość stanął w drzwiach. A ja nie słyszałem wcześniej nadjeżdżającego samochodu. Może przez głośno nastawione radio. Powiedział, że nie ma przy sobie pieniędzy, że Butrych wycofał się z interesu. Zaskoczył mnie. Cały plan pozbycia się długu wziął w łeb. Zapaliłem papierosa. Musiałem ochłonąć. Chciałem pogadać z Marianem, ale nie zdążyłem. Kurier przywalił mi w łeb od tyłu. Zachwiałem się, papieros wypadł mi z ręki. Rzuciłem się na gościa. Polecieliśmy na ławę, zaczął mnie dusić. Ostatkiem sił rozbiłem rozcieńczalnik na jego głowie, sam zresztą też nieźle się poharatałem. – Podniósł zranioną dłoń. – Nie zwróciłem uwagi, kiedy papieros wzniecił ogień. Kurier leżał jak kłoda, był ogluszony. Od chemikaliów zaczęło hajcować się jego ubranie. Płomienie rozprzestrzeniały się gwałtownie. Gdybym został tam dłużej, strażacy znaleźliby dwa ciała. Ale zanim uciekłem, wsadziłem mu na palec moją obrączkę. To był odruch, nie pytając dlaczego, tak zrobiłem. Być może podświadomie zrozumiałem, że muszę na chwilę zniknąć.

Potań dłoń zarost.

– Kurier musiał ukryć gdzieś wóz, tego byłem pewien. Odnalazłem go na bocznej drodze. Kasa wciąż leżała w bagażniku. Zabrałem ją, wziąłem stary koc, a potem pobiegłem do takiego małego schronu. Tam do mnie dotarło, że kurier chciał wydymać i mnie, i Butrycha.

– Wystarczyło przecież oddać Butrychowi pieniądze i wszystko wyjaśnić.

– Za późno. Trup smażył się w domu, poza tym miałbym policję na karku, nie rozumiesz?

– A papiery? – spytałem.

– Papiery? – zdziwił się.

– Butrych chciał nie tylko pieniędzy. Pytał mnie o teczkę.

– Aaa, tak. – Pokiwał głową.

– Co w niej było?

– Dokumenty transakcji.

– Jakiej transakcji? – spytałem poirytowany. Holtz wyraźnie grał na zwłokę.

– List intencyjny.

Zachęciłem gestem, by mówił dalej.

– W sprawie sprzedaży ziemi.

– Jakiś nielegal, co? – dopytałem.

– Gównno tam!

– Gdyby to był legalny biznes, skasowałbyś prowizję, a Butrych kupiłby działkę od sprzedawcy podczas wizyty u notariusza.

– Gdybym nie wziął na siebie roli pośrednika, Butrych wydymałby mnie bez mydła! Sam ugadałby się ze sprzedawcą i kasa przeszłaby mi koło nosa.

– Co to za teren?

– Nieważne, spora działka.

– Co z tym wszystkim ma wspólnego Weronika?

Holtz przetarł dłońią twarz. Zaczął wiercić się w fotelu.

– Nic.

– Co ty pieprzysz? – spytałem sucho. – Człowieku, Nika zniknęła, a mnie traktowano prądem.

Holtz zaśmiał się.

– Co? Nas, bohaterów, prądem?

Nie miałem ochoty na zabawę cytatami z Seksmisji.

– Mów!

Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Powiedziałem już wystarczająco dużo. Wyłaż!

Spojrzałem na niego. Chyba zwariował.

– Potrzebujesz mnie. Musimy odnaleźć Weronikę – starałem się, by zabrzmiało to rozsądnie.

– My? Swojej żony nie umiesz odnaleźć, a mi chcesz pomagać? – rzucił pogardliwie. – Sam ją odnajdę. Popatrz na siebie. Ty możesz mieć kłopoty w odnalezieniu drogi do domu.

Krew zadudniła mi w skroniach. Otworzyłem drzwi i postawiłem nogi na szorstkiej nawierzchni parkingu. Zabrałem torbę, którą Holtz wyjął z rozbitego samochodu Raka, i przewiesiłem przez ramię. Wysiadłem z samochodu.

– Kłamiesz Holtz – pochyliłem się, by wsadzić głowę do kabiny. – I coś przede mną ukrywasz.

– Zamknij drzwi – polecił, uruchamiając silnik.

– Ale dowiem się, dlaczego to robisz. – Zignorowałem go. – Dowiem się, gdzie jest Nika. I jaki związek z tą sprawą ma film, który dała mi twoja żona.

Wykonał nieznaczny ruch głową. Trafiłem w punkt.

– Film? – zdziwił się.

– A potem znowu się spotkamy.

Holtz położył dłoń na dźwigni zmiany biegów. Zerknął we wsteczne lusterko, potem gdzieś w lewo. Gorączkowo myślał. Sekundy mijały, a on wciąż się wahał. W końcu podjął decyzję. Zdecydowanym ruchem wrzucił wsteczny, ale nie puścił sprzęgła.

– To dobrze, że się spotkamy. W końcu wypadła, żebyś podziękował mi za uratowanie życia – wypalił.

Trzasnąłem drzwiami z całych sił.

Mierzyliśmy się wzrokiem.

Samochód wystrzelił z koperty i gwałtownie się zatrzymał. Nie spuszczałem Holtza z oczu. On pierwszy odwrócił głowę. Ruszył z piskiem opon. Ten ostry dźwięk odbijał się echem w pustej, betonowej budowli, kiedy wóz wchodził w zakręty.

Wreszcie pisk ucichł. Podeszedłem do balustrady. Było chłodno. Postawiłem kołnierz kurtki i obserwowałem wyjeżdżający z parkingu samochód Holtza. Po chwili szum silnika ucichł.

Wciągnąłem zimne powietrze.

Spojrzałem w lewo. W śpiącym jeszcze mieście narastało wycie syreny. Po chwili błyskająca niebieskim światłem karetka pognęła w stronę centrum i zniknęła we mgle.

Tynk w przejściu spadał ze ścian niczym złuszczone, chora skóra. Śmierdziało stęchlizną. Szedłem w tę samą stronę co zawsze, w kierunku osnutego mgłą trzepaka. Łzy same zbierały się w oczach, chociaż przecież w ogóle jej nie znałem. Wiedziałem, co mnie tam czeka, a mimo to nie skręciłem, nie odwróciłem, się, nie uciekłem.

Z każdym krokiem mgła się rozrzedzała.

Wreszcie stanąłem tuż przy niej.

Kap. Kap. Kap.

Powierzchnia niewielkiej plamy krwi drżała po każdej kropli, która spadała z sandałka dziewczynki.

Śliczne, długie blond włosy zakrywały jej całą twarz i szyję. Sznur napinał się pod jej ciężarem i cicho trzeszczał. Ciałem delikatnie kołysał wiatr.

– Marek? – spytała dziewczęcym piskliwym głosem. Znałem go.

Zamurowało mnie. Nigdy dotąd się nie odzywała.

Zapłakałem.

– Ja... nie chciałem. – Spuściłem wzrok.

– Ciiii... – wyszeptła i zanuciła jakąś smutną dziecięcą piosenkę. Coś o jagodach.

Melodia niosła nie tylko dźwięki, ale też ciepło, które wyraźnie poczułem.

– Nie bój się – szepnęła. – Jeszcze nie teraz... jeszcze nie.

I znowu zaczęła nucić, a ja ponownie poczułem to samo ciepło. Przestałem łkać i spojrzałem na nią. Sukienka falowała. Po wewnętrznej stronie uda, kolanie i łydce jak zawsze płynęła strużka świeżej krwi.

Tak bardzo chciałem jej pomóc.

– Nie bój się – powtórzyła, a potem zaniósła się śmiechem, jej ciało zaczęło gwałtownie podskakiwać. Sznur napręzał się raz po raz.

Wtedy poczułem, że przyjemne dotychczas ciepło zaczyna mnie parzyć. Wrzasnąłem. Stałem w kręgu ognia. Wokół mnie drgały wysokie płomienie. Panicznie szukałem ratunku. Staruszka z pietra, która przypatrywała mi się milcząco, zacisnęła usta, pogroziła wykrzywionym palcem i zniknęła. Trzasnęło okno. Na parterze poruszyła się firanka. Tuż za nią dostrzegłem Holtza.

Krzyknąłem, żeby mi pomógł. Ale nie zrobił nic, tylko się uśmiechał.

Gdy płomienie zaczęły topić moją skórę, jakby była z wosku, odsłaniając mięśnie, ścięgna i kości, jego śmiech połączył się z piskliwym głosem dziewczynki.

– Żegnaj, braciszku! – pisnęła radośnie.

Zamarłem. Nie wiem skąd, ale usłyszałem chór męskich głosów. Skandował „gra-vio-ra ma-nent, gra-vio-ra ma -nent”. Głosy odbijały się echem od brudnych ścian kamienicy. Świat kręcił się jak karuzela.

Holtz otworzył okno.

– Najgorsze dopiero nadejdzie! – wrzasnął.

I znowu oboje się zaśmiali. A po chwili wszystko nagle ucichło, płomienie zgasły.

Ciało kiwało się lekko, sznur trzeszczał, a po Holtzu nie było śladu.

Tylko krew kapała nadal.

Do domu wróciłem taksówką. Byłem pewien, że teraz będę bezpieczny. Holtz przetrzebił szeregi żołnierzy Butrycha, a ten do trupów nie będzie przecież wzywał policji. Nie przypuszczałem też, by był na tyle głupi, żeby złożyć mi wizytę za dnia. Chociaż trudno było odmówić mu determinacji.

Z mizernym skutkiem próbowałem opanować chaos w moim domu. Ludzie Butrycha nie znaleźli tu tego, czego szukali, ale zostawili po sobie kosmiczny burdel. Nie wiedziałem, za co się zabrać, więc po prostu odstawiałem na regał wszystko, co wpadło mi w ręce. Książki, szpargały, które powypadały z teczek, ramki ze zdjęciami, bibeloty, które Agata hurtowo zwoziła ze wszystkich swoich wypadów z aparatem. To proste zajęcie pozwalało mi skupić się na minionych wydarzeniach.

Pomyślałem o Raku i ponownie obdzwoniłem policję i szpitala. Znowu zero wiadomości, było jeszcze za wcześnie, bym mógł przekręcić do znajomych policjantów.

A Holtz? W jednym miał rację. Nie potrafiłem odnaleźć swojej żony. Próbowałem, ale nie dałem rady. Marnym pocieszeniem było dla mnie to, że nie odnalazła jej także cała armia policji, że zawiodły najnowsze techniki kryminalistyczne, a raczej ci, którzy ich używali. Mierzyłem się z tym każdego dnia. Czy w takim stanie miałem szansę odnaleźć Nikę? Z jednej strony obarczałem się winą, że ustawiam na półce figurki słoni, zamiast wyjść z domu i skupić się na poszukiwaniach. Ale z drugiej, i tak kompletnie nie wiedziałem, gdzie miałbym się udać. Nika, tak jak Agata, mogła być

przecież wszędzie. Już to przerabiałem.

To, że Holtz kłamał, było pewne. Prowadził swoją grę i tylko to się dla niego liczyło. Jednak był zaskoczony, gdy wspomniałem o filmie. Może gdybym się nie wściekł i nie trzasnął drzwiami, rozmawialibyśmy nadal.

Do jego opowieści nie pasowała mi jedna rzecz. Co z tym wszystkim miała wspólnego Miedzińska, prezeska fundacji Miasto dla Mieszkańców?

Podniosłem kolejną, największą figurkę słonia. Trąba, którą unosił do góry, była złamana. Większa jej część leżała rozkruszona na podłodze. Mimo to ustawiłem go tak, jak robiła to Agata, przodem w kierunku okna.

A jeśli faktycznie chodziło o sprzedaż działki? Jeśli to była własność Miedzińskiej? To by wyjaśniało, dlaczego pojawiła się na filmie razem z Holtzem i nieznajomą. Powinienem jeszcze raz go obejrzeć. Wyjąłem komputer z torby i struchlałem, bo przecież sprzęt mógł się uszkodzić w wypadku. Holtz podszedł wtedy do mnie, obszedł wrak i na moją prośbę wyciągnął z niego torbę. Obudowa była poobijana, ale sprzęt działał bez zarzutu. Uruchomiłem film. Obejrzałem raz i drugi. Była w nim jakaś zła energia. Nerwowe gesty jego bohaterów tylko to potwierdzały.

Odtworzyłem ponownie.

Znowu mówiła Miedzińska. Potem do rozmowy wtrącił się Holtz. Miedzińska jakby się z nim nie zgadzała, bo pokręciła głową. Holtz patrzył raz na nią, a raz na drugą kobietę, gestykulował. Od czasu do czasu patrzył gdzieś poza kadr. A nieznajoma siedziała praktycznie bez ruchu.

Po zakończeniu filmu długo wpatrywałem się w poczerniały ekran. Sekundy mijały wolno, ale wreszcie zrozumiałem.

Odtworzyłem ostatnie kilka sekund raz jeszcze. A potem znowu. I pozbyłem się wątpliwości. Patrzyłem na ruchy całej trójki. Holtz przekręcił głowę i patrzył w prawo poza kadr, w miejsce, które przed chwilą wskazywał, wkrótce spojrziała tam kobieta u dołu ekranu. Dałbym sobie głowę uciąć, że wzrok Miedzińskiej też powędrował w tamtą stronę. Cała trójka utkwiała spojrzenia w jednym miejscu. Jakby się umówili.

Odtworzyłem ostatnie trzy sekundy. Ktoś tam był. Nie było go widać, ale coś go zdradziło.

Szara plama poruszyła się nieznacznie na ścianie, o którą opierał się Holtz.

Cień.

Pochyliłem się nad komputerem i ponownie obejrzałem nagranie.

Holtz mógł mówić prawdę. Może stał tam Butrych?

Spojrzałem na zegarek. Było przed siódmą, więc zdecydowanie za wcześnie, by zadzwonić do Piotrka, chłopaka Agnieszki. Ale kierunek był dobry. Gdyby Miedzińska miała na sprzedaż jakąś nieruchomość, Piotrek wiedziałby o tym.

Zostawiłem górę rzeczy piętrzących się na dywanie i podszedłem do miniwieży. Wrzuciłem płytę Dżemu. Tym razem dom wypełniły akordy wygrywane przez Jurka Styczyńskiego, które normalnie uniosłyby mnie nad ziemię. Uwielbiałem Pawia, jeden z najbardziej rozkołysanych numerów tej grupy.

Stałem tam jakiś czas z zamkniętymi oczami, ale kiedy Rysiek śpiewał, że przegrał partię z losem, a życie toczyło się dalej, pomyślałem, że śpiewa o mnie, więc wyszedłem do kuchni. Zjadłem czerstwą bułkę z zeschniętym ziołowym serkiem topionym.

Kiedy przeżuwałem ostatni kęs, pod domem gwałtownie zaparkował samochód. Zbladłem, ale kiedy kierowca wysiadł z wozu, trzasnął drzwiami i gwałtownie skierował się do furki, krew zaczęła krążyć normalnie.

Ściszyłem muzykę, a potem wpuściłem gościa do środka.

Nie spojrział na mnie, tylko bez słowa skierował się do salonu. Zatrzymał się jak wryty na progu pokoju, rozejrzał, ale nie skomentował bałaganu. Minał stertę rzeczy rozrzuconych na dywanie i usiadł na sofie.

– O jaki film ci chodziło? – spytał Holtz.

Stanąłem w progu i wskazałem mu drzwi.

– No co?! – warknął.

Ponowiłem gest.

– Mam wyjść?

Pokiwałem głową.

– To po co mnie wpuściłeś?

– Albo ja zadaję pytania, albo się wynoś. – Wskazałem brodą na drzwi.

Zgodził się niechętnie. Wolno przekręciłem więc zamki, zrobiłem kawę i usiadłem naprzeciwko. Przeciągałem każdy ruch, pogłośniłem muzykę i zacząłem wystukiwać palcami rytm na udzie, udawałem, że śpiewam. Tak, wyglądałem jak czubek.

Westchnął. Złapał kubek i siorbnął głośno gorącą kawę. Widać, że walczył.

– No to pytaj, do cholery – warknął.

Okej, sam tego chciałem.

– Jak wam się układało? – rzuciłem.

– Komu?

– Słyszałeś.

Wzruszył ramionami.

– Jak to w małżeństwie. Miałeś żonę, to wiesz. – Złośliwość za złośliwość. Puściłem to mimo uszu.

– A ostatnio?

– Nie układało się. Wystarczy?

– Komu się nie układało, Holtz? Tobie czy jej?

– A co to za różnica? Czego ty chcesz, Marek? Mam się wyciągnąć na kanapie? Zrobisz mi sesyjke psychoterapeutyczną? – podniósł głos i rozłożył ramiona.

Trąciłem czułą strunę.

– Ho, ho. Już nie muszę, właśnie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Tak. Znowu się uśmiechnąłem.

Byłem pewien, że to on próbował skoku w bok. Ale po jaką cholere miałby wówczas zakładać kamerę? Zapytałem go o to.

– Chyba zgłupiałeś! Jaką kamerę? Po co?

– Weronika twierdziła, że policja znalazła w waszym domu sprzęt nagrywający. Wydawała się tym zaskoczona. A później, jak się okazało, dotarła do zarejestrowanego filmu, na którym widać ciebie z Miedzińską...

– Bzdura!

– ...ale nie w sypialni. – Znowu się uśmiechnąłem. Jak tak dalej pójdzie, to ten grymas zostanie mi na zawsze. – Rozmawialiście z dwiema innymi osobami.

Podrzuciłem jeszcze kilka innych szczegółów, tak by wiedział, że nie blefuję. W końcu dotarłem do sedna.

– Kto tam był?

– Nika – powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

Czyżby? – zastanawiałem się w duchu. To jej głowę widziałem w dole ekranu? Starłem się odtworzyć obraz w pamięci. Całkiem możliwe. Krótko ostrzyżone włosy pasowały do niej.

– Kto jeszcze?

– Butrych.

– O czym rozmawialiście?

– O działce.

– A co robiła tam Miedzińska? – Podrapałem się po zaroście.

– To była jej działka.

Nawet jeśli to prawda, czemu miało służyć to nagranie, skoro najważniejszego aktora – Butrycha – nie było na filmie widać? Kto komu chciał tu zagrać na nosie? Kto kogo chciał szantażować?

– Jaka działka? Gdzie?

– Teren pod budowę drugiej „Zielonej Opoki”. W Toruniu, gdzieś na Stawkach.

– I Butrych chciał ją kupić.

– Pewnie nie sam. Znając go, załatwił coś dla grubszej ryby.

– Dla kogo?

Holtz zaśmiał się głośno.

– I ty jesteś tym słynnym, zajebistym dziennikarzem. – Odrzucił głowę do tyłu i poklepał się po udach, jakbym opowiedział mu kawał roku. – Naprawdę nie wiesz?

Tym razem to ja musiałem ochłonać.

– Kto? – wycedziłem przez zęby.

– Domyśl się!

– A co robiła tam Nika?

Uśmiech mu zgasł. Przeczuwałem, że wymyśli coś na poczekaniu.

– Powiedziałem jej o tym. Wiedziała o wszystkim.

– I postanowiła to nagrać? – nie dowierzałem.

A może to też miało sens. Może to Nika zainstalowała kamerkę. To by tłumaczyło, dlaczego nie było jej widać. Pewnie wcześniej sprawdziła zasięg kadru i wybrała dla siebie bezpieczne miejsce, poza okiem kamery. A może jednak to ona sprawdzała jego wierność? Może przeczuwała, że miał skoki w bok?

– Widocznie tak – odparł.

– Nie gra mi to. W jakim celu? Co by zyskała?

– Nie wiem, nie mówiła mi o kamerze, może po prostu chciała mieć gościa na widelcu, gdyby okazało się, że transakcja będzie trefna. Weronika zawsze była ostrożna. Lubiła grać znaczonymi kartami.

– Może – odezwałem się bez przekonania i postanowiłem zmienić temat. – Co teraz? Gdzie jest Nika?

Holtz wzruszył ramionami, a potem wyciągnął z kieszeni telefon.

– Kiedy zadzwoniłem do Butrycha, o mało się nie udławił. Powiedziałem mu o kurierze, który próbował nas wyrolować. Nie wiem, czy mi uwierzył, zresztą mam to w dupie.

– I?

– Dałem mu czas na uwolnienie Weroniki. Dwie godziny.

– Jak zareagował?

– Śmiechem.

– Zaproponowałeś mu zwrot teczki i pieniędzy?

– Powiedziałem, że dam je tobie, a ty wywołasz medialną burzę, jeśli nie wypuści Niki.

Schowałem twarz w dłoniach, a potem przetarłem oczy. Przynajmniej mogłem być pewien, że na razie Butrych zostawi mnie w spokoju.

– I co było dalej?

– Przerwał połączenie.

– Kłamiesz – stwierdziłem.

– Naprawdę przerwał.

– Nie, Holtz. Kłamiesz w sprawie zawartości teczki – powiedziałem, bo coś do mnie dotarło.

Sprzedaj prywatnej działki, nawet jeśli wartościowej, nie wywoła żadnego skandalu.

Holtz poruszył się nieznacznie, opuścił wzrok. Mowa ciała.

– Jeśli coś mi się stanie, to sam się przekonasz – jego głos brzmiał pewnie, ale gesty mówiły co innego.

Pokiwałem głową. Dalsze próby ciągnięcia go za język niczego nie dały. W głośnikach zaczęła się Mała aleja róż. Rysiek śpiewał, że ma już dość. Ja też miałem dość Holtza.

Kiedy tak milczeliśmy, przyszło mi do głowy jeszcze jedno pytanie. Wpatrywałem się w siedzącego przede mną byłego przyjaciela i czekałem, aż nasze spojrzenia się skrzyżują. W jego oczach dostrzegłem pustkę. Rezygnację. To były inne oczy niż te, które zapamiętałem wtedy, gdy dziesięć lat temu minęliśmy go z Niką na klatce schodowej. Wówczas ciskały gromy.

– Pamiętasz ten dzień? – Popatrzył na mnie i zrozumiał. Lekko skinął głową, w jego oczach pojawił się żal. – Co się wtedy wydarzyło?

Zanim odpowiedział, cisza kazała przygotować mi się na najgorsze. Każdą złą wiadomość poprzedza milczenie. Spodziewałem się tego, więc natychmiast pożałowałem, że zadałem to pytanie.

– Nigdy nie chciałeś tego wiedzieć – odezwał się spokojnym głosem.

Puls mi przyspieszył. Musiałem się opanować, w przeciwnym razie znowu rzucimy się sobie do gardeł i z rozmowy nic nie wyniknie. Wziąłem dwa głębokie wdechy. Wypiłem łyk kawy.

– W tej sprawie ty i Paulina milczycie jak grób. – Stuknąłem palcem w blat ławy.

– A próbowałeś w ogóle z nią o tym rozmawiać?

– Niezliczoną ilość razy – odparłem.

Przecież to oczywiste, że próbowałem, błagałem nawet, ale milczała. Latami unikała tych pytań jak ognia. W końcu nie wytrzymała. Próbowała popełnić samobójstwo. Od tego czasu nigdy, w żadnej rozmowie, nie wróciłem do tego, co wydarzyło się tamtego dnia w naszym mieszkaniu. A później, kiedy doszła do siebie, Paulina spakowała się i poleciała do Londynu.

– Może za bardzo chciałeś? – spytał Holtz.

– A może wreszcie mi to powiesz, co?

Holtz pokręcił głową.

– Porozmawiaj z siostrą, Marek. Wtedy się wszystkiego dowiesz.

Uderzyłem pięścią w stół. Pilot podskoczył i z łoskotem spadł na dywan. Wypadły z niego baterie.

Otworzyłem usta do krzyku. Chciałem dać upust wieloletniej, drzemiącej we mnie frustracji, ale nie zdążyłem. W tej samej chwili komórka Holtza ożyła. Odebrał połączenie i słuchał.

– No – powiedział i zaraz zamilkł. Minęła chwila, nim się odezwał. – Dobra.

Chciałem o coś spytać, ale powstrzymał mnie, podnosząc palec wskazujący.

– Dobra – przytaknął. – Dobra, będę sam.

Ostatnie zdanie chyba już nie dotarło do rozmówcy. Holtz wpatrywał się w telefon.

– Rozłączył się skurwiel – stwierdził wpatrzony w aparat.

– Co powiedział?

– Że ma dla nas niespodziankę.

– Dla nas?

Nie zareagował, więc szturchnąłem go. Wtedy podniósł wzrok, a ja zacząłem się bać.

– Dla ciebie.

Zrobiło mi się duszno. Czarne plamki wirowały mi przed oczami. Nagle wszystko wróciło ze zdwojoną mocą. Graviora manent.

– Powiedział coś więcej? – Nie mogłem usiedzieć w miejscu.

Zaprzeczył. Poszedłem do przedpokoju i narzuciłem kurtkę.

– Jedziemy! – krzyknąłem, a potem wyszedłem na zewnątrz.

Odwróciłem się. Holtz zatrzymał się w drzwiach.

– No chodź, nie mamy czasu! – syknąłem, kuląc się od chłodnego wiatru.

Nie odpowiedział. Dopiero po chwili zrozumiałem dlaczego.

– Wróc – rozkazał.

W jego dłoni dostrzegłem czarny, matowy przedmiot. Ten sam, który widziałem w domu Butrycha. Nie dowierzałem, że tym razem Holtz celuje we mnie.

Rozejrzałem się bezradnie. Nie miałem pojęcia, co robić.

– Wracaj! I żadnych numerów. – Holtz nie ustępował. Kiwnął na mnie bronią. – Słyszałeś. Mam być sam.

– Razem będzie nam łatwiej – próbowałem desperacko przemówić mu do rozumu. – Muszę pojechać razem z tobą.

– Wejdz i zamknij drzwi.

Zrobiłem to. Znowu usiedliśmy przy ławie. Wysłuchałem go. Nie zdradził, o jakiej niespodziance mówił Butrych, twierdził, że sam wkrótce się przekonam. Jak przez mgłę, pamiętam nasze ustalenia, uścisk dłoni, trzask drzwiczek samochodowych i pisk opon.

I ciszę, która później długo świdrowała mi w uszach.

W Różach i Zen było tak słodko, że postanowiłem wypić herbatę bez cukru.

Kiedy Holtz odjechał, ponownie zadzwoniłem na policję w sprawie wypadku Raka. Tym razem odebrał znajomy i obiecał odezwać się, jeśli pozna więcej szczegółów. Oddzwonił po niemal godzinie. Powiedział, że karetka zabrała rannego kierowcę z wypadku. Tak, żyje, a co? Myślałeś, że trup? Żyje, ale jest w stanie krytycznym, trafił do szpitala miejskiego.

Odetchnąłem, bo uwierzyłem, że jeszcze wszystko może się dobrze skończyć. Musiałem w to wierzyć, w przeciwnym razie miałbym go na sumieniu.

Pociągnąłem łyk i wtedy zobaczyłem, jak Artur Warecki wchodzi do lokalu. Wyglądał jak piłka, i to mocno owłosiona. Kiedy toczył się w moją stronę, ciemna czupryna, z której gęste kręcone włosy sterczały jak sprężyny, podskakiwała rytmicznie. Czarne głany dudniły o podłogę. Miałem wrażenie, że trzęsą się żyrandole. Podniosłem rękę żeby mnie zauważył. Przywitaliśmy się. Usiadł, a potem przejechał ręką po długiej brodzie, którą zdobił warkoczyk związany u dołu grubą czerwoną nitką. Spod zarostu na policzki wypełzały blizny po pryszczach. Kula, bo tak wszyscy go nazywali, poprawił okulary, przesuwając palcem wskazującym po grzbiecie nosa, potem wyjął komórkę z kieszeni bojówek i położył na stole.

– Mówisz – rzucił bez zbędnego wstępu.

Młoda blondyna w obcisłej mini i z włosami sięgającymi do wąskiej talii zostawiła menu, podpałiła świeczkę stojącą na środku stołu. Powiedziała, że mamy mało czasu, bo ze względu na rezerwację zaraz zamykają. Kiedy odchodziła, Kula podziwiał jej rozłożyste biodra. Dotknął językiem górnej wargi, po czym kiwnął brodą w kierunku kelnerki.

– Wrota raju, co? – zapytał raczej siebie niż mnie.

Zaczynałem rozumieć, dlaczego tak nalegał na to, byśmy spotkali się w tym miejscu.

– Kula, chodzi o to, że...

– Wiem, znam. Dzięki tobie to moje życiowe motto. – Jego ciało zatrzęsło się od śmiechu jak dobrze stężala galareta, warkoczyk podskakiwał. – Wszystkich dup nie przelecisz, ale próbować warto. – Zakrył usta dłonią, a potem zakrztusił się.

W tej romantycznej herbaciarni, gdzie stół przykrywały ręcznie robione serwetki, a stare odrestaurowane meble przenosiły w przeszłość, przy świetle świeczki wyglądaliśmy jak geje. Dmuchałem więc w płomień.

– No i chuj randkę strzelił. – Kula znowu zachichotał.

Był reporterem „Wyborczej”. Zanim się spotkaliśmy, zadzwoniłem do niego i zapytałem, co wie na temat działki, o której opowiadał Holtz. I tak nie miałem na razie niczego innego do roboty. O interesach i miejskich nieruchomościach ten dziennikarz wiedział wszystko, był ekspertem. Do dziś nie mogłem zrozumieć, dlaczego taki bystry facet, prawnik, zrezygnował z założenia kancelarii, żeby pisać teksty do gazety.

Kelnerka znowu stanęła przy nas, zapytała Kulę, co podać, a potem zerknęła na mnie. Byłem pewien, że znałem ją.

– Zrób jakąś dobrą herbatkę, cudeńko. – Kula podał jej swoją wizytówkę. – A tu możesz zapisać mi numer swojej komóreczki.

Kobieta schowała ją do kieszonki bluzki, uśmiechnęła się zawodowo i odeszła, a on ponownie przykleił wzrok do jej tyłka.

Ostrzegłem go, że wyczerpał limit czasu na tani podryw, i poprosiłem, żeby się, kurwa, skupił. Powiedziałem mu, co mnie interesuje w sprawie terenu, który opisywał w „Wyborczej”.

– Początkowo myślałem, że coś jest na rzeczy. – Kula zaczął bawić się warkoczykiem. – Ale

niczego się nie dopatrzyłem.

– Czyja to działka? Butrycha?

– Nie, no co ty. Cały czas jest w rękach miasta. Pamiętam, że kiedyś Rudnik coś wokół niej kombinował, kiedy prezydentem był Chojnicki.

Zaskoczył mnie.

– Rudnik? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak, ale wtedy ułożył się jakoś z Chojnickim, media milczały, sprawa się rozeszła.

– A były jakieś wałki?

– Dopiero zaczynałem robotę i nie bardzo pamiętam. Musiałbym pogrzebać w papierach.

Ciekawe. Nie znałem tego wątku, ale na razie historia mnie nie interesowała. Sam w tym czasie zaczynałem robotę. Dokładnie od pamiętnego sylwestra z 2002 roku, kiedy to Rudnik zatrudnił mnie w nowo utworzonej gazecie. Ale teraz nie liczyła się historia. Poprosiłem Kulę, aby dowiedział się czegoś więcej o sprzedaży tej działki.

– Dobra, powęszę tu i ówdzie, ale mam wrażenie, że zbukiem to nie zalatuje. Skoro nawet opozycja podniosła ręce za sprzedażą ziemi...

– I jeszcze jedno.

– Mówisz.

– Chodzi o fundację Miedzińskiej.

– Ma kłopoty.

– Skąd wiesz?

– Żadna tajemnica. Miasto ucięło jej kilka dotacji. Połapali się urzędaszy, że zamiast łączyć z nią do sądu, łatwiej będzie uwalac jej projekty. Brak projektów to brak kasy, proste. A jak wiesz, tylko z tego się utrzymywała.

Fakt.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę. Podziękowałem mu, a po chwili podeszła do nas kelnerka, przypominając o rezerwacji lokalu. Skasowała za nasze zamówienie i odeszła. Kula ruszył za nią. Sięgnąłem po telefon i patrzyłem, jak ją bajeruje przy ladzie.

Wybrałem numer do Piotrka, chłopaka Miedzińskiej. Chciałem mieć pewność, że ta działka to zły trop.

– Naprawdę, nie miała żadnego terenu na sprzedaż – stwierdził. – A czemu tak drążysz? Mówiłeś, że nie będziesz pisał na temat śmierci Agnieszki.

– Nie zamierzam. – Kłamstwa z dnia na dzień przychodziły mi coraz łatwiej. – Ale muszę coś wyjaśnić.

– Chodzi o tego Holtza?

Przytaknąłem, ale nie zagłębiałem się. Podpytałem go jeszcze o inne osoby.

Kiedy uzyskałem odpowiedzi, rozjaśniło mi się w głowie.

Z samochodu zadzwoniłem do Chojnickiego. Wyczułem, że nie chce, żebym go odwiedził. W ogóle chyba nie miał ochoty na spotkanie. Powiedziałem mu jednak, że ta rozmowa nie może czekać. Zaparkowałem w pobliżu KFC na Rubinkowie. Uderzył mnie mdławy zapach oleju i smażonego kurczaka. Zająłem stolik, z którego mogłem obserwować sine chmury i wielką przestrzeń placu cyrkowego, nazwanego tak na cześć rozbijanych tam namiotów cyrkowych. Znajdował się w pobliżu lasu po drugiej stronie ruchliwej, szerokiej wylotówki na Warszawę. W stronę centrum, oddalonego stąd o kilka kilometrów, toczył się stary czerwony tramwaj. Zatrzymał się na pustym przystanku. Nikt nie wysiadł. Skład ruszył dalej.

Znowu zadzwoniłem do dyżurnego policji. Stan Raka wciąż był krytyczny. Trzeba czekać, usłyszałem. Czekać i być dobrej myśli. To się tylko tak mówi.

Powinienem teraz siedzieć w redakcji i składać poniedziałkowe wydanie „Miejskiej”, ale głowę wciąż zaprzętała mi niespodzianka, którą miał dla mnie Butrych.

– Zamawiasz coś? – Chojnicki usiadł naprzeciwko mnie. Przez telefon twierdził, że się spóźni, ale szybko mu poszło.

– Nie jestem głodny. A ty?

– Kawa będzie w sam raz.

– Czarna? – upewniłem się.

– Jak smoła.

Po chwili wróciłem, niosąc na tacy dwa parujące kubki.

– Co cię sprowadza, Marek? Coś nie tak po spotkaniu z Rudnikiem? Myślałem, że wszystko już omówiliśmy. – Chojnicki podziękował za cukier. Otoczył dłońmi gorący papierowy kubek.

– Wszystko okej. Chodzi mi o kogoś innego. – Zamieszałem kawę.

– O kogo?

– O Miedzińską.

Zmarszczył czoło, brwi zbiegły się ze sobą, tworząc jedną linię. Począł, aż młody facet z brunetką przejdą dalej. Kiedy usiedli dwa stoliki za nami, powiedział: – Słyszałem. To straszne. Wiadomo już, czy to było samobójstwo?

– Znałeś ją? – Zignorowałem pytanie, bo byłem ciekaw, czy przyzna się do tego. Proste pytania są najlepsze.

– To zależy, co masz na myśli. Trudno było jej nie znać. Wszędzie jej było pełno – wykręcał się od odpowiedzi. – Sam wiesz, bo często gościła w mediach.

Chojnicki popatrzył gdzieś w bok, cały czas ogrzewając dłonie kubkiem.

– Podobała mi się – kontynuował po krótkiej przerwie. – Wiesz, taka zadziorna, zawsze dążyła do celu, a przy okazji nadeptywała na odcisk prezydentowi i jego świcie. Przyznam, że akurat w tym jej kibicowałem.

– Znałeś ją osobiście?

– A czemu pytasz? Do czego ci to potrzebne? – zaniepokoił się.

– Robię materiał na jutro. Policja mocno węszy w tej sprawie. Może już wiesz?

– O czym?

– Doszło do morderstwa. – Nie wiedziałem, czy tak rzeczywiście było, ale Jacka Jankowskiego nie podejrzewałem o kabaretowe ciągoty. – Prześwietła wszystkich jej znajomych.

– Nie byliśmy znajomymi – zaparł się.

– Pod lupę wezmą też działania fundacji. Nic się nie ukryje – brnąłem dalej. – Dlatego pytam. Znasz mnie, lubię sprawdzić wszystkie tropy, zanim usiądę do pisania.

– Wiesz, kiedyś... ale to chyba nie ma znaczenia. – Machnął lekceważąco ręką. – Po prostu zwyczajnie jej pomogłem. Nie ma o czym mówić.

Milcz, Bener. Cisza zachęci go do mówienia. Będzie go uwierała, aż w końcu sam pociągnie temat. Ta stara sztuczka zawsze się sprawdzała, dlatego spokojnie podniosłem kubek kawy do ust. Popijałem ją niewielkimi łykami.

– Przyszła do mnie z propozycją utworzenia fundacji – odezwał się wreszcie. – Sam działałem w kilku stowarzyszeniach i nie miałem ochoty na kolejną taką zabawę. Ale okazało się, że znam kogoś z jej rodziny. Resztę możesz sobie dopowiedzieć.

– Finansowałeś ją?

Skrzywił się.

– Za duże słowo. Widziałem w niej kogoś, kto rzeczywiście nadaje się do fundacyjnej dłubaniny, ciulania grosza, pisania projektów. Była odrobinę rąbnięta. – Zrobił kilka kółek koło skroni. – Tylko dlatego postanowiłem jej pomóc. Po prostu dałem jakieś drobniaki na rozkręcenie organizacji. I krzyż na drogę, mogła robić, co chciała. Ostatnio miała jakieś problemy finansowe i też do mnie uderzyła po kasę, ale odmówiłem.

– Drobniaki? – Przypomniałem sobie kwotę zapisaną w statucie fundacji, która starczyłaby na miesięczne wakacje all inclusive gdzieś na krańcu świata.

Chojnicki ziewnął i potarł policzek. W końcu nachylił się w moją stronę.

– Do czego zmierzasz, Marek?

– Do prawdy. Bo na razie karmisz mnie kłamstewkami – powiedziałem to najspokojniej, jak tylko umiałem.

Chojnicki uśmiechnął się nerwowo.

– Skoro tyle wiesz, to czemu chciałeś się ze mną spotkać?

– Żeby się przekonać.

– O czym?
– Że ze mną też nie byłeś szczerzy.
– Co ty pieprzysz? – zachnął się. – Wszystko z Rudnikiem ustaliłem. Wybawiłem cię od wizyt w pośredniaku i tak mi się odwdzięczasz?
– Nie mówię o pracy.
– To o czym?
– O fundacji.
Chojnicki odsunął kubek, splótł dłonie i oparł je na stole.
– Możesz jaśniej? – wycedził.
– Pół roku po założeniu fundacji odwiedziłeś Miedzińską w jej mieszkaniu.
– Słucham?!
– Byłeś tam. – Musiałem zaryzykować. Informacje, ale pobieżne i niepotwierdzone, miałem od Piotrka, chłopaka Agnieszki. Kojarzył piąte przez dziesiąte, ale kiedy rozmawialiśmy, wszystko zaczęło układać mi się w całość. – Chciałeś wpłynąć na działania fundacji. Nie spodobało ci się to, na co Miedzińska przeznaczyła otrzymane pieniądze.
– Bzdury! – Machnął ręką.
Nie wiem, czy mi się zdawało, ale Chojnicki pobladł. Trafiłem!
– Miała dbać o demokrację obywatelską, a zabrała się za jakieś gabinety porad dla kobiet dotkniętych przemocą domową. I jeszcze dostała na to dofinansowanie z miasta!
Kilka osób pochylonych nad kurczakami spojrzało w naszą stronę.
Chojnicki kręcił głową.
– Ale to nie koniec twoich kłamstw. To nie Miedzińska przyszła do ciebie z propozycją założenia fundacji. – Za tę informację Piotrek ręczył głową.
Chojnicki odchylił się, skrzyżował ręce i patrzył na mnie bykiem.
– To ty przyszedłeś do niej z odliczoną gotówką, ale Miedzińska wywaliła cię za drzwi. Długo trwało, zanim wpadła na pomysł, jak bezpiecznie przyjąć pieniądze. Założyła fundację i w ten sposób gładko wyprowadziła cię w pole. Zamiast pieniędzy ze skarpety musiałeś wyłożyć czystą gotówkę, do której nie przyczepiłaby się skarbowka. Tylko że w ten sposób zostawiłeś po sobie ślad w statucie organizacji.
Chojnicki milczał.
– Skrzywdziłeś ją. – Mój palec kreślił okręgi po brzegu kubka. – Chodzą mi po głowie brzydkie rzeczy.
Chojnicki nachylił się w moją stronę.
– Nic nie jest takie, jak ci się wydaje – szepnął. – Spójrz na to z innej strony.
– Taaa, jasne.
– O niczym nie masz pojęcia, Marek – prychnął. – Wydaje ci się, że wiesz. Lepiej, żebyś akurat w tym gównie nie grzebał.
Pokiwałem głową, gdzieś już to słyszałem.
Przytłumione bluesowe riffy rozbrzmiały w kieszeni mojej kurtki.
– Poczekaj – poprosiłem Chojnickiego i odebrałem połączenie.
Chciałem zagadać go jeszcze o działkę dla Butrycha, ale nie zdążyłem. Z ruchu warg odczytałem jego słowa: „z drugiej strony”. Wykonał przy tym ruch palcami jak piłkarz, który potrzebuje zmiany. Potem odwrócił się i wyszedł z restauracji. Odprowadziłem go wzrokiem do samochodu, a potem obserwowałem, jak wyjeżdżał z parkingu.
– Jesteś tam, do cholery?! – usłyszałem Holtza i serce podeszło mi do gardła.
– Jestem.
– To ruszaj się! Zaczynamy.
Dopiłem kawę, kubek wyrzuciłem do śmieci. Na miękkich nogach dotarłem do auta i uruchomiłem silnik.

Holtz był już na miejscu, machał ręką, wskazując zarośla. Gdy parkowałem, gałęzie zgrzytały o blachę.

– Szybko! – rzucił, kiedy tylko otworzyłem drzwi.

Szedł skrajem lasu w kierunku wiejskich zabudowań. Podbiegłem do niego. Brudny, ciemnoszary domek z niskim kopertowym dachem krytym papą. Za nim, na tyłach ogrodzonej działki, majaczyła drewniana stodoła. Brama była otwarta, a kręcące się po obejściu kury dziobały w ziemi.

– To tam? – spytałem, a on potwierdził. – Skąd wiesz?

– To dom kuriera, który spłonął w mojej chałupie. Sprawdziłem: mieszkał sam, synowie w Irlandii, żona żegna się z życiem w hospicjum. Chciał wszystkich wydymać, więc chuj mu w dupę.

– Holtz splunął w bok. – Teraz to najlepsze miejsce na kryjówkę. Żałuję, że wcześniej na to nie wpadłem. Ludzie Butrycha byli tu dziś już trzy razy. Ostatni wyjechał jakieś dwadzieścia minut temu.

– Myślisz, że Nika tu jest?

– Jeśli jej tu nie ma, to po cholere by się tu kręcili? Otwierają nowe biuro na zadupiu?

– Ale przecież nie zostawiliby jej samej – powątpiewałem.

– Będziemy ostrożni.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Na końcu lasu skręciliśmy w prawo, w stronę domu. Wokół żywej duszy. Ptaki krzyczały w oddali. Holtz się nie skradał, szedł, jakby wracał do domu z zakupów. Nie rozglądał się, nie wahał. Przeszliśmy przez bramę.

Kury gdakały, okiennica poddawała się porywom wiatru i uderzała w ramę okna. Drzwi wejściowe znajdowały się od podwórza. Przywitał nas kundel na łańcuchu. Jedno oko miał wybite, kulał. Położył uszy po sobie i skradał się do nas, merdając tym, co zostało z jego ogona. Naprężył łańcuch i pisnął żałośnie.

Holtz przystanął i rozejrzał się. Zrobiłem to samo.

Podwórce pełne było starych zardzewiałych sprzętów rolniczych, których nawet nie umiałem nazwać. Bardziej przypominało skansen. Dom zresztą też. Elewacja była brudna i splekana. Wiatr podrywał na dachu fragmenty papy, rynny rdzewiały, a jedna z nich wisiała swobodnie.

Przyłożyłem twarz do okna i zrobiłem daszek z dłoni, żeby lepiej widzieć wewnątrz, ale oprócz bałaganu nie dostrzegłem tam nikogo.

Holtz szarpnął klamkę. Zamknięte. Cofnął się i kopnął drzwi na wysokości zamka. Wpadły do środka z łoskotem.

Wszedłem za nim.

W domu było ciemno. Po prawej znajdowała się kuchnia. Meble czasy świetności już dawno miały za sobą. Kilka much kręciło się przy talerzach z resztkami jedzenia. Dalej pokój i schody prowadzące na górę, po lewej znowu pokoje. Holtz zajrzał do jednego z nich. Wzruszył ramionami. Wskazał drzwi z dytki, te najbliższe mnie. Były uchylone. Pchnąłem je nogą. Zwykła sypialnia. Kilka szaf po jednej stronie, wersalka po drugiej. Odwróciłem się w stronę Holtza. Popatrzyliśmy na siebie.

Żadnego śladu Niki.

Dom nie miał piwnicy. Wskazałem na sufit. Trzeba było rozejrzeć się po piętrze. Holtz z kolei kiwnął brodą w kierunku stodoły i wyszedł na zewnątrz. Zacząłem wspinać się po skrzypiących schodach.

Na górze nacisnąłem włącznik światła, ale żarówka była chyba przepalona. Po obu stronach korytarza dostrzegłem drzwi. Te po lewej były zamknięte, klucza w zamku nie było. Otworzyłem drugie. Zobaczyłem mały, zagracony pokój, do którego nie dało się nawet wejść. Stare

meblościanki, kredensy, fotele, pełno wież z kartonów, wszystko to stało na środku. Pajęczyny zwieszały się z sufitu, kurz zalegał grubą warstwą. Jedyne światło padało przez zastawione meblami połaciowe okno.

Ponownie stanąłem przy zamkniętych drzwiach. Szarpałem za klamkę, ale nie chciały się otworzyć. Próbowałem uderzyć raz i drugi barkiem, ale to też nic nie dało. Naparłem mocniej. Tym razem drzwi razem z framugą zatrzęsły się i wtedy coś niedużego uderzyło mnie w ramię, a potem upadło dźwięcznie na podłogę. Schyliłem się i podniosłem klucz.

Wsunąłem go do zamka, ale dobiegł do mnie dziwny dźwięk z dołu. Jakiś rumor.

– Holtz? – zawołałem, ale nikt nie odpowiedział. – Jesteś tam?

Może się przesłyszałem.

Przekręciłem klucz i pchnąłem drzwi. Okna musiały być zasłonięte, bo do pokoju wpadało nikłe światło. Chciałem wejść do środka, ale ponownie usłyszałem dziwny hałas. A później bulgotanie. Jakby ktoś wylewał wodę z baniaka. Nasłuchiwałem. Dźwięk wreszcie przycichł. Potem znowu coś chlusnęło. Raz, drugi, trzeci. Ze szczytu schodów słyszałem to wyraźnie.

Zszedłem na dół. Wyłamane drzwi wejściowe były mokre, a zimne powietrze niesło ze sobą słodki, mdły zapach.

Benzyna.

Włosy stanęły mi dęba. Języki ognia strzeliły nagle, zajmując całą framugę i leżące w przedpokoju drzwi. Odruchowo zasłoniłem się rękoma i cofnąłem w głąb domu. Między wysokimi płomieniami dostrzegłem uchylone drzwi szopy. Mignęła mi jakaś postać. Biegła wprost w tamtą stronę.

– Holtz! – wydarłem się. – Uważaj!

Zagłuszył mnie głośny syk ognia. Rzuciłem się do kuchni, ale płomienie szalały już na zewnętrznym parapecie. Zabrałem taboret i pobiegłem do pokoju. Tam też nie było lepiej, jednak wyraźniej widziałem człowieka w czarnym stroju i nasuniętym na głowę kapturze. Stał przy ścianie szopy, trzymając oburącz gruby kij. Kiedy w drzwiach pojawił się Holtz, mężczyzna zaatakował go od tyłu. Uderzył na wysokości kolan. Holtz padł jak długi. Napastnik doskoczył do niego.

Zamachnąłem się taboretami, ale zmieniłem zdanie. Na bocznej ścianie pożar dopiero raczkował, łatwiej będzie wydostać się tamtym oknem. Rzuciłem z całej siły. Huknęło, szyba pękła. Próbowałem przyduśić płomienie kocem zabranym z sofy, ale tylko sparzyłem sobie rękę. Wróciłem na środek pokoju, wziąłem rozbieg i odbiłem się. Przeleciałem przez płonący otwór z uczuciem, jakbym wskoczył do rozgrzanego pieca. Upadłem na ziemię. Wstałem i ruszyłem w stronę narożnika domu. Rozglądałem się za Holtzem i tym drugim, ale żadnego z nich nie dostrzegłem. Nagle brama drewnianej rozsyłała się w drzazgi. Z szopy wystrzeliła terenówka. Przecięła podwórko i wypadła przez bramę na szutrową drogę.

Zostałem sam.

Opuściły mnie wszystkie siły. Zanim dobiegłbym do mojego forda, oni objechaliby kulę ziemską.

Zrezygnowany wodziłem wzrokiem po obejściu. Ogień huczał, od płonącego domu bił nieznośny żar. Bezwiednie spojrzałem w niebo, a potem na dach płonącego domu. I na okna połaciowe. Wtedy to do mnie dotarło.

Nika!

Wybiegłem z szopy z naręczem grubego sznura, który zrzuciłem przed domem, i wróciłem po aluminiową drabinę. Oparłem ją o dach, chwyciłem sznur i zacząłem się wspinać. Przeskakiwałem po szczeblach, między którymi tańczył ogień. Aluminium nagrzewało się jak patelnia. Kiedy stanąłem na dachu, wciągnąłem drabinę i położyłem nad oknem.

Ogień jeszcze nie dotarł na piętro. Uderzyłem butem w szybę. Po kilku próbach pękła, z pokoju uwolnił się czarny dym. Chwilę potem przeciąg sprawił, że ogień z parteru wystrzelił w górę. W niebo poszły iskry. Odrzuciło mnie w bok. O mało nie straciłem równowagi.

Smród spalenizny gryzł gardło. Zakryłem usta i nos kurtką, a potem wstawiłem drabinę przez okno i zszedłem po niej do pokoju. Huk ognia był nie do zniesienia. Porwałem jakąś szmatę z podłogi i rzuciłem się z nią do drzwi, z których buchały gęste kłęby dymu. Zatrzasnąłem je i

zatkąłem dolną szparę. Pot lał się ze mnie strumieniami.

Pokój był kompletnie zadymiony i chyba pusty. Jedyne, do którego nie zdążyłem zajrzeć. Ruszyłem na czworakach do przeciwnego rogu. Podłoga była gorąca, a stare deski wypaczyły się gdzieś od wysokiej temperatury. Musiałem przewyciężyć strach i ból rąk. Dopiero teraz dostrzegłem łóżko.

Leżała na nim na brzuchu z twarzą odwróconą w drugą stronę. Dotknąłem wątlego ramienia. Nic, zero reakcji. Potrząsałem mocniej. Bez skutku. Złapałem za wiotką dłoń. Usłyszałem ciche westchnięcie.

Walczyłem z napadem kaszlu, ale ulga i radość z tego, że Nika żyła, dodały mi sił.

Przewróciłem ją na plecy i wtedy doznałem szoku. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem, miałem ochotę zawyć. Butrych, ten skurwiel, nie miał żadnych skrupułów.

Na dole coś huknęło. Gwałtownie odwróciłem się w stronę drzwi, które zaczął trawić ogień. Nasz czas dobiegał końca. Raz jeszcze spojrzałem na jej twarz. Twarz, którą znałem od dziecka.

Na łóżku leżała Paulina.

Moja siostra.

Działałem mechanicznie.

Mogliśmy uciec wyłącznie przez okno połaciowe. Owinąłem Paulinę kocem i dźwignąłem do pozycji siedzącej. Jęknęła, albo tak mi się tylko wydawało. Przewiązałem ją sznurem pod pachami i zrobiłem pętlę. Potem ustawiłem drabinę pod łagodniejszym kątem, dźwignąłem siostrę i wyniosłem na dach. Wreszcie mogłem spokojnie zaczerpnąć tlenu, dopiero potem przewiązałem drugi koniec liny do niskiego komina. Paulina przynajmniej przez chwilę była bezpieczna. Dach zresztą nie był stromy, ale nie mogłem zostawić jej bez zabezpieczenia. Teraz musiałem coś wymyślić, bo o zejściu na ziemię po drabinie nie mogło być mowy.

Rozejrzałem się. Obok domu stał niski, murowany budynek, coś jakby warsztat. Jedyna szansa. Drabina była wystarczająco długa. Z wysiłkiem uniosłem ją tak, by jeden koniec opierał się o dach domu, a drugi spoczął niżej, na dachu warsztatu. Wróciłem po Paulinę, rozwiązałem sznur i podniosłem ją, ale z trudem utrzymałem równowagę. Potem postawiłem stopę na pierwszym szczeblu. Ogień sięgał moich butów i parzył mnie w łydki. Cofnąłem się.

Wciąż trzymałem Paulinę na rękach. Zasłaniała mi cały widok. Nie mogłem dostrzec nawet szczebli. Schodzenie po drabinie zawieszzonej trzy metry nad ziemią na oślep było jednak naszym jedynym ratunkiem. Ale i największą głupotą.

Zrobiłem krok i przystanąłem.

Nie dam rady.

Paulina była szczupła i niska, ale sił mogło mi wystarczyć zaledwie na krótką chwilę. Musiałem iść szybko i pewnie. Najmniejszy błąd czy potknięcie mogły zaważyć na naszym życiu.

Nabrałem powietrza w płuca i starałem się nie patrzeć w dół. Skupiłem się na murowanym budynku, który sterczał pode mną. Ruszyłem. Warsztat zbliżał się powoli. Krok za krokiem zmierzałem do celu. Drabina ugięła się pod naszym ciężarem, ale nie zatrzymałem się. Wreszcie wpadliśmy na dach.

Byliśmy uratowani.

Ułożyłem Paulinę na podłożu i trzęsącymi się rękoma zsunąłem gorącą drabinę z dachu warsztatu. Teraz wystarczyło tylko zejść na ziemię, biec po samochód i wrócić tu natychmiast po siostrę.

Wybiegłem na gruntową drogę i stanąłem jak wryty.

Dwieście metrów dalej, w rowie, zobaczyłem samochód, który niedawno wypadł z szopy. Podbiegłem, z trudem łapiąc powietrze. Przednie drzwi były otwarte. Na kierownicy opierało się ciało mężczyzny, który podpalił dom. Miał zakrwawioną głowę, a pod nogami spluwę. Z tyłu leżał Holtz. Rękami we krwi uciskał brzuch. Chyba chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobywały się tylko krwawe bańki. W jego oczach widziałem przerażenie.

Obok, na siedzeniu, leżał jego pistolet.

Drżącą rękę wyciągnął w moim kierunku.

Podał mi mały kluczyk z brelokiem, mokry od krwi. Czerwona maź pokrywała nazwę jednej

z toruńskich galerii.

– Paulina... prosiła... o pomoc... – zdołał wyszeptać, a potem zamknął oczy.

5

Z nieprzytomną Pauliną w ramionach podszedłem do furtki. Nie zamierzałem trzymać się konwenansów. Kopnąłem na wysokości zamka. Puścił bez trudu. Dobiegłem do drzwi domu i uderzyłem w nie czubkiem buta. Raz, a potem drugi.

– Kto tam? – usłyszałem wystraszony męski głos.

Odetchnąłem z ulgą.

– Doktorze, niech pan otworzy! – Zwracając się do niego w ten sposób, zwiększałem swoje szanse. – Pomocy!

Szczęknięły zamki. W drzwiach stanął ten sam facet, który dwa dni temu opatrywał mi łuk brwiowy.

– Co się stało? – Odsunął się i wpuścił nas do środka.

Stałem w holu i rozejrzałem się.

– Dokąd? – spytałem.

– Do salonu. – Wskazał ręką.

Chciałem położyć Paulinę na sofie, ale dentysta wskazał mi miejsce przed telewizorem.

Ułożyłem siostrę na dywanie między ławą i brązowym skórzanym kompletem wypoczynkowym a ścianą, na której wisiał płaski telewizor. Wstałem i spojrzałem na dentystę błagalnym wzrokiem. Klęknął przy Paulinie. Przyłożył palce do szyi i odczekał wieczność. Potem sprawdził oddech. Obejrzał głowę, otworzył jej usta, dotykał kończyn, cały czas obserwując twarz.

– Henryk? – usłyszeliśmy kobiecy głos.

W progu salonu zobaczyłem Beatę, przewiązującą pasek białego szlafroka.

Weszła do środka. Dojrzała moją nieprzytomną siostrę.

– Matko Boska! – jęknęła na widok Pauliny. Zamurowało ją. Dopiero gdy usłyszała kroki na schodach, cofnęła się do holu.

– Co się stało, mamusiu? – Cienki głosik dziewczynki przerwał ciszę.

– Zabierz stąd małą, niech tu nie wchodzi – rzucił twardo dentysta.

– Wracamy na górę, kochanie, tatuś jest zajęty.

Nie spuszczałem wzroku z lekarza.

– Żyje? – Wystraszyłem się własnego pytania.

Odpowiedziała mi cisza.

Mężczyzna wstał, podszedł do rzeźbionej drewnianej komody i sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Co pan robi?

– Dzwonię po karetkę. – Otarł pot z czoła.

Podszedłem do niego i złapałem go za dłoń, w której tkwił telefon.

– Niech ją pan ratuje – wycodziłem, starając się opanować buzującą w żyłach adrenalinę.

Nie chciałem, żeby Paulinę zabrano do szpitala, bo tam ją znajdą.

– A myśli pan, że co robię?! – zagotował się.

– Czy wszystko z nią okej?

Mężczyzna nie odłożył słuchawki.

– A niby skąd mam to wiedzieć?

– Jest pan lekarzem.

– Jestem dentystą, a tej kobiecie potrzeba specjalisty i fachowej szpitalnej aparatury!

– Co jej jest?!

– Nie mam zielonego pojęcia!

– Sprawdzał pan.

– Nie wiem. Tętno jest dobre, oddech może płytki, ale regularny. Nie dostrzegam złamań, głowa też wygląda na całą. Ale to nie są żarty. Jest nieprzytomna! Może nafaszerowano ją prochami, dopalaczami albo innym gównem. Skąd mam wiedzieć?!

– Dwadzieścia minut. – Puściłem jego rękę, a potem kucnąłem przy Paulinie. Twarz miała bladą, krótkie włosy zmierzwiłone. Przyłożyłem brudną rękę do jej policzka i zacząłem się modlić. Przejrzałem zawartość kieszeni w spodniach Pauliny. Nie znalazłem niczego, żadnych dokumentów. To dobrze, pomyślałem.

– Jakie dwadzieścia minut, do cholery? – zapytał dentysta po raz kolejny, ale dopiero teraz usłyszałem pytanie.

– Potrzebuję dwudziestu minut. – Trudno było mi uwierzyć w to, co mówiłem. Paulina wymagała natychmiastowej pomocy. Ale musiała też być bezpieczna. Przynajmniej do chwili, w której będę miał w garści Butrycha. Czyli dopiero gdy znajdę kasę i teczkę. Tylko wtedy Butrych odpuści sobie Paulinę i skupi się na mnie.

– Pan zwariował! – Dentysta wystukał numer na klawiaturze słuchawki i przyłożył ją do ucha.

– To moja siostra. Jest w niebezpieczeństwie, dlatego nie pojechałem do szpitala. Znajdą ją i zabiją.

Mężczyzna zacisnął szczękę.

– Proszę tylko o dwadzieścia minut. Jeśli ją odnajdą, umrze, rozumie pan?

Dentysta spojrzał na Paulinę.

– Błagam! – powiedziałem, a jednocześnie miałem nadzieję, że mnie nie posłucha, że natychmiast wezwie karetkę. – Błagam – powtórzyłem, czując, że ogarnia mnie rezygnacja. Za chwilę będzie mi wszystko jedno. Poczulem łyżę na policzkach.

Dentysta stał ze słuchawką przy uchu, ale wciąż bacznie mi się przyglądał. Paulina leżała jak martwa na podłodze. W kuchni radio grało stare przeboje, a z pierwszego piętra dobiegał śmiech dziewczynki. Gdzieś w chmurach samolot przekraczał barierę dźwięku.

– Przepraszam. Pomyłka – powiedział dentysta do słuchawki, po czym przerwał połączenie i zwrócił się do mnie: – Dwadzieścia minut i ani sekundy dłużej.

Byłem na siebie wściekły. Otarłem łyżę rękawem kurtki i skierowałem się do wyjścia. W progu salonu odwróciłem się.

– Dziękuję.

– Niech już pan idzie!

Potaknąłem. Ruszyłem w stronę drzwi wejściowych.

– Chwileczkę! – usłyszałem. – Jak ona się nazywa?

Mężczyzna stanął w holu.

– Rozenberg – odpowiedziałem bez namysłu. To nazwisko siedziało mi w głowie, od kiedy przeczytałem zbiór opowiadań kryminalnych. Jej było najlepsze. Jeszcze chwila i będzie o niej głośno.

Popatrzył na mnie, jakby wyczuwał kłamstwo.

– Anna Rozenberg. Zapamięta pan?

Kiwnął głową, ale nie wydawał się przekonany.

– To nie jest jej nazwisko, ale może ją uratować – stwierdziłem.

– Dobrze. Anna Rozenberg – powtórzył, zniknął w salonie i stamtąd krzyknął: –

Osiemnaście minut.

Opuściłem Paulinę dręczony przez wyrzuty sumienia. W samochodzie otworzyłem okno, by przewietrzyć głowę.

Na parkingu pod Copernicusem nawet roweru bym nie wcisnął. Chyba że do wiaty z wózkami. Mimo niedzieli było tu więcej samochodów niż pod kościołem. Widać jaki naród, takie świątynie.

Zostawiłem wóz zaparkowany krzywo na krawężniku i puściłem się biegiem do środkowego wejścia. To wysunięte najdalej na wschód było już zamknięte, bo ruszyła rozbudowa.

Miałem w głowie pewien plan, ale panujący w galerii szum nie pozwalał się skupić. Skręciłem w prawo i omijając ludzi oraz sklepowe wysepki, dotarłem do hipermarketu. Przed wejściem na halę dostrzegłem rząd czerwonych szafek z drzwiczkami z przypalanego szkła. Przyjrzałem się im i z odległości kilku metrów odnalazłem numer 77. Przyciągała jak magnes. Dostrzegłem w niej zarys czegoś ciemnego, pewnie torby lub plecaka.

Rozejrzałem się.

Wystarczyły mi tylko chwila, by podejść do szafki, otworzyć ją kluczem, który miałem w kieszeni spodni, wyjąć wszystko, co tylko tam było, a potem wrócić do samochodu, albo zamknąć się w kiblu. Czulem, że właśnie za tymi drzwiczkami kryją się odpowiedzi na pytania, które zadawałem sobie od powrotu z Berlina.

Stałem teraz pośrodku rzeki ludzi przepływających to w jedną, to w drugą stronę. Omijali mnie jak mieliznę. Nie zwracałem na nich uwagi, nie słyszałem gwaru rozmów, starałem się też nie słyszeć dźwięku dzwonka mojej komórki.

Wybrzmiał trzeci takt.

Jeszcze jeden krok. Wpadłem na emeryta pchającego wózek wielki jak mały fiat. Ukłonił się i przeprosił, chociaż to była moja wina.

Piąty takt bluesowej muzyki.

Sięgnąłem do kieszeni po kluczyk z wytartymi już czerwonymi cyframi. Ten sam, który przekazał mi Holtz. Pierwsza z siódemek miała zaledwie połowę daszka, druga straciła kolor u dołu. Na drugiej stronie breloka wygrawerowano logo galerii.

Czas mijał, telefon nadal dzwonił.

Nie mogłem tak dłużej stać. Podjąłem decyzję. Wiedziałem, że być może będę żałował jej do końca życia, a mimo to podszedłem do szafki i wsunąłem kluczyk w zamek. Wszedł jak w masło. Przekręciłem.

Komórka cały czas grała. Odebrałem.

– No wreszcie, Bener – znowu usłyszałem ten schrypnięty głos. – Ktoś ma ci coś ważnego do przekazania. Posłuchasz?

Nie odpowiedziałem. Z trudem przełknąłem ślinę, oczekując najgorszego. Zadrzały mi nogi. Paulina była bezpieczna, ale Nika wciąż czekała na ratunek. Dotarły do mnie odgłosy szamotaniny, krótki pisk. Serce podeszło mi do gardła. Zacisnąłem palce na telefonie, bałem się, że jeśli włożę w to więcej siły, zrobię z niego miazgę. Byłem pewien, że to, co usłyszę, nie będzie dobrą wiadomością.

– Marek! – wrzasnęła.

Głuchy plask. Szarpanina. Płacz.

– Mów, kurwo! – usłyszałem z oddali głos Butrycha.

Kolejny głośny szmer w telefonie.

– Marek, uciekaj! – krzyknęła.

– Co miałaś powiedzieć, co? – Butrych wpadł w szal.

Znowu coś jakby głośne klaśnięcie. I płacz.

Połączenie zostało przerwane.

Galeria zakręciła się wokół mnie z prędkością łańcuchowej karuzeli.

Telefon znowu zadzwonił. Butrych zdążył ochłonąć, ja nie. Tym razem nie wyłowilem

żadnego dźwięku w tle. Jakby nadawał ze studia Polskiego Radia.

– Odbiłeś siostrzyczkę, ale mam jeszcze twoją kurewkę. Zabiję ją. Zabiję was wszystkich, zrozumiałeś? To tylko kwestia czasu, pismaku.

Milczałem.

– Kluczyk, Bener. Daję ci dziesięć minut. Jeśli się nie zjawisz, zadzwonię i znowu usłyszysz jej głos. Ostatni raz.

– Gdzie jesteś?

– Pomyśl.

Rozłączył się.

Spojrzałem na rząd szafek. Kluczyk tkwił w zamku.

Wyciągnąłem z kieszeni monetę i podrzuciłem ją trzęsącą się ręką.

Orzeł.

– Czas na ostatni lot. – Wyjąłem kluczyk z szafki i skierowałem się na halę po papier toaletowy.

7

Nie przypuszczałem, że tak szybko tu wrócę.

Minąłem dom dentysty i toczyłem się po nierównościach wzdłuż ruin folwarcznego muru.

Wysiadłem z wozu i przeszedłem po błocie w kierunku furtki, ale zanim ją przekroczyłem, rozejrzałem się wokoło. Nigdzie nie dostrzegłem samochodów ludzi Butrycha. Musieli je dobrze schować.

Wszedłem na teren działki porośniętej chaszczami do pasa i spojrzałem na spalony dom, w którym w okna i drzwi wejściowe wstawiono dyktę. Minąłem kałużę, wszedłem na schody i chwyciłem za prowizoryczne drzwi. Kłódki oczywiście nie było. Już wcześniej powinno mi to dać do myślenia. Zawiasy zazgrzytały, kiedy wchodziłem do środka.

– Jestem! – krzyknąłem i poprawiłem kurtkę.

Odpowiedziała mi cisza.

Po chwili dotarły do mnie jakieś pomruki z piwnicy. Nadpalone drzwi trzy metry ode mnie otworzyły się nagle. W progu stanął Butrych w dresowych spodniach i bluzie z kapturem.

– Kluczyk – sapnął.

– Gdzie ona jest? – spytałem, nie ruszając się z miejsca.

– Oddaj kluczyk.

To i tak nie miało sensu. Mogli mnie przecież zabić, a klucz zabrać bez tej idiotycznej wymiany zdań. Liczyłem jednak na to, że dopóki Butrych nie otworzy szafki i nie sprawdzi jej zawartości, dopóty włos z głowy mi nie spadnie. Sięgnąłem do kieszeni. Zważyłem w dłoni brelok z czerwonymi siódemkami, a następnie rzuciłem w stronę Butrycha. Upadł metr przed nim, ale siłą rozpędu prześliznął się do czubków brudnych od sadzy adidasów.

– Gdzie ona jest? – spytałem raz jeszcze.

Butrych schylił się z niemałym wysiłkiem, a potem wsunął brelok do kieszeni i odetchnął głęboko.

– Czekala na ciebie. – Jego kwadratową twarz wykrzywił uśmiech. – Chyba nawet bardziej niż na swojego męża.

Gnój.

– Ciekawe, co na to twoja żona, pismaku. Jeśli oczywiście żyje – zaśmiał się.

Rzuciłem się na niego z gołymi pięściami, ale powstrzymał mnie pistolet, który dopiero teraz dostrzegłem. Chował się niemal cały w wielkiej łapie.

– Nie rób tego – warknął. – Idź na dół, rycerzu, i ratuj swoją kurewkę.
Opanuj się, Bener, przecież on to robi specjalnie.
– Odpowiesz za to, Butrych. Za moją siostrę i Nikę. Zapamiętaj to sobie – syknąłem.
Butrych zaniósł się śmiechem. Trzymałem nerwy na wodzy.
– Nie zostawię tak tego – oznajmiłem. – Nie po tym, czego się dowiedziałem.
– Nie trać energii, chłopie. Idziesz do piachu. – Butrych nie przestawał się śmiać. Cofnął się, ustępując mi miejsca. Był w tak dobrym humorze, że posłał mi buziaka.
– Jeszcze dziś skopię ci dupę, grubasie. – Zacząłem powoli schodzić.
Nie wiedziałem, czy nie zepchnie mnie z tych schodów, ale musiałem zaryzykować.
– Nika? – rzuciłem w półmrok. Światło padało tu jedynie z wąskiego okna.
Podłoga z różnokolorowych kafelków pamiętała PRL. Wtedy płytki były towarem deficytowym, ludzie układali podłogi jak leci, bez oglądania się na rozmiar, kolor czy wzór.
Ruszyłem do pierwszego pomieszczenia. Pewnie miało być garażem, ale nie zainstalowano w nim bramy. Zamiast niej na tył działki wychodziły wąskie, drewniane drzwi. Podłogę wyściełała gruba folia. Szeleściła przy każdym kroku. Wiedziałem, po co ją rozłożono, więc zrobiło mi się gorąco.
Od kiedy przekroczyłem próg, patrzyłem na Nikę. Siedziała w pobliżu drzwi, przymocowana szarą taśmą do starego krzesła. Jej głowa zwisała bezwładnie. Taką samą taśmą unieruchomiono jej nogi. Kucnąłem przy niej i uniosłem jej głowę. Nie zareagowała.
Wiedziałem już, że jestem w pułapce, że ani jej nie pomogę, ani stąd nie wyjdę. W takich chwilach, chociaż trzęsą się ręce, musisz robić swoje. Szarpnąłem więc za taśmę przy jej kostkach, ale nie puściła. Sięgnąłem po klucz do kieszeni i próbowałem naderwać materiał, wykorzystując go jak brzeszczot, ale z mizernym skutkiem. Postrzępiłem nieco taśmę, ale wciąż trzymała się mocno.
Nika wstrząsnęła, poderwała głowę ze strachem. Jej lewe oko przesłaniała opuchlizna. Wargi miała zaklejone, ale zaschnięta na brodzie strużka krwi pozwoliła mi wyobrazić sobie, przez co przesła. W jej oczach widziałem jednocześnie strach i ulgę. Pogłaskałem ją po policzku. Popłakała się. Spazm wstrząsał jej ciałem.
– Zabiorę cię stąd – złożyłem obietnicę bez pokrycia i zacząłem szarpać taśmę wokół jej kostek.
Nika pisnęła.
– Spokojnie, jeszcze chwila. – Skupiłem się na robocie.
Weronika rzuciła się. Powieka jej zdrowego oka otworzyła się gwałtownie. Spoglądała to na mnie, to gdzieś za moje plecy. Zbyt późno zrozumiałem, że w ten sposób chciała mi przekazać wiadomość.
Ktoś tam był.

Paker zbliżał się wolno, aż wreszcie stanął tak blisko, że mogliśmy spojrzeć sobie głęboko w oczy. Był niższy, ale krępy. W ręce trzymał gnata. Już nie czułem strachu, być może wyparła go rezygnacja. Żadna bohaterska walka nie wchodziła w grę. Dostałbym kulkę w brzuch.
– A jednak się boisz, Bener – odezwał się pierwszy. – Pomóż jej. No, już!
Poczekalem, aż spuści wzrok i się cofnie. Niby nic, a jednak poczułem się pewniej.
Odwróciłem się i ponownie kucnąłem przy krześle Niki. Popłakiwała cicho. Nie zerwałem taśmy z jej ust. Najpierw uwolniłem nogi, potem ręce. Potarła przeguby, a następnie z trudem wstała, opierając się na moim ramieniu. Zaczęła ściągać sobie taśmę z ust.
– Wszystko będzie dobrze – szepnąłem jej do ucha.
Paker zerknął na zegarek.

– Dobry czas, Bener. Widać trening się przydał. – Uśmiechnął się. – A ty – zwrócił się do Niki – nie ruszaj tej taśmy. Do twarzy ci.

Kiwnąłem tylko głową, by zrobić, co każe mężczyzna.

– I co teraz? – spytałem

Paker nie schował broni. Zrozumiałem, że z dalszego przekomarzania się nici.

– Siadaj i działaj. – Wskazał łufą na krzesło i rzucił mi taśmę.

Nika znowu załkała, bo Paker gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Zachwiała się, ale silny chwyt nie pozwolił jej upaść. Paker trzymał tak, by bolało.

– Idź! – warknął. – Już!

Nika z przerażeniem pokręciła głową. Paker strzelił ją otwartą dłonią w twarz. Poderwałem się, ale wycelował we mnie broń. Wtedy zaczęła się wycofywać.

– Spokojnie... Idź... Nie bój się. – Powiedziałem to tak pewnie, jakby dom był otoczony przez brygadę antyterrorystyczną, która tylko czeka na mój znak, by wkroczyć do akcji.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Usłyszałem, jak wchodzi po schodach.

– Owijaj, owijaj, Bener. Tylko ciasno – rozkazał Paker.

Odkleiłem kawał taśmy i przysunąłem łydkę do drewnianej nogi krzesła. Zrobiłem pierwszą pętlę.

Z góry dotarły jakieś głosy. Po chwili ponownie usłyszałem rytmiczne kroki na schodach. Tym razem znacznie głośniejsze. Kiedy umilkły, w progu pojawił się Butrych.

– Kiedy dam znać, pismaka zlikwiduj. Widzimy się u dziadków – powiedział do Pakera.

– Dobrze. – Popatrzyłem na zegarek. – Będę za pół godziny.

Mężczyźni spojrzeli na mnie.

– Patrz, kurwa, jaki żartowniś. Już na górze tak mnie rozśmieszył, że musiałem odcedzić kartofle – zaśmiał się Butrych i zniknął z pola widzenia. Paker też się uśmiechnął.

– Do zobaczenia. – Pomachałem mu. – Tylko się nie spóźnij, Marian!

– Odstrzel mu fujarę, to przestanie pajacować – odkrzyknął grubas.

Kiedy gwar na górze ucichł i trzasnęła dykta, Paker podszedł do krzesła, na którym siedziałem.

– Ciasniej!

Zabrałem się do owijania taśmy wokół nóg. Gdzieś w oddali usłyszałem warkot silnika, który cichł z każdą chwilą. Odjechali.

– I co teraz będzie, co? – Wyprostowałem plecy.

Paker wciąż celował w moją stronę. Nie czułem się z tym komfortowo.

– Ręce do tyłu. – Wyrwał mi taśmę.

Założyłem je za plecy, zdążywszy wcześniej sięgnąć do kieszeni.

– Za oparcie, idioto – warknął i zrobił krok do przodu.

Wykorzystałem to. Wymacałem rękojeść i wyjąłem ją. Nacisnąłem przycisk, który uwolnił ostrze, i zamachnąłem się w jego stronę. Nóż, który zabrałem ze sobą ze schowka w samochodzie, wbił się gładko w brzuch Pakera. Mężczyzna zgiął się, ale wycelował we mnie broń. Zerwałem się. Chwyliłem jego dłoń, a drugą przytrzymałem nóż. Rękojeść zrobiła się śliska od krwi. Nogi miałem przyklejone do krzesła, więc nie mogłem zrobić kroku. W końcu wyciągnąłem ostrze z brzucha Pakera, czerwona ciecz chlupnęła głośno na folię. Mężczyzna nacisnął spust. Huknęło. Kula utknęła w suficie, a ostry smród prochu rozszedł się po pomieszczeniu. Twarz Pakera wykrzywił grymas bólu, a on sam upadł na kolana. Wykręciłem mu rękę, w której trzymał broń. Coś w niej chrupnęło. Gnat upadł na podłogę, a Paker zawył.

Z nienaturalnie wygiętą kończyną osunął się na ziemię. Krew na podłodze zbierała się w większą kałużę.

Chwyliłem broń, a potem drugą ręką przeciąłem taśmę przy nogach i stanąłem nad Pakerem. Wycelowałem w jego łeb.

– Nie zrobisz tego – wysyczał przez zęby, mięśnie szyi miał napięte do granic. – Nikogo w życiu nie zabiłeś.

– Zamknij się! – Rzuciłem okiem w stronę schodów.

Paker spróbował się podnieść, jednak ból go pokonał.
– Jest nieodbezpieczony – wycedził. – Nawet nie wiesz, jak to zrobić, tępaku.
Nacisnąłem na cyngiel. Wystrzał był głośny, poderwało mi rękę. Uśmiechnąłem się. Kula utkwiała w podłodze daleko od głowy mężczyzny, widziałem to po dziurze w folii. Strzeliłem kolejny raz.
– Faktycznie, nieodbezpieczony. – Uśmiechnąłem się. – Może się popsuł?
Wymierzyłem w jego czoło.
Z przerażeniem pokręcił głową.
Podszedłem do niego.
– Dwa pytania – powiedziałem. – Pierwsze: kto zabił Miedzińską?
Nie zamierzał odpowiedzieć. Chwyciłem za kontuzjowany łokieć.
Wrzasnął, a z ust trysnęły drobinki śliny.
– Pytanie drugie: dokąd Butrych zabrał Weronikę?
– Pierdol się!
– Kusząca propozycja, ale nie mam czasu na igraszki. Za to chętnie potrenuję oko.
Wycelowane broń w kolano i nacisnąłem spust.
Pocisk wbił się gładko w jego ciało. Chciałem wpakować w nie cały magazynek, ale właśnie wykorzystałem ostatni nabój.

9

Nigdy nie wiesz o sobie wszystkiego.
Nigdy, dopóki nie staniesz na krawędzi i nie zrobisz czegoś, do czego – jak sądzisz – nie byłbyś zdolny, a co w konsekwencji zmienia cię na zawsze.
Wychodząc z piwnicy, rzuciłem bezużyteczny już pistolet koło złamanej ręki Pakera. Wyciągnąłem z kieszeni jego spodni kluczyki do forda, bo wiedziałem, że nie przyjechał tu PKS-em, i komórkę. A potem bez pośpiechu wytarłem dłonie w szmaty, które znalazłem w piwnicy.
Myślałem, że w ten sposób oczyszczę się z tego, co zrobiłem. Nie musiałem go przecież pytać, dokąd zabrał Weronikę. Zdradził to sam Butrych, mówiąc mu coś o „dziadkach”. Ale prawdę powiedziawszy, liczyłem na to, że Paker mi nie odpowie i da pretekst do wyładowania złości.
Wyszedłem ze spalonego domu i ruszyłem przed siebie. Trzy przecznice dalej odnalazłem czarnego forda mondeo w wersji kombi i z szybami oklejonymi ciemną folią. Jeśli miałem się dostać do twierdzy Butrycha, powinienem skorzystać z samochodu jego człowieka.
Uruchomiłem silnik.
Kiedy wyjechałem na asfalt, zadzwoniłem do dentysty. Jego numer miałem w historii połączeń. Dowiedziałem się, że karetka zabrała Paulinę. Jej stan był poważny, ale stabilny. Lekarze podejrzewali narkotyki albo dopalacze. Nie pytałem o nic więcej. Nie teraz. Najważniejsze, że żyła i była w dobrych rękach. W niczym nie mógłbym jej już pomóc. Zadzwoniłem też na stacjonarny toruńskich dyżurnych. Znowu odebrał kolega, którego podpytałem o Raka. Kolejny raz obiecał zadzwonić, gdy tylko jego stan uległby zmianie.
Szum silnika był monotony. W pewnej chwili przerwał go dziwny dźwięk. Przytłumiona, prosta melodyjka, która szybko ucichła. Stara Nokia Pakera, przytrzymałem ją w ręku i uśmiechnąłem się. Dzwonił „Tata”.
Zastanawiałem się, czy Paker składał mu życzenia na Dzień Ojca.
Po dziesięciu minutach wjechałem na wyłożoną kostką drogę dojazdową do „Zielonej Opoki”. Strażnik widząc znajomy samochód, podniósł szlaban. Paker był tu częstym gościem. Kiedy przejeżdżałem obok budki strażniczej, zasłoniłem dyskretnie twarz ręką, ale nie było to

konieczne. Dozorca nie mógł mnie dostrzec przez ciemne szyby. Przyspieszyłem i po kilkuset metrach dotarłem na spory parking, pośrodku którego tkwiła nieczynna fontanna w kształcie niewysokiej wierzby płaczącej. Za nią znajdowały się dwa pawilony połączone w kształt litery L. W żółtym, trzykondygnacyjnym budynku na wprost parkingu mieściły się mieszkania seniorów, każde z balkonem. W niższym, zielonym i ustawionym prostopadle znajdowały się warsztaty terapii, gabinety rehabilitacyjne i stołówka. W piwnicy działało studio nagrań. Miało osobne szerokie wejście z tyłu budynku. Prowadziła tam też droga dla samochodów. Kiedy tu byłem ostatnio, kilka osób wypakowywało sprzęt nagłośnieniowy z białego dostawczaka.

Skierowałem się w tamtą stronę. Teren przed budynkami był elegancko utrzymany, trawa równo przycięta. Od parkingu droga prowadziła łukiem w kierunku szerokiego drewnianego mostka przerzuconego przez niby-rzekę ułożoną z kolorowych otoczków. W pobliżu mostka rosły gęste i suche o tej porze roku kępy wysokich traw oraz niskie iglaste krzewy. Zieleń wyglądała jak z fachowej ogrodniczej prasy.

Przeszedłem na tył niższego pawilonu. Ścieżka opadała łukiem i rozszerzała się w niewielki parking pod wejściem prowadzącym do piwnicy. Przed metalowymi dwuskrzydłowymi drzwiami stał beżowy mercedes, którym przejechałem się niedawno, i srebrna toyota land cruiser Butrycha. Dobrze trafiłem. Okazało się, że idiota zostawił kluczyki w stacyjce. Nie ruszyłem ich. Otworzyłem cicho bagażnik terenówki i wyszperałem zimną jak lód fajkę do odkręcania kół. Wszedłem do budynku.

Cisza i ciemność. Na wprost mnie ciągnął się kilkumetrowej długości korytarz. Na końcu, po prawej stronie znajdowały się drzwi do studia nagrań. Gdzie jak gdzie, ale przynajmniej tam Butrych mógł śmiało rozprawiać się z ofiarami, bo poza zainteresowanymi nikt niczego nie słyszał. A już na pewno nie przygłusi pensjonariusze.

Skręciłem w lewo. Drugi korytarz prowadził, jak informowały tabliczki, do strefy sauny i masażu.

Znowu zaskoczyły mnie proste dźwięki wydobywające się z komórki Pakera. Sięgnąłem po nią. Tata.

Wcisnąłem zieloną słuchawkę.

– Nie zabijaj go jeszcze. Ten kutas nas wyruchał! – warknął Butrych. – Plecak w szafce był wypchany srajtaśmą! Wyciągnij z niego, gdzie to ukrył, do kurwy nędzy! Bo inaczej pierdolony konus nie da mi spokoju. Zaraz do ciebie przyjadę, rozumiesz?

Rozłączyłem się.

Szybko wyskoczyłem na zewnątrz, dopadłem do wozu, wyszarpnąłem kluczyki i wróciłem do budynku. Nie mogłem pozwolić, by Butrych teraz mi zwiął.

Ciszę znowu przerwał dźwięk telefonu.

– Jebany zasięg. Słyszałeś, co mówiłem? Nie zabijaj go! – rozkazał Butrych.

– Yhy – odpowiedziałem.

Zatkało go.

– Co jest? Cegła, jesteś tam? Halo?

– Tak, tatusiu, jestem. – Wychyliłem się i dopiero teraz z końca długiego pomieszczenia dotarło do mnie skrzypienie drzwi.

– Dorwę cię – sapnął. – Dorwę i zabiję, Bener.

– Obiecujesz i obiecujesz. A jak przyjdzie co do czego, to zawsze poślizniesz się na gównie, Butrych. – Rozłączyłem się.

Drzwi do studia uchyliły się.

– Pilnuj jej, Alien! – Butrych stanął w progu, skąpany w żółtym świetle ze środka. Cień wielkiej jak góra postaci załamywał się na podłodze i ścianie wąskiego korytarza.

Mężczyzna zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę wyjścia. Cofnąłem się. Zaciśnąłem palce obu dłoni na kluczu. Liczyłem jego kroki. Był blisko. Przywarłem barkiem do ściany. Serce dudniło mi w klatce, a w głowie szumiała krew. A co, jeśli zerknie w moją stronę?

Pęd powietrza musnął mi twarz. Butrych przeszedł metr ode mnie. Chwycił za klamkę i wyszedł na zewnątrz, wpuszczając do budynku zimny powiew. Wyciągnąłem kluczyki od jego

toyoty i rzuciłem na środek korytarza, kilka kroków od drzwi. Wylądowały głucho na wykładzinie. Przeszedłem szybko do drzwi wejściowych. Przez okienko dojrzałem, jak Butrych pakuje się do wozu. Stałem w pobliżu nieruchomego skrzydła. Kiedy grubas tu wejdzie, znajdę się za jego plecami, a gdy schyli się po klucze, oberwie w łeb.

Czekałem, próbując wtopić się w otoczenie.

Poczułem szarpnięcie. Butrych zaklął, wszedł do środka i stanął jak wryty, wpatrując się w klucze. Ale nie podszedł do nich.

Wstrzymałem oddech.

Spojrzał w lewo.

Wiedziałem, co zaraz nastąpi. Musiałem działać. Postąpiłem na palcach do przodu i zamachnąłem się. Głowa Butrycha jak w zwolnionym tempie odwracała się w moją stronę.

Zaatakowałem w chwili, gdy mnie zobaczył. Zdażył zrobić unik. Klucz z metalicznym brzdęką zatrzymał się na drzwiach, robiąc w nich spore wgłębienie. Na szczęście nie wypadł mi z ręki. Butrych rzucił się na mnie z impetem i trzepnął mną o ścianę. Docisnął całym ciężarem ciała, a następnie wykręcił mi rękę. Narzędzie upadło głucho na wykładzinę. Sekundę później wielka pięść Butrycha szybowała w stronę mojej głowy. Zrobiłem unik i natychmiast chwyciłem go za wielki łeb tak, by kciukami wyłupać mu oczy. Zawył i cofnął się. Mrugał powiekami, był zamroczony. Wykorzystałem okazję i przyłożyłem mu w wątrobę. Stęknął i zgiął się w pół, próbując złapać oddech. Uderzyłem go lewym hakiem w twarz. Wstrząsnął głową, jakby próbował się obudzić. Ból przeszył mi dłoń. Poczułem się, jakbym próbował znokautować głaz. Poprawiłem prawym, ale cios prześlizgnął się po głowie. Schyliłem się szybko po klucze i przeskoczyłem za plecy mężczyzny. Uderzyłem celnie w zgięcie nóg. Butrych upadł na kolana. Spojrzał na mnie jak złapane w sidła zwierzę. Wiedział już, że nie będzie miał szans.

Jeszcze raz uderzyłem łyżką, tym razem w nerki.

– Co zrobiłeś Paulinie? – Złapałem oddech.

Milczał. Wziąłem zamach.

– Co jej dałeś, gnoju?!

Ciszę przerwał świst uderzenia. Trafiłem drugi raz w to samo miejsce. Butrych jęknął przeciągle i spuścił głowę. Stałem przed nim. Adrenalina tłumiała ból dłoni, więc przyłożyłem mu prawym podbródkowym. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Krew obryzgała ścianę, a na wykładzinę wypadł wybity ząb. Butrych błędniał wzrokiem po ścianach.

– Kto ją tak załatwił?

– Nie zyjes, Bener – wydukał, sepleniąc.

Posłałem jeszcze jeden cios. Wielkie cielsko osunęło się na wykładzinę. Przypominało leżącego na plaży wieloryba. Nachyliłem się do jego ucha.

– Kto tym dowodzi, co? – spytałem.

Odpowiedział mi bełkot.

– Skup się, Butrych! – Bolały mnie dłonie, ale zmusiłem się do szybkiego ciosu w odsłonięty brzuch. Cielsko zafalowało jak galareta. – Kto tym dowodzi?! Bo ty jesteś tylko żalną pacyną, nie?

Butrych sapał.

– No mów!

Nie był w stanie. Poruszał ustami jak ryba, próbując przelikać krew, która wypełniała jego usta i sączyła się na dywan.

Machnąłem ręką i zostawiłem go na środku korytarza. Nie miałbym siły gdziekolwiek go przeciwnąć. Musiałbym dzwonić po lawetę.

Odszedłem w stronę drzwi do studia, a odprowadzały mnie ciche pojękiwania.

Co teraz? Ilu ich tam jest?

Uchyliłem drzwi, chowając się za nimi. Liczyłem, że to zwróci uwagę strażnika Niki. Ale nic się nie stało. Odczekałem jeszcze chwilę. Nic. Wychyliłem się nieznacznie i dopiero sobie przypomniałem. Do studia prowadziły osobne, dźwiękoszczelne drzwi ze świetlikiem pośrodku. Stałem tak, bym mógł obserwować to, co dzieje się wewnątrz sporego studia, a jednocześnie

samemu pozostać niezauważonym.

Nika.

Leżała na boku na podłodze pod ścianą. Nie była związana.

Całe pomieszczenie wyłożone było żółtymi matami wygłuszającymi, z których sterczały niewielkie ostrosłupy. Sprzęt nagłaśniający, instrumenty i stojaki z mikrofonami ustawiono w jednym rogu. Na kupę rzucono też przedłużacze i zwoje kabli. Obok stały obite czerwoną tkaniną szerokie pufy. Po lewej stronie znajdowała się wydzielona reżyserka z szerokim oknem i stołem pełnym mikserów oraz urządzeń do rejestrowania dźwięku.

Rozejrzałem się za pilnującym Niki, ale nikogo nie dostrzegłem.

Chwyciłem za klamkę i szeroko otworzyłem drzwi, nie ruszając się z miejsca.

Nika nie otworzyła oczu. Może była nieprzytomna?

Zawahałem się, ale ostrożnie wszedłem do środka. Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego nikogo nie obchodziły otwarte drzwi i nikt nie ruszył w moją stronę. Ale było już za późno.

10

– No włącz, śmiało! Boss mówił, że wpadniesz – przywitał mnie gość z ogonem filmowego obcego wytatuowanym wokół szyi. Zrozumiałem, dlaczego tak na niego wołali. Tatuaż zobowiązuje.

Lufa pistoletu była skierowana w moją stronę. Mężczyzna siedział przy ścianie w pobliżu drzwi, więc nie mogłem go wcześniej zauważyć. Odslonięte ramiona zdołały dziury. W większości prezentowały biomechanikę.

– Cześć, Alien. – Odwzajemniłem uśmiech i skinąłem głową na powitanie. Zupełnie jakbym przyszedł na jakiś miejski raut i zobaczył znajomego polityka. – Miło cię znowu widzieć.

– Co jest, Bener? Bawisz się w pit-stop? – Nie przestawał szczerzyć zębów. – Nie wygłupiaj się, odłóż fajkę.

Spojrzałem na Weronikę. Wciąż nie dawała znaku życia.

– Co z nią? – spytałem, ignorując jego prośbę.

– Śpi królowa, nie widać?

– Co jej zrobiliście?

– Klucz, Bener! – W jego głosie nie słyszałem już wesołkowatości. – Odrzuć go tam. –

Wskazał palcem.

Nie ociągałem się i zrobiłem, o co prosił. Fajka wylądowała głucho kilka metrów ode mnie.

– I co teraz? – spytałem.

Lufa przesunęła się w stronę rogu studia, tam, gdzie zostawiono sprzęt i taborety.

– Siadaj. Poczekamy sobie, pogadamy...

– Na kogo?

– Na bossa.

– Na tatusia? – zaśmiałem się.

To oznaczało, że mam trochę czasu. Butrych nie nadawał się zbytnio do chodzenia. Ale jeśli jednak się ocknie i tu przyjdzie, Nika i ja skończymy na cmentarzu.

Usiadłem na pufie. Pod stopami miałem sieć kabli. Klucz leżał daleko. Nika się nie ruszała. Coś mi jednak mówiło, że nie przegram tego starcia.

Alien sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął kartkę i mi pokazał. Włosy stanęły mi dęba.

– He, he – zaśmiał się i zakaszłał. – Masz już kisiel w gaciach?

– A co? Głodny jesteś? – Próbowałem zgrywać twardziela, ale jednak powoływanie się na Szamana sprawiało, że nogi zaczynały mi drżeć. Graviora manent. Alien zgniótł papier w kulkę i

rzucił w moją stronę. Wylądowała mniej więcej w połowie drogi.

– Jak to było? Najgorsze przed nami? Albo jakoś tak, co nie? – Alien wyciągnął papierosa z paczki i wsunął w usta. Odpalił, zaciągnął się, po czym wypuścił kłęb siwego dymu.

– Dopiero nadejdzie – poprawiłem go. – Najgorsze dopiero nadejdzie.

Już wcześniej nie miałem żadnych wątpliwości. Szaman nie mógł mieć o tej akcji zielonego pojęcia. Niby mnie to ucieszyło, ale tym samym rozwiła się kolejna nadzieja na odnalezienie Agaty.

– O właśnie! Najgorsze dopiero nadejdzie – zaśmiał się. – No i nadeszło. Jesteś w dupie, brachu, po same uszyska. Choć przyznam szczerze, że ucieczka z naszej szopy była niezła. – Pogroził mi palcem – Taka, kurwa, filmowa nawet, co nie?

– Rola życia.

– Dokładnie! – Ponownie się zaciągnął, a potem zaśmiał.

– O co tu chodzi, do cholery? – przerwałem mu dobrą zabawę. – Po co posługiwaliście się Szamanem, co?

– To ty nic nie wiesz? – spytał szczerze zdziwiony i odpalił kolejnego papierosa. Przy nodze taboretu zauważyłem słoik z niedopałkami. – Chcieliśmy od razu sprowadzić cię do parteru. Dobrze nam doradził ten... – zawiesił głos.

– Kto?

– Twój dobry znajomy.

– Chojnicki, tak?

Zero reakcji.

– Masz mnie za debila? Przecież to nie jest końcówka amerykańskiego filmu, chłopie! Nic ci nie powiem. – Znowu zaciągnął się, a potem odsłonił zęby w krzywym uśmiechu.

Nika zakaszła. Spojrzałem na nią. Nie mogła nabrać powietrza. Dławiła się.

Zerwałem się.

– Stój! – krzyknął Alien, ale było już za późno.

– Nika – Poklepałem ją po policzku. – Nika!

Była blada, ale czoło miała ciepłe.

– Siad, Bener! – syknął mężczyzna.

Ciałem Niki nadal wstrząsały kaszel i duszności. Nagle otworzyła jedno oko i mrugnęła do mnie. Udawała. Wtedy lufa dotknęła mojej szyi. Dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie.

– Na taboret! – Broń boleśnie wbijała się w moje ciało.

Wyprostowałem się, ale równocześnie niepostrzeżenie sięgnąłem ręką po pomarańczowy przedłużacz. Gwałtownie odwróciłem się do Aliena i przyłożyłem mu w brzuch. Nie spodziewał się tego. Kiedy zgiął się w pół, założyłem mu od tyłu pomarańczową pętlę na szyi, cofnąłem się o krok i zacisnąłem kabel z całych sił. Alien jedną ręką próbował zerwać pętlę, a drugą ustawić pistolet pod kątem i oddać strzał. Broń wypaliła, a pocisk wbił się w podłogę metr od Niki. Przeraziłem się. Podciąłem go i pchnąłem, tak by upadł twarzą do podłogi. Usiadłem mu na plecach i mocniej zacisnąłem pętlę. Opadał z sił. Wreszcie puścił broń, a ciało, do tej pory napięte i sztywne, rozluźniło się.

Zdziwiłem się, że tak szybko poszło.

Puściłem kabel. Na dłoni odcisnęła mi się bordowa pręga.

– Nic ci nie jest? – Odwróciłem się do Niki i otarłem pot z czoła.

Pokiwiała głową.

– No to idziemy. – Spojrzałem na drzwi i znowu na nią.

Krzyknęła z całych sił.

Butrych poruszał się jak zombie.

Nika natychmiast schyliła się po broń i wycelowała prosto w niego.

– Stój! – krzyknęła przez łyzy.

Nie odpowiedział i nie zatrzymał się. Był zamroczony.

– Nika, spokojnie, on nam nic nie robi. Spójrz na niego – starałem się ją uspokoić.

Weronika zaczęła się cofać. Obawiałem się, że w każdej chwili może nacisnąć spust.

Musiałem rozegrać to inaczej. Stałem przed nią. Jakies pięć lub sześć metrów za sobą miałem rannego Butrycha, a przed oczami otwór lufy. Był tak blisko, że wydawało mi się, że patrzę w rurę kanalizacyjną. Wyciągnąłem rękę w stronę Niki.

– Oddaj to, proszę – powiedziałem. Nie chciałem, żeby całe jej życie naznaczyło zabójstwo. Co rusz zerkałem za siebie. Butrych był coraz bliżej, Weronika nadal się cofała.

– Nika?

Rozpłakała się. Opuściła broń.

Krople potu spłynęły mi po plecach. Podszedłem do niej i znowu poprosiłem o broń.

– Posłuchaj, to już koniec – wspiałem się na wyżyny spokoju.

Spojrzała na mnie uważnie. Wciąż widziałem w jej oczach strach. Nagle mnie odepchnęła.

Siła wystrzału poderwała jej rękę do góry. Widziałem to jak w zwolnionym tempie.

Obejrzałem się. Po Butrychu nie było śladu.

Dopadłem do Niki i wyrwałem jej broń. Dopiero teraz zobaczyłem, że Butrych leży tuż obok.

Nika osunęła się na podłogę i zapłakała.

Kucnąłem przy Butrychu. Wyglądał jak ranny niedźwiedź. Kula przeszła przez lewy bark, tuż pod kością obojczykową. Intensywnie krwawił. Nie czułem jednak litości. Gorzej, żałowałem, że Nika go nie zabiła. Postanowiłem naprawić ten błąd. Włożyłem palec w ranę wlotową.

Zawył.

– Kto za tym stoi? – Poruszałem nim w każdą stronę.

Nie odpowiedział. Oczy odpłynęły mu w tył głowy.

Był nieprzytomny.

Wytarłem palce w ciuchy Butrycha, a następnie odwróciłem się do Niki i chwyciłem ją za rękę. Wyszliśmy na korytarz. Przed wejściem do piwnicy stary mężczyzna, wspierający się na metalowym balkoniku, uchylił nam kapelusza.

Wsiedliśmy do auta. Ruszyłem, zostawiając ślady opon na kostce. Zjeżdżaliśmy w dół w stronę budki strażniczej. Ochroniarz stał przed szlabanem, ale zamiast go unieść, podniósł rękę. Nie zamierzałem się zatrzymać. Docisnąłem pedał do podłogi.

– Stój! – Nika krzyknęła i zdążyła zasłonić oczy.

Strażnik rósł w moich oczach. Uskoczył w ostatniej chwili, a szlaban huknął o szybę, zostawiając na niej pajęczynę pęknięć, i poleciał kilka metrów dalej. Potem wszystko jakby ucichło. Wypuściłem powietrze z płuc i zerknąłem na przerażoną Nikę.

Zbliżyliśmy się do wąskiej asfaltówki prowadzącej do krajowej osiemdziesiątki. Kiedy dostrzegłem napis „Zielona Opoka dziękuje za odwiedziny”, pomyślałem, że mieliśmy cholerne szczęście.

Sięgnąłem po telefon.

– Jacek Jankowski, słucham.

– Jestem z Weroniką.

– Gdzie? Przyjadę.

– Nie ma mowy.

– Co ty, kurwa, kombinujesz?

– Jedź do „Zielonej Opoki”. Wiesz, gdzie to jest. Znajdziesz tam...

– Marek, gdzie jesteś?

– ...trupa i rannego Butrycha. Do kolekcji z tymi, których znaleźliście w Zamku

Bierzgłowskim.

- Nie zgrywaj bohatera, bo to się naprawdę źle skończy!
- Nieźle ci to wychodzi.
- Co?
- Udzielanie rad. Zaczynaj pisać do „Pani Domu”.
- A ty koniecznie chcesz być w kronice kryminalnej?
- Koniecznie i natychmiast.
- Odwaliło ci?
- I sam ją napiszę. Jeszcze dziś. Bez odbioru.

12

– Przeżył pożar – zacząłem.

Weronika patrzyła przez boczną szybę.

Kompletnie nie wiedziałem, co jeszcze jej powiedzieć. Holtz faktycznie przeżył pożar, ale nie miał szczęścia dożyć spotkania z żoną. Już o tym wiedziała. Powstrzymywała się od płaczu, przygryzając dolną wargę.

Cisza.

– Dlaczego?

Wiedziałem, o co pyta, ale na takie pytania nie ma mądrych odpowiedzi.

– Dlaczego zamontowałaś ukrytą kamerę? – Włączyłem nawiew i siknąłem płynem na przednią szybę. Wycieraczki przetarły brud.

– Zmienił się po powrocie z Iraku. – Nika spuściła głowę. – Nie wiem, co się tam stało, ale na pewno nic dobrego.

– Zdradzał cię? – Nie było czasu na owijanie w bawełnę. Dojechałem do skrzyżowania i włączyłem migacz, poczekałem, aż będę mógł włączyć się do ruchu.

– Nie. – Pociągnęła nosem. – Okazało się, że nie. Wojtek ostatnio sporo czasu spędzał w tym domu. Mówił, że ma dużo pracy, spotykał się tam ze znajomymi. Nie wiem, co kręcił, ale kiedy zginął, pomyślałam, że pokażę ci te filmy, może kogoś rozpoznasz, coś skojarzysz...

Osuszyła chusteczka oczy, a ja czekałem na dalszą część.

– Potem okazało się, że sprzęt szwankował i nie wszystko udało mi się nagrać.

– Ale dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Bałam się. To wszystko mnie przerosło. Nie wiedziałam, jak zareagujesz. A potem było już za późno.

– Obejrzałem film, ale niewiele z niego rozumiem.

– Ja też.

– Zaraz! Przecież byłaś tam!

– Gdzie?

– No, na tym filmie!

– Zwariowałaś?

– No jak nie? Ta głowa w dole ekranu. – Wskazałem ręką w prawy dolny róg szyby, jakby to była matryca laptopa. – Wojtek potwierdził, że byłaś przy tej rozmowie.

– Nie!

Pociemniało mi w oczach. Mocniej ścisnąłem kierownicę. Które z nich kłamało?

– W takim razie kto?

– To ty nie wiesz?

– Czy pytałbym, gdybym wiedział? – zezłościłem się.

– Byłam przekonana...
– Kto?! – Krew pulsowała mi w skroniach.
– To przez to, że nie zgrały się te wszystkie cholerne filmy. Na nich widać ją doskonale.
– Kogo, do jasnej cholery?! – wrzasnąłem, chociaż coraz bardziej czułem, że nie chcę znać odpowiedzi.

Wpatrywałem się w jezdnię i czekałem na cios. To jak ten moment w ringu, kiedy na chwilę opuszczasz gardę i już wiesz, że przeciwnik wykorzysta twój błąd celnym trafieniem.

– O Boże – odpowiedziała, zasłaniając sobie usta. – Tam była twoja siostra.

13

– Co robiła tam Paulina? – spytałem bardziej siebie niż Nikę. Do tej pory myślałem, że porwali ją tylko po to, by odegrać się na mnie.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Pytałaś Wojtkę?

– Tak.

– I co mówił?

– Że to są stare sprawy i nie mam się martwić.

– Miedzińską rozpoznałaś?

– No jasne, pamiętałam ją z dawnych czasów, były jak papużki nierozłączki z Pauliną.

– A osoba poza kadrem?

– Wtedy jeszcze go nie znałam.

– Butrycha, tak? To był on? – Nie miałem wątpliwości.

– Mhm.

Wszystko zaczynało się układać w zgrabną całość.

Minęliśmy plac budowy kościoła ojca dyrektora i łagodnym łukiem wjechaliśmy w dwupasmówkę.

– Nie układało się między wami?

– Ostatnio nie.

– Ostatnio?

– Rok, a może i dwa. Poza tym sprzeczałyśmy się o kasę. On chciał za wszelką cenę wyremontować ten dom po wujku, ja byłam przeciwna. Dzieci nie mieliśmy, mieszkanie nam by wystarczyło – stwierdziła i zatopiła się w myślach. – Powiesz mi wreszcie, co się stało? Czego się dowiedziałeś?

– Później – odparłem. – Co ci powiedziała Miedzińska?

– Chciałam pogadać o tym filmie, ale dziwnie się zachowywała. Była spięta. Jakby się czegoś bała. Nie chciała mnie wpuścić. Potem zrobiła mi karczemną awanturę o to nagranie i wywalila za drzwi.

– I nic nie powiedziała?

– Bąknęła tylko, że to jej wina, że to wszystko przez nią.

Jej wina, powtórzyłem w myślach.

Ludzie Butrycha musieli śledzić Nikę i skorzystali z okazji, by zrzucić na nią winę za zabójstwo Miedzińskiej.

Nie odezwałam się już słowem. Zaparkowałem pod blokiem. Nie powiedziałem jej o tym, co się stało z Agnieszką, ani że dorwali moją siostrę.

– Powiedz wreszcie, o co chodzi – spytała, gdy chwyciłem za klamkę.

Cofnąłem rękę i oparłem się. Krople deszczu spływały po przedniej szybie, rozmazując

świat.

- Dziesięć lat temu, gdy pojechaliśmy w góry, stało się coś złego.
- Jezu, jesteś opętany... Ty znowu o tym. – Odwróciła się do bocznej szyby.
- Chcesz wiedzieć?
- Wojtek nie uderzył Pauliny!
- W takim razie wiesz więcej ode mnie – stwierdziłem zrezygnowany.
- Nie wiem. Wiem tylko, że Wojtek powiedział kiedyś, że ta sprawa się wyjaśni. I że on nie jest niczemu winien.

„Paulina prosiła mnie o pomoc” – brzmiały ostatnie słowa Holtza.

A jeśli tak było naprawdę. Jeśli faktycznie to nie on pobił Paulinę?

– Pamiętam, że przed naszym wyjazdem w góry Miedzińska dostała ofertę pracy jako hostessa na balu sylwestrowym w Kosmosie – powiedziałem.

– Ja też to pamiętam, bo namawiała Paulinę. Twoja siostra pytała mnie, czy powinna skorzystać z okazji.

– A niedługo potem Miedzińska założyła fundację. Pomagała ofiarom gwałtów.

– Kto organizował ten bal? – spytała Nika.

– Nie wiem... – Łomotało mi w skroniach. – Ale wiem, kto dał kasę na założenie fundacji.

Nika spojrzała na mnie.

– Chojnicki – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

– Ten były prezydent? – Nie mogła uwierzyć. – Jezus Maria...

Puzzle wskoczyły we właściwe miejsca. Przed oczami miałem teczkę i kasę, które wyjąłem z szafki numer 77. W teczce była obdukcja Agnieszki Miedzińskiej: „rana darta sromu”, „podbiegnięcia krwawe na przyśrodkowej powierzchni ud”, „ślady nasienia”, „ślady ugryzień okolicy piersi”, „ślady ugryzień obu brodawek”. Wszystko zaczynało pasować.

– Czyli że za tym wszystkim stoi Chojnicki. – Nika podsumowała moją opowieść.

– No jasne.

– Ale czegoś tu nie rozumiem. Przecież Chojnickiemu to nic nie da, Miedzińska musiała zrobić kopie tych materiałów. Poza tym może zwyczajnie założyć mu sprawę w sądzie – stwierdziła. – Wiesz co? Jedźmy do niej.

– Może, ale ona... – ugryzłem się w język. – Wyjechała.

– Cholera! – W głosie Niki brzmiał zawód. Chciała wysiąść z samochodu, ale zatrzymała się. – A dlaczego sprawa wypłynęła teraz?

– Nie wiem. Fundacja była jedynym źródłem utrzymania Miedzińskiej. Ostatnio nie otrzymała kilku grantów, pewnie za bardzo bruździła miastu. Marszałek też się od niej odwrócił. Pozostały tylko dotacje ogólnopolskie, a tu jest spora konkurencja. Przegrywała konkurs za konkursem. Może Miedzińska złożyła Chojnickiemu ofertę nie do odrzucenia, a ten nie mógł dopuścić do takiego skandalu, skoro za chwilę miał ogłosić, że będzie kandydatem na prezydenta miasta.

– Miał wykupić papiery?

Pokiwałem głową

– A Wojtek? – spytała. – Co Wojtek miał z tym wspólnego?

– Przypuszczam, że Paulina chciała pomóc przyjaciółce i wmieszała w to Wojtka.

– Ale dlaczego zwróciła się do niego, a nie do ciebie?

Zabolało.

– Nie pytaj. – Daremnie próbowałem ukryć rozgoryczenie.

Wojtek na pewno miał motywację. Potrzebował pieniędzy na remont domu. Tylko czy były żołnierz, facet z zasadami, porwałby się na taką robotę?

Ulewa zaczęła słabnąć.

– Chodź – powiedziałem, otwierając drzwi samochodu.

Przebiegliśmy pod dach klatki schodowej.

– Dokąd idziemy? – poprawiła włosy.

– Zaraz się dowiesz.

Zadzwoiłem domofonem i przedstawiłem się. Zabrzęczało. Pociągnąłem drzwi i puściłem Nikę przodem.

– Które piętro?

– Drugie – odpowiedziałem, wchodząc za nią po schodach. – A reszta filmów? Masz coś jeszcze? Coś, co mogłoby rzucić więcej światła?

– Interesujące były tylko z tego spotkania. Pozostałe zgrałam na płytę na wszelki wypadek i trzymam w ukryciu. Nie chciałam, żeby Wojtek się o nich dowiedział.

– Pewnie schowałaś ją pod łóżkiem – palnąłem, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Byłeś u mnie? – odwróciła się. Jej brwi niemal zetknęły się ze sobą.

– Zwariowałaś! – zachnąłem się. – Ale tak właśnie bym zrobił. Pod łóżkiem nikt by jej nie szukał. A ty gdzie ją schowałaś?

14

Herbata parowała.

Siedziałem w mieszkaniu, które mogło służyć za muzeum wystroju lat osiemdziesiątych. Jasna meblościanka z ciemnymi, błyszczącymi frontami, barkiem zamykanym na kluczyk oraz przeszkloną witryną pełną porcelany i kryształów. Na półkach i ławie leżały białe dziergane serwetki, na podłodze dywan, koniecznie w symetryczne wzory. Do tego brązowa kanapa, dwa fotele z drewnianymi podłokietnikami, telewizor gruby jak szafa i też przykryty serwetką, a na nim niewielki wazonik ze sztucznym kwiatkiem.

Wyłowiłem ze szklanki torebkę, wsypałem trochę cukru i zamieszałem.

Chociaż było tu ciepło, cały czas miałem gęsią skórę.

Spojrzałem na teściową. Bez słowa siedziała na skraju fotela. Plecy proste, kolana złączone, dłonie splecione na podolku. Czekala. Cisza, której potrzebowałem, wyraźnie zaczęła jej przeszkadzać. Wreszcie chrząknęła.

– W co ty się wpakowałaś? – spytała szeptem. – Najpierw ten grubas, który omal nie złamał mi ręki, teraz to.

Nie odpowiedziałem. Sięgnąłem po herbatę, ale sparzyłem sobie usta. Potem spojrzałem w stronę korytarza.

– Co z nią będzie?

Machnęła ręką.

– Mam nadzieję, że nic. Ale musi ją obejrzeć lekarz – stwierdziła. – Opatrzyłam, co trzeba, teraz niech śpi, jest wycieńczona.

Odetchnąłem głęboko i podziękowałem. Zesztywniała.

– Nie, spokojnie. Nic mnie z nią nie łączy – zapewniłem. – Nie licząc przeszłości.

– To twoja sprawa, ale wpakowała cię w niezłe kłopoty. – Wyczułem w jej głosie złość.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Jutro wszystko ci opowiem – obiecałem.

Pokiwała głową bez entuzjazmu. Jutro będzie futro.

Położyłem ręce na torbie, którą cały czas trzymałem na kolanach.

– Muszę to gdzieś przechować.

– Rozumiem, że jeśli zapytam, co to jest, to...

– Jutro, mam. Proszę.

Zadzwoił mój telefon. Z trwogą sięgnąłem po aparat. Teściowa wyciągnęła rękę po torbę. Dałem znak, że jeszcze nie teraz. Sam chciałem ją gdzieś upchnąć. Najlepiej tak, żeby jej nie kusilo.

Spojrzałem na wyświetlacz i przewróciłem oczami. Stacjonarny z redakcji.

– Kuźwa, Mareczku, gdzie ty jesteś? – odezwała się Dymajka. – Ty w ogóle wiesz, że jutro wydajemy gazetę?

Teściowa przeszła do kuchni, wzięła taboret i zniknęła w przedpokoju.

– Będę w redakcji za dziesięć minut – odpowiedziałem.

– Pośpiesz się. Nie ma żartów. Myślałam, że o tej porze zobaczą już kilka stron.

– A co ty tam robisz? – Wystraszyłem się, że Majka może mi popsuć plan, jeśli jednak zamierzała spędzić popołudnie przy robieniu gazety.

– Wpadłam tylko zostawić ci dwa teksty na pendrivie. Jeśli będziesz miał dziury, to możesz je wykorzystać. Zaraz uciekam, gazetę zobaczę już zdalnie.

Uspokoilem się.

– Szlachetnie, ale muszę już kończyć – bąknąłem.

– Poczekaj, kuźwa! Co z Miedzińską? Dajesz jutro na pierwszą stronę?

– No jasne.

– Jednak zabójstwo?

– Nieoficjalnie tak.

– Dżizas, kuźwa, to koniecznie daj to na jedynekę – pouczyła mnie, jakbym gazetę robił od wczoraj.

– Kończę. Trzymaj się.

Wstałem i przerzuciłem torbę przez ramię.

– Mamo? – Wychyliłem się do korytarza. Teściowa stała na taborecie i jak się domyślałem, robiła miejsce na moją torbę w pawlaczu nad drzwiami wejściowymi.

– Potrzyj to. – Podała mi karton, ale wciąż mówiła szeptem, by nie zbudzić śpiącej w pokoju obok Niki.

Wziąłem lekki pakunek i odstawiłem na podłogę. Podniosłem torbę.

– Poczekaj – poprosiła.

Przestawiła pękata reklamówkę na wyższą półkę, a potem odebrała ode mnie torbę, wsunęła ją i zamknęła drzwiczki. Podałem jej rękę, żeby bezpiecznie zeszła.

– Dzięki – powiedziałem.

– Idź już i uważaj na siebie. – Zabrała taboret i wycofała się do kuchni.

W drzwiach redakcji minąłem się z Krzychem Smulskim. Opowiedział mi o zbiorówce na temat inwestycji, którą przygotował, i że Rak miał wypadek samochodowy. Niedawno dzwoniła do redakcji matka chłopaka. Udałem najlepiej, jak tylko umiałem, że nic na ten temat nie wiem, na szczęście wcześniej oddzwonił dyżurny i przekazał, że Rak wybudził się ze śpiączki. Odetchnąłem wtedy pełną pierśią. Skakałem z radości, chociaż wciąż jeszcze nie było jasne, jakie będą konsekwencje tego wypadku. Było za wcześnie, by cokolwiek prognozować. Najważniejsze jednak, że Radek przeżył.

Odpaliłem komputer, nasypałem kawę do dwóch kubków z brązowym osadem. Nie miałem czasu na mycie naczyń. Musiałem zrobić sześć stron, w tym jedynekę z zająwkami i prognozą pogody. Na szczęście sport był już gotowy. Gdy zadzwonił domofon, wybiła siedemnasta.

– To ja! – usłyszałem głos Aldony Terleckiej, naszej stażystki. Musiałem ją wezwać, bo sam nie dałbym dziś rady wszystkiego zrobić. Na szczęście nie oponowała, jej numer otrzymałem SMS-em od Dymajki. Kiedy weszła, powiedziałem, co ma zrobić, i ustawiłem kawę na jej biurku. Podziękowała.

Sam sięgnąłem po pendrive Majki i podłączyłem do komputera. Z niebieskiej teczki z napisem „reklama” wyciągnąłem spis reklam, ogłoszeń i nekrologów, które musiałem ściągnąć z serwera na ustalone strony. Zacząłem od tego. Na dwójkę, w lewym dolnym rogu, wkleiłem dwa nekrologi, które ładnie ustawiły się na stronie w kostkę. Dopełniłem stronę czołówkowym tekstem Dymajki, a na dole wrzuciłem dwie zaległości: wywiad z szefem zarządu dróg na temat budowy mostu oraz osobną wypowiedź radnego. Kolejne strony poszły łatwiej. Czasami miałem jakieś luki, ale udało mi się uzupełnić je zapowiedziami na nadchodzący tydzień albo informacjami od policji i strażaków. Aldona też uwijała się z robotą. Pracowała cicho, nie pytała o nic. Układała teksty na

stronie, a gdy skończyła, podeszła z wydrukiem. Znowu bosy. Tym razem jednak zmieniła kolor paznokci. Błyszczały na granatowo, tak jak jej biżuteria. Zaakceptowałem, więc powiesiła kartkę na ścianie.

Na jedyne nie zmieniałem już wiele. Zostawiłem przygotowane wcześniej zdjęcie i dopisałem kilka zdań do tekstu o Miedzińskiej. Część wymyśliłem, resztę podkoloryzowałem. Wszystko po to, żeby Dymajka klepnęła tekst bez mrugnięcia okiem. Miała parcie na sensację. Trup na pierwszej stronie odpowiadał jej pojęciu misji gazety miejskiej dla ludzi i przy ludziach.

Powiesiłem wszystkie strony na ścianie, a potem przymknąłem oczy. Cała robota zajęła mi kilka godzin. Byłem wyczerpany, ale to wcale nie był koniec.

Złapałem za słuchawkę telefonu stacjonarnego, a następnie odjechałem fotelem od biurka i wyprostowałem nogi. Pielęgniarka, która odebrała połączenie, nie udzieliła mi żadnych informacji o siostrze, powołując się na ochronę prywatności. Nerwy mi puściły. Wyzwałem ją, chociaż była Bogu ducha winna. Powinienem natychmiast pojechać do szpitala, ale nie mogłem. Nie teraz. Z komórki zadzwoniłem do teściowej. Zamieniłem z nią parę słów. Wiedziałem już, że ten dzień trudno będzie zaliczyć do udanych.

– Wyszła? – Mogłem się tego domyślić. – Tak po prostu?

– Tak. Podziękowała za pomoc i wyszła.

– Dokąd?

– Skąd mam wiedzieć? Nie mówiła.

Wysłałem SMS-a do Dymajki, że może już zerknąć na PDF-y. W oczekiwaniu na jej błogosławieństwo sparowałem wszystkie strony i byłem gotowy do wysłania plików do bydgoskiej drukarni.

Zamiast odpowiedzieć zadzwoniła.

– Stary, ale pojechałeś! – zachwycała się. – Jutrzejsza gazeta zrobi wielkie łał!

Podzielałem jej zdanie, ale z zupełnie innego powodu.

– No to opowiadaj o tym zabójstwie – zachęcała.

– Majka, nie teraz, muszę jeszcze sparować strony i wysłać wszystko do Bydgoszczy. Mieli tam jakąś awarię i dzwonili, że chcą naszą gazetę wypuścić wcześniej – skłamałem.

– Niech spierdzielają na drzewo, kuźwa! Zaraz do nich zadzwonię.

– Nie dzwoń! Gazeta jest złożona, sport cały gotowy, możemy się drukować. A słyszałaś o Raku? – zmieniłem temat.

– Nie. A co z nim?

Opowiedziałem.

– Co ty gadasz?! – odezwała się po chwili, nie do końca pewna, czy to nie kiepski żart.

– Sam w to nie wierzę, mam tylko nadzieję, że z tego wyjdzie. – Tym razem mówiłem prawdę. Znowu przed oczami miałem zakrwawionego Radka, uwięzionego w kupie złomu.

– Jak to... co się...

– Wypadek samochodowy. Tylko tyle wiemy – przerwałem jej.

– Chryste! Skąd?

Nie musiałem kłamać. Powiedziałem jej, że Smulski odebrał telefon od matki Raka.

– Nie mogę w to uwierzyć. Serio. – W jej głosie brzmiał prawdziwy smutek.

Wymieniliśmy jeszcze kilka uwag, aż wreszcie Dymajka doszła do zagadnień kluczowych i strategicznych – musimy poszukać nowego fotografa. Przynajmniej na czas leczenia Raka. Odechciało mi się z nią gadać.

– Jutro do tego wrócimy. Zabieram się za wysyłkę stron do drukarni.

– Dobra, wysyłaj. Do jutra. A, i jeszcze jedno.

– Tak?

– Pamiętasz, że Rudnik odbiera jutro nagrodę od marszałka? Dałeś to gdzieś?

– Dałem. Na trójce, na pasku. I ze zdjęciem.

Odłożyłem aparat i znowu zabrałem się do pracy. Komplet materiałów przekopiowałem do foldera FTP drukarni, a potem wysłałem mail, że gazeta skończona.

Ale wcale tak nie było.

– Przydam się jeszcze? – Aldona stanęła przy moim biurku.

Spojrzałem na nią.

– Przydasz się, jeśli lubisz ryzyko. To nie jest robota dla mięczaka. – Byłem śmiertelnie poważny. – Bo jutro nie będzie normalnie.

– Nie rozumiem.

– Odkryłem szambo, w którym wykąпали się ludzie ze świecznika.

– Chyba nie pierwszy raz. – Uśmiechnęła się.

– Pewnie nie, ale to będzie dynamit.

– I co w takim razie mam zrobić?

– Poczekać. A potem wybierzemy się na przejażdżkę. Pasuje? – Nie wiem, czy dobrze zrobiłem. Może w ten sposób złamię nie tylko swoją karierę, ale wykluczę dziewczynę z zawodu, jeszcze zanim zostanie etatową dziennikarką.

A jednak zgodziła się bez wahania. Przeszła do pokoju socjalnego, a ja patrzyłem na jej smukłe stopy.

Gdy zniknęły, z trudem przeniosłem wzrok na ekran. Długo szperałem w internecie, i to z całkiem dobrym skutkiem. Znalazłem wiele ciekawych informacji. Wreszcie mogłem kliknąć w ikonkę pliku zawierającego pierwszą stronę jutrzejszego wydania „Miejskiej”. Pół godziny zajęło mi przekreślenie wszystkiego, co osiągnąłem w tym zawodzie.

Plik zapisałem na pendrivie Dymajki i wyjąłem go z komputera. Przyjrzałem mu się. Widziałem już gdzieś ten napis reklamowy. Wiem! W teczce, w której znalazłem obdukcję. Były tam zdjęcia z gazety. Bal sylwestrowy w Kosmosie, 2002 rok. Ten napis wisiał na ścianie przyozdobionej balonikami.

Wsunąłem pendrive do kieszeni. Zerknąłem na zegarek. Było po dwudziestej drugiej.

Rudes.

Aldona zrobiła kawę i usiadła obok mnie. Poczulem zapach jej perfum. Delikatny, lekki.

Mieliśmy jeszcze czas. Wpisałem nazwę firmy w wyszukiwarkę. Wskoczył link do strony internetowej i kolejny do Krajowego Rejestru Sądowego. Kliknąłem w ten pierwszy. Otworzyła się strona przedsiębiorstwa zajmującego się produkcją poliestru. W zakładce „O nas” nie znalazłem nic ciekawego, żadnych informacji poza pierdołami, które można przeczytać na każdej witrynie. W „Kontakt” to samo. Wróciłem więc do wyników wyszukiwania i odpaliłem link do KRS-u.

Poczulem skurcz żołądka. Wiedziałem już, kto był właścicielem spółki.

Rudnik Stanisław. RudeS.

– Nasz szef? – Aldona przerwała ciszę.

Nie skomentowałem.

Musiałem już wcześniej trafić na tę nazwę, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Jedno nie dawało mi spokoju. Co z Chojnickim? Wpisałem jego nazwisko wraz z nazwą firmy do wyszukiwarki. Zero trafień. Zrobiłem różne konfiguracje słów i dat, niestety na próżno. Zadzwoiłem do Kuli. Jeśli ktokolwiek mógł mieć informacje w tej sprawie, to był to najlepszy adres. Odebrał po szóstym sygnale, kiedy właściwie zamierzałem się rozłączyć. Wyjaśniłem mu, o co chodzi.

– No stary, mówiłem ci, ale nie chciałeś słuchać o starych dziejach.

– Nie widzisz tego, ale biję się w piersi.

Zaśmiał się.

– Wierzę na słowo – odezwał się, po czym przeprosił mnie i przez chwilę tłumaczył komuś, gdzie jest pilot od telewizora. – Już jestem. No więc, jeśli dobrze pamiętam, Chojnicki odchodząc z urzędu w 2002 roku, nieźle się zabezpieczył. Sprzedał Rudnikowi za przysłowiową złotówkę miejską działkę na wylocie na Lubicz i tym samym przyklepał budowę fabryki poliestru należącej do Rudnika. Transakcja była wiązana. Chojnicki przeczuwał, że przetrznie wybory, bo kiedy wyleciał z ratusza, to gdzie znalazł robotę?

– W Rudesie. To o tę działkę chodziło?

– Nie, ta, o której mówiłeś ostatnio, wciąż jest w rękach miasta. Ale, i to jest ciekawe, sąsiaduje z fabryką Rudes. Przydałaby się Rudnikowi, gdyby zamierzał rozwinąć biznes.

No jasne, pomyślałem.

– Przerzuć na mecz! Na sport! – wydarł się w słuchawkę. – Sorry, to nie do ciebie. Ale wróćmy do tematu. Chojnicki został dyrektorem Rudesu, dopiero po kilku latach odszedł do spółdzielni na Rubinkowie. Pamiętam nawet, jak na sylwestra w 2002 roku zorganizował bal charytatywny w Kosmosie, jeszcze jako dyrektor Rudesu. A mnie, żółtodzioba, wysłali tam na robotę. Fotki strzelałem i jakiś tekst z tego nawet powstał.

– Byłeś tam?!

– A jakże.

– Czy wydarzyło się wtedy coś dziwnego?

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, coś, co mogło przykuć twoją uwagę. – Nie chciałem niczego sugerować.

– Jedyne, co kojarzę, to żarcie. Stary, czego tam na stołach nie było!

Po natchnionej przemowie o kruchej wołowinie w boeuf strogonowie obiecałem Kuli, że jeszcze się do niego odezwę w sprawie zdjęć z Kosmosu. I tekstu też. Mówił, że jeśli zdarzy się prawdziwy cud, to może coś odnajdzie. Nie rozbudzałem więc w sobie wielkich nadziei.

Jednocześnie pomyślałem, że na balu charytatywnym być może więcej osób robiło zdjęcia.

Wpisałem zatem w wyszukiwarkę: „sylwester 2002/2003 hotel kosmos rudes”. Kliknąłem w grafikę. Ekran zalały zdjęcia. Część zupełnie od czapy, ale kilka z nich widziałem wcześniej w teczce z obdukcją. Inne oglądałem pierwszy raz. Przedstawiały wyprostowanego jak struna Chojnickiego przy mikrofonie, tańczące pary, uginające się od jedzenia stoły.

– A ten to były prezydent, nie? – Aldona znowu próbowała zagaić rozmowę.

Jeszcze nie teraz. Pogadamy w drodze, pomyślałem.

Na jednej fotce zauważyłem stojącą pod ścianą hostessę. Zdjęcie nie było wyraźne, a powiększenie nic nie dało, bo obraz zupełnie się rozmywał. Nie mogłem rozpoznać, czy była to moja siostra, czy ktoś inny.

Raz jeszcze otworzyłem plik zawierający jedynekę jutrzejszego wydania „Miejskiej”.

Wprowadziłem zmiany i zapisałem dokument na pendrivie Dymajki.

Spojrzałem za okno. Noc.

Idealna pora, by wybrać się do bydgoskiej drukarni.

– Zbieraj się. Jedziemy.

Zanim nacisnąłem guzik domofonu, ustaliłem z Aldoną, co ma robić.

Gdy odezwał się zaspany głos, przedstawiłem się i powiedziałem, co mnie sprowadza.

Pomarańczowa barierka ruszyła w górę. Przejechałem pod monstrualnym zadaszaniem łączącym halę drukarską z niskim biało-szarym biurowcem po prawej stronie. Weszliśmy na piętro do pokoju grafików. Zapach pomarańczy był obezwładniający. W pomieszczeniu znajdowało się kilka stanowisk, ale tylko przy jednym ktoś siedział. Ekran komputera mrugał, na talerzyku połyskiwał obrany owoc.

Pokazałem łyseму, szczupłemu facetowi pendrive. Za Chiny nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia, chociaż byłem pewien, że już gdzieś się poznaliśmy. Pewnie na jakimś szkoleniu. Powiedziałem, co mnie sprowadza.

– To było jechać aż z Torunia, żeby jedną stronę dowieźć? I to jeszcze z obstawą. –

Popatrzył na Aldonę i poprawił okulary w wąskich, czarnych oprawkach. – Dziś świat zamiast asfaltowych dróg woli światłowodów. Mniej wypadków.

– Ale nie mniej wpadek – zażartowałem, a on przytaknął. – Cała sieć nam padła, a sprawa jest zbyt ważna, żeby odpuścić. Jeśli tego nie damy jutro, to szef nam urwie jaja. Przy samej szyi.

– Szacun za poświęcenie. – Pokiwał z podziwem głową i ściszył głos. – Bo u nas na kilometrówkę nie miałbyś co liczyć.

– Uchowaj Boże! U nas też jej nie dostanę. Zresztą na co mi się przyda, jeśli jutro wylecę z roboty.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– No, jeśli nie podmienię strony – wyjaśniłem Darkowi. Wreszcie przypomniałem sobie jego imię.

Darek włożył do ust cząstkę pomarańczy i podsunął nam talerz, ale podziękowałem, chociaż cytrusowy zapach kusił i pobudzał ślinianki. Aldona się poczęstowała.

Darek, mając pełne usta, wytarł dłonie o spodnie, a następnie wsunął urządzenie do portu komputera.

– Podmień mi jedynek, okej?

– Ej! – Odwrócił się w moją stronę. – Nie mówiłeś, że chodzi o jedynek.

– A co to za różnica?

Sięgnął po zeszyt, który miał z boku biurka i zaczął wertować strony.

– Muszę zadzwonić do waszej naczelnej.

Aldona przysunęła się do niego i wyjęła swój telefon z torebki. Drugą ręką sięgnęła po pomarańczę.

– Dzwon śmiało, zaraz odbiorę – powiedziała z pełnymi ustami.

– Nie czaję. – Uśmiechnęła się głupio, patrząc to na mnie, to na nią.

Wzruszyłem ramionami.

Aldona grała dalej.

– Dymajka wyleciała dziś z roboty. Prezes Rudnik na porannym kolegium powierzył mi jej obowiązki i przekazał jej telefon. Więc dzwoń. Pogadamy sobie. – Odśloniła zęby w uśmiechu.

– W takim razie przedzwonię do Rudnika. – Służbista zerknął do zeszytu, a potem sięgnął po słuchawkę i zaczął wystukiwać numer.

Przygryzłem policzek. Za chwilę cały plan runie.

Aldona wychyliła się w stronę aparatu i przerwała połączenie. Była spokojna, opanowana. A przynajmniej na taką wyglądała. Oparła się pośladkami o blat biurka i skrzyżowała ramiona. Darek zastygł ze słuchawką przy uchu.

– Jest późno, a ty nie masz dziś dobrego dnia, skoro nie chwytasz, co mówię. Prezes Rudnik nie lubi, kiedy się go budzi w błahych sprawach dotyczących jednego z jego licznych interesów. On się nie zajmuje pierdołami. Od tego ma kompetentnych ludzi. Innych się pozbywa. Widziałam dziś rano, w jaki sposób to robi, ale mogę obejrzeć jutro jeszcze raz. Bo chyba nie muszę ci przypominać, że w tej drukarni też ma udziały? – Aldona dotknęła ekranu swojej komórki. Czegoś w niej szukała. – Ale okej. Chcesz dupochron, to będziesz go miał.

Przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Oby prezes miał dobry humor. – Mrugnęła do niego.

– Dobra, spoko, nie przesadzaj. – Darek potarł dłonie.

– Za późno.

– Ej, no przestań już. – Darek zaczął panikować.

– Myślisz, że możesz walić mi na ty, jak do jakiejś siksy na dyskotecę? – Zgromiła go wzrokiem.

– Przepraszam – bąknął. – Niech pani się rozłączy.

– Jesteś przekonany? Bo szef zaraz odbierze i będziesz mógł mu zawracać dupę jedyneką w „Miejskiej”, której jeszcze nawet na oczy nie widziałeś.

– Tak, jestem przekonany!

Aldona rozłączyła się w chwili, gdy w kieszeni spodni zaczęła wibrować moja wyciszona komórka. Niepostrzeżenie oddzwoniłem do niej.

– Panie Marku, pan wyjaśni, o co nam chodzi. I błagam, zróbmy to szybko. – Odeszła od biurka i usiadła w kącie w fotelu przy niskim szklanym stoliku. Nie oderwała wzroku od telefonu.

Darek uruchomił program, w którym zobaczyłem sparowane strony „Miejskiej” przygotowane do druku. Kiedy zadzwonił telefon Aldony, struchlał.

– Tak, szefie, dzwoniłam, miałam przejściowe problemy w drukarni w Bydgoszczy, ale sprawa opanowana. Do jutra.

Widziałem, jak chłopak odetchnął.

Wyrzucił pierwszą z tekstem o zabójstwie Miedzińskiej, a w jej miejsce wkleił nowy plik z pendrive'a i połączył z ostatnią stroną jutrzejszego wydania gazety.

– Gotowe.

Nie ruszyłem się z miejsca.

– Pani Aldona, wydruki też zabieramy? – zapytałem, patrząc na Darka.

Pobladł.

– Wydruki? – jęknął. – „Miejska” czeka w kolejce. Będzie gotowa dopiero za dwie godziny.

Aldona popatrzyła w naszą stronę i postukała palcem w zegarek.

– Niestety nie mamy tyle czasu.

15

Wyjeżdżaliśmy z Bydgoszczy z poczuciem dobrze wypełnionego dziennikarskiego obowiązku.

Gazety, jeszcze ciężkie i mokre od farby, leżały na desce rozdzielczej. Kiedy włączyłem ogrzewanie, specyficzny zapach druku rozszedł się we wnętrzu. Patrzyłem na „Miejską” i cieszyłem się mniej więcej tak samo jak dziesięć lat temu, kiedy zobaczyłem w niej swój pierwszy tekst o remontach tramwajów.

Pierwszy raz od dawna wiedziałem, co mam robić.

Droga do Torunia minęła spokojnie, nie licząc idioty w berlingo, który w Złejwsi Wielkiej wyprzedził mnie na ciąglej.

Było krótko po czwartej. W radiowej Jedynce puszczała arie operetkowe. Żeńskie głosy wchodziły na wysokie tony. Ściszyłem muzykę, zatrzymałem się na stacji i zamówiłem dla nas kawę. Aldona wykonała kawał dobrej roboty. Pośmialiśmy się przez chwilę z miny Darka, a potem ruszyliśmy dalej. Nie pytała o to, co będzie na pierwszej stronie. Spełniła moją prośbę bez mrugnienia okiem, chociaż wiedziała, że długo w „Miejskiej” nie pociągnie.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez centrum Torunia, poprosiła, żebym się zatrzymał, i wysiadła.

– Dzięki, Aldona – zdążyłem powiedzieć, nim zatrzasnęła drzwi.

Chwilę później zaparkowałem wóz na Rubinkowie i zgasiłem silnik, opuściłem oparcie fotela i wyciągnąłem się, chowając stopy pod pedały. Mogłem pojechać do domu i wyspać się jak człowiek, ale zależało mi na tym, by Chojnickiemu zrobić nagłą pobudkę z samego rana. Przymknąłem więc na chwilę powieki. Nie powiniennem zasnąć, ale zdążyłem tylko zobaczyć, jak szyby zachodzą parą. Światła latarni rozpląnęły się miękko i utworzyły duże koła. Po chwili moje ciało dryfowało na wodzie.

Śniła mi się Paulina i Weronika, obie nachylały się nade mną i mówiły coś, czego nie mogłem zrozumieć. Dotykały zimnymi rękoma moich policzków i czoła. Obserwowałem, jak przymykają powieki, ich ciała powoli nieruchomieją, usta sinieją, a na twarze wypełza szron. Były martwe.

Nagle obie szeroko otworzyły oczy.

PONIEDZIAŁEK

28 października 2013 roku

1

Obudziło mnie przeraźliwe, lepkie zimno. Usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek i zapuszczanie

silnika. Szyby były zaparowane i pokryte szronem.

Porzuciłem myśli o siostrze i Weronice i skupiłem się na działaniu.

Sięgnąłem po gazetę i trzęsąc się, wysiadłem z auta. Szare chmury zawisły nisko nad ziemią, z trudem rozpoznałem, gdzie jestem. Pognałem do ukrytej we mgle klatki schodowej. Ze spaceru z jamnikiem wracała trzydziestolatka z długimi blond włosami i w dżinsach tak obcisłych, że nie musiałem zgadywać, jakie nałożyła majtki. Otworzyła drzwi, zdążyłem doskoczyć i złapać je, nim się zamknęły. Wszedłem na klatkę i stanąłem obok niej. Czekaliśmy na windę, która nie nadjeżdżała. Laska w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. Zrezygnowana westchnęła i bez słowa wzięła psa na ręce. Ruszyła schodami.

Chciałem pójść w jej ślady, ale winda właśnie nadjechała. Nie myślałem o tym, co stanie się za chwilę. Piętra przesuwają się powoli, a ja walczyłem ze stresem. Spojrzałem raz jeszcze na czołówkę gazety.

Nie żyje prezeska Fundacji MdM. Zdaniem policji doszło do zabójstwa Gwałciciel wraca po latach
Tekst: MAREK BENER

Zdjęcie: RADOSŁAW RAK

Młoda społeczniczka już nie wytknie błędów obecnej władzy. Nie pokaże się ze słynnym klaserem, do którego wklejała sądowe pozwы, i nie skomentuje wygranych batalii z urzędnikami. W niedzielę wieczorem ciało znanej torunianki, Agnieszki Miedzińskiej, znaleziono na trawniku przed jej blokiem.

– Ustalamy, czy kobieta popełniła samobójstwo, czy ktoś przyczynił się do jej śmierci – mówi oficer z wydziału kryminalnego toruńskiej komendy.

To oficjalna wersja. Z naszego śledztwa wynika jednak, że policja dokładnie wie, co stało się w mieszkaniu na dziewiątym piętrze przy ul. Gagarina, które zajmowała Miedzińska. O żadnym samobójstwie nie może być mowy. Okazuje się, że prezeska fundacji Miasto dla Mieszkańców drugi raz padła ofiarą swojego kata sprzed lat. „Gazeta Miejska” dotarła do dokumentów, z których wynika, że podczas balu sylwestrowego z 2002 na 2003 rok w nieistniejącym już hotelu Kosmos kobieta została brutalnie zgwałcona. Potwierdza to obdukcja lekarska, którą Miedzińska od dawna trzymała w szachu oprawcę. Kto nim jest? Wszystko wskazuje na to, że to znany toruński polityk, obecny na samorządowej scenie także i dziś. Sami często o nim pisaliśmy. Czy zabójstwa dokonał własnymi rękoma? A może ktoś działał na jego zlecenie? To są pytania, na które muszą odpowiedzieć toruńscy śledczy. W naszej ocenie chodzi jednak o tę drugą możliwość.

Sąsiedzi społeczniczki, do których dotarła „Gazeta Miejska”, twierdzili, że tuż przed tragedią Miedzińską odwiedziła jej dawna znajoma. Podobno pokłóciły się. Dotarliśmy do tej kobiety. Potwierdziła, że doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, ale zdecydowanie zaprzeczyła, by miała jakikolwiek związek ze śmiercią prezeski fundacji. Jak twierdzi, rozstały się w zgodzie. Ponadto z informacji od niej uzyskanych wynika, że niedawno opisana przez nas śmierć mężczyzny w pożarze domu w Przysieku może mieć związek z zabójstwem Miedzińskiej.

Sprawa zatacza coraz szersze kręgi i na pewno będzie miała dalszy ciąg.

Wysiadłem z windy, położyłem gazetę na wycieraczce i zadzwoniłem do drzwi. Uchyliły się, kiedy ruszałem na parter. Zauważyłem w nich rozczochranego, ubranego w szlafrok Chojnickiego. Schylał się po „Miejską” i kątem oka zerknął w stronę windy, ale nie mógł mnie już dojrzeć.

Rolety były opuszczone, wewnątrz było ciemno i cicho.

Od kiedy rodzice wyjechali do Stanów, często tu przyjeżdżałem. Doglądałem ich domu i

wyjmowałem listy ze skrzynki. Skanowałem je i wysyłałem im mailem. Czasami zrobiłem jakieś porządki, włączałem ogrzewanie, żeby woda nie zamarzała w rurach. Teraz przyjechałem po rzeczy Pauliny. Skoro przez cały czas była w Toruniu, musiała się tu zatrzymać. Nie zdziwiły mnie zasunięte rolety, przecież się ukrywała.

Jeszcze zanim tu dotarłem, Chojnicki próbował dodzwonić się do mnie kilkadziesiąt razy. W końcu wysłał mi SMS-a: „Jestem niewinny”. Jacek Jankowski z policji również próbował się połączyć. Telefon był rozgrzany do czerwoności. Wyciszyłem go i wsunąłem do kieszeni.

Zajrzałem do każdego pokoju na parterze. Wszedłem na piętro. Dawny pokój Pauliny niewiele się zmienił od jej wyjazdu do Londynu. Na starej meblościance z biurkiem pośrodku straszyły wyblakłe już naklejki, a na ścianach wisiały wypłowiałe plakaty gwiazd i gwiazdeczek lat dziewięćdziesiątych. Na sofie leżał gruby koc z wizerunkiem lwa, obok na fotelu książka z zakładką. Na podłodze kipiała ciuchami niewielka torba sportowa.

Usiadłem. Łóżko zaskrzypiało.

Sięgnąłem po książkę i przekartkowałem ją. Czytałem słowa, czasem pojedyncze zdania, ale myślami byłem daleko stąd. Dotarłem do miejsca, w którym Paulina założyła zakładkę. Zwykłą, złożoną kartką z drukarki.

Bilet lotniczy. Patrzyłem na wydruk, gdy znowu zawibrował telefon. Tym razem postanowiłem odebrać.

– Coś ty, kuźwa, narobił! – wysyczała naczelną. – Szeryfem jesteś? Wolną amerykanek uprawiasz?!

– Poruszający tekst, co nie?

– Wylatujesz, kuźwa! Bez prawa powrotu! Jesteś skończony w tym zawodzie! Nie żyjesz! Masz dyscyplinarkę, rozumiesz to?! – wystrzeliwała słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Zaśmiałem się.

– Jesteś zabawna, Majeczko. Cholernie zabawna, kiedy się tak złościsz.

– Popitoliło cię, Bener!

– Buźka, pa! – Przerwałem połączenie.

Jej słowa nie zrobiły na mnie najmniejszego wrażenia. A może nawet przyniosły mi ulgę. Taką, jakiej spodziewałem się po podrzuceniu gazety Chojnickiemu. Tymczasem wychodząc od niego, zamiast ulgi cały czas czułem jakiś ciężar, który przygniatał mnie do ziemi. Treść SMS-a otrzymanego od Ryszarda dawała do myślenia. Musiałem gdzieś popełnić błąd. Nie było sensu czekać, aż Chojnicki przyzna się do winy. Nie robi tego, nawet jeśli miał coś za uszami.

Wrzuciłem książkę i ciuchy Pauliny do torby, z łazienki zabrałem jej szczoteczkę do zębów, pastę i inne kosmetyki.

Coś nie dawało mi spokoju.

Na OIOM-ie w Szpitalu Miejskim przy Batorego zapytałem niską i tęgą pielęgniarkę o Annę Rozenberg, bo pod takim nazwiskiem trafiła tu Paulina. Dowiedziałem się, że siostra została przeniesiona na internę. Podziękowałem i poszedłem w kierunku oddziału chorób wewnętrznych.

– Ale to nie jest Anna Rozenberg, redaktorze – zawołała za mną pielęgniarka. – Powinien pan to wiedzieć, skoro podaje się pan za jej brata.

Myśli kołatały mi się w głowie, odbijały jak echo moich kroków w szpitalnym korytarzu. Wreszcie zatrzymałem się przed drzwiami właściwego oddziału.

Sięgnąłem do torby po książkę i wyjąłem z niej bilet lotniczy. Zerknąłem na datę przylotu Pauliny do Polski i poczułem rodzący się gdzieś pod sercem lęk. Był jak pędząca śnieżna kula.

Odetchnąłem głęboko i popchnąłem szerokie drzwi. Szedłem wolno przed siebie, rozglądając się na boki i obserwując chorych w salach i snujących się bez pośpiechu po korytarzu. W jednym z pomieszczeń siwowłosa salowa nakładała poszwę na kołdrę.

– Odwrotnie – stwierdziłem, gdy dostrzegłem spore szwy na materiale.

Zdziwiona przysnęła poszewkę bliżej oczu.

– Racja! Mój wnuczek mówi na coś takiego „wtopa” – zaśmiała się i wywinęła ją. – Ha! Odwrotnie! Stara już jestem, to i nie dowidzę. Ale pan za to masz wzrok sokoli.

Strzepnęła kołdrę i zarzuciła ją na łóżko.

– Ile ma lat? – zagadnąłem.

– Niecałe cztery. Ale jaki zuch! Nie uwierzysz pan.

Mniej więcej tyle, ile dziś miałaby moja córeczka.

– Wszystko w mig łapie. Wierszyk mu przeczytam, to zaraz na pamięć powie. Ale to zaraz! Nie, że musi go ze sto razy czytać. Zaraz! No mówię, geniusz z niego jaki będzie, czy co?

Zaśmiała się, a ja razem z nią. Skończyła przygotowywać łóżko, poklepała jeszcze pościel i odwróciła się w moją stronę.

– No ale mów pan, kogo szukasz?

Podąłem nazwisko.

– Sala numer sześć, prosto w głąb korytarza i po lewej – oznajmiła i zabrała się za drugie łóżko.

Odszedłem, ale usłyszałem jeszcze jej głos.

– Odwrotnie! A to numer!

Minęła mnie kobieta w pomarańczowym szlafroku o ziemistej cerze z zabandażowaną głową. Szła wolno, wzrok miała nieobecny.

Rozglądałem się po korytarzu. W pewnej chwili przystanąłem. W przeszklonych otwartych drzwiach zauważyłem znajome odbicie. Paulina siedziała na łóżku pod oknem, odwrócona tyłem. Miała na sobie pasiastą, szpitalną piżamę. Krótkie włosy układały się na czubku głowy w niewielkie gniazdo. Musiała ściąć je przed przylotem.

Zrobiłem dwa kroki do przodu i stanąłem w progu. Teraz widziałem ją dokładnie.

Rozejrzałem się po sali. Cztery łóżka, po dwa z każdej strony. Najbliżej drzwi spała starsza kobieta przykryta po szyję białą kołdrą. Oba łóżka po lewej były puste, ale pościel na nich wygnieciona. Sterta rzeczy na szafkach zdradzała, że w sali nie ma wakatów.

Podszedłem do siostry i położyłem jej rękę na ramieniu.

Drgnęła, ale nie wyglądała na zaskoczoną.

– Hej – powiedziałem, próbując nie zdradzić zdenerwowania. Na poduszce dojrzałem książkę. Nie wiem, skąd Paulina ją miała, pewnie pożyczyła od pacjentek. – Co czytasz?

– Szwedzki kryminał – odpowiedziała beznamiętnie i wsunęła się pod kołdrę. Odwróciła głowę w stronę drzwi.

– Pewnie znowu jakiś pretensjonalny tytuł? Poczekaj, niech zgadnę... Dziewczyna, która nosiła kolczyk na jajkach?

– Bardzo śmieszne.

A jednak kąciki jej ust powędrowały w górę. Przymknęła oczy.

– Lepiej poczytaj polskich autorów. Przynajmniej będziesz wiedziała, co słychać w kraju, bo tak rzadko tu bywasz – stwierdziłem.

Kobieta na łóżku obok przewróciła się na bok, tyłem do nas.

– Mówisz tak, jakbym mieszkała w Londynie od dzieciństwa – zachnęła się Paulina.

– A nie wychowywałaś się razem z Hugh Grantem? – Podrapałem się po zaroście. – No nie, zgoda. Przesadziłem. Aż tak staro nie wyglądasz.

Tym razem w uśmiechu odsłoniła zęby.

– Ty za to wyglądasz jak parodia Hugh Granta. Nie wiem, czy nie powinieneś tu leżeć zamiast mnie. – Uśmiechała się tak, jakby przypominała sobie stare, dobre czasy, kiedy byliśmy sobie bliscy. Na przykład dziesięć lat temu w Łebie.

Błysk radości w jej oczach – bezcenny. Nawet jeśli trwał tylko chwilę. Milczenie, przerywane posapywaniem śpiącej pacjentki, zaczęło nas uwierać.

Odsunąłem nieco kołdrę i usiadłem przy jej nogach. Postawiłem torbę na podłodze i sięgnąłem po bilet.

– Co to jest? – spytała, odbierając wydruk.

– Sama mi powiedz.

Rozłożyła kartkę.

– Mój bilet. – Wyglądała na zaskoczoną.

– Bilet – potwierdziłem.

Czekałem, aż sama zrozumie.

Odłożyła kartkę na bok i znowu przymknęła oczy.

Milcz, Bener, to ona musi mówić.

Zbierała się w sobie. Kąciki ust jej drgały.

Położyłem rękę na jej kolanach. Mały gest, ale wiedziałem, że zadziała.

Rozpłakała się.

Kobieta na łóżku obok obudziła się i obróciła głowę w naszą stronę. Zaskoczona moją obecnością wstała i wyszła, mamrocząc coś nerwowo pod nosem. Brzmiało to jak „kyrie elejson”.

Zostaliśmy sami. Czekałem, aż Paulina się uspokoi. Usiadła, podkurczając nogi, objęła je rękoma. Długo zbierała siły. Nie spieszyło mi się, chciałem dać jej czas. Patrzyłem na własne odbicie w oknie.

Wszystko na opak. Odwrotnie.

– Nie zrobiłam nic złego – broniła się, chociaż wcale nie atakowałem. – Chciałam tylko jej pomóc. – Pociągnęła nosem. – Była w tarapatkach. Nie miała rodziny, nikogo, kto mógłby jej pomóc. A naprawdę potrzebowała tych pieniędzy. Dałabym jej swoje, ale właśnie kupiłam w Anglii mieszkanie...

– A Piotrek? – spytałem.

Wzniosła oczy do nieba i machnęła ręką.

Myśli kotłowały mi się w głowie. Wiedziałem już, gdzie popełniłem błąd. Wydarzenia sprzed dziesięciu lat jawiły się w innym świetle. Odwrotnie.

– Holtz nigdy cię nie uderzył – stwierdziłem, wchodząc jej w słowo.

– Nie.

– A dziesięć lat temu w hotelu Kosmos, kiedy wyjechałem z Niką w góry, ty...

Kiedy wyjąłem teczkę z torby zamkniętej w szafce w galerii i przeczytałem jej zawartość, zemdliło mnie. Znałem Agnieszkę i bolało mnie to, co przeżyła. Teraz jednak wiedziałem, że czytałem nie o niej, że jej nazwisko na karcie badania lekarskiego znalazło się tam celowo. Miało odwrócić uwagę.

– Ty... – Nie mogłem dokończyć.

– Tak, zostałam zgwałcona.

– ...i brutalnie pobita. Ale nie przez Wojtka.

– Nie.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem już wszystko.

– Kiedy minąłem go na klatce schodowej, był wściekły, bo nie dałaś sobie pomóc.

Przytaknęła.

– Zostałaś z tym sama...

Otarła łzy.

– Na szczęście nie. Wojtek załatwił lekarza. Chociaż nie chciałam, zmusił mnie do zrobienia obdukcji. Oczywiście w prywatnym gabinecie. Zgodziłam się, ale ze strachu podałam dane Agnieszki – westchnęła i dodała: – Wojtek błagał, żebym oskarżyła tego skurwiela.

Zacisnąłem zęby.

– Dlaczego nie chciałaś mojej pomocy? Albo rodziców?

– Bałam się.

– Czego?

– Nie wiem. Bałam się odtrącenia.

– Jestem twoim bratem...

– Przestań! – warknęła, a po chwili dodała spokojniej: – Po prostu nie umiałam.

– Holtz zabrał obdukcję?

– Tak myślałam, ale przed wyjazdem do Iraku oddał ją na przechowanie Agnieszce. Nie wiedziałam o tym. Agnieszka to wykorzystała.

– A jak Wojtek wmieszał się w to po latach?

– Przyleciałam do Polski, żeby się z nim spotkać. Oferowałam nawet podział zysków, ale nie chciał o tym słyszeć. Powiedział tylko, że zawsze chciał skopać mu dupę.

– I skopał – odparłem. Nie mogłem już dłużej trzymać tego w tajemnicy. – Ale przez to zginął.

– Co?! – krzyknęła.

Kiedy ja sądziłem, że Holtz zginął w pożarze, Paulina się z nim spotkała. To dlatego kiedy poinformowałem ją o śmierci Wojtka, zareagowała tak, jakby jej to w ogóle nie obchodziło. Pewnie myślała, że mi odbiło. Ale teraz było inaczej.

– Holtz został zastrzelony, a o Agnieszce już wiesz – dokończyłem.

Wybuchła płaczem.

Przytuliłem ją.

– Co wyście narobili... – szepnąłem, nie oczekując odpowiedzi. Wzbierała we mnie fala wściekłości. Głównie na siebie za to, że nie potrafiłem dziesięć lat temu zaopiekować się siostrą, że przez cały ten czas oskarżałem Holtza o rzeczy, których nigdy nie zrobił. Wściekałem się też na to, co Chojnicki zrobił Paulinie. Przyjaciel domu, kurwa jego mać!

Moje ramię było mokre od łez.

– Chojnicki zapłaci za to, co ci zrobił. Obiecuję. – Poglaskałem siostrę po włosach.

Oderwała się ode mnie, jakby poraził ją prąd.

– Już nigdy nikogo nie skrzywdzi – powiedziałem.

Paulina patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Świat skurczył się jak balon, z którego gwałtownie ulatuje powietrze. Nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem przełknąć śliny.

– Chojnicki? – szepnęła.

Zrozumiałem swój błąd, a mimo to, jakbym zaklinał rzeczywistość, pokiwałem głową.

– Chojnicki przecież nic mi nie zrobił!

3

Wparowałem do biurowca, w którym nigdy wcześniej nie byłem. W uszach wciąż brzmiały mi słowa Pauliny. Zastanawiałem się, jak mogłem być taki głupi, by od razu nie wpaść na to, kto ją zgwałcił. Przecież już wcześniej zdradził to Butrych.

„...ten pierdolony konus...”

To było takie proste! Jak mogłem tego nie zauważyć!

Obok matowych drzwi z logo firmy stało biurko, za którym siedziała kobieta w średnim wieku. Spojrzała na mnie z uśmiechem, ale ten znikł szybko, gdy tylko sekretarka zorientowała się, że nie zamierzam się zatrzymać. Zerwała się i stanęła mi drodze.

– Prezesa nie ma.

Rozłożyła ręce.

Zrobiłem znak krzyża. Spojrzała na mnie jak na wariata.

– No co? Zawsze tak robię przed Jezusem.

Spłoszona opuściła ręce, obciągnęła krótką spódnicę, ale nie ruszyła się z miejsca. Za tymi drzwiami, jak głosiła tabliczka, znajdowały się gabinety członków zarządu.

– Prezesa nie ma i nie wiem, kiedy będzie. – Jej głos nie brzmiał już tak pewnie. W końcu z debilami nigdy nic nie wiadomo.

– Okej, zaczekam.

– W takim razie proszę usiąść. – Wskazała mi dwa niskie, ale pękate fotele i stolik przy przeciwległej ścianie. Nad nimi wisiała panorama Torunia.

Zrobiłem krok w tamtą stronę. Ona też ruszyła do biurka. Wtedy natychmiast się odwróciłem i chwyciłem klamkę. Kobieta rzuciła się za mną.

– Proszę tu nie wchodzić! Ochrona!

Szedłem korytarzem, czytając tabliczki na drzwiach. Szukałem odpowiedniego imienia i nazwiska. Kobieta wyprzedziła mnie i znowu rozłożyła ręce przed wejściem do ostatniego gabinetu po lewej.

Jeszcze jeden Jezusek. Odepchnąłem ją bez ceregieli i wszedłem do środka. Wybacz, Panie. Gabinet był pusty.

– Gdzie on jest? – Wskazałem na biurko.

– No przecież mówiłam, że go nie ma. – Stała w drzwiach z przerażeniem w oczach.

– Widzę, że nie ma – wycedziłem. – Gdzie jest?!

– Proszę stąd wyjść, bo zadzwonię po ochronę – zawołała.

– Gdzie?! – Podeszedłem do niej.

– Prezes Rudnik z całym zarządem jest na rozdaniu nagród marszałka.

Spóźniłem się kilka minut.

Przytłumiona muzyka zmieniała się w czyste dźwięki, gdy ze skrzypieniem uchyliłem wielkie drewniane drzwi do Sali Wielkiej w Dworze Artusa. Kiloro oczu spojrzęło w moją stronę, wymieniłem uścisk dłoni z dyrektorem tej instytucji, Markiem Pijanowskim, który stał obok wejścia.

Józef Skrzek grał na fortepianie, przy mikrofonie jakieś trzy babki niemrawo ruszały ustami, śpiewając Bóg wie co. Kiedy skończyły, prowadzący galę zaprosił na scenę marszałka województwa. Oparłem się o ścianę.

Marszałek obniżył mikrofon, przywitał oficjeli i zaczął sypać frazesami. Wreszcie wywołał pierwszą nagrodzoną osobę. Nie interesowało mnie to. Wyjąłem z tylnej kieszeni dzisiejsze wydanie „Miejskiej” i spokojnie czekałem.

– Hej! – usłyszałem szept za plecami.

Aldona.

– Hej! – odpowiedziałem. – Dymajka wysłała cię na taki raut? Jeśli sama nie skorzystała, to musi być bardzo zajęta.

– Wszystko przez to, że ktoś podmienił jedyneki w gazecie – zachichotała.

– Serio? – rzuciłem przez ramię. – Już nikomu nie można ufać.

– Nikomu. Ale dla mnie nadal jesteś guru.

Stuknęła palcem w gazetę, którą trzymałem w ręku. Tak, guru, bez szans na pracę w tym zawodzie.

– Nie oberwałaś rykoszetem? – spytałem, ale już jej nie było. Wróciła na swoje miejsce.

Rozejrzałem się po sali. Interesowały mnie pierwsze rzędy. Dostrzegłem siwą głowę Rudnika. W tej samej chwili na ekranie ukazała się jego czerwona twarz. Zero retuszu. Kolorystycznie współgrała z kotarami zasłaniającymi okna. W dole ekranu przeczytałem: „działalność społeczna i zaangażowanie na rzecz drugiego człowieka – za wkład w budowę hospicjum dla dzieci we Włocławku”.

Nagrody nie zgarnął, ale wyróżnienie otrzymał.

– Zapraszamy na scenę pana Stanisława Rudnika, prezesa spółki Rudes – zapowiedział konferansjer i zaraz rozległy się brawa.

Rudnik podniósł się i ruszył w stronę schodów prowadzących na scenę. Poszedłem wolno w jego kierunku. Dostrzegł mnie, ale natychmiast odwrócił głowę. Potknął się, wchodząc na scenę. Muzyczny tusz nie zagłuszył pomruku, który towarzyszył moim krokom, gdy zbliżałem się do pierwszych rzędów. Muzyka wybrzmiała.

Stałem przed schodami, wywołując konsternację prowadzącego, marszałka i Rudnika. Ten ostatni nerwowo obciągnął marynarkę. Odczekałem, aż odbierze nagrodę i okazały bukiet. Gdy oklaski przycichły, Rudnik poczerwieniał jeszcze bardziej. Kwiaty, które trzymał w ręce, trzęsły się, a statuetkę ścisnął tak, że chyba krew odpłynęła mu z dłoni. Podeszedł do mikrofonu na środku sceny.

Ktoś podbiegł do mnie i szarpnął mnie za rękaw, bo podobno stałem w oku kamery. Olałem to.

– Panie marszałku, szanowni goście... drodzy państwo – zaczął Rudnik, a potem nerwowo odchrząknął. – Jest mi niezmiernie miło... – Po czole spływały mu krople potu. – ...że znalazłem się w tak zacnym gronie osób stanowiących o... – szukał odpowiednich słów. Uniósł ramiona, by poprawić marynarkę. – O... roli naszego regionu i województwa...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się zaciął. Znowu ktoś pociągnął mnie za rękaw, ale tym razem również nie przesunąłem się ani o centymetr.

Marszałek wybawił Rudnika z opresji. Podziękował mu ponownie, znowu rozległy się brawa.

Rudnik otarł wierzchem dłoni czoło i ruszył w moją stronę. Schodził powoli, drżały mu nogi. Nie pomogłem mu, nie wyciągnąłem ręki. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że spadnie z tych schodów i będę mógł go dobić. Zamiast tego wręczyłem mu dzisiejsze wydanie „Miejskiej”, próbował je schować do kieszeni, ale nie dał rady. Przycisnął gazetę mocno do ciała i zasłonił ją bukietem. A potem, gdy nikt już nie klaskał, sam zacząłem bić brawo. Dziwne. Nikt się nie przyłączył.

Rudnik przeszedł obok i usiadł na swoim miejscu.

Zabrzmiała muzyka i zgasły światła. Prowadzący zapowiedział kolejną kategorię, a ja ruszyłem w stronę wyjścia. Gnój odpokutuje jeszcze za wszystko. To pewne. Zahałem się jednak i przystanąłem. Nie mogłem tego tak zostawić. Wskoczyłem na scenę. Wielki ekran zgasł.

– Panie marszałku, szanowni goście. – Odgarnąłem włosy za uszy. – Wpadłem na chwilę, chciałem tylko pogratulować prezesowi Rudnikowi, mojemu pracodawcy...

Pełna konsternacja. Ktoś kręcił się po scenie, ktoś inny dawał znaki dźwiękowcowi, żeby wyłączył mój mikrofon. Faktycznie przestał działać. Spojrzałem na Rudnika, lustrował swoje buty. Szczękę zaciskał tak, że słyszałem zgrzytanie zębów.

– Przede wszystkim pogratulować mu tego, że przez tyle lat wszystkie świństwa uchodziły mu płazem. Aż do dziś! – huknąłem tak, by wszyscy słyszeli.

Rudnik zerwał się i biegiem ruszył do drzwi.

– Nie uciekniesz od tego! – krzyknąłem, ale już go nie było.

Nie chciałem go gonić, chciałem stąd po prostu wyjść. Jeszcze go dopadnę.

Przeszedłem obok Terleckiej, która puściła do mnie oko. Jako jedyna się uśmiechała.

Na schodach zatrzymał mnie Chojnicki. Jeszcze nigdy nie widziałem go z papierosem.

– Nie odbierałeś telefonów. Chciałem ci wszystko wyjaśnić. – Wypuścił dym.

Staliśmy na półpiętrze przy wielkich lustrach. Byliśmy sami. Z góry dochodziła muzyka i kobiecy śpiew. Nie zamierzałem go przeproszać.

– To moja wina, Marek. Mogłem ci powiedzieć. – Zaciągnął się. Cały drżał.

– Mogłeś, ale z jakiegoś względu wszyscy nabraliście wody w usta.

– Uszanuj to. Uszanuj przez wzgląd na Paulinę.

– Co ty pierdolisz?! – warknąłem i zrobiłem krok w jego stronę. Być może zacisnąłem pięści. – Mam to uszanować, kiedy ty cały czas zadajesz się z tym skurwysynem? I jeszcze zamierzasz kandydować na prezydenta, wykorzystując jego kasę na kampanię?

– Uratowałem ją. Razem z tą rudą zabrałem do waszego domu, zadzwoniłem po jej chłopaka. Nie zostawiłem jej samej. Nigdy, rozumiesz?! Mogła na mnie liczyć, znalazłem jej robotę, pomagałem w Anglii, chociaż o tym nie wiedziałaś – zagotował się.

– Uratowałaś?! Znalazłaś robotę?! – Z niedowierzaniem kręciłem głową. – Czy ty, kurwa, siebie słyszysz?!

Chojnicki wyrzucił peta i sięgnął po kolejny papieros.

– Nie rozumiesz, Marek. Rudnik ma mnie w garści. Zresztą nie tylko mnie. – Machnął ręką. – Stare dzieje, kiedyś ci opowiem. Wiele osób siedzi u niego w kieszeni.

– Wszystkich stamtąd wyciągnę! – Odwróciłem się i zbiegłem po schodach. A gdy dotarłem do wyjścia, krzyknąłem: – A skurwysyna zabiję!

Odpowiedziało mi tylko echo.

KILKA DNI PÓŹNIEJ

Tego dnia nie ściągałem rękawiczek w obecności innych.

Niewyraźne listopadowe słońce rzucało ostatnie promienie na wiązanki kwiatów ułożone na usypanej z ziemi mogile i połyskiwało na czarnej blasze przyczepionej do drewnianego krzyża. Widniało na niej odręcznie namalowane białą farbą nazwisko mojego dawnego przyjaciela. Nika stała obok mnie, modliła się cicho. Miała na nosie przeciwsłoneczne okulary, popłakiwała.

Nadal nie mogłem uwierzyć w jego śmierć. Bolało mnie to, że o całe zło oskarżałem Holtza. Przez dziesięć lat nosiłem w sobie nienawiść do faceta, który dwukrotnie uratował mi życie i zawsze był lojalny w stosunku do mojej siostry. Nawet za cenę tak wysoką, jak nasza przyjaźń. Nienawidziłem go, chociaż przez cały ten czas powinienem być mu wdzięczny.

Nika przeżegnała się.

– Idziemy? – spytała.

W milczeniu przeszliśmy przez cmentarz w stronę parkingu. Obcasy jej kozaków stuknęły rytmicznie. Wsiadliśmy do samochodu. Przez całą drogę nie zamieniliśmy słowa.

Podjechałem pod swój dom i zatrąbiłem, bo nie chciałem wysiadać. Mieliliśmy mało czasu. Paulina pojawiła się na schodach z przewieszoną przez ramię torbą podróżną. Przekręciła zamki i zbliżyła się do samochodu, a kiedy wsiadła, podała mi klucze.

Zawróciłem.

Dżem grał cicho. Docierały do mnie dźwięki Wehikułu czasu, które znałem na pamięć. Pogłośniłem tylko trochę, żeby zagłuszyć ciszę i jednostajny szum silnika.

Niewiele mówiliśmy. Każde z nas nosiło w sobie żal i trudno było się temu dziwić. Niby wszystko sobie wyjaśniliśmy, ale jednak rany pozostały i długo będą się goić. O ile w ogóle kiedyś to nastąpi.

Zatrzymaliśmy się z Niką przy płocie, z którego można było obserwować płytę lotniska. Samolot kołował, silniki gwizdały. Po chwili zniknął za szarym blaszanym hangarem. Trzymałem się zimnej, drucianej siatki.

Paulina obiecała, że wkrótce się odezwie. Nie liczyłem na to zbytnio. Oczywiście chciałem, żebyśmy zbliżyli się do siebie, brakowało mi siostry i żałowałem tylu bezpowrotnie straconych lat.

Kiedy przytulaliśmy się na lotnisku, przytrzymała mnie i szepnęła jedno słowo: – Obiecuj. Mrugnąłem. Takie nieme potwierdzenie.

Wracała do Anglii z zamiarem pozostawienia tutaj wszystkich złych zdarzeń i wspomnień. Nie chciała słyszeć o wytoczeniu procesu Rudnikowi. Przez tyle lat próbowała wymazać gwałt z pamięci. I teraz prosiła mnie, bym też o tym zapomniał. Jednak świadomość, że Rudnikowi może ująć to na sucho, budziła we mnie pierwotne instynkty.

– Proszę, obiecuj – wyszeptała raz jeszcze.

Nika pożegnała się z nią wcześniej i teraz czekała przy wyjściu.

Dłonie pociły się w rękawiczkach, ale nie mogłem ich ściągnąć. Spojrzałem w oczy mojej siostry, a potem pokiwałem głową.

– Obiecuję.

I bardzo chciałem wierzyć, że to moje ostatnie kłamstwo.

– Co teraz będzie? – Nika przesuwiała obcasem kozaków po liniach oddzielających kostki brukowe. Ręce trzymała w kieszeniach czarnego płaszcza.

Długo zastanawiałem się, co ma na myśli.

Samolot oderwał się od ziemi i puł w stronę nieba, skręcił i zwiększał pułap. Zahuczało.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Wiatr rozwiewał nam włosy.

Cały czas patrzyłem na ruchomy punkt na niebie, aż zupełnie zniknął w chmurach. Żadne z

nas nie było gotowe na tę rozmowę.

– Chodź. Zimno jest – powiedziałem i ruszyłem w stronę samochodu.

– Cześć, mam, jesteś w domu? – spytałem, gdy teściowa podniosła słuchawkę.

– Nie. – W jej głosie nie wyczułem nawet odrobiny żalu.

Ucieszyło mnie to.

– Jestem u koleżanki – westchnęła. – Może wpadniesz jutro?

– Chętnie – zacząłem nieśmiało. – Pogadaliśmy, przyniosłbym klucze...

– Kluczy nie – przerwała mi, ale jej głos się nie zmienił. Nadal brzmiał pogodnie.

– Dlaczego?

Usłyszałem westchnienie.

– Miejmy to już za sobą – stwierdziła, jakby dodawała sobie odwagi. Nabrała powietrza i odczekała chwilę. – Zrozumiałam, że możesz ułożyć sobie życie na nowo, że masz prawo, by znów się nim cieszyć.

W gardle urosło mi coś, czego nie mogłem przełknąć.

– Możesz też kogoś spotkać, znowu być szczęśliwy.

– Mam...

– Daj mi dokończyć – poprosiła. – Przecież wciąż jesteś młody. Całe życie przed tobą. A ja nie mogę ci przeszkadzać. Nie chcę stać na twojej drodze. Nie mogę krępować ciebie, twoich pragnień, nie mogę narzucać ci tego, z kim masz żyć.

Zapadła cisza. Przygryzłem wewnętrzną część policzka. Drżała mi broda.

– Wiem, że zrobiłeś wszystko, by ją odnaleźć. Je odnaleźć – poprawiła się i na sekundę głos się jej załamał. – Jestem ci bardzo wdzięczna. Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo. Zawsze chętnie ci pomogę, ale masz prawo ułożyć sobie życie na nowo. – Pociągnęła nosem. – Agatka też by tego chciała, wiesz?

Widziałem Agatę. Ten jej uśmiech, kiedy stała w progu naszego domu, dotykając zaokrąglonego brzucha. Gdzieś w tle, jak echo, słyszałem słowa, które wtedy do mnie wypowiedziała. Było to jej ostatnie wyznanie. Chłonałem je.

Poczułem, że moje policzki są mokre.

Zebrałem się w sobie. Walczyłem, żeby móc powiedzieć to jedno, jedyne zdanie. Nie wiem, po co. Nie wiem, co i komu zamierzałem nim udowodnić. Ale coś po prostu kazało mi wypowiedzieć te ukryte głęboko słowa. Ukryte tak głęboko, że byłem pewien, iż pozostaną we mnie na zawsze.

– Zawsze będę je kochał.

NIEDZIELA

24 listopada 2013 roku

1

Było po drugiej w nocy, ledwie zaczęła się niedziela.

Wychodziłem z wyremontowanego i przebudowanego w tym roku klubu studenckiego OdNowa, naładowany dźwiękami Dżemu, który od wielu lat grał na zakończenie dwudniowej bluesowej uczty – festiwalu Toruń Blues Meeting. Ale ten koncert był dziwny. Po pierwsze, dlatego że jeden z młodych radnych SLD zaprosił mnie do saloniku VIP-owskiego, z którego oglądałem muzyków, jakbym siedział w kinie. Radny po kilku piwach stał się nachalny jak komornik, podpity ciągle bełkotał mi coś do ucha, nie dał w spokoju posłuchać żadnego numeru. Siedziałem więc w

fotelu i tupałem tylko nogą. Stale czułem jego ciepły, kwaśny od piwa oddech. Na szczęście po godzinie wyszedł po kolejne piwo i już nie wrócił.

Po drugie, zamiast Bena na basie grał Mietek Jurecki z Budki Suflera. Niestety Mietek szarpał struny, jakby rznął Takie tango, podczas gdy Beno wykańczał dźwięki miękko. Ale z drugiej strony, tylko dzięki Jureckiemu koncert się odbył, bo basista Dżemu zachorował na zapalenie płuc. Gdyby nie Mietek, zespół zostałby w domu.

Tłumek kręcił się przed klubem. Samochody przy ulicy Gagarina parkowały w kilku rzędach na szerokim chodniku. Z daleka dojrzałem białego busa w czarne ptaki – wóz Dżemu – stał w pobliżu technicznego wejścia do klubu, którym kapele wносиły sprzęt.

Zaparkowałem gdzieś koło niego.

Poprawiłem kurtkę, bo zima przypuściła jeden z pierwszych w tym roku ataków. Śnieg przestał padać, ale mróz i wiatr robiły swoje. Nie sądziłem, że cokolwiek może mnie zmrozić jeszcze bardziej.

Byłem w błędzie.

Za wycieraczką mojego forda tkwiła kartka.

Lęk, który narastał we mnie od chwili, gdy spalił się dom Holtzów, teraz znowu przypomniiał o sobie. Skronie zaczęły pulsować bólem.

Podszedłem do samochodu i wyciągnąłem papier. Rozejrzałem się wkoło i znów popatrzyłem na złożoną kartkę. Sądziłem, że przeczytam znajome słowa, którymi tak udanie straszyl mnie Butrych i jego ludzie.

Ale nie tym razem. Był to wydruk z Internetu, ze strony fundacji Itaka. Informację znałem już z mediów, ale mimo wszystko wzdrygnąłem się.

Ulica była spokojna i cicha. Latarnie rzucały pomarańczowy blask. Kilka osób się śmiało. Szły w stronę osiedla przy uniwerku. Taksówka z dużą podświetloną gapą na dachu skręciła w Sienkiewicza. Jakiś facet, który musiał cierpieć na bezsenność, spacerował ze spanielem.

Nacisnąłem przycisk na breloku. Samochód zamrugał awaryjnymi, ale nie usłyszałem zgrzytu centralnego zamka. Musiałem zapomnieć zamknąć drzwi. Chwyciłem za klamkę. Światelko we wnętrzu rozbłysło. Wsunąłem głowę do środka i wtedy to zobaczyłem.

Zatkało mnie.

Na siedzeniu pasażera leżał telefon. Tak samo jak w dzień przed wylotem Pauliny.

Zanim sięgnąłem po niego poranioną ręką, raz jeszcze przyjrzałem się wyjętej z za wycieraczki kartce. Czerwona twarz uśmiechniętego prezesa Rudnika zajmowała większą część plakatu. Na górze, na pomarańczowym tle widniał duży napis „ZAGINIONY”. Po lewej, pod nazwiskiem wydrukowano numer sprawy, datę zaginięcia, ostatnie miejsce pobytu. Poniżej znajdowały się dane fundacji Itaka wraz z numerem telefonu i prośbą: „Jeśli wiesz coś o jego losie, zadzwoń”.

Zaschło mi w gardle.

Złożyłem kartkę i wsunąłem ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nim odpaliłem samochód, telefon na przednim fotelu ożył, wygrywając prostą melodyjkę. Mogłem go rozdeptać na chodniku, wywalić do kosza albo studzienki deszczowej. Mogłem też dać komuś, kto wychodził z koncertu. Mogłem pojechać na policję. Miałem wiele opcji, ale ze wszystkich wybrałem tę najgorszą. Dotknąłem zielonej słuchawki i przesunąłem palcem po ekranie.

– Jurecki to inna szkoła grania na basie – usłyszałem głos, który nawet u martwego wywołałby gęsią skórę.

Szaman zachichotał.

– Beno... – powiedział. – Tak, Beno... Ten, to potrafi pieścić struny.

– Czego chcesz? – starałem się opanować.

W słuchawce, którą niemal wcisnąłem sobie do ucha, usłyszałem trzask zapalniczki.

– Młody radny się spisał, nie? I nawet nie wziął dużo. Tylko dwie stówki. Swoją drogą, chyba miasto mało im płaci. Ale najzabawniejsze jest to, co powiedział. – Zaciągnął się, a ja usłyszałem jak żar zżera tytoń. – Powiedział o tobie: „to dobry dziennikarz, szanuję go”.

Znowu chichot.

– Były dziennikarz – sprostowałem.

– Nie przesadzaj, czego można się spodziewać po młodym radnym? Nie musi wiedzieć.

Musi błyszczeć w mediach.

– Czego chcesz? – wycedziłem raz jeszcze.

– Nie podziękujesz?

Zatkało mnie.

Kiedy ostatnio do mnie dzwonił, nie miałem oporów, żeby przyjąć jego propozycję.

Wypadało podziękować, więc zrobiłem to.

– Nie ma za co – stwierdził. – Teraz możemy wznieść toast. Jednego chuja mniej, Marek – zaśmiał się.

Zamknąłem oczy, a obrazy same zaczęły napływać. Puls przyspieszył. Poczułem, że od potu mam mokre plecy.

Znowu stałem w piwnicy domu położonego kilka kilometrów za Łubianką, na północ od Torunia, nie wiem nawet dokładnie gdzie. Dotarłem tam prowadzony jak po sznurku dzięki wskazówkom udzielanym mi przez Szamana. To wtedy pierwszy raz znalazłem w swoim samochodzie podrzucony przez jego ludzi telefon. Teraz już wiem, że nie chodziło tylko o drogę. Zaparkowałem, ale Szaman kazał mi zostać w samochodzie, a kiedy walczyłem ze stresem, wymienił spokojnie osiem nazwisk. Osem kobiet zgwałconych przez Rudnika. Podawał ich wiek oraz datę i miejsce gwałtu, odczytywał obrażenia. Nie wiem, skąd miał te informacje, ale nie obchodziło mnie to. Czuję, jak gotuje się we mnie krew. Słuchałem jego opowieści do chwili, kiedy wymienił ostatnie nazwisko. Paulina Bener, moja siostra. Podziała jak zastrzyk adrenaliny. Rzuciłem telefon i ruszyłem do domu. Zbiegłem do piwnicy. Kiedy zobaczyłem Rudnika, wpadłem w szal. Nie pamiętam, co mu zrobiłem, film mi się urwał. Wiem tylko, że zatraciłem się w zadawaniu ciosów. Wróciłem do świadomości dopiero, kiedy Rudnik bezwładnie osunął się na podłogę wyłożoną – tak jak całe pomieszczenie – czarną folią. Z ust i łuku brwiowego Rudnika na pomarszczoną płachtę sączyła się krew. Zbierała się w większą plamę mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie leżały dwa ukruszone zęby i niewiele dalej od podłużnej kałuży moczu, którą w ryzach trzymały zagięcia folii. Ale czerwonych śladów było więcej, wszystkie połyskiwały w świetle jedynej lampy.

Alien, który przypatrywał się tej jatce, dał znać, że pora przestać. Że reszta należy do niego.

Odszedłem w stronę drzwi i chwyciłem klamkę. Dopiero wtedy zobaczyłem, że kostki moich rąk są zdarte do żywego mięsa.

Miałem przekroczyć próg, ale odwróciłem się ostatni raz. Alien sięgnął po butlę wypełnioną kwasem. Spojrzałem na Rudnika. Może mi się tylko zdawało, że z trudem podniósł opuchniętą powiekę i patrząc na mnie, chciał coś powiedzieć. Jego usta ułożyły się w jeden wyraz.

– Błagam... – Tak to wtedy odczytałem, chociaż sądziłem, że był to raczej owoc mojej wyobraźni. Po prostu chciałem, żeby błagał mnie o litość. Marzyłem o tym. Nie, nie jestem zwyrodnialcem. Każdy na moim miejscu zrobiłby dokładnie to samo, ale tylko niewielu ma odwagę się do tego przyznać.

Dlatego nie uchylłem drzwi i nie wyszedłem na zewnątrz. Wyrwałem Alienowi kwas i chlusnąłem nim prosto w krocze Rudnika. I wtedy usłyszałem ten potworny krzyk, który po chwili zamienił się w jęk skatowanego człowieka, by w końcu całkiem zgasnąć.

Wiem tylko, że pewnie nikt już nigdy nie odnajdzie jego ciała.

Obraz piwnicy domu pod Toruniem odpłynął, gdy ponownie usłyszałem w słuchawce głos Szamana. Otworzyłem oczy. Przed przednią szybą wciąż przetaczały się pary lub grupki osób opuszczające OdNowę.

– Butrychem też się zająłem. Ta gruba świnia zabawiła się moim kosztem, Marek – odezwał się znowu. – Wiem, że już tego żałuje.

To dlatego ten pożał-się-Boże-biznesmen całą winę wziął na siebie. Stwierdził, że postrzelił go Paker. Ale broń zniknęła, tak samo jak Paker. A Alien? To człowiek Szamana. Przeniknął do bandy Butrycha, pozwolił mi uciec z szopy, rozcinając więzy na rękach i podrzucając nóż oraz klucze do dostawczaka. Czuwał nade mną. Gdyby Butrych chciał mnie sprzątnąć, Alien miał

wkroczyć do akcji. Byłem przekonany, że udusiłem go kablem. Nic z tych rzeczy.

Wszystko, co wydarzyło się w Zamku Bierzgowskim, „Zielonej Opoce” i spalonym domu Holtzów zostało zamiecione pod dywan. Dlatego bałem się Szamana jeszcze bardziej.

– W takim razie po co dzwonił? – spytałem.

Szaman odchrząknął.

– Czas na chwilę prawdy. Należy ci się.

– O czym ty mówisz?

– O Agacie.

Gardło wyschło mi na wiór.

– Sądzisz, że to moja wina. Jednak życie nie lubi prostych rozwiązań, Marek.

– Ty też ich nie lubisz.

– Trafiłeś w sedno.

Czułem, że od uderzeń serca trzęsie się cały świat.

– Pomyślałem sobie, że mogę ci pomóc.

– Pomożesz mi, jeśli powiesz, gdzie ona jest.

– Pomogę ci, ale na moich zasadach – westchnął.

Trzech podpitych gości przeszło obok wozu. Przytrzymywali się wzajemnie i fałszowali refren Cegły. W pewnej chwili jeden z nich oparł się o maskę mojego forda, ale kiedy mnie zobaczył, natychmiast podniósł ręce w obronnym geście.

– Co to za zasady? – spytałem, tracąc cierpliwość i zatykając sobie drugie ucho, żebym dobrze słyszał Szamana.

– Twój teść.

– Co mój teść? Przecież on nie żyje.

Szaman nie odezwał się. Szumiało mi w uszach.

– Halo! Słyszysz? On nie żyje – powtórzyłem.

Znowu westchnięcie.

– Zaczynij od niego.

Jeszcze jeden wdech.

– Ale... – zacząłem bezradnie.

– Sprawdź to dokładnie. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. I zabierz ten telefon. Będziemy w kontakcie.

Szaman rozłączył się, ekran zgasł.

Długo jeszcze siedziałem w zimnym samochodzie. Wstrząsały mną drgawki, szczękałem zębami. Parking opustoszał. Dotrwałem tak do świtu. Pieniądzy nie będzie mi brakowało, miałem przecież te, których nie zdołał odebrać mi Butrych. Ale nie chodziło o kasę. Bałem się, że po tym, co przeżyłem, nie znajdę w sobie dość siły, by sprostać nowemu zadaniu. Bo coś mi mówiło, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Podziękowania Jest taki piękny sport – rajdy samochodowe. I w rajdach jest tak, że na sukces pracuje dwóch zawodników: kierowca jako pracownik fizyczny i jego pilot w roli umysłowego. W pisaniu tej powieści było podobnie, z tą tylko różnicą, że fizyczny był jeden, a umysłowych wielu. Teraz będzie o nich.

Serdecznie dziękuję za wsparcie: Mariuszowi Czubajowi, mojemu duchowemu sensei, dzięki któremu uwierzyłem, że mogę. Był, jest i pozostanie moim pierwszym nauczycielem pisania. I nawet dziś, kiedy zasiadam do klawiatury, brzmią mi w uszach jego słowa.

Marcie Mizuro, która podczas warsztatów we Wrocławiu dodała mi wiary i wyciągnęła z mojego pisania to, co najlepsze. Marta, jesteś genialna!

Kasi Bondzie za lekcję motywacji udzieloną pewnej nocy w toruńskim pubie i solidne baty podczas warsztatów Maszyny do Pisania (dziś wiem, jak bardzo się przydały).

Markowi Pijanowskiemu, który przesiedział ze mną nad powieścią wiele długich godzin, analizując stronę po stronie po to, by Najgorsze... było lepsze. Nie wiem, czy kiedyś uda mi się spłacić ten dług.

Ani Rozenberg, która również kartka po kartce pokazywała, jak wykrzesać ogień z tej

powieści, i skutecznie motywowała do dalszych wysiłków.

Lenie Marciniak, redaktorce, która słusznie ograniczała moje zapędy, dbała o każdy powieściowy detal i o to, by wszystko było na swoim miejscu.

Magdzie Kostrzewskiej, prowadzącej Maszynę do Pisania, za to, że nigdy nie odmawiała pomocy.

Panu Robertowi Falewiczowi, redaktorowi naczelnemu Wydawnictwa Poznańskiego, za pewną inspirującą poranną rozmowę i – tak cenną dla mnie – wiarę w przyszłość.

Klaudii Bryle oraz niezwyklej ekipie Czwartej Strony. Miło jest grać w Waszej drużynie.

Dziękuję także z całego serducha Ewie Pedrycz-Pijanowskiej i pani Alicji Pedrycz, Izie Szymczak, Mai Zabawskiej, Mateuszowi M. Lembergowi, Bartoszowi Szczygielskiemu i Marcinowi Zimbickiemu – odwaliliście kawał dobrej roboty, punktując wszystkie błędy i nieścisłości fabularne tej powieści. Z Bartkiem, którego kryminalny debiut ukazuje się w tym samym dniu, co Najgorsze..., motywowaliśmy się i wspieraliśmy w procesie redakcji! Dzięki, dobry człowieku!

Podziękowania należą się również Zbigniewowi Zawadzkiemu i warszawskiemu Klubowi Rozmów Literackich „Zeberko”. Cieszę się, że mogłem Was odwiedzić i zebrać cenne uwagi.

Dziękuję panu Marcinowi Świetlickiemu za wszystkie wskazówki w ramach warsztatów na MFK i za propozycję napisania mi niezwyklego blurba (do dziś umieram ze śmiechu!), Leszkowi Koźmińskiemu (za wsparcie udzielane na gorąco), Pawłowi Leśniewskiemu i Marcinowi Mańczakowi (cała trójka ze Szkoły Policji w Pile – najlepszej szkoły dla... piszących kryminały!), panu Leszkowi Bonieckemu za informacje na temat straży pożarnej, wypożyczenie książek i pism, panu Jackowi Piątkowskiemu za opowieści na temat policyjnych procedur, panu Robertowi Zaorskiemu ze sklepu detektywistycznego Germano, Przedsiębiorstwu Urządzeń Dźwigowych ZREMB za udostępnienie dokumentacji technicznej windy, Arminie Szyrkowskiej (na stację metra w Berlinie patrzyłem jej oczami), panu Ryszardowi Turczynowi (za trafne uwagi), Marcinowi Treichlowi (zrobmy ten komiks, Marcin!), Michałowi Fudali i Michałowi Jasińskiemu (już Wy dobrze wiecie, za co!) oraz Recydywie MFK i Fundacji Kult Kultury.

Koniecznienie chcę podziękować moim byłym i obecnym znajomym z Urzędu Miasta Torunia, których nie wymienię z imienia i nazwiska, ale przecież uśmiechacie się teraz, więc doskonale wiecie, że właśnie o Was chodzi.

Ponadto słowa uznania kieruję do kilku dżentelmenów.

Harlan Coben, Arnaldur Indridason, Simon Kernick, Bernard Minier – to faceci, których zdjęcia mam naklejone na laptopie, a którzy nie mają pojęcia o moim istnieniu. Ale gdyby nie ich powieści, być może nigdy nie tworzyłbym własnych fabuł. Jesteście absolutnie genialni i choć w Polsce czasy trudne dla takich wyznań, powiem to: kocham Was.

Maciej Balcar, Beno Otręba, Adam Otręba, Jurek Styczyński, Janusz Borzucki i Zbyszek Szczerbiński. Panowie, Wasza muza potężnie inspiruje. Proszę, grajcie jak najdłużej!

A na koniec chcę z całego serca podziękować moim Najbliższym. Bez Was, moi Kochani, Najgorszego... by nie było! Mamie i Tacie, bo – jak to Rodzice – wierzą we mnie bezwzględnie, mojemu bratu i bratowej, Jarkowi i Sylvii Małeckim, Beacie i Darkowi Kucharskim oraz Marzenie Kucharskiej, bo czytali moje pierwsze teksty i dotrwali do końca.

Szczególnie dziękuję mojej żonie Kasi, która od lat wspiera mnie w pisarskiej pasji i gra rolę wnikliwego recenzenta. Buziaka przesyłam synkowi Maksowi za to, że tak dzielnie trzymał kciuki za wydanie tej powieści. Teraz już wiesz, że marzenia się spełniają. Oboje dajecie mi mnóstwo energii do dalszej pracy.

Jeśli o kimś zapomniałem, należy publicznie mnie wychłostać. Najlepiej na Rynku Nowomiejskim w Toruniu w pobliżu redakcji „Gazety Miejskiej”. Niech to piękne miejsce zatętni życiem raz jeszcze. Przynajmniej na chwilę.

Jeśli znajdziecie w tej książce błędy, dobrze wiecie, gdzie składać reklamacje.

Robert Małecki

www.facebook.com/robertmalecki.autor/

POLECAMY

NAWET TO, CZEGO NIE POWIESZ, MOŻE ZOSTAĆ UŻYTE PRZECIWKO TOBIE

W centrum Krakowa dochodzi do wstrząsającego odkrycia. Brutalnie okaleczone ciało kobiety zostaje odnalezione w parku. Przyczyna śmierci – liczne ciosy zadane ostrym narzędziem. To już trzecia ofiara zamordowana w podobny sposób w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Prowadzący sprawę komisarz Jakub Zagórski jest pewien, że ma do czynienia z seryjnym zabójcą.

Co łączy te kobiety? Przypadek czy misternie ułożony plan?

Komisarz Zagórski zwraca się o pomoc do Leny Zamojskiej – specjalistki od komunikacji niewerbalnej. Jej wiedza i doświadczenie mają pomóc w ujęciu przestępcy. Śledztwo nabiera tempa. Czy uda im się powstrzymać mordercę zanim zginie kolejna kobieta?

Nietypowa sprawa wymaga nietypowych rozwiązań.

SPIS TREŚCI

PROLOG

WCZEŚNIEJ ŚRODA 23 października 2013 roku

1

2

3

4

CZWARTEK 24 października 2013 roku

1

2

3

4

5

PIĄTEK 25 października 2013 roku

1

2

3

4

5

SOBOTA 26 października 2013 roku

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

NIEDZIELA 27 października 2013 roku

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

PONIEDZIAŁEK 28 października 2013 roku

1

2

3

KILKA DNI PÓŹNIEJ

1

NIEDZIELA 24 listopada 2013 roku

1

Podziękowania

Polecamy